

PAUL BRADDON

HANNA

Kraków, lata 1938-1941.

*Prześladuje ją traumatyczna przeszłość.
Czy zdoła się od niej uwolnić?*



Świat Książki

PAUL BRADDON

HANNA

Z angielskiego przełożyła
Małgorzata Szubert


Świat Książki
wydawnictwo

Spis treści

Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 23
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Epilog
Podziękowania
Przypisy

Tytuł oryginału: *HANNAH*

Wydawca: *Urszula Ruzik-Kulińska*

Redakcja: *Joanna Popiołek*

Korekta: *Ewa Grabowska, Marzena Kłos*

© Paul Braddon 2021

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Szubert, 2023

Cytat z Václava Havla str. 5 © The New York Review

ISBN 978-83-828-9035-8

Warszawa 2023

Ta książka jest fikcją literacką powstałą z wyobraźni autora.

Nazwy niektórych miejscowości w Polsce zostały przez autora wymyślone.

Wydawnictwo Świat Książki

02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Dystrybucja

Dressler Dublin Sp. z o.o.

05-850 Ożarów Mazowiecki ul. Poznańska 91

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

tel. +48 22 733 50 31/32

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Pragnę przede wszystkim przekazać, że słowa są tajemniczym, niejednoznacznym, ambiwalentnym i podstępным zjawiskiem. Mogą być promieniami światła w królestwie ciemności. [...] Mogą też być śmiertelnymi strzałami.

Václav Havel
(cytat dzięki uprzejmości „The New York Review”)

Paradoks życia leży w tym, że można je zrozumieć, tylko patrząc wstecz, a trzeba żyć, patrząc przed siebie.

Søren Kierkegaard

Prolog

KRAKÓW

Luty 1938

– Hanno, czym jest nasza Sztuka? – zapytał mój ojciec, wymawiając z naciskiem i niesmakiem słowo „Sztuka”. Herr Przybyszewski, jego wydawca, właśnie wyszedł z pokoju tak szybko, że zafalowały firanki, i pozostawił po sobie atmosferę urażonej godności oraz dym z fajki.

– Nasza Sztuka? – powtórzyłam nerwowo. Siedziałam przy końcu jego biurka, na za niskim krześle sekretarki, na poduszce położonej, by wygodniej mi się pracowało.

– Nasza Sztuka. Czym jest to, co robimy? Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś? Nie chciałabyś wyjaśnić tego niewtajemniczonym? – Ojciec zerknął na drzwi. Z korytarza dobiegał odgłos kroków Herr Przybyszewskiego, który umykał z wyraźną ulgą, choć gotów stanąć do walki innego dnia.

– Piszemy – powiedziałam i zmrużyłam oczy jak płochliwa mysz. Opuściła mnie już lekkomyślna brawura z czasów ulicznych bójek.

– I? – dociskał ojciec, trzymając okulary w górze, aby sprawdzić soczewki; wytrzeszczał przy tym oczy i wyglądał jak sowa.

– Opowiadamy życie? – Nie wiedziałam, o co mu chodzi, i coraz bardziej się denerwowałam, że go rozczaruję.

– I? – podniósł głos, ale nie ze złości, raczej jak dyrygent zwiększający napięcie batutą.

Pokręciłam ostrożnie głową. Na dworze znów zaczął padać deszcz, bębnił w ściany i dach.

Ojciec zerknął w dół i zdjął kłaczki wełny z gorsu swojej koszuli.

– Hanno, ile masz lat?

– Jedenaście... – odparłam, coraz bardziej pewna, że nie spełniam oczekiwań. Moja odpowiedź spotkała się z milczeniem, dodałam więc z wahaniem: – I pół. – Wierciłam się na poduszce, sukienka drapała mnie w uda.

– Hanno, podaj mi ramię.

– Proszę?

– Ramię – powtórzył, nadstawiając otwartą dłoń.

Ostrożnie odłożyłam wieczne pióro, aby niczego nie poplamilo, i wyciągnęłam rękę. Ojciec wziął mnie za nadgarstek lewą dłonią, a prawą rozpiął dwa guziki z macicy perłowej u mankietu – z drugim guzikiem miał kłopot – i podwinął mi rękaw. Ułożył na biurku moje chude, teraz gołe przedramię, blade i zielonkawe w zimowym świetle, z widocznymi przez skórę żyłami.

Grubymi palcami chwycił odłożone przeze mnie pióro i zrobił stałówką kropkę w zgięciu mojego łokcia. Oddychałam szybko, gdy stałówka wbijała się w skórę, a kropka ciemniała niczym gnijący liść. Kilka centymetrów dalej ojciec zrobił drugą kropkę i połączył je obie linią tak prostą, jakby narysowano ją przy linijce.

– To właśnie robimy, Hanno – powiedział.

Przyglądałam się temu, co zrobił, z otwartymi ustami. Zdumiona i przerażona.

– Teraz rozumiesz?

Miałam mętlik w głowie. Nie, wciąż nie rozumiałam. Czarna linia łącząca dwie kropki pozostała na mojej skórze przez wiele dni. Musiałam ją ukrywać.

– Łączymy rzeczy? – wymamrotałam. Z pewnością ojcu nie chodziło o coś tak prostego.

– Tak, właśnie tak – potwierdził ojciec, a jego zachwyty i uśmiech mnie zaskoczyły. – Mądra dziewczynka.

Ja też się uśmiechnęłam. Z ulgą. I się zarumieniłam.

– Łączymy rzeczy – powtórzył mój ojciec, rozsiadając się wygodnie na krześle i poprawiając muszkę. – Właśnie tak.

1

SZTOKHOLM

Środa, 18 grudnia 1946, rano

Spadł śnieg. Na tle świeżej, skrzęcej się bieli kremowa fasada kamienicy wydaje się szara, a obramiające okna sztukaterie – w ich zagłębieniach i pęknięciach osiadł miejski kurz – są po prostu przybrudzone.

Budynek liczy pięć pięter. Mieszkanie Larssona znajduje się na drugim, najładniejszym, z ozdobnym balkonem z kutego żelaza i wysokimi oknami, większymi niż na piętrach niżej i wyżej. Okna są ciemne, niczego nie zdradzają. To miejsce pełne sekretów w mieście, które ukrywa swój własny wstyd.

Znam ten widok; od kiedy przyjechałam tu w październiku, przyglądałam mu się z drugiej strony ulicy, ilekroć miałam okazję.

Przejeżdża samochód. Nieduży, jakby przygarbiony, skromny, choć nowoczesny samochód spełniający oczekiwania bogacącego się społeczeństwa. Samochód zdaje się mówić: „Nie patrz, nie ma tu nic do oglądania”. Zjeżdża powoli ze wzgórza. Ostatnie minuty przed wejściem do mieszkania także upływają wolno. Potem nie będzie odwrotu.

Ludzie jeżdżą tu bez pośpiechu, „z szacunkiem”; uderzyło mnie to zaraz po przyjeździe. Ale co się stanie, jeśli stanę na drodze temu samochodzikowi? Czy gwałtownie skręci lub zahamuje, czy będzie jechał dalej i tylko na mnie zatrąbi? Jestem w tym mieście od trzech miesięcy, ale do tej pory miałam kontakt tylko z innymi przybyszami i niewiele wiem. Nie rozumiem jego mieszkańców, a po tym, co przeszłam, moja podejrzliwość jeszcze się pogłębiła. Nikomu nie ufam. Trudno nie podejrzewać, że w chwili próby okazałoby się, iż pod powierzchnią skromności i uprzejmości kryje się bezwzględność co najmniej równa tej, jakiej doświadczyłam gdzie indziej.

Mam na imię Hanna, lecz teraz nie używam tego imienia. To już przeszłość. Jest za kwadrans dziesiąta. Ta chwila w końcu nadeszła, przechodzę więc przez ulicę i docieram do budynku.

Do wejścia prowadzą kamienne schodki. W szybie podwójnych drzwi widzę swoje odbicie – tani kapelusz wciśnięty na włosy przylizane wokół drobnej, nijakiej twarzy; ciemny płaszcz, za cienki na takie zimno, wełniane pończochy marszczące się wokół kostek i buty o zdartych podeszwach, które wkrótce będą wymagały naprawy, choć przy odrobinie szczęścia dotrę w nich do mety. Tylko na przekroczeniu linii mety muszę się teraz skupić. Potem będzie tak, jakbym nigdy tu nie była.

Drzwi się otwierają. Stoi w nich portier, Gösten. Spodziewał się mnie i wesoło się uśmiecha, lecz na widok moich zmienionych włosów jest zdziwiony. Nie zrozumie, dlaczego je zniszczyłam, bo choć spędziłam razem wiele godzin, prawie nic o mnie nie wie. W ostatnich kilku tygodniach pomimo mojej nieszczerości zaprzyjaźniliśmy się – czasami udaje się to nawet samotnym ludziom ze strasznymi sekretami.

Gösten opuszcza swoje stanowisko, prowadzi mnie do małej windy i rozsuwa drzwi. W windzie mogą się zmieścić tylko dwie osoby. Przyciśnięci do siebie słyszymy swoje oddechy. Unikam jego wzroku. Nie musiał mi towarzyszyć, wie jednak, że to dla mnie ważne, nawet jeśli nie zna prawdziwego powodu. Naciska mosiężne guziki. Trzęsąc się i dygocząc, klatka unosi się do góry.

– Lina jest wytarta – mówi Gösten, przerywając ciszę. Tego rana nie zachowujemy się swobodnie. Nie odpowiadam, a on dodaje, jakby konieczne było objaśnienie: – Trzeba ją wymienić, ale mnie nie posłuchają.

Na drugim piętrze Gösten otwiera drzwi, a ja wychodzę. Za moimi plecami blaszane pudło z piskiem rusza w dół.

Zostaję sama z tym, co mam zrobić, a strach – taki, jakbym stała przed plutonem egzekucyjnym – który trzymał się z dala przez cały ranek, powraca. Fale mdłości to nadchodzą, to znikają, a mój oddech, płytki i powolny po przebudzeniu, teraz galopuje.

Nadal istnieje możliwość odwrotu. Mogłabym zbiec schodami, przemknąć przez hol i znaleźć się za oszklonymi drzwiami, na ulicy, zanim Gösten dotrze do portierni. W walizce mam bilet na statek. Jutro byłabym w Hamburgu, a pojutrze z Henrym. Na pewno pomyślałby, że w ogóle nie wyjeżdżałam. Można by o wszystkim zapomnieć. Uznać za głupi błąd młodej kobiety doprowadzonej do ostateczności.

Waham się, czuję się bezbronna, otoczona przez duchy z przeszłości. Opieram się plecami o ścianę. Dopadły mnie z tak daleka i teraz nie

pozwolą mi uciec. Wiem, że te omamy to po prostu skutek stresu i zbyt wybujałej wyobraźni, ale nie są przez to ani trochę mniej niepokojące. W gruncie rzeczy świadomość, że to wszystko dzieje się w mojej głowie, tylko pogarsza sytuację.

– Przestańcie – błagam; oczy mam zamknięte, po omacku szukam ręką dzwonka. – Czy nie mówiłam, że zrobię wszystko, jak należy?

Po drugiej stronie drzwi słychać kroki. W drzwiach jest wizjer. Ktoś mnie w milczeniu obserwuje. Kliknięcie, zasuwę zostają odsunięte. „Bezpiecznie jak w szwajcarskim banku”, lubił powtarzać mój stryjek, choć dotyczyło to jego szans na wyścigach konnych.

Drzwi się uchylają, stoi w nich niska kobieta o szczupłej twarzy. Ma na sobie fartuch, w rękach trzyma kij od mopa, którego koniec tkwi pod jej brodą; z wykrochmalonych mankietów wystają muskularne nadgarstki.

– Jestem umówiona z fru ¹ Larsson. Nazywam się Elsa Winkell. – Wyjmuję z kieszeni list z zaproszeniem i pokazuję go jak kupon z wygraną. Elsa była córką małżeństwa, u którego pracowałam w Kolonii; już wcześniej pożyczyłam sobie jej nazwisko.

Kobieta z fuknięciem otwiera drzwi szerzej, ale odsuwa się tylko tyle, bym mogła ją wyminąć. Gdy jestem w środku, rygluje drzwi.

Z zaciśniętymi ustami i wysuniętą szpiczastą brodą ogląda mnie od stóp do głów niczym strażnik więzienny.

– Proszę poczekać. Pójdę powiedzieć, że panna przyszła.

Odchodzi zamaszystym krokiem, a mój oddech znów zwalnia. Pozwoliłam, żeby mnie zdenerwowała. Jeśli dzisiejsza rozmowa pójdzie po mojej myśli, będę musiała uważać na tę kobietę.

Pokryte ciemnozieloną tapetą ściany holu oświetla żyrandol, którego żółtawe żarówki w kształcie łez nie rozpraszają mroku. Z holu wchodzi się do dwóch korytarzy, prowadzących na prawo i na lewo.

Odgłos kroków kobiety tłumi chodnik, wokół mnie zapada cisza. W holu unosi się zapach środka odkażającego tak mocny, że zaczyna mi brakować powietrza.

– Fröken ² Winkell?

Odwracam się gwałtownie, zaczerwieniona, jakby mnie zdemaskowano, zanim jeszcze zaczęłam.

– Tak, to ja – potwierdzam szybko. – Fru Larsson? – Zupełnie nie słyszałam, że nadchodzi.

Skinienie głową, tak nieznaczne, że niemal niezauważalne.

Przygląda mi się. Zerka na moje suche, świeżo ufarbowane włosy wystające spod kapelusza, na płaszcz z przetartymi mankietami, na stare buty, którym nie pomoże już pastowanie, i robi wydech bardziej podobny do prychnięcia, zapewne z pogardą. A ja oddycham swobodnie. Jestem uosobieniem przeciętności, dziewczyną, jakiej taka elegancka kobieta jak ona po prostu nie zauważa... ani nie pamięta.

– Chodź ze mną – mówi, wzdychając.

Idę za nią korytarzem, mijając kolejne zamknięte drzwi. Fru Larsson ma na sobie drogi, wełniany, perłowoszary kostium; poduszki na ramionach podkreślają jej kształty, talię i biodra. Widziałam ją na ulicy z okna restauracji naprzeciwko, jak wchodziła do domu i z niego wychodziła, zawsze ukryta pod kapeluszem i zimowym płaszczem.

W końcu się zatrzymuje, wyjmuje klucz z kieszeni żakietu, wkłada do zamka i otwiera drzwi do wąskiego pokoju z wysokim sufitem. Pojedyncze okno wychodzi na podwórze – obskurne serce kamienicy. Pomyślałam, że ona wolałaby pokój z oknem wychodzącym na ulicę. Przez okno wpada mało światła, ale po mrocznym holu pokój i tak wydaje się jasny. Okno jest lekko uchylone, panuje zimno.

Fru Larsson podchodzi do biurka, rzuca klucze na podkładkę i siada, wygładzając spódnice.

– Proszę – mówi i wskazuje mi krzesło naprzeciwko. Starannie poprawia ustawienie dwóch ramek ze zdjęciami, które stoją na biurku tyłem do mnie. – Rozumiem, że usłyszałaś o tej posadzie od naszego wszytkowiedzącego portiera.

Kiwam głową i próbuję się uśmiechnąć.

– A jak wy dwoje się poznaliście?

– Byłam kelnerką w Gyllene Palats, restauracji po drugiej stronie ulicy.

– Kelnerką? – Kobieta wydaje się zaskoczona. – A więc dlaczego interesuje cię ta posada?

– Jestem z wykształcenia pielęgniarką. Odbyłam staż w szpitalu w Hamburgu.

– Jesteś Niemką?

– Tak – potwierdzam. W rzeczywistości nie jestem, ale tak mówi mój paszport, ponieważ bycie Niemką to ważny element ułożonej przeze mnie bajeczki.

– Pomyślałam, że masz dziwny akcent. Dlaczego jesteś w Sztokholmie?

– Przyjechałam, żeby uciec od chaosu w kraju. Miałam zatrzymać się u ciotki, ale nie czuła się na tyle dobrze, żeby mnie przyjąć. – Przygotowując się na tę chwilę, opracowałam kilka wersji mojej opowieści, znacznie bardziej szczegółowych, ostatecznie jednak uznałam, że lepiej trzymać się najprostszej. Nie chcę, żeby ta kobieta próbowała odszukać moją nieistniejącą ciotkę. Może mnie zapytać, jak nauczyłam się mówić po szwedzku, co prawda, niezbyt dobrze. Gdyby tak się stało, powiem, że podczas odwiedzin u ciotki w dzieciństwie. Tak naprawdę nauczyłam się przed przyjazdem z książek i dużo tu ćwiczyłam. Mogę teraz poradzić sobie z rozmowami na różne tematy, takie jak rodzina królewska czy psy, których tak wiele topi się w kanałach, ale w tym pokoju otaczają mnie przedmioty – zwykłe rzeczy, których nazwę zna każde szwedzkie dziecko – czekające, by mnie przyłapać.

Muszę być ostrożna. Starać się nie zwracać na siebie uwagi, a gdy pojawia się coś, co mogłoby mnie zdradzić, muszę prześliznąć się obok jak po gładkiej tafli lodu.

– A więc, Elso, czy mogę zobaczyć twoje referencje?

Podnoszę torbę i wyjmuję pierwszy list z domu opieki w Rotherbaum, miejsca, które codziennie mijałam, gdy mieszkałam z Henrym w Hamburgu.

– Przepraszam, ale listy są po niemiecku. – Mam nadzieję, że nie będzie potrafiła ich przeczytać. To nie jest najważniejsze, ale mogłoby oszczędzić mi kłopotów.

– Nie ma problemu. – Fru Larsson bierze list szczupłymi palcami i najpierw patrzy na dół kartki, na podpis, potem wraca na górę, do daty, i zaczyna czytać.

Wstrzymuję oddech. Napisałam ten list wczoraj na maszynie Göstena. Powiedziałam mu, że piszę do domu.

W skupieniu czyta list, twarz ma napiętą, co uwydatnia drobne zmarszczki wokół jej oczu i ust. Ciemne włosy ma szesane do tyłu i zwinięte na karku i trzeba by przyjrzeć się bardzo uważnie, aby dostrzec siwe nitki. Prawie nie sposób określić jej wieku. Gdyby nie zmarszczki wokół ust, mogłaby uchodzić za kobietę tuż po czterdziestce, lecz prawdopodobnie jest dziesięć czy piętnaście lat starsza. Ślady jej urody mają w sobie coś przerażającego. W młodości musiała być prawdziwą pięknoscią, choć zimną, nawet lodowatą.

– A to jest od mojego dawnego pastora. – Wyjmuję drugi list i kładę go obok jej dłoni. Dobry pastor Luthman pisze w nim, że regularnie uczęszczałam do jego kościoła i pomagałam mu wspierać ubogich. Moja pobożność i dobroczynność wydają się przesadzone, nie mogłam jednak pozwolić sobie na pozostawienie czegokolwiek przypadkowi. Mam tylko jedną szansę. W Hamelin rzeczywiście mieszka pastor Luthman. Kiedyś nawet widziałam, jak podczas deszczu walczył poirytowany z parasolem na schodach swego kościoła. Był w wypłowiałej czarnej sutannie i wydał mi się posępnym, nieprzyjaznym osobnikiem. Wątpię, czy ruszyłby palcem, aby pomóc skołatanej duszy takiej jak moja.

Fru Larsson rozprostowuje listy na podkładce i czyta je po raz drugi, wodząc palcem po tekście. Uwaga, jaką poświęca temu zajęciu, zaczyna mnie niepokoić. Miałam nadzieję, że listy nie wzbudzą wątpliwości. Czyżby już wcześniej miała do czynienia ze sfalszowanymi referencjami? Może po prostu język niemiecki sprawia jej trudności, a ona nie chce się do tego przyznać. Nie ma jeszcze powodu, by mi nie dowierzać, a o ile zrozumiałam Göstena, nie może sobie pozwolić na grymaszenie.

– A więc masz dwadzieścia pięć lat – mówi, podnosząc wzrok.

– Tak – potwierdzam, choć nie ma to nic wspólnego z prawdą. Mam dwadzieścia lat, ale musiałam dodać sobie kilka, żeby uwiarygodnić swoje rzekome doświadczenie w pracy. A poza tym, kto zaufałby dwudziestolatce, uznał, że jest odpowiedzialna i robi wszystko, jak należy?

Fru Larsson przygląda mi się jeszcze uważniej. Moje rysy nie są wyraziste, a ostatnio przytyłam, co złagodziło ich ostrość, lecz trauma ostatnich czterech lat pozostawiła ślady. Nowe kilogramy wyglądają inaczej niż stare, co sprawia, że wydaję się znękana, przemęczona. Nie prezentuję się kwitnąco. Dodaję więc sobie lat dla fru Larsson i uchodzi mi to na sucho, bo inaczej już by mnie wyrzuciła za drzwi.

– Pastor pisze, że „z zamiłowaniem opiekujesz się innymi”. Dlaczego młoda kobieta, zaledwie dwudziestopięcioletnia, chce się zamknąć z niedołączonym człowiekiem?

– Moja matka, zanim wyszła za mąż, była pielęgniarką. – Zawsze wydaję się bardziej pewna siebie, gdy mówię prawdę lub coś do niej zbliżonego.

– Czyli poszłaś w ślady matki. Czy była z tego zadowolona?

Powinnam zostawić te słowa bez komentarza, ale jej protekcjonalny ton skłania mnie do odpowiedzi.

– Nie wiem, co by pomyślała o czymkolwiek, co robiłam w ostatnich latach.

– Och, a dlaczego?

– Bo ona nie żyje. – Mówię to, a z oczu płyną mi łzy. Mam ochotę przyłożyć tej okropnej kobiecie. Sprawiała, że choć raz powiedziałam prawdę. Ale przeceniłam swoje siły.

Wyjmuję chusteczkę, wycieram twarz, a ponieważ w tym zimnie cieknie mi z nosa, wydmuchuję go. Gdyby teraz objęła mnie ramieniem, jakoś pocieszyła, mogłabym zwątpić w sens tego, co mam tutaj zrobić. Ale tak się nie dzieje. Gdy podnoszę wzrok, ona patrzy na mnie, na moje zapuchnięte oczy z wyraźnym niesmakiem.

Bierze klucz z blatu biurka, otwiera środkową szufladę i wkłada tam moje referencje.

Szokuje mnie zupełny brak empatii u tej kobiety. Zamykam się na wszelkie współczucie dla niej, jakie mogłabym poczuć, i utwierdzam się w przekonaniu, że wypełnię swoje zadanie.

Idę za fru Larsson korytarzem.

– Dostaniesz własny klucz – mówi. – Ale musisz uważać z wyjściami i powrotami i oczywiście oczekuję tylko nienagannego zachowania. Wstajemy wcześnie i nie będę tolerować żadnych zakłóceń.

– Oczywiście.

– To będzie twój pokój – mówi, otwierając drzwi.

Pokój jest mały, niewiele większy od pudełka. Między niedużą komodą a oknem widać metr gołych desek.

Nachylam się nad łóżkiem, by wyrzeć przez okno. Podobnie jak w gabinecie mojej pracodawczyni, okno wychodzi na tyły sąsiedniej kamienicy – mam widok na schody pożarowe i wąskie rozświetlone okna rozpraszające poranny mrok.

– Przyniosą tu dywan – mówi, rozglądając się dookoła; być może widzi, jaką ponurą dziurą jest to miejsce.

– Będzie bardzo ładnie. – Powiedziałabym to tak czy inaczej, po prostu z grzeczności, ale ten pokój jest lepszy niż wiele tych, jakie musiałam znosić w przeszłości. Poza tym jakie to ma znaczenie? Nie zabawię tu długo. Mam zadanie do wypełnienia i gdy tylko je wykonam, zniknę. Będę tylko cieniem.

SZTOKHOLM

Październik 1946

Trzy miesiące wcześniej, nim zamieszkałam u Larssonów, statek, którym płynęłam z Hamburga, wszedł do portu i przybił do kei przy wtórze posępnego wycia syren. Zima się jeszcze nie zaczęła, siąpił jednak lodowaty deszcz. Obserwowałam z górnego pokładu potężną bryłę Pałacu Królewskiego i miękkie kontury zbudowanego z piaskowca gmachu opery, jawiące się w gęstej mgle niczym ogromne mauzolea.

Ta smętna sceneria pasowała do mojego nastroju. Rozstanie z Henrym przed zaledwie pięcioma dniami wciąż bolało. Wydawało się uczciwsze nie obiecywać powrotu, ponieważ było mało prawdopodobne, że dotrzymam słowa. Jeśli mam rację co do tożsamości „mojego Niemca” i zrealizuję swój plan, będę musiała się ukrywać.

Henry początkowo przyjął ze spokojem to, co mu powiedziałam, ale tylko dlatego, że wcześniej dowiedział się o tym od Mike’a i miał szansę się przygotować. Sądził, że zdoła spokojnie odwieść mnie od tego „szaleństwa”. Zobaczył jednak, jak bardzo jestem zdeterminowana, zrozumiał, że się pomylił, i wtedy wpadł w przerażenie, a potem w złość. Po prostu nie rozumiał, dlaczego, nawet jeśli upierałam się przy tej „głupiej eskapadzie”, miało to oznaczać rozstanie. Ponieważ nie mogłam mu zdradzić, co naprawdę zamierzam zrobić, gdy znajdę mojego człowieka, nie mogłam też wyjawić powodu rozstania. W pewnym momencie Henry rzucił o ścianę pudłem z papierami, co wywołało kłótnię z naszymi włoskimi sąsiadami, znanymi z awantur, jakie sami urządzali u siebie. W końcu oboje uciekliśmy z mieszkania, bo żadne z nas nie mogło znieść myśli, że zostanie tam samo, i mimo ostrych słów nie chcieliśmy się rozstawać. Skończyliśmy na ławce w szklarni ogrodu botanicznego – schowaliśmy się tam przed deszczem – trzymając się w objęciach, zapłakani. Deszcz spływał po szybach, a ja odgarniałam mu z oczu pociemniałe od wilgoci włosy, najprawdopodobniej ostatni raz. Pomyślałam, że już więcej nie chcę się z nikim wiązać, a przynajmniej nie chcę być kimś, kto ten związek skończy.

Pierwszą noc w Sztokholmie spędziłam w nędznym hostelu w pobliżu portu. Zatrzymywali się w nim głównie marynarze obcokrajowcy,

o czym świadczyła mnogość języków dających się słyszeć przez cienkie ściany. Spałam źle, wciąż budzili mnie pijacy wyrzucani z tawern na nabrzeżu, śpiewający i kłócący się w wąskich uliczkach. Noc była zimna, pościel marna, leżałam zwinięta w kłębek na twardym materacu w butach i płaszczu.

Następnego dnia spacerowałam po mieście. Ranek był chłodny, ale jasny; luszczące się pastelowe fasady domów odbijały się uroczo w falującej wodzie w kanałach. Było mi lżej na duchu i po raz pierwszy od pożegnania z Henrym na peronie dworca w Norymberdze nie myślałam o tym, co zostawiłam za sobą.

Około południa znalazłam kamienicę, której szukałam, i zjadłam obiad w skromnej restauracji naprzeciwko, siedząc przy zaparowanym oknie. O drugiej większość gości wyszła. Jeden z nich zostawił gazetę. Szwedzką, ale nagłówek był zrozumiały nawet dla mnie, wciąż próbującej się uporać z tym językiem. Był siedemnasty października, a poprzedniego dnia w Norymberdze zostali straceni przywódcy nazistów. Ribbentrop, Hans Frank i kilku innych musieli pozwolić katu, by założył im stryczek na szyję. Nic dziwnego, wiedziałam, że tak się stanie, i czytając o tym, pomyślałam zupełnie to samo co wówczas, gdy usłyszałam, jakie wyroki otrzymali – że łatwo się wywinęli. Mieli tylko doświadczyć ludzkiego umierania, podczas gdy byli odpowiedzialni za tak wiele milionów nieludzkich śmierci. Naprawdę wstrząsnęło mną tylko to, że poprzedniej nocy Göringowi udało się popełnić samobójstwo w celi. Autor artykułu był zaintrygowany, jak to się mogło stać i kto mu pomógł. Oprócz tekstu w gazecie znalazły się też fotografie skazanych. Zdjęcie Göringa nie zostało zrobione podczas procesu, lecz na przyjęciu w Sztokholmie przed wojną i jak zawsze przedstawiało człowieka dobrze odżywionego i rozbawionego jak dziecko. W artykule nie padła choćby aluzja do winy tych ludzi. Tekst był płytki, gładki, nawet łagodny w tonie, nie opisywał zbrodni, jakby fakty dotyczące zbrodniarzy, którzy zniewolili większość Europy, nie powinny zakłócać czytelnikowi śniadania lub obiadu.

Podszedł właściciel restauracji, musiałam więc odłożyć gazetę.

– Nie jesteś stąd? – zapytał. Posługiwał się prostym językiem, z pewnością nie był Szwedem, wolno wymawiał słowa. Był jak dotąd jedynym człowiekiem, którego rozumiałam bez trudu.

– Właśnie przyjechałam. – Jeszcze nie wymyśliłam do końca, co będę o sobie mówić. Powiedziałam więc tylko tyle, ale on wydawał się zado-

wolony i pochylony nad szczotką spoglądał na szarą podłogę, którą należało zamieść.

Pół godziny później nadal wpatrywałam się w drzwi domu naprzeciwko. Przy krawężniku zaparkowała furgonetka dostawcza rzeźnika. Portier wpuścił chłopaka, pozostał na schodkach i wystawił twarz do słońca. Niebo było bezchmurne, ale powietrze ostre.

Właściciel restauracji znów do mnie podszedł i też obserwował ulicę. Wyszli już wszyscy goście oprócz mnie.

– Masz gdzie mieszkać?

Podniosłam wzrok.

– Nie – odparłam. Pokój w hostelu raczej nie wchodził w rachubę.

– Potrzebujesz pracy?

– Jaka to praca?

– Kelnerowanie i... trochę sprzątania... – Nie patrzył na mnie, niedomówienia wisiały w powietrzu. Nic dziwnego, musiał być ostrożny, a jednocześnie nie mógł przepuścić takiej okazji. – Jest pokój.

– Pokaż mi.

Poprowadził mnie przez wąską kuchnię. Na czarnej kuchence stały przypalone garnki, blat roboczy zajmowały sterty talerzy z obiadu i prawdopodobnie też z poprzedniego wieczoru. Podeszwy butów przyklejały mi się do linoleum na podłodze. Za kuchnią znajdował się korytarz, a dalej kręte drewniane schody. Wspięłam się po nich za właścicielem.

Na górze był niski podest. Mężczyzna otworzył drzwi, weszłam do małego pokoju zastawionego wysokimi ciemnymi meblami zasłaniającymi światło. Przecisnęłam się do okna i wyjrzałam na ulicę. Furgonetka właśnie odjeżdżała. Portier obserwował ją przez chwilę z chodnika, a potem wyrzucił niedopałek papierosa do rynsztoka i wrócił do środka.

– Wezmę to – wymamrotałam.

– Co to jest? – Schylił się, wszedł do pokoju i rozglądał się, jakby pierwszy raz w życiu widział taki nieporządek. – To wszystko będzie sprzątnięte – obiecał bez przekonania, machnąwszy owłosioną, muskularną ręką.

– Biorę to.

– Bierzesz tę pracę! – Nie ukrywał niedowierzania. Nie powiedział mi nawet, ile będę zarabiała ani ile godzin mam pracować.

– Tak, tę pracę – potwierdziłam, obserwując, jak twarz mu się rozjaśnia. Już oceniał stopień mojej desperacji i obliczał, ile pracy i dodatkowych usług będzie mógł na mnie wymusić.

Zabrałam swoje rzeczy z hostelu i już wieczorem zaczęłam pracę.

Właściciel przyszedł popatrzeć, jak sprzątam kuchnię. Stał w drzwiach, palił papierosy i wrzucał niedopałki do zlewu.

– Jak mam cię nazywać? – zapytał. Dziwne, że dopiero teraz o tym pomyślał.

Przez moment czułam niemal przemożną pokusę, aby być sobą, Hanną.

– Elsa. – Elsa Winkell była córką właściciela fabryki w Polsce, gdzie pracowałam na początku 1943 roku; później byłam służącą w domu Winkllów w Kolonii. Elsa mogłaby znaleźć się na moim miejscu i wykonywać tę brudną robotę.

Chrząknięcie.

– A jak mam zwracać się do ciebie?

– Hasan.

O dziesiątej opuściłam kuchnię i poszłam na górę do swojego pokoju. Nic się w nim nie zmieniło, ale też niczego innego się nie spodziewałam. Łóżko było wciśnięte za połamany parawan, dostałam się na nie, przechodząc nad oparciem krzesła. Wciąż ubrana wśliznęłam się pod kołdrę. W pokoju słychać było tylko dudnienie i zgrzytanie ostatnich tego dnia tramwajów, poza tym panowała cisza. Zasnęłam prawie natychmiast.

Następnego dnia rano zastałam Hasana przy stoliku w restauracji. Gdy usiadłam naprzeciwko niego, zgasił papierosa w maselnicy. Miał na sobie tylko kamizelkę i szorty. Na jego policzkach już było widać świeży ciemny zarost.

– Do wieczora musisz zrobić porządek w moim pokoju.

Zesztywniał.

– Jestem właścicielem...

– Albo zabieram się stąd. – Brzmiało to przekonująco, choć nie chciałam spełnić tej groźby.

Wydawał się zmieszany.

– Oczywiście. Zrobię tak, żeby było ładnie.

Stało się tak, jak przypuszczałam – zobaczył mnie wczoraj przy pracy i uznał, że tylko głupiec przepuściłby taką okazję.

– I chcę, żebyś nauczył mnie szwedzkiego.

– Nauczył! – Ze zdziwienia nie zamknął ust, z których buchnął na mnie zapach papierosów.

– Nie bój się – powiedziałam ucieszona, że wygrywam. – Szybko się uczę.

Teraz przyszła kolej na Hasana i pertraktacje w sprawie pieniędzy i godzin pracy. Tych pierwszych było mało, tych drugich – dużo, tak jak przewidywałam. Hasan zażądał, bym pokazała mu paszport. Nie po to, by dopełnić formalności, lecz by zaznaczyć swój nieco nadwerężony autorytet i by w razie jakiegś nieprawidłowości wykorzystać to. W paszporcie figurowałam jako Elsa Winkell, obywatelka niemiecka – prawdą było tylko to, że istniała taka osoba.

Hasan uważnie przyjrzał się mojemu zdjęciu, które zrobiłam w sklepie w Norymberdze. Udało mi się ukryć na nim niepewność dzięki lekkiemu zmarszczeniu brwi.

Skinął głową i zwrócił mi paszport, ale gdy wkładałam go do kieszeni, trzymał wyciągniętą w moim kierunku spoconą dłoń, dopóki się nie zorientowałam i nie podałam mu swojej. Uścisnęliśmy sobie ręce, aby przypieczętować umowę.

Dni się dłużyły, byłam jednak przyzwyczajona do ciężkiej pracy, a z restauracji mogłam obserwować kamienicę i nie zamierzałam z tego zrezygnować. Poza tym ta sytuacja nie miała trwać długo. Niekoszerne jedzenie nie stanowiło dla mnie problemu. W moim domu nie miało to znaczenia; ojciec uważał wszystkie religie za przeżytek, a zwłaszcza tę, w której się urodził, a ja stosowałam się do ograniczeń tylko wtedy, gdy musiałam mieszkać u stryjostwa. Ja sama uważałam, że jeżeli istnieje wszechmocny Bóg, który obiecał zapewnić bezpieczeństwo swojemu wybranemu narodowi, to nie dotrzymał obietnicy i nie może liczyć na cześć z mojej strony.

Nauka języka odbywała się między szczytem w porze obiadu a wieczornym natłokiem gości; mogłam wtedy przyprzeć Hasana do muru przed jego popołudniową drzemką. Początkowo był nastawiony niechętnie, jednak wkrótce zaczął dobrze się bawić, zwłaszcza gdy mógł pozwolić sobie na protekcyjność i delektować się, że znalazł kogoś niższego w porządku dziobania, nad kim mógł górować.

– Och tak, nie denerwuj się, Hasan – mawiał, gdy popełniłam błąd. – Ja bystra i szybka uczennica, Hasan. – I przyglądał mi się przez kłęby dymu z papierosa, by się przekonać, czy dam się sprowokować. Gdy uznał, że to się nie uda, klepał mnie mocno po ramieniu albo przyciskał moją dłoń do lepkiego blatu stołu. Uwielbiał kontakt fizyczny z ludźmi i ochoczo pokazywał, jak bardzo jest silny, choć więcej miał tłuszczu niż mięśni. – Nie bój się, mówił. – Hasan tylko żartuje.

Nauczyłam się trzymać dystans.

Tak naprawdę lekcje z Hasanem niewiele mi dawały. Mój nauczyciel miał obcą wymowę, a we mnie rosły podejrzenia co do poprawności jego gramatyki. Gdy mu to powiedziałam, z lekceważeniem machnął ręką.

– A czego się spodziewałaś? – rzucił. – Ja szef kuchni z Turcji, a ty kelnereczka, zdzira z pieprzonych Niemiec, która musi brać, co dają.

Uczyłam się więc od gości restauracji. Zaczęłam od wymiany uprzejmości podczas przyjmowania zamówień, potem coraz częściej rozmawiałam o codziennych wydarzeniach, a w końcu mogłam już konwersować o pogodzie i tutejszej polityce. Pomagała mi znajomość niemieckiego – zawdzięczałam ją ojcu – ponieważ wiele słów niemieckich i szwedzkich ma podobny źródłosłów.

Najlepsi byli goście samotni. Traktowałam ich szczególnie uprzejmie, sprawiałam, że czuli się wyjątkowi, więc mnie polubili.

Gdy pytali mnie o moje losy, o to, skąd jestem, opowiadałam bajki o swoim dzieciństwie, o jeździe konnej latem, o nartach w górach zimą, o wszystkich tych rzeczach, którymi mogłabym się cieszyć, gdyby nie wojna. Ci ludzie przychodzili tu, by uciec od samych siebie, a ja serwowałam im szwedzki stół z marzeniami o szczęściu i przygodzie.

Hasan przyglądał się temu podejrzliwie i z zazdrością. Był gburowaty, nie miał daru konwersacji, a swoje tłuste dania podawał z lekceważeniem. Nie mógł się jednak oprzeć pokusie przyczłapania do mnie i przerywania rozmów, aby mi przypomnieć, że jest praca do wykonania.

Niektórzy goście rozmawiali o wojnie. Szwecja nie brała w niej udziału, lecz mówiąc wprost, jak to wtedy rozumiałam, współpracowała z nazistami, aby uniknąć okupacji – dostarczała im surowce na potrzeby wojska. Sprawa była oczywiście złożona i gdyby Polska miała podobną możliwość stania z boku, moje życie nie zostałoby roztrzaskane na kawałki.

Tak czy inaczej, wiara w to, że jestem Niemką, wiązała się dla niektórych z oczekiwaniem, że poczuje się współwinna i że ich zrozumie. Byli też tacy, którzy sądzą, że mogą przy mnie pozwolić sobie na słowa, których nie odważyliby się wypowiedzieć przy rodakach.

– Ci Żydzi... – wymamrotał któregoś wieczoru starszy mężczyzna, patrząc mi prosto w oczy. – To, co tam się stało, cóż mogę powiedzieć... To musiało zostać zrobione.

Cofnęłam się, omal nie wylewając mu zupy na kolana, i schowałam się w kuchni, aby dojść do siebie.

Ten człowiek nie zauważył jednak mojego przerażenia i zaczął regularnie bywać w restauracji; przywoływał mnie zakrzywionym paluchem i obdarzał najserdeczniejszym, najbardziej łaskawym, bezzębnym starczym uśmiechem. Co do mnie, zawsze pilnowałam, by przed podaniem mu zupy... napluć do talerza tyle śliny, ile się dało.

Coraz lepiej radziłam sobie z językiem, restauracja Hasana też prosperowała nieco lepiej, a on sam nauczył się nie zniechęcać mnie do pracy. Zamiast tego przychodził do kuchni, by mi oznajmić, że przyszedł jeden z moich „specjalnych” gości i mam ruszyć dupę i przyjąć zamówienie, zanim ten gość pójdzie gdzie indziej. Czy ja myślę, że restauracja może sobie pozwolić na taktowanie gości jak psie gówno?

Od czasu do czasu wpadał do nas młody mężczyzna z gęstą jasną brodą. Przychodził punktualnie o szóstej i zjadał duszone mięso ze słonymi ziemniakami, trzymając w dużych dłoniach książkę z biblioteki, zawsze coś o inżynierii.

Próbowałam wymieniać z nim zwyczajowe grzeczności, a on podnosił głowę i patrzył na mnie zdekoncentrowany. Potem się rumienił i spuszczał wzrok.

Miał na imię Victor i pierś szeroką jak wiking. Stał się dla mnie swego rodzaju wyzwaniem. Sposób, w jaki trzymał łyżkę w krótkich palcach, przypominał mi Karola, mojego przyjaciela i opiekuna w fabryce.

Gdybym musiała oprzeć się na kims w razie potrzeby, on byłby odpowiednim mężczyzną, o dostatecznie silnych ramionach, by zapewnić ochronę, i niekoniecznie niezbędnym do reszty – tu wchodziły w grę inne czynniki – ale z pewnością do ochrony, która nigdy nie zawiedzie. Victor pomógł mi również przestać myśleć o Henrym.

Przychodziła do nas także kotka z kamienicy na tyłach.

Po raz pierwszy zauważyłam ją, jak obserwowała mnie z murku, gdy wynosiłam śmieci, a pewnego wieczoru odważyła się pójść za mną. Nakarmiłam ją resztkami jedzenia, a ona stała się moim kolejnym gościem. Pojawiała się krótko po zamknięciu restauracji, ponieważ wiedziała, że będę wyrzucała resztki do kubła. Nasza znajomość rozwijała się wolno, bo kotka była płochliwa, nie lubiła, żeby ją dotykać, a z pewnością nie w czasie jedzenia. Dopiero gdy się najadła i ułożyła w ciepłe stygnącej kuchenki, tolerowała pieszczoty, ale nawet wtedy pokazywała zęby, jeśli uznała, że ma już dość. To ona dyktowała warunki, lecz zawsze gdy wychodziła, owijała biały koniec ogona wokół mojej nogi, aby okazać wdzięczność i zadowolenie. Miałyśmy więcej ze sobą wspólnego, niż byłam gotowa przyznać.

Pewnego wieczoru w listopadzie, gdy myłam ostatnie naczynia, do kuchni wszedł Hasan z prawie pustą butelką fińskiej wódki. Był pijany, uderzył kolanem o szafkę i zaczął kląć, używając wszystkich odpowiedników słowa „pierdolić”, które już słyszałam od żołnierzy; wymyślił też jeszcze kilka nowych. Kopnął kuchenkę, zrobił kolejne wgniecenie w drzwiach, po czym oparł się plecami o suszarkę i zapatrzył się z ponurą miną w podłogę.

– Twój chłopak siedział tu cały wieczór i zajmował bardzo potrzebne miejsce – wymamrotał w końcu, zdecydowany wyładować zły humor na mnie.

– To nie jest mój chłopak – odparłam i walnęłam żelazną patelnią koło jego ręki. Spodziewałam się, że Hasan będzie zadowolony, iż mi dokuczył, ale się nie odezwał.

Zerknęłam na niego. Patrzył na nasze odbicie w lustrze z tyłu – w zaparowanej tafli nasze głowy zlewały się w jedną. Ups, pomyślałam, szybko się okaże, że jestem tu za długo.

Gdy nie pracowałam w kuchni ani nie obsługiwałam gości, siadałam przy oknie i obserwowałam ulicę. Stopniowo poznawałam zwyczaje mieszkańców kamienicy naprzeciwko – wiedziałam, w jakie dni przyjeż-

dżają dostawcy, o której godzinie ludzie wychodzą do pracy i wracają, ile dzieci wybiega co rano do szkoły. Zauważyłam też, że portier wykorzystuje każdą okazję, by postać na schodkach przed powrotem do mrocznego holu. Fru Larsson zobaczyłam po raz pierwszy, gdy pojawiła się w przytrzymywanych przez portiera drzwiach, a potem zeszła po schodkach i ruszyła przed siebie ulicą. Pierwszy raz dotarło do mnie, z kim będę miała do czynienia. Wysoki wzrost i elegancja tej kobiety sprawiły, że poczułam się mała. Jeszcze nawet nie zaczęłam, a już miałam problem. Później usilnie się starałam poznać jej zwyczaje, oswoić się z nią, aby gdy dojdzie do spotkania, nie wpaść w przerażenie. Ale jedyną osobą, której ani razu nie widziałam, był poszukiwany przeze mnie mężczyzna.

Za zaparowanym oknem restauracji byłam niewidoczna, zbliżała się jednak zima, musiałam więc wychodzić na zewnątrz z miotłą, by zmieść z chodnika opadłe liście i gałązki.

Wkrótce wymieniałam z portierem ukłony. Gdy przerywałam na chwilę pracę, on wyjmował papierosa z ust i z śmiechem mi salutował.

Zastanawiałam się, jak nawiązać z nim znajomość, lecz ostatecznie problem rozwiązał się sam.

Pewnego listopadowego wieczoru miasto spowiła mgła; patrzyłam na nią przez szybę i nagle zauważyłam, że kotka z białym końcem ogona, ta, którą karmiłam, wybiega zza śmietników na środek ulicy. Przysiadła tam, wydawała się zdezorientowana, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Może zagubiła się w tej mgle.

Tramwaj pokonał zakręt i toczył się ulicą, a kotka, zamiast uciec, skuliła się sparaliżowana przednimi światłami pojazdu. Wypadłam na ulicę, przebiegłam przez chodnik na jezdnię, kotka, cokolwiek jej dolegało, rzuciła się na mój widok do ucieczki, a ja zaczepiłam butem o szynę i upadłam na twarz.

Podczas gdy wykorzystywałam jedno z pozostałych mi jeszcze żyć, tramwaj zatrzymał się z piskiem pół metra od mojej głowy. Motorniczy wychylił się przez okienko i wrzeszczał na mnie rozwścieczony, jakby to on omal nie stracił życia.

Moją stopę uwolnił i postawił mnie na nogi portier z naprzeciwka. Pomógł mi przejść przez jezdnię i wejść po schodkach do kamienicy, posadził mnie na swoim krześle za kontuarem i masował mi kostkę.

– Przepraszam – powiedziałam wciąż oszołomiona, a jednocześnie bardzo zadowolona, że dopięłam swego. Rozglądałam się dookoła po holu, przecież widziałam go po raz pierwszy, zauważyłam windę i rząd skrzynek pocztowych z numerami i nazwiskami na ścianie.

– Nie trzeba przeproszać, fröken. Jestem Gösten, przyjaciel wszystkich.

Wróciłam do restauracji po godzinie, kuśtykając.

– Gdzie byłaś? – zapytał Hasan ostrym tonem. – Jesteśmy otwarci od godziny. Miałem urwanie głowy.

Dwa kłamstwa, oba grube jak on. Restauracja właśnie została otwarta i był tu tylko jeden klient.

– Upadłam na ulicy, zraniłam się w kostkę.

Hasan spojrział w dół i być może rozczarowany, że nie widać żadnego złamania, oddalił się.

W przeciwieństwie do Hasana Gösten był człowiekiem otwartym, interesował się ludźmi i tym, co się dzieje dookoła.

Zacząłam wychodzić z restauracji na popołudniową przerwę. Przechodziłam przez ulicę w grudniowym śniegu, wycierałam śnieżną breję z butów o krawędź schodka i wkraczałam do holu, mojego schronienia.

Z holu prowadziły drzwi na brukowane podwórze, serce kamienicy, na które wychodziły okna wszystkich mieszkań. Któregoś dnia, gdy przyszłam, Gösten tam zamiatał; dołączyłam do niego. W powietrzu czuć było wilgoć, podwórze oświetlały tylko światła z okien. Na najniższym stopniu schodów pożarowych stały w rzędzie trzy ceramiczne donice z bezlistnymi, uschniętymi krzewami.

– To mój tajemniczy ogród – powiedział Gösten z ironicznym uśmiechem. – Chodź, Elso, tu jest zimno, wejdźmy do środka. – Spodziewał się mnie, na małej kuchence w głębi portierni bulgotała w garnuszku gorąca czekolada.

Pomagałam Göstenowi sortować popołudniową pocztę i wkładałam listy do skrzynek, a on siedział na krześle i mnie obserwował. Miałam teraz okazję zapytać o mieszkańców, a zwłaszcza o Larssonów.

– Bardzo źle u nich – odparł. – Syn jest chory.

– Chory?

– Gruźlica, stan jest bardzo poważny.

– Gruźlica? – Czegoś takiego nie przewidziałam. Gruźlica była chorobą śmiertelną. Wiedziałam o tym, ponieważ chorowała na nią dziewczynka z mojej szkoły. Często źle się czuła i miała długie przerwy w nauce; z jednej już nie wróciła. Mówiono, że wysłano ją do Szwajcarii na leczenie w sanatorium wysoko w górach, ale później dyrektorka poinformowała nas, że nasza koleżanka zmarła.

– Tak, stan jest bardzo poważny – powtórzył Gösten. – On może nie przeżyć zimy.

– Czy zawsze chorował? – Próbowałam brzmieć współczująco, a jednocześnie zastanawiałam się, jak to zmienia sytuację. Czy to oznacza, że nie mógł być to człowiek, którego szukałam?

Gösten wzruszył ramionami.

– Możliwe, ale jest z nim źle dopiero od zeszłego roku.

– Coś się do tego przyczyniło?

Gösten znów wzruszył ramionami i spojrzał pod nogi. Zaczynałam się uczyć, jak mocno mogę go naciskać. Gdy nie chciał być ciągnięty za język, odwracał wzrok i zmieniał temat.

– Proszę – powiedział. – To jest dla ciebie. – Otworzył papierową torbę z dwoma ciastkami szafranowymi i jedno położył koło mojego łokcia.

– Długo tu pracujesz? – zapytałam, nie chcąc, by mnie zdekoncentrował.

– Od zawsze, słowo.

– A rodzina Larssonów zawsze tu mieszkała?

– O, tak, też od zawsze. – Zgniół torbę po ciastkach i wrzucił do kosza.

– Jaki on jest, ten syn?

– Dlaczego pytasz?

– Nie wiem. – Teraz była moja kolej na wymijającą odpowiedź. – Po prostu przykro słyszeć, że ktoś jest chory.

– No tak. – Gösten zerknął za siebie, jakby się bał, że ktoś może nas podsłuchać, i zamknął nogą drzwi do holu. – Pielęgniarki nigdy nie

zostają długo. – Rozparł się na krześle, zachichotał, ramiona mu się trzęsły, poczerwieniał na twarzy.

– Dlaczego?

– Powiedzmy, że on czasami nie jest łatwy. Ta ostatnia... – przerwał.

– Dlaczego, co stało się z tą ostatnią?

Gösten pokręcił głową, patrząc na swoje kolana. Nieustannie toczyła się w nim walka między dyskrecją wymaganą w pracy a chęcią poplotkowania.

– Czy on ma teraz pielęgniarkę?

– Nie, od wielu dni nie ma.

– Czyli jest wolne miejsce. Gdybym była zainteresowana, czy mógłbyś wspomnieć im o mnie?

– Jasne. A ty jesteś pielęgniarką?

Skinęłam głową. Zmyśliłam to na poczekaniu, ale to był jedyny sposób, aby przejść przez te drzwi, a poza tym jak trudne może być tak naprawdę pielęgniarstwo?

Śnieg padał coraz częściej, na wystawach domów towarowych pojawiły się świąteczne dekoracje, a sprawy przybrały nowy obrót. Moja częsta nieobecność nie uszła uwadze Hasana, a im lepiej mi było w kamienicy naprzeciwko, tym gorzej działo się w restauracji. Słyszałam zjadliwe komentarze, widziałam posępne spojrzenia.

– Jebiesz się ze swoim chłopakiem? – wymamrotał któregoś popołudnia po moim powrocie, wydłubując ości sardynki z zębów zbyt długim paznokciem. Hasan zawsze używał tego określenia na seks, bo wierzył, że jest ono bardziej obraźliwe, a poza tym prawie już wyczerpał potencjał słowa „pierdolić”.

Tego wieczoru poszłam na górę wcześniej, zostawiając zmywanie naczyń na rano. Miałam powód do zadowolenia, moje przygotowania dobiegały już końca. Gösten podał moje nazwisko fru Larsson, następnego dnia miałam mieć rozmowę o pracę. Jeśli mi się powiedzie, zostanę pielęgniarką – to dla mnie kolejna rola do odegrania. W ramach przygotowań poszłam do biblioteki, wyszukałam pozycje o leczeniu gruźlicy i wyniosłam pod płaszczem mały, ale wyczerpujący informator medyczny. Wykorzystałam też maszynę do pisania w portierni Göstena,

aby napisać referencje i potwierdzić swoją nową tożsamość. Udawałam, że piszę listy do mojej nieistniejącej rodziny.

Na koniec w małej łazience naprzeciwko mojego pokoju zmieniałam wygląd. Bałam się, że jasne włosy mogą sprawić, iż on mnie rozpozna. To była w gruncie rzeczy moja jedyna cecha charakterystyczna, która zapadała w pamięć. Po półgodzinie potrząsania głową nad miską spojrzałam w górę i zobaczyłam matową, brązową aureolę, która mimo długiego szcztokowania nie dawała się gładko ułożyć. Zastanawiałam się, czy obciąć włosy, ale moje nożyczki były małe i tępe, a jeśli przycięłabym włosy za krótko, to tylko bym przyciągnęła uwagę do ich okropnego koloru. Gdybym pomyślała o tym wcześniej, poszłabym do fryzjera.

Po powrocie do zimnego pokoju powtarzałam sobie rolę, którą miałam odegrać następnego dnia. Leżąc pod kołdrą z informatorem z biblioteki opartym na poduszce, uczyłam się, że głównymi objawami gruźlicy są bóle w piersi, płytki oddech, dreszcze i poty, silny i wyczerpujący kaszel połączony z płuciem krwią oraz utrata apetytu prowadząca do wychudzenia. Dlatego dawniej powszechnie nazywano tę chorobę „suchotami”. Wokół mnie rozlegały się odgłosy dezaprobaty, ponieważ nikt nie lubi kłamców – belki stropowe trzeszczały, schody skrzypiały, a wiatr stukał kościstymi palcami po dachówkach.

SZTOKHOLM

Wtorek, 19 grudnia 1946, rano

Mój pierwszy dzień w roli pielęgniarki okazuje się falstartem. Poprzedniego wieczoru przeniosłam walizkę z restauracji na drugą stronę ulicy, bo spodziewałam się, że rano zacznę pracę, tymczasem nie zostałam wezwana do pokoju chorego. Nie wiem nawet, gdzie się znajduje ten pokój.

Kuchnia to królestwo Mony, zyłastej, onieśmielającej gosposi i kucharki, która wpuściła mnie wczoraj. Przed wejściem tam słyszę brzęk garnków, denerwuję się, ale głód i pragnienie wciągają mnie do środka. Mona podaje mi kawę, nie proponuje jednak, bym usiadła, a ponieważ czuję się niemile widziana, co było do przewidzenia, szybko wypijam małą filiżankę, w chwili nieuwagi omal nie zrzucam spodka, i wymykam się z kuchni. Muszę śmieiej sobie poczynać, ale jestem tu zdana na siebie i czuję napięcie, jakiego zupełnie się nie spodziewałam.

W poszukiwaniu albo pracodawczyni, albo pacjenta przemierzam korytarz, nasłuchuję pod każdymi drzwiami, za którymi panuje cisza, i dopiero wtedy decyduję się je otworzyć.

W mieszkaniu łączą się dwa światy. Pokoje wychodzące na północ, na główne podwórze, są ponure i funkcjonalne; natomiast do wychodzących na południe pokoiów reprezentacyjnych i należących do członków rodziny wpada mniej lub więcej słabego zimowego słońca.

Wychodzę z biblioteki, gdzie w oknach wiszą firanki, a wzdłuż ścian stoją rzędy półek z oprawnymi w skórę książkami, w chwili gdy fru Larsson wynurza się zza rogu korytarza.

– Och – mówi, zatrzymując się.

Patrzymy na siebie. Ma taką minę, jakby przyłapała mnie na szpiegowaniu. I jakby zapomniała, że mnie zatrudniła.

– Fru Larsson, właśnie pani szukałam – rzucam szybko. – Czy mogę już zacząć pracę?

Przypatruje mi się dziwnym wzrokiem; może usiłuje sobie przypomnieć, jak się nazywam.

– Zacznie, gdy będziemy gotowi – oznajmia i rusza korytarzem, a ja jestem tak zdenerwowana, że brzmi to dla mnie jak groźba. Gdzie się podziała moja pewność siebie? Chyba zostawiłam ją za drzwiami. Henry by nie rozpoznał tej płochliwej istoty, jaką się stałam w zaledwie kilka godzin od wejścia do tego mieszkania.

Zastanawiam się, co mam ze sobą zrobić. Może powinnam pójść do Göstena, gdzie zostałabym przyjaźnie przyjęta i zapewne nakarmiona, lecz opuszczenie mieszkania w sytuacji, gdy w każdej chwili mogę zostać wezwana, byłoby głupie, choć perspektywa ucieczki stąd jest bardzo kusząca.

Wczesnym popołudniem jest już ciemno. W moim pokoju panuje półmrok. Okno jest czarne, a jedyna żarówka pod sufitem daje żółtawe światło. Siedzę na łóżku z informatorem zabranym z biblioteki. Jest nudny, pełen szczegółów skrupulatnie zgromadzonych przez emerytowaną przełożoną pielęgniarek i napisany językiem, który przyprawia mnie o ból głowy. Zrozumienie tego wszystkiego byłoby wyzwaniem w każdych okolicznościach, ale znękana chłodem skupiam się na zimnych kluskach z wystygłej potrawy. W informatorze widzę tylko „zrób to, nie rób tego”, jakby autorka pouczała zupełnego ignoranta.

Otwierają się drzwi, pojawia się fru Larsson. Nawet nie przyszło jej do głowy zapukać – ona nie uznaje mojego choćby ograniczonego prawa do prywatności. Kompletnie zaskoczona zdobywam się jednak na uśmiech. Czy próbuje mnie przyłapać? Czy może w swojej naiwności już się jakoś zdradziłam? Kładę książkę przednią stroną okładki do dołu, ale tak, by moja pracodawczymi, jeśli zechce, mogła przeczytać tytuł na grzbiecie; nie zaszkodzi, jeśli uzna mnie za sumienną.

Fru Larsson nie interesuje jednak, jaką lekturę mi przerwała.

– Proszę, chodź ze mną, Elso – mówi. – On chce cię teraz widzieć. – Zsuwam się z łóżka na gołą podłogę, obiecany dywan jeszcze się oczywiście nie pojawił, i idę za fru Larsson korytarzem.

W końcu nadszedł moment, gdy zobaczę mężczyznę, którego mam pielęgnować, a ja coraz bardziej się denerwuję. Zza mojego ramienia wyłania się znajoma twarz. „To jest dla ciebie szansa, Hanno – mówi mój brat Józef, dodając rzeczowo – by uporządkować sprawy”.

Idę szybciej, aby zostawić brata w tyle, trzymam się blisko fru Larsson mimo jej długich kroków w nadziei, że nie okaże się na tyle szalona, by głośno odpowiedzieć Józefowi.

Potem będzie koniec – szepczę bezgłośnie. – Mam nadzieję, że wy wszyscy znikniecie. Ale odpowiedzi nie ma, a złowieszczą cisza gna mnie coraz szybciej do przodu; wreszcie wyprzedzam swoją pracodawczynię, jakbym niecierpliwie rwała się do pracy. W rzeczywistości jestem przerażona. Jeśli znalazłam się tu, aby sprawiedliwości stało się zadość, i jeśli jest tu mężczyzna, którego szukałam, będę musiała się zmierzyć ze wszystkim, co się z tym wiąże, a także z konsekwencjami. Mężczyzna, którego usiłuję utopić, może mnie pociągnąć za sobą.

Zatrzymujemy się przed drzwiami. Fru Larsson puka i zagląda do środka.

– Przeprowadziłam ją – mówi.

Pada niewyraźna odpowiedź, wchodzimy.

Okno jest otwarte, w pokoju panuje chłód. Jedyne światło daje zwykła lampka u wezłowania szpitalnego łóżka. Mężczyzna siedzi oparty na poduszkach, widzę zarys wydatnej brody zwróconej w moim kierunku.

– To jest Elsa, nowa pielęgniarka.

Słowa matki wprawiają go w zakłopotanie, wychyla się w moją stronę, wodzi po mnie wzrokiem, potem patrzy na moją pracodawczynię.

– Gdzie jest tamta? – mruczy, ma nierówny oddech.

– Wiesz gdzie. Nie musimy o tym rozmawiać. Dopiero teraz powiedziałaś mi, że chcesz zobaczyć jej następczynię.

Mężczyzna z jękiem opada na poduszki.

– Jesteś zmęczony – zauważa cierpko jego matka. – To był błąd, przeprowadzę ją jutro.

Fru Larsson daje mi znak, że powinnam pójść za nią, lecz gdy się odwracamy, on znów się odzywa.

– Chciałbym ją zobaczyć. Każ jej podejść bliżej.

Fru Larsson sznuruje usta, ale kiwa na mnie głową, żebym posłuchała, a ja robię kilka kroków.

– Powiedz jej, żeby stanęła w świetle – mówi, jakbym nie miała własnych uszu.

Podchodzę i staję bliżej lampki z abażurem.

Mężczyzna przechyla głowę i przygląda się mojej twarzy nienaturalnie błyszczącymi oczami.

Ja również patrzę na niego do głębi zszokowana. Przeróżające jest nie to, że on może mnie rozpoznać – zawsze musiałam się liczyć z taką możliwością – ale to, że ja zupełnie go nie poznaję.

Minęły tylko cztery lata, więc powinnam go rozpoznać nawet bez munduru. Ludzie się zmieniają, lecz jego twarz, zapadnięte usta i przylepione do głowy włosy nic mi nie mówią. Moja podróż, porzucenie osób, które kocham, okazały się daremną ofiarą. Zawsze istniało ryzyko, że trop może być fałszywy, ale mimo tego, co powtarzałam sobie o potrzebie potwierdzenia jego tożsamości, w skrytości ducha wierzyłam, że to on.

– Och! – szepczę i usuwam się w cień.

Głowa chorego opada.

– Miałaś rację, matko – mamrocze, może równie rozczarowany mną, jak ja nim. – Rzeczywiście jest późno, a ja jestem zmęczony. Przyrowadź ją jutro.

Wymijam fru Larsson, otwieram drzwi i na korytarzu mocno opieram się o ścianę.

Fru Larsson wychodzi kilka sekund później i zastaje mnie pochyloną do przodu, ciężko oddychającą.

– Elso? – Przygląda mi się uważnie.

– Przepraszam. – Stres z ostatnich dwudziestu czterech godzin daje o sobie znać. Nie potrafię usprawiedliwić tej nagłej ucieczki od łóżka jej syna, ale jeśli ona teraz mnie zwolni, tu, na korytarzu, czy to ma jakieś znaczenie? Nie znam tego mężczyzny.

Wbijam wzrok w chodnik na podłodze, zbiera mi się na płacz z rozczarowania i być może z ulgi, że nie muszę robić tego, co miałam zrobić.

Fru Larsson patrzy na moją opuszczoną głowę.

Powiedz to, myślę, nie nadaję się do opieki nad twoim synem. Nie synem. Ten mężczyzna jest tak stary, że mógłby być twoim ojcem.

– Porozmawiamy jutro – mruczy fru Larsson, nie komentując ani mojego braku profesjonalizmu, ani zachowania, i znika w głębi korytarza.

Zdesperowana czuję nagłą chęć spojrzenia jeszcze raz. Klamka ustępuje bezgłośnie, pchnięcie drzwi nie wymaga wielkiego wysiłku.

W świetle lampki widzę twarz mężczyzny z profilu. Nocny wiatr wywiał firanki za otwarte okno. Słyszę tylko chrapliwy oddech chorego.

W milczeniu przypatruję się jego wąskiemu nosowi, zapadniętemu oku i kosmykowi wilgotnych włosów opadającemu na brew.

Larsson odwraca się w moją stronę.

– Klaro, czy to ty?

Już mam się wymknąć, ale nagle coś nie pozwala mi się poruszyć. Głos tego człowieka, choć słaby, ma w sobie pewną melodyjność, a ja pamiętałam jego brzmienie przez wszystkie te lata.

Wrażenie trwa tylko sekundę, lecz narastająca we mnie panika wywołana przekonaniem, że naprawdę znalazłam się twarzą w twarz z mężczyzną odpowiedzialnym za śmierć mojej rodziny, sprawia, że uginają się przede mną nogi i muszę kurczowo złapać się framugi.

Mężczyzna patrzy w ciemność.

– Klara? – dopytuje się tym razem głośniejszym, ostrzejszym tonem.

Biegnę korytarzem do swojego pokoju, lecz gdy docieram do przedpokoju, ogarnia mnie przemożna chęć ucieczki, otwieram więc drzwi frontowe i wypadam z mieszkania.

Zatrzymuję się w słabo oświetlonym holu i patrzę za siebie na zamknięte drzwi; oddycham szybko. Czuję się tak, jakbym uciekła z więzienia. W pierwszych dniach pobytu w obozie dla dipisów w Kolonii, zanim zaczęłam pracować u Henry'ego i mogłam codziennie wychodzić, odczuwałam nieodparte pragnienie wolności i wystawałam przy bramie w nadziei, że wybłągam przejście przez szlaban, albo stałam tuż przy drutach, przypatrując się przechodniom i samochodom na ulicy.

Schodzę po szerokich schodach, potykając się i trzymając mocno mahoniowej poręczy.

W holu Gösten drzemie przy swoim biurku z brodą na piersi, a ja zatrzymuję się u podnóża schodów, w mroku obok windy, i przechodzę na palcach koło portierni. Nie potrafię nawet zdobyć się na rozmowę z jedynym w tym mieście człowiekiem, którego mogłabym nazwać przyjacielem.

Docieram do drzwi, znów się śpiesząc, prawie biegnąc, a one zamykają się za mną z trzaskiem. Zatrzymuję się na pierwszym stopniu, aby zerknąć do środka i widzę, że Gösten właśnie się budzi i mamrocze coś pod wąsem, a jego krzesło znów wsuwa się do małej klitki z tyłu.

Na ulicy hula wiatr, wzbijając w górę śnieg. Nie mam na sobie płaszcza ani kapelusza, ani rękawiczek; ziąb przenika przez moją bluzkę i sweter. Ludzie już mówią, że zima, która ma być najsurowsza w tym stuleciu, to kara boska za to, co zrobiła ludzkość. Jeśli to jest kara, On jest równie bezlitosny jak łajdacy na ziemi albo jeszcze gorszy, zważywszy na liczbę niewinnych nieszczęśników w całej Europie, dygoczących w ruinach, w których znaleźli się przez innych ludzi.

Gösten zamiata schody codziennie, chodnik jest jednak zdradliwy, a moje buty ze zdartymi podeszwami nie mają przyczepności. Stawiam kroki ostrożnie, nie wiem, dokąd idę. Jeśli zapuszczę się za daleko, zabłądzę, a w takim ubraniu szybko się zaziębę, ale potrzeba przestrzeni, aby oczyścić umysł, jest za silna, żebym się poddała.

Mniej więcej po minucie docieram do toru tramwajowego na szczycie wzgórza. Tam, na otwartej przestrzeni, wiatr wieje ze wszystkich kierunków, kołysząc latarniami.

Zatrzymuję się, krzyżuję ręce na piersi i zastanawiam się, którą drogę wybrać... a może powinnam pójść za głosem rozsądku i wrócić do stosunkowo ciepłego mieszkania. Wiatr jest tak silny, że mógłby mnie przewrócić.

Nadjeżdża mały ciemny samochód, próbuje skrócić na skrzyżowaniu, lecz wpada w poślizg i sunie w poprzek jezdni, wyrzucając spod kół miękką śnieg. Kierowca, zgarbiony nad kierownicą, odzyskuje kontrolę i w ostatniej chwili unika uderzenia w ośnieżony hydrant pożarowy.

– Elsa?! – krzyczy jakiś mężczyzna. Ciemna postać śpiesznie zmierza w moją stronę, jej buty lepiej radzą sobie w tych warunkach niż opony samochodu czy moje nędzne pantofle. Jest za wysoki na Göstena i przez chwilę myślę o Henrym, o tym, jak nie widziawszy mnie przez kilka dni, biegł do mnie przez ulicę, wołając moje imię, choć nie byliśmy jeszcze kochankami, tylko wciąż przyjaciółmi.

– Elsa?! – znów woła mężczyzna.

Teraz go rozpoznaję. To Victor, jeden z moich tak zwanych ulubieńców. Victor wspina się po zboczach, a gdy jest już na górze, patrzy zdzi-

wiony na mnie i moje ciemne włosy. Ma na sobie ten sam co zwykle nadjedzony przez mole szynel ze sfatygowanymi pagonami i szalik w paski okręcony wokół szyi.

– Elso, spójrz na siebie, jesteś przemarznięta. Dlaczego wyszłaś na dwór tak ubrana? – Jego głos, mocny i ciepły, zamienia się w kłęb pary między nami. – Gdzie byłaś? – Ty nie...

– Dostałam inną pracę – odpowiadam szybko, nie chcąc pytań o to, gdzie i dlaczego.

Odchodzę, buty się ślizgają.

– Płaczesz. Co się stało?

– Nie płaczę – mówię, choć czuję się tak, jakbym płakała. – Oczy mi łzawią od wiatru.

Victor robi jeden krok, znów jest przy mnie i patrzy pod nogi; wygląda tak, jakby sam miał się zaraz rozplakać. Wyciąga rękę, by dotknąć mojego ramienia.

– Muszę iść.

Odwracam się od niego, but się ślizga i zaraz padnę na ziemię, ale on mnie chwytą i przygarnia do piersi. Jego broda pachnie wilgotnymi książkami z biblioteki, mocnym tytoniem, wczorajszym potem, a także czerwonym barszczem. Te zapachy kojarzą mi się z bezpieczeństwem i moim dalekim, już nieistniejącym domem.

Jakiś przechodzień w kapeluszu z nisko opuszczonym rondem i szalikiem na ustach gapi się na nas jak na parę dziwadeł – bardzo wysoki mężczyzna w obszernym płaszczu trzymający kobietę w cienkim swetrze i spódnicy.

Odzyskuję równowagę i wyrywam się z jego objęć, odpycham go.

– Przepraszam – mówię i odchodząc, widzę na jego twarzy ból.

Wiatr szapie mnie za włosy i łopocze spódnicą. Zaraz rozpęta się śnieżycą. Przez ostatnie kilka minut pogoda się pogorszyła, na ulicy leży coraz więcej śniegu.

NORYMBERGA

Czerwiec 1946

Motocykl wjeżdżał na wzgórze, silnik stawał się coraz bardziej nienasycony wraz ze wzrostem obrotów. Pokochałam jazdę, to szarpnięcie ramion, gdy przyspieszenie chciało odciągnąć mnie od pleców Henry'ego. Obejmowałam go mocniej, splatałam palce na jego piersi i trzymałam się kurczowo na przekór podmuchowi powietrza, mocno zaciskając oczy. Wiatr rozwiewał mi włosy do korzeni, tak że powiewały jak flaga.

Wszędzie jeździliśmy szybko po prostu dla dreszczyku emocji. Wymijaliśmy wolno jadące ciężarówki wojskowe, wyprzedzaliśmy samochody dyplomatów i cywili chwiejących się na rozklekotanych rowerach. Zostawialiśmy po sobie tylko rozdarte powietrze, a o tym, gdzie byliśmy, mówiły ślad na drodze i ogon dymu z rury wydechowej.

Później, gdy mieliśmy jakiś dach nad głową, kochaliśmy się. Wydawało się, że w kwietniu, wraz z przeprowadzką na południe, do Norymbergi, i po satysfakcjonującym wyroku w sprawie cyklonu B – dwaj główni oskarżeni zostali skazani przez brytyjski trybunał wojskowy na śmierć – możemy zacząć nowe życie. Zamknęliśmy „Hanna jako ofiara” i wszystkim, czego potrzebowaliśmy, był stół pod jakimiś schodami, miejsce za rzędem szafek na dokumenty czy zapadnięty fotel na strychu. To były „nasze” dni, kochaliśmy się raz po raz, tym razem jak należy.

W tym czasie Henry był głęboko zaangażowany w pomoc przy sprawie przeciwko gigantowi chemicznemu IG Farben i jego filii o nazwie Degesch, a mnóstwo dokumentów, które uzyskaliśmy z siedzib tych firm, przeniesiono „dla bezpieczeństwa” do naszego mieszkania. Wynajęliśmy lokal na przedmieściu, które w przeciwieństwie do centrum Norymbergi nie zostało zburzone. Henry pracował przy stole z jadalni ustawionym pod oknem i otoczonym pudłami. Czasami gdy przechodziłam obok, zniemacka wciągał mnie do swojej jaskini, sadzał na kolanach i się całowaliśmy, i pieściliśmy. Zdarzało się też, że stawałam za nim, mówiłam mu coś do ucha, a Henry nawet nie podnosił wzroku i utrzymywał później, że niczego nie słyszał.

Tymczasem przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym trwał proces przywódców nazistowskich i w centrum miasta obowiązywały surowe zasady bezpieczeństwa, nas to jednak nie dotyczyło.

Gdy chciałam porozmawiać o „moim Niemcu”, jak nazywał go Henry, patrzył na mnie niewidzącym wzrokiem. Bardzo mnie rozczarował brak wsparcia z jego strony, lecz gdy w końcu się odezwał, jego odpowiedź była prosta. Pewnego rana staliśmy przy oknie w sypialni, ja byłam już ubrana do pracy. Henry właśnie wyszedł z łazienki i przygłądzał mokre wąsy w lustrze w drzwiach szafy. Wokół pasa miał zawiązany ręcznik, a na plecach krople wody.

Przyparłam go do muru w sprawie „mojego Niemca”, lecz wybrałam zły moment. Zachował się jak ojciec mówiący dziecku przykrą prawdę.

– Nigdy go nie znajdziesz – powiedział. – Będziesz musiała się z tym pogodzić, Hanno. Trop się urwał. Z tego, co wiesz, on nie żyje i najpewniej tak właśnie jest. A nawet jeśli go znajdziesz, nie będziesz w stanie niczego mu dowieść. On jest drobną płotką, nikogo nie obejdzie.

– Dlaczego tak mówisz? – Zaskoczył mnie. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak uważał.

– Bo to prawda. – Henry widział, że jestem wytracona z równowagi i jako prawnik próbował przedstawić swój pogląd w odpowiednim kontekście. – Hanno, musisz zrozumieć, że większość tych kanalii wymiga się od kary. Zainteresowanie ściganiem największych bestii już maleje. Teraz mówi się o współpracy. Nikt nie będzie się zajmował drobnicą. Ludzie tacy jak twój Niemiec będą nauczycielami, sklepikarzami, dyrektorami fabryk. Kraj potrzebuje ich tak bardzo, jak poczucia, że zakończył się pewien etap.

– Co więc proponujesz? – zapytałam rozgoryczona. Nie byłam przyzwyczajona, by traktował mnie jak równą sobie, ale przynajmniej wystarczająco często ulegał moim kaprysom, bym tego nie zauważała. Czuwał nad tym rozpieszczonym dzieckiem, które krzycząc, domagało się, żeby mu dogadzać, i było to o wiele ważniejsze niż same przyjemności. Liczyło się jego wsparcie.

– Pójść dalej. Skupić się na tym, co możemy zrobić. Pomóc nam przyszpilić tych, których już mamy.

Zirytowałam się. Coraz bardziej mnie nudziło ściganie łajdaków w garniturach. Byłam zła, a on to widział i również był zirytowany.

Jeszcze niedawno w takiej chwili by się wycofał, uspokoił mnie, przytulił. Teraz podszedł do szafy, otworzył ją i znalazłszy się poza zasięgiem mojego wzroku, zrzucił ręcznik. Nie znałam go takiego wstydlivego i uznałam tę skromność za kolejny afront.

Zaczął zapinać koszulę.

– A tak czy inaczej, po tym, co mi mówiłaś, nie jestem nawet pewny, czy to jest w porządku. Obarczasz całą winą jednego człowieka. Jasne, rozumiem, co on zrobił...

Już zbierałam swoje rzeczy. Nie zostanę tu, aby słuchać, jak zwraca się przeciwko mnie. Bez słowa wybiegłam z mieszkania, trzaskając drzwiami, aby nie miał wątpliwości, że to jeszcze nie koniec.

Wróciłam dopiero wieczorem.

Weszłam do mieszkania i okazało się, że Henry uprzątnął swoje papiery ze stołu i przygotował dla nas kolację z pojedynczą lilią wetkniętą w butelkę. Jedliśmy przy oknie, przy świecy; rozmawialiśmy, płomień migotał, na ścianach poruszały się nasze cienie.

Później zaprowadził mnie do sypialni i kochał się ze mną z nieskończoną delikatnością.

Ale przez cały wieczór nie padło słowo o „moim Niemcu”, a gdy zasnął, trzymał mnie za rękę, jakbym miała uciec. Leżałam na plecach, wpatrując się w sufit, bardziej niż kiedykolwiek zdeterminowana, by wytropić tego człowieka.

Do naszego małego zespołu napływały wszelkiego rodzaju dowody, a jeśli czegoś nam brakowało, mogliśmy poprosić i nam to dostarczano. Nie pracowaliśmy już w mieszkaniu, lecz w biurach w mieście dzielonych z innymi zespołami prawników.

Sporządzano spisy niemieckiego personelu wojskowego oraz cywiliów, którzy mogli być zamieszani w zbrodnie wojenne; wykazy te umieszczano w szafkach w suterenie budynku po drugiej stronie ulicy.

Miałam dużo wolnego czasu, pomagałam więc jako wolontariuszka w pracach zespołu. Moje polskie obywatelstwo nie było już tajemnicą, zniknęło ryzyko repatriacji do Związku Radzieckiego, lecz dla wielu osób wciąż byłam Elsą, potulną małą Niemką, dobrą w tego rodzaju działaniach.

Mimo sensownego systemu porządkowania danych panował w nich bałagan po prostu dlatego, że wiele dokumentów pozyskano niedawno. Nie mogę twierdzić, że miałam realny wpływ na opanowanie tego chaosu, udało mi się jednak samodzielnie wyodrębnić wykaz poruczników armii niemieckiej służących w Lucinie w latach 1942–1943. Odkryłam też, dzięki danym z obozów dla przesiedleńców, że w jednym z nich na peryferiach Stuttgartu przebywała kobieta nazwiskiem Grite, która mieszka teraz w Ludwigsburgu.

Siedziałam okrakiem na motocyklu, silnik warczał między moimi udami.

– To jest gaz – powiedział Henry, zaciskając moje palce wokół rączki kierownicy. Położył swoją dłoń na mojej, przekręcił rączkę, silnik zaczął pracować na wysokich obrotach. – A to jest zmiana biegów. – Dwa razy pokazał mi co i jak, a ja krążyłam na pierwszym biegu wokół placu przed naszym domem.

Henry nie chciał mi pokazywać, jak prowadzić motocykl, ale się uparłam i po jednej porannej lekcji uznałam, że jestem gotowa wyjechać na ulice. W fabryce Winklla okazało się, że dzięki intuicji poradziłam sobie z obsługą urządzeń mechanicznych i elektrycznych. Gdy powiedziałam Henry’emu, że nauka jazdy jest o wiele prostsza, niż się spodziewałam, wydawał się dotknięty – zraniłam jego męską dumę. Potem zaczął się niepokoić.

– Będziesz jeździła za szybko – powiedział smętnym tonem. – Wiem, że tak będzie i się rozbijesz.

To samo mogłam powiedzieć o nim.

– Nie, nie będę – zapewniłam, dodając gazu, tak że silnik zaryczał, a motocykl gwałtownie się zatrząsł.

Henry obserwował zdenerwowany, jak krążę wokół niego. Uważał, że za bardzo mi się to podoba.

– W każdym razie – krzyknęłam przez hałas – boisz się tylko o tę cenną kupę metalu, masz w nosie, co się stanie ze mną!

– To nieprawda! – odkrzyknął; wydawał się urażony, nie rozbawił go mój żart. – Ale jeśli będziesz jechała za szybko, stracisz kontrolę nad maszyną.

– Co mówisz? – Słyszałam go doskonale, miałam jednak ochotę się z nim podroczyć. – Będę ostrożna – obiecałam, zatrzymując się. – Nie muszę nigdzie się śpieszyć. – Cmoknęłam go w policzek.

Godzinę później wyruszyłam w drogę.

– Zadzwoń do mnie, gdy dojedziesz do swojej przyjaciółki – poprosił Henry.

– Zadzwonię. – Słowo „przyjaciółka” było tu zupełnie nie na miejscu. Kobieta, którą zamierzałam odwiedzić, nie uzna mnie za przyjaciółkę. Oczywiście gdy znalazłam się na autostradzie i coraz pewniej czułam się na motocyklu, zwiększyłam prędkość.

*

Dojechałam do Ludwigsburga po południu. W mieście panował spokój, a kamienicę, w której mieszkała Frau Grite, znalazłam bez trudu.

Zaparkowałam za budynkiem. Drzwi wejściowe stały otworem, nazwisko kobiety widniało na skrzynce pocztowej. Klatka schodowa była zakurzona i cuchnęła stęchlizną. W porównaniu z rezydencją, którą posiadała Frau Grite na peryferiach Lucina, gdzie po raz ostatni się widziałyśmy, mieszkanie w takim miejscu oznaczało całkowity upadek. Zdjęłam kombinezon motocyklowy i wygładziłam zagniecenia na ubraniu, jakie miałam pod spodem.

Kobietę, która podeszła do drzwi, ledwie rozpoznałam. Kasztanowe niegdyś włosy były siwe i potargane. Gładkie, pudrowane policzki się zapadły. Wojna nie oszczędziła również Frau Grite, choć udało jej się uciec od nędznej wegetacji pod sowiecką okupacją.

– Frau Grite? – zapytałam oficjalnym tonem.

– Czego pani chce? – Kobieta pochyliła się do przodu, aby mi się przyjrzeć. W 1942 roku była wysoka i władcza, lecz to minęło, teraz byłam godną niej przeciwniczką.

– Jestem z kwaterunku. – Pomachałam jej przed nosem fałszywym formularzem, który napisałam na maszynie. Poprawiając okulary, kobieta wpatrywała się w kartkę, a ja ją wyminęłam i weszłam do pokoju dziennego; musiała pójść za mną. Stawałam się coraz lepsza w odgrywaniu wybranej roli. Powinnam robić karierę na scenie.

Usiadłam na środku małej kanapy, podczas gdy Frau Grite rozglądała się po pokoju, szukając miejsca dla siebie, i w końcu zrzuciła z kuchennego krzesła zapchlonego kota.

– Co tym razem? – wymamrotała. – Zawsze tyle papierkowej roboty, co za los.

Spodziewałam się, że będzie bardziej oporna, wojownicza, ale widząc ją taką pokonaną, od razu poruszyłam kwestię niemieckich oficerów, z którymi przyjaźniła się w czasie wojny.

Początkowo rozmawiała chętnie, bo napomknęłam, że może będzie nagroda, a ona w to uwierzyła i z łezką w oku wspominała, jak gościła samotnych żołnierzy walczących daleko od domów. Potem wzruszenie minęło i znów chciała zobaczyć dokument uprawniający mnie do zadawania pytań.

– Och, myślałam, że tę sprawę załatwiłyśmy już na początku – odparłam z lekkim uśmiechem. Zmieniłam taktykę, dając jej do zrozumienia, że ta rozmowa jest konieczna, a bez jej współpracy... Cóż, w tej sytuacji roztropność nakazywałaby pomóc. Byłoby szkoda, gdyby musiała wracać do domu. Do okupowanej przez Sowieców Polski.

Pod koniec mojej wizyty Frau Grite była niemal pewna, że dała się nabrać, ale ja miałam wszystko, czego mi trzeba – sporo nazwisk do porównania z moją listą.

– Czy pani naprawdę nie ma pojęcia, kim jestem? – zapytałam, już stojąc i zamykając torbę.

Przyglądała mi się skonsternowana, stłumiłam jednak pokusę oświecenia jej, że byłam tą nieszczęsną zagłodzoną dziewczyną z getta w Lucinie, którą ona ochoczo wykorzystywała podczas swoich niegodziwych wieczorków.

Wróciłam do Norymbergi bocznymi drogami. Wąskie szosy, choć puste, wiły się między wysokimi żywopłotami, co wymagało koncentracji, a wspomnienia wieczorów w domu Frau Grite nie dawały się odpędzić.

Przypominali mi się żołnierze tyranizujący tam wszystkich, a także druga kelnerka, Polka o ciemnych włosach i wystających zębach, których nie sposób było ukryć. Ta dziewczyna próbowała flirtować, chichocząc głupawo. Jeśli chodzi o mnie, Żydówkę, gra toczyła się o nieporównanie wyższą stawkę; pobyt w tamtym domu był po prostu próbą przeżycia.

Frau Grite zatrudniła mnie, ponieważ dla niej szyłam, a ona była zadowolona z mojej pracy. Nie potrafiła przestać myśleć o mnie jako o Żydówce, często mimowolnie rzucała mi spojrzenia pełne odrazy, ale jakoś sobie z tym problemem radziła, licząc, że moje jasne włosy i karnacja nie wzbudzą w nikim podejrzeń. Miałam tę zaletę, że byłam tania,

a mimo dużego, bogato urządzonego domu, dla tej kobiety liczyła się każda złotówka, która powiększała jej zasoby. Teraz podejrzewam, że Frau Grite nie chodziło tylko o przypodobanie się okupantom, lecz o ułatwianie transakcji biznesowych. Po latach zrozumiałam, że miejscowi przedsiębiorcy wręczali jej w korytarzu pieniądze w podzięcie za ułatwienie potrzebnych kontaktów. Wśród niemieckich oficerów znajdował się „mój Niemiec” – ten, który wysłał moją rodzinę na śmierć. Wydawało się, że jego głównym zadaniem podczas okupacji było dostarczanie robotników, a właściciele fabryk nie szczędzili wyrazów wdzięczności.

Uderzyło mnie w nim to, że wydawał się lepiej wykształcony niż pozostali żołnierze, którzy w eleganckim salonie Frau Grite zachowywali się ordynarnie, podczas gdy on posługiwał się wyrafinowanym językiem. Zaczęłam się jednak niepokoić, gdy zdałam sobie sprawę, że on również mnie zauważył, obserwował z kąta, jak roznosiłam kieliszki czy zbierałam talerze, i coraz bardziej się do mnie zbliżał.

Zwolniłam na zakręcie, ale przez moment nic nie widziałam, ponieważ naszło mnie wspomnienie nieprzyjemnej sytuacji, gdy zmagalam się z załadowaną tacą, a on nacisnął kłamkę, by otworzyć mi drzwi, i nachylił się przy tym tak, że mógł spojrzeć mi prosto w oczy.

Przednie koło uderzyło w żywopłot, motocykl się obrócił i przewrócił na bok z wciąż kręcącymi się kołami, a ja przeleciałam nad kierownicą.

Leżałam na ziemi, ciężko oddychając, serce mi galopowało. Pasek kasku się oderwał, mojej głowie nic się jednak nie stało. Kombinezon podarł się na kolanach, ale wszystkie kości pozostały całe. Otarcia okazały się powierzchowne, siniaki nieduże, a gdy wróciłam, Henry był tak zatopiony w swoich papierach, że niczego nie zauważył. Na starym, wysłużonym motocyklu nowe zadrapania i wgniecenia zlały się z wcześniejszymi.

W Norymberdze sprawdziłam nazwiska otrzymane od Frau Grite. Najbardziej prawdopodobny wydawał się mężczyzna o nazwisku Larsson, ponieważ wszyscy pozostali byli w średnim wieku. Czy „mój Niemiec” mógł być Szwedem? Jeśli tak, jego niemiecki był bardzo dobry, bez śladu obcego akcentu.

W Szwecji mieszkało wielu Larssonów, jednak dzięki życzliwości dziewczyny z delegacji brytyjskiej, która знаła kogoś w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Londynie, otrzymałam adres w Sztokholmie. Nie było pewności, że chodzi o rodzinę tego człowieka, a tym bardziej

że go tam znajdę, ale bardzo ciężko pracowałam i zaszłam tak daleko, że nie dopuszczałam do siebie żadnych wątpliwości. Znalezienie „mojego Niemca” stało się, jak przepowiadał Henry, moją obsesją. Musiałam skupić na kimś gniew, a ten mężczyzna – pamiętam, jak w dymie i pyle w listopadzie 1942 roku obojętny na wszechobecne przerażenie decydował, kto może żyć, a kto nie – dobrze się do tego nadawał.

Pewnego popołudnia Mike, szkocki sierżant pracujący dla Henry’ego, natknął się na mnie, gdy się uczyłam gramatyki szwedzkiej. Stanął z tyłu i mnie obserwował. Zorientowałam się, że tam jest, dopiero wtedy, gdy padł na mnie jego cień.

– Kiedy to zrobisz? – zapytał.

Szybko zamknęłam książkę.

– Co masz na myśli?

– Kiedy zamierzasz mu powiedzieć?

– Powiedzieć komu i co? – zapytałam wytrącona z równowagi. Przyłapaną.

– Że niedługo uciekniesz.

– Ja... – Zaczerwieniłam się i odwróciłam wzrok, nie mogłam znieść tego zimnego spojrzenia.

– Myślisz, że nikt nie zauważył, co robisz, żeby zrealizować swoje plany?

Pokręciłam głową, ale zabrakło mi słów, by zaprzeczyć.

– On jest zbyt pochłonięty pracą, by to dostrzec, ale to nie znaczy, że my wszyscy jesteśmy ślepi.

– Ja...

– Oboje jesteście tacy sami. Ta twoja fiksacja to nic dobrego.

– On jest w Szwecji – rzuciłam szybko. – Jestem tego pewna.

– On, czyli „twój Niemiec”. – Teraz już wszyscy, którzy wiedzieli, co robiłam, mówili o nim jako o „moim Niemcu”. – I oczywiście chcesz tam pojechać i go znaleźć.

– Już nie jestem tu potrzebna – broniłam się. – Teraz to już praca tylko dla prawników.

– Będziesz potrzebowała szwedzkiego paszportu. Pomyślałaś o tym?

Skinęłam głową.

– Wiem. Znam kogoś, kto może pomóc.

– Szef zawsze powtarzał, że jesteś bardzo pomysłowa – przyznał Mike z zadumą. – I się nie mylił.

– Jestem jego „mądrym małym ptaszkiem” – zażartowałam i już poczułam nostalgię za tym, co będę musiała porzucić.

– Tak, w rzeczy samej – mruknął. – Czasami zbyt mądrym, żeby ci to wyszło na dobre. – Zamierzał odejść, ale nagle coś mu przyszło do głowy. – Jeszcze jedno. Kiedy będziesz to robiła, zrób to delikatnie, inaczej złamiesz mu serce.

– Mike! – zawołałam za nim. Zatrzymał się i odwrócił. – Czy Henry ma żonę?

– Co? – Przyglądał mi się bacznie. – Dopiero teraz się nad tym zastanawiasz?

Znów się mocno zaczerwieniłam. Na początku nie chciałam tego wiedzieć, a teraz za bardzo się bałam, by zapytać.

*

Henry stał w drzwiach, nie wiem jak długo, zanim się odezwał.

– Znalazłaś to, czego szukałaś? – mruknął pod nosem. Był wczesny wieczór. Henry właśnie wrócił z baru w mieście, gdzie spotykali się prawnicy; poszedł tam z Williamem. Był podpity i w ponurym nastroju, krawat miał przekrzywiony; zawsze wracał w takim stanie, gdy pili razem. Rozmawiali o swoim kraju – ojczyzną ich obu była Kanada, choć pochodzili z przeciwległych wybrzeży.

– Ty mi powiedz – odparłam chłodno. Klęczałam przy łóżku nad pudełkiem po butach, które Henry trzymał w szafce przy łóżku i w którym przechowywał listy, rozrzucone teraz po narzucie. Nie miałam pojęcia, jak poskładać je wszystkie z powrotem, nie robiąc przy tym bałaganu. Ale skoro już zaczęłam, przestałam się tym przejmować.

– Powinnaś była mnie zapytać – powiedział.

Opierając się o brzeg łóżka, podniosłam się i stanęłam z nim twarzą w twarz. Miałam sztywne nogi i obolałe kolana. Klęczałam na dywaniku co najmniej godzinę. Zupełnie straciłam poczucie czasu.

Wzięłam do ręki plik jasnoniebieskich kopert i rozłożoną kartkę papieru listowego i pomachałam nimi. Bez słowa. Wzbierały we mnie oburzenie i zwykła, staromodna złość, ale nie mogły znaleźć ujścia. Gdyby Henry stał trochę bliżej mnie, uderzyłabym go pięścią.

Właściwie nie miałam powodu czuć się zdradzona. Nigdy nie pytałam go o przeszłość, a on nigdy o niej nie mówił. Początkowo mi to odpowiadało, wolałam nie słuchać zwierzeń, zważywszy na te wszystkie kłamstwa, którymi sama już się obudowałam. Henry wcale nie kłamał, po prostu pomijał prawdę. Prawdę, że związek ze mną miał tylko pomóc mu zapełnić samotne wieczory. Wykorzystanie chętnego ciała innej osoby dla własnej przyjemności było w jego zawodzie usprawiedliwioną ucieczką, kruchą przeciwwagą dla okropieństw, o których musiał czytać całymi dniami.

W tamtej chwili nie myślałam jednak logicznie. Kusiło mnie, by rzucić mu w twarz wszystkie te listy, ale nie chciałam dać mu satysfakcji wspomnienia później w męskim towarzystwie czegoś tak śmiesznie melodramatycznego. Rzuciłam więc listy. Niektóre spadły na łóżko, inne na podłogę.

Henry westchnął.

– Powinnaś była zapytać – powtórzył, kręcąc głową.

– Tak, powinnam była zapytać, cholera – odparłam. – Od jak dawna jesteś żonaty? – Próbowałam zachować zimną krew, ale w środku wszystko się we mnie gotowało. Nie zdołałabym nawet wymówić jej imienia. Ta niewinna kobieta czekała za oceanem, nie mając pojęcia, co wyrabia jej mąż. Może powinnam do niej napisać, poinformować ją, co się dzieje; kobieta wzgardzona jest gorsza od diabła. Odkrycie, że Henry jest żonaty, ułatwiało mi zrobienie tego, co musiałam wkrótce zrobić, ale nie sprawiało, że niegodziwość stawała się łatwiejsza do zniesienia.

Henry sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął brązową kopertę.

– Może chciałabyś to przeczytać.

Chwyciłam kopertę, rozprostowałam kartkę, ręce mi się trzęsły. Z trudem skupiłam się na treści pisma.

– To orzeczenie rozwodu – odezwałam się po chwili, próbując zrozumieć, co to dla mnie oznacza. – Jesteś rozwiedziony.

– Racja i jeszcze raz racja.

– Więc dlaczego mi nie powiedziałaś? – Wciąż czułam się skrzywdzona, ale oburzenie napędzające moją wściekłość osłabło i zaczęło do mnie docierać, jak głupio się zachowałam.

Henry zdjął krawat i rzucił na krzesło. Wydawał się wyczerpany.

– Zrobiłbym to w odpowiednim czasie. Gdyby taki czas nadszedł.

Spojrzałam na datę na dokumencie.

– To jest sprzed dwóch lat.

– Znowu racja.

– Ale co z tymi wszystkimi listami?

Wzruszył ramionami.

Chwyciłam list leżący najbliżej na łóżku. Został napisany w 1943 roku. Następny był z końca 1942. Jak mogłam tego nie zauważyć?

– Byliśmy małżeństwem tylko rok. Zaczęliśmy chodzić ze sobą w szkole. Spotykaliśmy się od czasu do czasu, można by rzec, bez przekonania, bez wielkich uniesień; nic szczególnego w sobie nie dostrzegaliśmy, ale tak było wygodnie. Należeliśmy do grupy przyjaciół i wszyscy wokół nas byli zakochani, więc i my się przyłączyliśmy, żeby nie być gorsi. Potem był college i każde poszło w swoją stronę. I tak by się skończyło, gdybyśmy pięć lat później nie wpadli na siebie na ulicy w Quebecu. Oboje byliśmy tam obcy, dla siebie też właściwie byliśmy już obcy; ta niezwykła sytuacja nas zbliżyła i nagle okazało się, że nie możemy żyć bez siebie ani dnia dłużej. Pobraliśmy się po trzech miesiącach, w najkrótszym możliwym terminie, ale nie minął rok, a ona znalazła sobie innego i się wyprowadziła. Odmówiłem podpisania dokumentów rozwodowych, ale powodowała mną wyłącznie chęć zemsty, miłość już wówczas nie istniała. W końcu zrobiłem to dopiero w przeddzień wyjazdu do Europy. Wrzuciłem kopertę do skrzynki pocztowej na nabrzeżu i to było ostateczne pożegnanie. Podpisane papiery wróciły od jej prawnika przez Atlantyk i czekały na mnie w Londynie.

– A ty wozisz je ze sobą?

– Niektórzy mężczyźni tak robią. Czerpią przyjemność z przypominania sobie dawnych cierpień. – Henry próbował się uśmiechnąć, ale zdobył się tylko na błądy uśmiech człowieka smutnego, pokonanego. – Być może chodzi też o to, żeby nie popełniać tych samych błędów.

Rzuciłam listy na dywanik.

– Byłam okropna. Cholernie okropna. Nie wiem, co powiedzieć...

Henry stał z opuszczonymi ramionami i patrzył na mnie z niepokojem. Nigdy wcześniej nie widziałam, aby tak stracił pewność siebie. Podeszłam i objęłam go, mocno się do niego przytuliłam, przyciskając twarz do jego piersi.

– A teraz muszę zrobić coś jeszcze okropniejszego, o wiele, wiele gorszego niż szpiegowanie. – Zamknęłam oczy, by powstrzymać łzy i przez to przebrnąć. – Wyjeżdżam, żeby znaleźć mojego Niemca; on musi się zmierzyć z tym, co zrobił. Jeśli z tego zrezygnuję, nigdy nie zaznam spokoju i... – Te ostatnie słowa były najokrutniejsze, musiałam zebrać całą swoją odwagę. – Nie wrócę.

– Wiem, tak mi powiedziano.

SZTOKHOLM

Czwartek, 19 grudnia 1946, wieczór

Gdy wchodzi się z poszarzałej bieli na dworze do holu kamienicy Larsonów, wydaje się on pogrążony w żółtawym półmroku. Gösten tkwi za biurkiem, siedzi tak nisko, że widać tylko czubek jego głowy. Przypuszczam, że śpi, ale on woła zza kontuaru.

– Miły wieczór, fröken? – Nie jestem pewna, czy to żart, ponieważ byłam na zewnątrz tylko piętnaście minut, a on nie może zobaczyć, jaka jest pogoda.

Stoję u stóp schodów, częściowo ukryta przed portierem w cieniu. Chciałam przejść niezauważona, ale wciąż nie mam klucza do mieszkania, a Gösten może mi pomóc.

– Wyszłam się przewietrzyć. Zastanawiałam się nad pójściem do Obserwatorium, żeby popatrzeć na wieczorne niebo, ale nie dotarłam tak daleko. – Nie mam nic do ukrycia, ale wolałam mu nie mówić, że wybiegłam, sama nie wiedząc, co chcę zrobić. Poza tym lepiej zakończyć tę rozmowę, bo jestem przemoczona i cała się trzęsę.

Gösten unosi brwi, może się zastanawia, co takiego wypędziło mnie z domu w paskudną pogodę.

– Jest bardzo zimno – przyznaję, rozcierając ramiona.

– I było ślisko na wszystkich tych stromych schodach.

– Tak, bardzo ślisko.

Wracam przez hol do portierni, zostawiając mokre ślady na posadzce.

– A ty zapomniałaś płaszcza i kapelusza – mówi Gösten, teraz dopiero widząc mnie z bliska, a w jego głosie pojawia się niepokój.

– Tak, zapomniałam.

– I niesiesz w ręku buty?

Spoglądam w dół. Zdjęłam buty przed wejściem, by nie stukały na posadzce i by nie obudzić Göstena, a skończyło się na niechcianej rozmowie.

– Elso, czy coś się stało?

– Nie – odpowiadam szybko. – Nic się nie stało, wszystko jest w porządku. Byłam głupia i tyle, nie wzięłam pod uwagę pogody.

Aby uniknąć dociekliwego spojrzenia mojego przyjaciela, patrzę w lustro za biurkiem, z którego przygląda mi się obca osoba o ciemnych, przylizanych przez wilgoć włosach.

– Przepraszam – mówię i odnosi się to zarówno do niego, jak i do mnie samej.

– Nie musisz niczego tłumaczyć – zapewnia z życzliwością Gösten. – Mogę cię poczęstować gorącą czekoladą.

– Nie, nie, dziękuję. Muszę wrócić i się przebrać. – Ostatnią rzeczą, jakiej mi teraz potrzeba, jest wikłanie się w kolejne kłamstwa. – Tak czy inaczej – mówię, próbując udawać, że jestem w pogodnym nastroju – nie mam klucza. Masz zapasowy?

Gösten kręci głową.

– Niestety, nie. Niektórzy lokatorzy powierzają mi klucze, ale fru Larsson do nich nie należy.

– Ktoś mnie wpuści – mówię, udając optymizm, choć jestem zmarznięta, przemoczona i jak najdalsza od optymizmu.

– Też tak myślę.

Powoli wspinam się po schodach, przyglądając włosy i wsuwając bluzkę w spódnice.

– Dobranoc, Elso! – woła za mną Gösten.

Przed drzwiami mieszkania wkładam buty. Gdybym trzymała je w ręce, tym bardziej wyglądałabym na kogoś, kto ma coś do ukrycia.

Dopiero po trzecim dzwonku słyszę kroki. W końcu drzwi otwiera Mona. Ma na sobie płaszcz i kapelusz, więc albo właśnie wróciła, albo wychodzi.

– Przepraszam – mówię, zanim zdąży otworzyć usta. – Poszłam na spacer do Obserwatorium i się zgubiłam. Ulice są takie kręte...

Mona robi krok do tyłu, aby mnie wpuścić. Nie komentuje moich słów, ale po jej spojrzeniu poznaję, że raczej mi nie wierzy. Co jest ze

mną nie tak? Muszę być mistrzynią blagi, a teraz, gdy mówię coś bliższego prawdy, nie jestem w stanie wydać się choć trochę przekonująca.

Z głębi korytarza dochodzi wołanie fru Larsson.

– Kto to?!

Mona nie odpowiada. Może nie chce, by ją odrywano od czegoś, co robi w wolnym czasie. Może naskarzy na mnie później, ale teraz jestem jej po prostu wdzięczna, że w moim okropnym stanie mogę wrócić niepostrzeżenie, bez spotkania z pracodawczynią. Idę korytarzem do swojego pokoju.

Tylko ona może krzyczeć do mnie przez drzwi salonu.

– Elso! Co ci się, u licha, stało?

Zatrzymuję się w drzwiach. Fru Larsson siedzi plecami do okien. Pokój jest ciemny, oświetlony tylko zwykłą lampą wiszącą nad jej głową. W tle cicho gra radio.

– Wysłałam, żeby znaleźć Obserwatorium – mówię, nie mogąc ustać w miejscu; trzeci raz powtarzam to samo kłamstwo i staram się robić to lepiej. – Chciałam wyjść tylko na chwilę, dlatego nie wzięłam płaszcza, ale potem się zgubiłam i wędrowałam wokół... – głos mi zamiera.

– O Boże, ale przynajmniej nie złapał cię śnieg... A może złapał?

– Na krótko.

– To dobrze. Elso, przyjdź do mnie jutro rano – mówi fru Larsson i odwraca głowę; z tonu jej głosu nie sposób niczego wyczytać.

– Tak, fru Larsson. – Zastanawiam się, czy ona nie okazuje niezadowolenia tylko dlatego, że później wyrazi je mocniej. Byleby tylko mnie teraz nie wyrzuciła, potrzebuję już niedużo czasu. Może jutro niepewność co do tożsamości mojego pacjenta zniknie i wszystko pójdzie szybko.

Jestem już w swoim pokoju i idę prosto do łóżka, jest jednak tak wcześnie, że trudno mi zasnąć.

Myślę o swoim pacjencie w pokoju w tym korytarzu. Czy to naprawdę on? Wracam myślami do wieczorków w domu Frau Grite. O tym, jak nie pozwalał, bym go unikała, stawał tam, gdzie musiałam przejść.

Próbuję wygnać go z głowy i przywołać wspomnienia szczęśliwszych czasów, choćby dzieciństwa, gdy mieszkaliśmy w naszym dużym domu w Krakowie. Przypomina mi się pewna chwila. Jest zima, stoję w przedpokoju, zdejmuję szalik i palto, ściągam rękawiczki, wokół moich butów roztapia się śnieg. Drzwi do gabinetu ojca są otwarte, ojciec siedzi rozparty w fotelu, oczy ma zamknięte. Przypuszczam, że śpi, więc korzystam z okazji, by mu się przypatrzeć. Nie jest już kimś dalekim, jak wcześniej, a ja już się go nie boję, ale wciąż nie mam pewności, co czuję. Potem zdaję sobie sprawę, że jedna powieka ojca jest lekko uniesiona – była cały czas – i on też mnie obserwuje... Może próbuje zrozumieć, kim jestem dla niego.

Wyczerpanie robi swoje i zasypiam, słysząc odgłosy domu, jego trzaski i skrzypnięcia, i dociera do mnie, że coś skrobie pod tynkiem. Szczury, myślę i wcale mnie to nie przeraża. Zbyt wiele w życiu widziałam. Zabawne, że niezależnie od tego, jak elegancki jest dom, pod powierzchnią zawsze czają się szczury.

HAMBURG

Styczeń – kwiecień 1946

W styczniu byliśmy w trakcie przeprowadzki na pewien czas z Kolonii do Hamburga. Mieszkałam w Kolonii od 1943 roku, początkowo w domu Winkllów, gdzie byłam służącą, a po przybyciu wojsk alianckich w obozie dla dipisów. W Hamburgu zamieszkaliśmy w spokojnej dzielnicy Rotherbaum, w pobliżu Curiohausu, gmachu, w którym działał brytyjski trybunał wojskowy rozpatrujący sprawy dostawców cyklonu B. Henry i ja, jako jego asystentka, byliśmy w te sprawy zaangażowani.

Cieszyłam się, że wreszcie opuszczam obóz dla dipisów. Zawsze był smutnym, dość okropnym miejscem, gdzie nienawiść i przemoc wybuchały nagle i z byle powodu i dotyczyły także mnie. Większość przesiedleńców, którzy przebywali tam od początku, wyprowadziła się już do miejsc zamieszkania lub innych obozów, a ten został po kilku tygodniach zamknięty na dobre. W Rotherbaum znalazłam sobie pokój w pensjonacie i choć nie czułam się tam jak w domu, było wesoło i bezpiecznie, a przy tym blisko Henry'ego.

Wykorzystywałam sąsiedztwo innych zespołów pracujących w sektorze brytyjskim, by przeszukiwać listy ocalałych, którzy przebywali w obozach, czytać kopie przekazywanych przez nich wiadomości. Czy to możliwe, że choć jedna osoba z mojej rodziny pozostała przy życiu i mnie szukała? Ja też wysyłałam wiadomości, rozrzucałam je niczym drobinki popiołu, modląc się przy każdej z nich, choć niewiele pamiętałam z modlitw. Nie zostałam wychowana w wierze, lecz przesąd mógł być podnoszącym na duchu towarzyszem.

Od wizyty w Auschwitz moje relacje z Henrym znów się zmieniły. Stałam się dla niego kimś innym. Gdy byliśmy razem, przyłapywałam go na tym, że wpatruje się we mnie tak, jakby w całej tej tragedii z milionami śmierci otrzymał dar w postaci swojej własnej małej ofiary, którą musiał otoczyć opieką. A gdy budziłam się nocą zlaną zimnym potem, trzymał mnie w objęciach, dopóki się nie uspokoiliam, i czułam się wtedy bardziej samotna niż w czasach, gdy się nie znaliśmy. Nasza bliskość stała się głębsza, ale przybrała inny charakter. Pchające nas do natychmiastowych zbliżeń pożądanie, które od lata potrafiło ogarnąć nas w jed-

nej chwili, należało już do przeszłości. Tak jakbym stała się porcelanowym naczyniem zbyt delikatnym, aby używać go na co dzień.

Całe dni byliśmy pochłonięci pracą, nie mieliśmy czasu na myślenie o niczym innym. Zbieraliśmy materiały do sprawy przeciwko dyrektorom niemieckiej firmy chemicznej Degesch produkującej cyklon B i sprzedającej go SS; ten gaz służył początkowo do zabijania wszy, później do zabijania ludzi. Zabójcy, których tropiliśmy, nie paradowali w czarnych mundurach z czaszkami na czapkach, lecz w garniturach, koszulach z mankietami wystającymi z rękawów i spodniach w kant, nosili złożone parasole i okulary i sprawdzali salda w księgach rachunkowych.

A zyski były pokaźne, co wykazywały nasze kopie rachunków spółki za 1943 rok. Determinacja, by wyśledzić tych ludzi i jak mawiał Mike, „odrąbać draniom ręce”, sprawiała, że tworzyliśmy zgrany zespół.

W lutym Mike zawiózł nas na południe, do siedziby Degeschu na przedmieściach Frankfurtu. Henry przeszukiwał obrzeża terenu, podczas gdy mnie wysłano do biur zarządu, gdzie zaopatrzona w fałszywy identyfikator firmy miałam przeszukać jej archiwa.

Usiadłam w sali konferencyjnej, a sekretarki przynosiły mi z magazynów pudła dokumentów. Rzucając na długi lśniący stół zakurzone teczki, posyłały mi wrogie spojrzenia. Miałam dopiero dziewiętnaście lat i choć trudne przejścia dodały mi kilka, w żaden sposób nie odpowiadałam ich wyobrażeniom kogoś z zarządu, nie mówiąc już o tym, że byłam kobietą. Przeglądałam każdą teczkę, wydzierając kartki, cały czas obserwowana przez mężczyzn z portretów, tych dobrych mężów i ojców, których mieliśmy zdemaskować; w ich surowych oczach widać było jeszcze większą niechęć.

Nie uwierzyłam, że sekretarki przyniosły mi wszystko, posądzałam je o lenistwo lub wrogość, ale one zaprowadziły mnie na dół, do przyziemia, gdzie leżały sterty papierów. Sama wybrałam z nich pliki korespondencji, kierując się datami i nadawcami, obładowałam kobiety pudłami pełnymi zamówień na surowce, segregatorów z kopiami faktur sprzedaży, protokołów z zebrań zarządu.

Był to prawdziwy wyścig z czasem. W każdej chwili spodziewałam się telefonu z głównej siedziby w odpowiedzi na prośbę o potwierdzenie mojej tożsamości i zdemaskowania mnie jako oszustki. Cały czas byłam gotowa do ucieczki, do wyrwania się każdemu, kto będzie chciał mnie

zatrzymać, bo najważniejsze znaleziska były już schowane w mojej torbie.

Ostatecznie zebraliśmy tak dużo materiałów, że furgonetka została wypełniona po sufit. Mike, robiąc kurs za kursem, przewoził ciężkie pudła na wózku magazynowym, który zwędził zdezorientowanemu staremu dozorczy. Henry i ja, cali pokryci kurzem, z mozołem wnosiliśmy pudła do furgonetki i je układaliśmy.

Potem Mike wrzucił wózek na wierzch sterty pudeł z dokumentami, ponieważ „przyda się do rozładowania”, i wtedy pojawili się w końcu dwaj strażnicy w towarzystwie kierowniczką, kobiety niewiele starszej ode mnie.

– Fräulein, pójdzie pani z nami? – zapytała, próbując mówić pewnym głosem, lecz lekkie niespokojne ruchy jej szyi i ramion zdradzały zderowanie.

Mike zatrzasnął tylne drzwi i chwilę później znalazł się koło mnie.

– Wsiadaj – mruknął. Cofnęłam się do furgonetki, a Mike zastąpił tym trojgu drogę i skrzyżował na piersi swoje muskularne, wytatuowane, nagie do łokcia ręce.

– Fräulein?! – zawołała za mną kierowniczką nad jego ramieniem. Ale jej głos stracił już pozory pewności, zastąpiła ją bezradność. A ja byłam prawie w furgonetce, wsuwałam się na siedzenie.

– Będziecie musieli załatwić to na piśmie z centralą – rzucił Mike.

Strażnicy próbowali go wyminąć, każdy z jednej strony, lecz on rozłożył ramiona, chwycił jednego i drugiego za rękaw i ich zatrzymał.

– Chłopaki, nawet nie myślcie o zrobieniu najmniejszego kroku dalej – powiedział typowym dla siebie tonem, stanowczym i przerażającym.

Henry uruchomił silnik i cofnął samochód, Mike wskoczył i ruszyliśmy jeszcze przed zamknięciem drzwi.

Gdy pędziliśmy do bramy, zaczął opadać szlaban, lecz przyśpieszyliśmy i przebiliśmy się niczym rabusie uciekający po napadzie na bank.

Skręciliśmy na szosę, a ja spojrzałam za siebie. Na ziemi leżał złamany drąg szlabanu, kierowniczką i strażnicy obserwowali naszą ucieczkę ze środka drogi. Kierowniczką zerkała na strażników tak zdyszanych, że aż zgiętych wzdłuż, załamywała ręce i tupała ze złości. Nasza eskapada opłacała się choćby dla samego tego widoku.

Po kilku kilometrach, gdy stało się jasne, że nikt nas nie ściga, zatrzymaliśmy się, a Mike zmienił Henry'ego za kierownicą.

W ostatnich kilku godzinach zużyłam tyle adrenaliny, że popadłam w swego rodzaju otępienie; serce nadal mocno mi biło, ale głowa unosiła się w chmurach.

Wszyscy troje byliśmy w euforii, lecz pod spodem kryło się najprawdziwsze zdumienie rozmiarami naszego sukcesu. Henry wydawał się tego dnia szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Na autostradzie wciąż wykręcał szyję, by na mnie popatrzeć. Siedziałam pośrodku zaklinowana między ramionami moich towarzyszy, do cna wyczerpana.

– Kto by pomyślał – mruknął Henry w zadumie – że ona okaże się taka sprytna. – A później powiedział: – Mamy tu aktorkę, bez wątpienia. Co im powiedziałaś, jak się przedstawiłaś?

– Jako starsza dyrektor wykonawcza – wymamrotałam, na wpół śpiąc. Nadal miałam na nosie okulary w grubych oprawkach, które włożyłam, by przydać sobie autorytetu, i poczułam, że Henry delikatnie je zdejmuję.

– Nigdy nie wierz kobiecie – powiedział cierpko Mike, pokiwał głową do samego siebie i robił to jeszcze długo po rzuceniu tej uwagi. W tamtym czasie nie zdawałam sobie sprawy, że Mike mnie przejrzał, zanim Henry dotarł w pobliże prawdy. Mike był najbardziej przenikliwym człowiekiem, jakiego wtedy znałam, a może kiedykolwiek poznałam.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że oni niczego nie zniszczyli – powiedział Henry, gdy minęliśmy drogowskazy do Kolonii, gdzie mieszkaliśmy jeszcze miesiąc temu. – Zdumiewa mnie ta ich arogancja, ta wiara, że mogą działać poza prawem międzynarodowym. A nasz mały ptaszek znalazł to wszystko. – Objął mnie ramieniem i pocałował w głowę, czułam jego ciepłe wargi, miękkie wąsy łaskotały mój przedziałek.

Jeśli Mike'a zaskoczyła ta demonstracja uczuć, nie pokazał tego po sobie. Ale potem mnie rozszyfrował, podczas gdy Henry był o wiele bardziej łatwowierny.

Tej nocy zakończyliśmy podróż w pensjonacie w Münster w środkowych Niemczech. Mike zaparkował furgonetkę z cennym ładunkiem w zamkniętym garażu. Henry i ja mieliśmy wrażenie, że czas się cofnął i zaczynamy wszystko od nowa. Po kolacji zapukał do mojego pokoju,

a gdy mu otworzyłam, tak mocno pchnął drzwi, że uderzyły o ścianę, podniósł mnie, przeniósł przez pokój i położył. A właściwie rzucił na łóżko.

*

Jednym z dokumentów, który zwrócił naszą uwagę podczas dokładnego przeglądania materiału, był protokół posiedzenia zarządu z 1941 roku. Zarząd firmy rozważał wystosowaną przez SS prośbę o usunięcie specyficznego zapachu cyklonu B. Prośba ta wywołała niepokój, z niechęcią podchodzono do jej spełnienia. Intencja – chodziło o łatwiejsze zabijanie więźniów – była oczywista, lecz powodem niechęci zarządu nie było współczucie. Tych ludzi martwiło to, że patent na cyklon B wygasł, a oni zachowywali monopol tylko dzięki patentowi na ten charakterystyczny zapach. Usunięcie go otwierałoby możliwość konkurencji. Po zetknięciu się z tymi wszystkimi potwornościami byliśmy już zahartowani, ale nawet nami wstrząsnęła podobna bezduszność.

Powiodło mi się też w sprawie wiadomości rozsyłanych przeze mnie do ocalałych, którzy znaleźli się w obozach dla dipisów. W marcu otrzymałam odpowiedź od jednego z robotników pracujących w fabryce Herr Winklla w tym samym czasie co ja; teraz wydawało się to całe wieki temu. Ten mężczyzna przebywał w obozie na przedmieściu Hamburga. Umówiliśmy się na spotkanie.

Henry zaproponował, że mnie zawiezie, nie wiedziałam jednak, z czym się zetknę ani jak zareaguję, a nie chciałam wrócić do roli ofiary.

Gdy tego rana się ubierałam, Henry przyszedł do mojego pokoju. Specjalnie przyjechał z biura, by przekazać mi wiadomość, że Rudolf Höss, komendant obozu w Auschwitz, został aresztowany przez brytyjski wywiad wojskowy w gospodarstwie w pobliżu Flensburga. Udawał tam ogrodnika. Henry się spodziewał, że będę jeszcze bardziej zadowolona niż on, zważywszy na to, co spotkało moją rodzinę, lecz ja byłam zderzona czekającym mnie spotkaniem. Widziałam, że jest rozczarowany, więc aby czuł się potrzebny, pozwoliłam, by odwiózł mnie na stację kolejową.

Po przyjeździe do Bremy wsiadłam do miejskiego autobusu, który zawiózł mnie do obozu wyboistymi drogami. Z tyłu siedziała grupa dzieci w wieku szkolnym zaśmiewających się nad komiksem.

Mężczyzna, z którym się umówiłam, podał, że ma na imię Rafał, a ja przypominałam sobie, że takie imię nosił jeden z młodych przyjaciół

Karola. Przyjaciół Karola! Karol był także moim przyjacielem, ale skoro tak, dlaczego tak mało o nim myślałam przez ostatnie trzy lata? Czyżby miał właśnie dołączyć do grona moich duchów?

Zarządca obozu polecił mi czekać w kantynie. Znalazłam się znów w obozie dla dipisów i po raz kolejny miałam wrażenie, że czas się cofnął.

Gdy przyprowadzono Rafała, stało się to, czego się obawiałam – nie rozpoznałam go. Nie był nawet młody, był bezpłciowym starym człowiekiem o zapadniętych policzkach i cynicznym bezzębnym uśmiechu. Czy skłamał tylko po to, żeby nawiązać kontakt, jakikolwiek kontakt? Słyszałam, że ludzie tak robią, czasem z zamiarem oszustwa, często z powodu złudnej nadziei lub samotności.

Późnym rankiem w kantynie nie było nikogo prócz nas. Po zdawkowym przywitaniu – on zapytał o moją podróż, ja krótko odpowiedziałam – usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stole pod oknem, w słońcu. Zastanawiałam się, jak się stamtąd wyrwać, z całej siły pragnąc, by Henry czekał na zewnątrz i zabrał mnie do domu.

– Nie pamiętasz mnie, prawda? – zapytał w końcu Rafał po chwili milczenia, gdy przypatrywaliśmy się sobie nawzajem.

Pokręciłam głową.

– Ja ciebie pamiętam.

Czy on rzeczywiście pamiętał, czy to była po prostu część jego gry?

– Z Lucina – wyjaśnił. – To, co zrobiłaś... Jak mógłbym kiedykolwiek zapomnieć?

Wzięłam głęboki oddech. A więc mnie znał. Tylko kim jest ten człowiek?

Zamyślił się. Nie potrafiłam niczego wyczytać z tonu jego głosu, przygotowałam się więc na wrogość z jego strony.

– Co pamiętasz? – zapytałam ostrożnie, zawieszając torbę na ramieniu. Jeśli zrobi się nieprzyjemnie, natychmiast wyjdę.

– Pamiętam kogoś bardzo odważnego.

– Och – wyrwało mi się. Byłam zaskoczona, ale napięcie w moich ramionach nieco zelżało.

– Wstawiałaś się za swoimi ludźmi, a byłaś jeszcze taka młoda.

Łzy napłynęły mi do oczu. Tak, tak właśnie było, dlatego więc sama tak nie uważam? Kantyna nagle zaczęła wyglądać jak w krzywym zwierciadle. Zamrugałam, tama puściła, łzy popłynęły po policzkach. Czułam się głupio, płacząc przy tym mężczyźnie, a jednocześnie byłam bardzo szczęśliwa – ktoś mi wierzył, nawet jeśli tylko ten obcy.

Tymczasem nowy demon dołączył do paczki. Ktoś, kto również był w tej ciemnej alei – mężczyzna, który wysłał moją rodzinę na śmierć. Mężczyzna, który śledził każdy mój krok podczas tych koszmarnych wieczorków, a kiedyś znalazł mnie w kuchni Frau Grite, w suterenie, gdzie osunęłam się na stół z głodu i rozpacz, i otarł mi łzy swoją chusteczką do nosa.

Potałam powieki, ale on wciąż tam był. Nie myślałam o tej pulchnej, zadowolonej z siebie twarzy od czterech lat.

– Co jeszcze pamiętasz? – zapytałam Rafała, znów czując napięcie.

– Pomagałaś nam z elektroniką. Miałaś takie zręczne ręce.

Siedzieliśmy w milczeniu, cofając się pamięcią do tamtych czasów. Gdy Rafał znów zaczął mówić, spochmurniał.

– Po twoim odejściu z fabryki sytuacja się zmieniła. Nowe zasady, dłuższe godziny pracy, wyższe normy, mniejsze racje żywnościowe, surowsza dyscyplina. To była sprawka SS; wprowadziło nawet swojego nadzorcę. Kazał postawić pręgierz na dziedzińcu dla tych, którzy nie nadążali z pracą. Korzystano z niego codziennie.

Serce zabiło mi szybciej na wspomnienie rozmowy w gabinecie Winklla, który załatwił moje przeniesienie – wymusił na swojej niechętnej temu żonie zgodę na zatrudnienie mnie w charakterze służącej, choć prawdę mówiąc, ona sama nie chciała stracić okazji do posiadania bezpłatnej pracownicy. Czy Winkell wiedział, jak wkrótce potoczą się sprawy? A jeśli tak, to dlaczego zadał sobie trud, by coś dla mnie zrobić? Nie miało to wówczas wielkiego sensu, ale po raz kolejny było oczywiste, że zostałam wybrana, by przeżyć.

Rafał miał łzy w oczach.

– Gdy Niemcy się wycofali, a fabryka miała zostać zamknięta, wydawało się, że to szczęście, ale skąd mieliśmy wiedzieć?

Fabryka została zamknięta. Pamiętam, że mówiło się o tym w domu Winklla.

– Chcieli przenieść ją do Niemiec? – zapytałam, szukając pocieszenia.

Rafał pokręcił głową.

– Taką mieliśmy nadzieję, to byłoby mniejsze zło, ale tak się nie stało; naszym miejscem przeznaczenia był obóz w Auschwitz.

Na wzmiankę o tym miejscu zrobiłam gwałtowny wdech. Oczywiście tak to się musiało skończyć. Gdy wróciłam myślami do rozmowy z Luisą, kucharką Winkllów, było już dla mnie jasne, że nie planowano przenieść fabryki, a po zamknięciu jej przez SS żydowscy robotnicy stali się po prostu śmieciami, których należało się pozbyć.

– Niezbyt przyjemne miejsce – powiedział Rafał, podciągając rękaw, by mi pokazać numer niechlujnie wytatuowany na wewnętrznej stronie przedramienia.

O tych numerach również wiedziałam. Zrobiło mi się niedobrze. Byliśmy w kantynie sami. Promienie słońca padały na blat stołu i rozpościerały się niczym wykrochmalony obrus, ale mój batalion duchów, który od czasu naszej wyprawy śledczej do Auschwitz w październiku poprzedniego roku nigdy nie był zbyt daleko, teraz czyhał w mrokach mojej świadomości gotowy się zbliżyć.

– Jak udało ci się przeżyć? – Od razu chciałam cofnąć to pytanie. Po tej wyprawie do obozu i z innych przekazów wiedziałam, do jakich kompromisów musieli posuwać się ludzie, którzy zdecydowali trzymać się życia.

– Karol mi pomógł, zawsze się upewniał, że jestem blisko, że mam taką samą pracę, i pomagał mi wyrabiać normę.

Tak, on by tak zrobił. Opiekował się słabymi, próbował chronić bezbronnych, wykorzystując swoją niezwykłą siłę. To dlatego wszyscy go uwielbialiśmy.

– Czy on żyje? – zapytałam, wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

Rafał wolno pokręcił głową.

– Jak umarł? – Nie chciałam tego usłyszeć. Jednak niewiedza, domysły są jeszcze gorsze.

– W czterdziestym piątym Niemcy likwidowali obóz i kazali nam maszerować do Niemiec. Nie byliśmy wyposażeni na taką wędrówkę. Strażnicy zabijali tych, którzy upadli, często po prostu uderzeniem w głowę, nie mieli nawet zamiaru marnować kuli. Karol dodawał mi otu-

chy, podtrzymywał, gdy upadałem, mimo że strażnicy kazali mu mnie zostawić.

Rafał mówił, ja przypatrywałam mu się z bliska i w końcu pod szarą skórą rozpoznałam młodego człowieka, którego niegdyś znałam.

– Teraz cię pamiętam – powiedziałam. To był ten chłopak z długą grzywką, zawsze trzymający się blisko Karola.

Ale Rafał na dobre zanurzył się w przeszłości.

– Rozwścieczeni jego niesłabnącą siłą i nieposłuszeństwem któregoś dnia przywiązali go do drzewa i chłostali do nieprzytomności. Kiedy usnęli, odciąłem go, ale już nic nie mogłem zrobić, żeby go uratować. Przed śmiercią mówił o swojej żonie i dziecku, a także... o tobie. Myślę, że chciałby, żebyś wiedziała, że on cię kochał...

Kochał mnie? O czym on mówi? Nie mogłam już wziąć na siebie tego rodzaju długu. Zerwałam się z krzesła.

– Nie! – krzyknęłam, a potem, gdy krzesło z hukiem upadło na podłogę, rozgorączkowana zaczęłam błagać udręczone postacie, które wyciągały do mnie ręce: – Nie! Nie chcę tego wiedzieć!

Pobiegłam do drzwi, potknęłam się o pasek własnej torby i upadłam. Gdy uniosłam się na łokciach, zobaczyłam nad sobą twarz oficera z wieczorków, a później ruiny Lucina.

– Nie! Odejdź! – wrzasnęłam, wymachując rękami, choć wokół mnie było tylko powietrze.

SZTOKHOLM

Piątek, 20 grudnia 1946, rano

Budzę się wcześnie i w ciemnościach wpatruję w sufit; zastanawiam się, co przyniesie ten dzień. Muszę zdecydować, kim jest mój pacjent – niewinnym mężczyzną czy tym, którego szukam. A jeśli jest on mężczyzną, którego szukam, czy naprawdę chcę zrobić to, po co tu przyjechałam?

Rozważam inny sposób – wymierzenie sprawiedliwości przez sąd, wiem jednak, że to niemożliwe i dla mnie niebezpieczne. Jak mówił Henry, nie mam niezbitego dowodu, jest tylko moje słowo przeciwko jego słowu. Gdybyśmy byli w Niemczech, miałabym sojuszników – przyjaciół, którzy są prawnikami. Miałabym dostęp do władz brytyjskich i amerykańskich, które przynajmniej słuchały i chciały wymierzyć sprawiedliwość, nawet jeśli chwilami przeważał pragmatyzm, zmieniały się nastroje i zamiast kary następowało uniewinnienie.

Tu, w Sztokholmie, sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej. Przyjechałam z zagranicy. Larssonowie byli zamożną i szanowaną rodziną. Miałam mało pieniędzy i nie znałam nikogo, kto mógłby mi pomóc. Szwedzi zarobili na dostawach ułatwiających nazistom prowadzenie wojny, nawet jeśli nie mieli w tej sprawie wielkiego lub żadnego wyboru, a o stawianiu partnerów w interesach w trudnej sytuacji woleli zapomnieć.

Był jeszcze problem mojego statusu prawnego. Przyjechałam tu pod fałszywym nazwiskiem, z niemieckim paszportem otrzymanym dzięki znajomościom, a do tego miałam polskie obywatelstwo. Prawdopodobnie to by wystarczyło, aby mnie aresztować albo, co gorsza, deportować do Polski, teraz podległej Związkowi Radzieckiemu. W Norymberdze krążyły opowieści o „powracających zdrajcach” wysyłanych prosto do syberyjskich obozów pracy. „Powracającym zdrajcą” był każdy, kto spędził jakiś czas w Niemczech z jakiegokolwiek powodu, nawet jako jeńiec. Niezależnie od tego, jak rozwiązałaby się moja sytuacja, nie osiągnęłabym celu. Szansa by się pojawiła i przeszła mi koło nosa.

Jest tylko jedno wyjście i zawsze to wiedziałam. Na szczęście panika, w jaką wpadłam poprzedniego wieczoru, minęła, a determinacja towa-

rzyszcząca mi przez całą drogę na północ, z Norymbergi do Hamburga, a stamtąd przez Bałtyk, znów jest ze mną.

Blisko mojego pokoju jest mała łazienka z wanną i natryskiem nad nią. Po raz pierwszy korzystam z takiego urządzenia w prywatnym domu, nawet w Krakowie nie mieliśmy czegoś tak nowoczesnego. Ciśnienie wody jest mizernie, ale woda jest ciepła, a ja kucam w wannie. Pozwalam wodzie spływać mi po głowie, dopóki nie robi się nagle lodowata jak górski potok zimą. Gramolę się z wanny po omacku, ślizgam po linoleum, by dosięgnąć ręcznika.

Połą szlafroka przylegającego do wychłodzonej skóry przecieram zaparowane lustro i widzę bladą twarz obramowaną nijakimi włosami.

W pokoju leży skłębiona moja wilgotna sukienka z poprzedniego wieczoru, kopnięte przeze mnie buty widzę w przeciwległych rogach. Wyciągam sweter spod umywalki, a gdy się prostuję, dopada mnie fala mdłości, więc siadam ciężko na łóżku i obejmuję dłońmi głowę.

Jem śniadanie w kuchni. Mona tłucze garnkami głośniej niż to konieczne, a ja ją podpatruję, popijając kawę. Postanowiłam nie dać się wygonić tak łatwo jak wcześniej, nalewam więc sobie drugą filiżankę, by popić chleb z żółtym serem, który przede mną położyła.

Po chwili Mona przestaje udawać, że jest zajęta, i siada naprzeciwko mnie.

– Jak długo tu jesteś? – pytam.

Podnosi wzrok i patrzy na mnie zaskoczona taką bezczelnością.

– Od trzydziestego pierwszego. – Od trzydziestego pierwszego to znaczy od piętnastu lat. Miałam pięć lat, gdy zaczęła tu pracować.

– To bardzo długo – szepczę.

Mona chrząka. Nalewa sobie kawy. Gdyby ktoś wszedł do kuchni, mógłby omyłkowo wziąć te dwie kobiety siedzące przy stole za przyjaciółki.

– Przedtem byłam u siostry pani, w Uppsali, przez dwanaście lat.

– Siostry fru Larsson?

Mona odstawia filiżankę na stół, dolewa śmietanki z dzbanuszką i miesza kawę palcem.

Dwadzieścia siedem lat służby w jednej rodzinie. To nie tylko dożycie, to więcej niż całe moje życie.

– Niesamowite – mówię i nie jest to tylko uprzejmość, naprawdę jestem pod wrażeniem jej oddania. Zastanawiam się, czego ona nie wie o tej rodzinie. Chcę zadać jej więcej pytań, ale muszę przemyśleć, jak to zrobić, i nie mogę się śpieszyć.

Idę korytarzem do pokoju fru Larsson, jak mi poleciła, lecz po drodze natykam się na nią w holu; przegląda pocztę.

Zerka na mnie.

– On jest gotowy na twoje przyjście, ale bądź świadoma, że jest bardzo słaby. Uważaj, żeby go nie zmęczyć.

Fru Larsson odwraca się i odchodzi. Przygotowałam sobie usprawiedliwienia i przeprosiny za moje wczorajsze zachowanie, jednak ona nie porusza tej sprawy. Pomimo sceny w pokoju jej syna, gdy ją potrąciłam, biegnąc do drzwi, i mojego okropnego wyglądu, gdy późnym wieczorem spotkałyśmy się na korytarzu, być może nie ma powodu do zdziwienia. Zanim tu przyszłam, Gösten napomknął, na tyle jasno, na ile pozwalała mu uczciwość, i bez intencji zniechęcenia mnie, że trudno tu pełnić funkcję pielęgniarki. Najwyraźniej fru Larsson musi zadowolić się tym, co ma.

Mój pacjent siedzi z głową opartą na poduszkach. Kątem oka obserwuje moje wejście.

Uśmiecham się grzecznie, trzymając emocje na wodzy.

– Dzień dobry.

– A więc ciągle tu jesteś – odpowiada, nie patrząc wprost na mnie. Głos ma słaby, ale mimo przestrogi fru Larsson mocniejszy niż wczoraj.

Zamykam drzwi.

– A nie powinnam?

Kręci głową, a ja dostrzegam cień uśmiechu.

– Zawsze istnieje ryzyko, że ona cię odstraszy. – Nadal nie odwraca się w moją stronę. Wygląda to tak, jakby mówił do swojego cienia na ścianie.

– Nie mnie – rzucam śmiało. – Zostaję. – Wiem, że jakkolwiek sprawy się potoczą, nie o to chodzi. – No więc jaki jest porządek dnia? –

Wbrew temu, co opowiadałam jego matce, i mimo prób rozszyfrowania ukradzionego podręcznika mam niewielkie pojęcie o tym, co powinnam zrobić. Wyobrażałam sobie mętnie, że karmię go łyżką jakąś papką z miseczki, ścielę jego łóżko, a gdy on śpi, siedzę przy nim bezczynnie, zbierając się na odwagę, by zrobić to, co zrobię, cokolwiek to jest.

– Ona ci nie powiedziała?

Kręcę głową.

Mój pacjent patrzy w okno. Wyraźnie się rumieni.

– Musisz mnie przygotować. – Chwyta ramę łóżka i podciąga się do góry; wyraźnie widać ścięgna na jego przedramieniu. Potem znów opada na poduszki, a na jego wychudzonej twarzy widać złość i upokorzenie. Nie jestem pewna, co znaczy „przygotować”. Lata temu zmieniałam opatrunki mojej małej siostrze Julii i przemywałam jej delikatną skórę. Tylko tyle wiem o pielęgniarstwie.

Nie odpowiadam, a on mówi dalej:

– Możesz zacząć od ogolenia mnie. Brzytwa jest na półce. Już od trzech dni można by wziąć mnie za włóczkę.

Na drzwiach wisi biały kitel, wkładam go na sweter. Panujący w pokoju ziąb zaczyna przenikać przez moje ubranie, więc kitel przyda się choćby jako kolejna warstwa. Z podręcznika dowiedziałam się tylko tego, że zimne, suche powietrze jest niezbędne, przynosi ulgę zniszczonym płucom chorych na gruźlicę. Autorka, przełożona pielęgniarek, przywiązywała do tego szczególną wagę i poświęciła kilka śmiertelnie nudnych akapitów, aby wbić to adeptkom pielęgniarstwa do głowy.

Brzytwa leży w emaliowanej misce na środkowej półce, biorę ją.

– Kran jest za parawanem – mówi mój pacjent.

Kiwam głową i uśmiecham się, aby ukryć niepewność. Nigdy nie goliłam mężczyzny. A jeśli ręka mi zadrży? Moje kuzynki na zmianę goliły stryjka Małego i chyba robiły to dobrze, mimo że zawsze przy tym chichotały. Strzyjek szczypał je w żartach, a one krzyczały; dziwne, że nigdy go nie skaleczyły.

Odkręcam kran i czekam, aż woda zrobi się gorąca; albo bojler jest chimeryczny, albo został napełniony w ciągu ostatniej półgodziny. Nie-trudno sobie wyobrazić, że to mieszkanie jest nieprzyjazne i pozbyłoby

się mnie, gdyby mogło, niczym drzazgi z rany. Przenoszę miskę z parującą wodą na stół przy łóżku.

– Czy jest tu coś, czym mogłabym pana nakryć? – Bluza jego pizamy jest zapięta na wszystkie guziki, ale zwisa luźno na wychudłej szyi, odsłaniając trójkąt zmierzwionych włosów.

– Na półce obok kremu leży serweta. – Larsson wydaje się już mną zmęczony, ale nic dziwnego, powinnam sama na to wpaść. Problem w tym, że zbyt dużo myśli krąży mi po głowie. Próbuję go rozgryźć, ocenić, które z moich sprzecznych wrażeń z wczorajszego popołudnia były słuszne.

Wracam z tubką kremu i pędzlem do golenia, ale gdy nachyliłam się nad chorym, on zaczyna kasłać i zasłaniając się, uderza mnie dłonią w brodę. Siła uderzenia nie jest duża, ale nie spodziewałam się, że dostanę w twarz. Upuszczam brzytwę, strącam łokciem miskę z gorącą wodą i podskakuję, bo mnie oparzyła.

– Nigdy tak nie rób! – krzyczy Larsson słabym głosem. – Czy ty niczego nie umiesz? Podobno jesteś cholerną pielęgniarką.

– Co ja zrobiłam? – Jestem zbyt wstrząśnięta, by się oburzyć.

Chory dostaje ataku kaszlu. Odwraca się ode mnie, a gdy wyciągam rękę w jego stronę, odpycha mój nadgarstek swoim; kość uderza o kość.

– Odejdź! – chrypi. Twarz mu czerwienieje, gdy splotka w chusteczkę, którą trzyma przy ustach.

Ruszam do drzwi, pragnąc, by to się skończyło. Pielęgniarstwo nie jest dla mnie. Opieka nad Julią to jedna rzecz, a praca tutaj to zupełnie coś innego. A poza tym co mnie tu trzyma? Z minuty na minutę mam coraz większą pewność, że ten człowiek, postarzały przez chorobę, nie jest tym młodym mężczyzną, którego przyjechałam znaleźć.

Wyczerpany Larsson z westchnieniem opada na poduszki.

Stoję w pobliżu drzwi, słuchając jego ciężkiego oddechu.

Gdy się odzywa, głos ma słabszy, prawie szepcze.

– Chcesz, żeby spotkało cię to, co mnie?

– Nie, ja oczywiście...

– A więc załóż maseczkę.

Maseczkę! Chodzi mu o maseczkę chirurgiczną, zabezpieczenie, o którym dowiedziałam się z książki, ale zapomniałam. Bakcyl gruźlicy jest zaraźliwy i przenoszony przez płwocinę... Jak choćby teraz.

– Przepraszam – szepczę. – Nie pomyślałam.

Kręci głową na znak, że przeprosiny nie są konieczne.

– Elso? Tak masz na imię, prawda?

Kiwam głową, nie ruszając się z miejsca.

– Jak myślisz, ile mam lat?

– Nie potrafię powiedzieć.

– Ale hipotetycznie. Jesteś przecież pielęgniarką, masz doświadczenie w tego typu sprawach.

Nie chcę przesadzić, niepotrzebnie wprawić go w zakłopotanie, bo to mi nie pomoże. Sądząc z wyglądu, mógłby mieć pięćdziesiąt, ale choroba zrobiła swoje.

– Czterdzieści pięć?

Znów zaczyna kaszeć zgięty w pół, tak że usta ma blisko kolan.

Potem się prostuje i po raz pierwszy tego rana patrzy wprost na mnie. Jego zwężone źrenice są dostatecznie ostre, by przekłuć mi skórę, ale głos wydaje się łagodny, nawet delikatny.

– Dziękuję za wielkoduszność, Elso. Nieczęsto patrzę w lustro, ale wystarczająco dobrze wiem, jak wyglądam, by nie mieć wątpliwości, że jesteś uprzejma. – Uśmiecha się, choć być może ironicznie.

– No więc ile ma pan lat? – Spodziewam się, że więcej, niż powiedziałam.

Słaby uśmiech.

– Powiem ci, jeśli obiecasz, że nie będziesz się śmiała.

Kiwam głową.

– Dwadzieścia dziewięć.

Sekundę czy dwie gapię się z otwartymi ustami. Potem dochodzę do siebie, ale jest za późno, zauważył moje zdumienie i już się nie uśmiecha.

– Mówiłem, żebyś się nie śmiała – szepcze.

– Nie śmiałam się – zapewniam słabym głosem i chwytam się półki, którą mam za sobą. Nogi się pode mną uginają, jestem podwójnie wstrząśnięta. Po pierwsze, z powodu stopnia jego wyniszczenia, a po drugie i ważniejsze, dlatego że on może być w wieku mężczyzny, którego szukam.

– Pogarszasz tylko sprawę, wciąż się gapiąc.

Biorę głęboki oddech.

– Nie chciałam... pana obrazić.

Piorunuje mnie wzrokiem, nie mogę wytrzymać jego spojrzenia. Odwracam się i patrzę na gablotkę z półkami. Na najniższej leży komplet środków i przyborów medycznych, między innymi maseczka.

Mój pacjent obserwuje, jak zawiązuję troczki z tyłu głowy.

– Zaczniemy jeszcze raz – mówi. – Zgodnie ze zwyczajem, jeśli ktoś zakrywa twarz, powinienem udawać, że nie wiem, kto to jest...

Na sekundę zamieram, zastanawiam się, czy on informuje mnie w ten sposób, że mnie rozpracował.

– ...a ty wcale mnie nie obraziłaś.

Już mam zaprotestować, lecz on podnosi rękę.

– Możemy więc kontynuować działania z brzytwą. Znajdziesz ją pod gablotką, tylko, och, uważaj na podłogę, bo rozlałaś bardzo dużo wody i na pewno będzie śliska.

– Dobrze – mówię, próbując zrozumieć, w co on gra i czy go to bawi. Nic dziwnego, że pielęgniarki nie zostają tu długo.

Ponownie nalewam wody do miski i zastanawiam się przy tym, co dla mnie oznacza wiedza, w jakim on jest wieku. Teraz nie mogę zrezygnować, dopóki nie uzyskam odpowiedzi; inaczej otaczające mnie rozszłoszczone duchy nigdy nie znikną. Ale jak się do tego zabrać?

Golę go szybko, wyglądam mu fałdy skóry pod brodą, a gdy rozmyślałam, co z nim zrobić, zacynam go za uchem i nawet tego nie zauważam. On się nie skarży, może stracił czucie w tym miejscu. Ale gdy wycieram krew i mam trudności z jej zatamowaniem, nachodzi mnie wizja, w której podcinam pacjentowi gardło. Skóra początkowo się opiera, potem się poddaje, odskakuję pod ścianę, a krew tryska...

Brzytwa wypada mi z dłoni i z brzękiem ląduje w misce, mało brakowało, by woda znów się wylała. Szybko chowam się za parawanem i oparta o ścianę czekam, aż ręce przestaną mi drżeć.

Potem wylewam mydliny do umywalki i wtedy przychodzi mi do głowy oczywiste rozwiązanie. Naprawdę proste, trzeba tylko wykorzystać ewidentny egotyzm Larssona. Muszę skłonić go do rozmowy i trochę nią pokierować, a przy odrobinie szczęścia on powie mi o sobie dostatecznie dużo, bym zyskała pewność. Uśmiecham się pod масечką znów pełna determinacji.

Gdy wychodzę, mój pacjent gładzi się po policzku z uśmiechem zadowolenia. W pięć minut odmłodziłam go o pięć lat.

Wycieram ręce i zdejmuję масечkę. Jeżeli on chce, żebym jeszcze coś zrobiła, będzie musiał o to poprosić. Nie jest to podejście godne pielęgniarki, ale teraz moja kolej na satysfakcję.

– Może będzie nam łatwiej przetrwać ten dzień, jeśli porozmawiamy – podsuwam niewinnym tonem. – Rozmowa pomoże także mnie. Szwedzki wciąż jest dla mnie nowy, a rozmowa z wykształconym mężczyzną takim jak pan wzbogaci mój słownik.

Ramię mojego pacjenta sztywnieje. Larsson nie patrzy na mnie, ale lekko się odwraca w moją stronę.

– Przepraszam za ten zły początek – ciągnę – ale jestem pewna, że bardziej panu pomogę, jeżeli lepiej się poznamy.

– Jeżeli chodzi o plotki, zapewniam, że nie znam żadnych – mruczy, nadal na mnie nie patrząc.

Może być tak trudny, jak mu się podoba, nie zamierzam jednak się zniechęcić. Muszę po prostu przedrzeć się przez blokadę jego zranionej próżności, a wymknie mu się coś, co potwierdzi moje podejrzenia albo im zaprzeczy.

– Mogłoby pomóc, gdyby pan o czymś opowiedział.

– O czymś – powtarza.

– O czymś przyjemnym, na przykład jakimś sukcesie – wymyślam na poczekaniu.

– Przypuszczam, że chodzi ci o czas przed moim uwięzieniem. Chcesz, żebym porównał swoje położenie wtedy i teraz.

– Nie w tym rzecz, to pomoże przywołać wspomnienia.

Larsson się krzywi. Chyba nie jest jeszcze gotowy na rozmowę, mamy jednak cały dzień.

Słońce jest już wyżej, na moje kolana pada plama światła słonecznego. W pokoju wreszcie robi się cieplej.

– Przeszłość to przeszłość, najlepiej zostawić ją tam, gdzie jest – odzywa się mój pacjent po chwili milczenia.

– Mówi pan z goryczą. To zrozumiałe, że choroba...

– Mówię jak mężczyzna. Każdy ma własne życie. Nie oczekuję, że zrzucisz na mnie ciężar swoich problemów, i nie obciążę cię moimi.

– Dzielenie się to nie obciążanie.

– Chyba że obciąża słuchającego – mówi, a potem zirytowany rzuca:
– Kim ty jesteś? Moim psychiatrą?

Zapominam na chwilę, o co chodzi w tej sprzeczce, bo jestem obrażona.

– To nie w porządku. Ja tylko próbuję pomóc, może trochę odpędzić od pana nudę.

– Nudę – prycha. – Co ty wiesz o nudzie? – Na twarzy mojego pacjenta widać napięcie.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu, czekam, aż minie mu rozdrażnienie.

– Przepraszam – mówi w końcu. – To było nie na miejscu, zachowałem się niegrzecznie. Zbyt dużo czasu spędzam w samotności, aby pielęgnować dobre maniery. A gdy mam towarzystwo, to zwykle jakichś kretynek i kretynów. Mimo to wolę oszczędzić innym, nawet mającym jak najlepsze intencje, zagłębiania się w moje problemy.

– A jeśli wolę, by mnie nie oszczędzano? – Jak długo jeszcze będę musiała się napraszać? Ludzie zazwyczaj uwielbiają mówić o sobie.

– Tylko siebie posłuchaj! Taka mądra i dojrzała, ledwie wyrosła z krótkich sukienek. Ile masz lat?

– Niewiele mniej niż pan – odpowiadam obronnym tonem. – Skończyłam dwadzieścia pięć. Niewykluczone, że mamy za sobą bardzo podobną podróż...

– Może myślisz, że...

– Żadne z nas nie jest tak niewinne jak kiedyś, wojna to zniweczyła. – Jestem pewna, że jeśli nie pozwolę mu zamknąć się w sobie, coś z tego wyniknie.

– Tak czy inaczej, nawet gdybym chciał, nie wiedziałbym, gdzie zacząć tę, jak to określiłaś, „podróż”.

– Od jakiegoś przyjemnego wspomnienia. – Zerkam na jego wychudzone nogi, które nie poniosą go nigdzie ani daleko, ani szybko. Wspomnienia, przynajmniej teraz, są wszystkim, co ma. – Proszę zacząć od początku, jakiegokolwiek początku.

Larsson patrzy na mnie urażony, jakbym wypruła z niego ostrymi nożyczkami kawałek starego haftu, aby ukraść nitkę, a potem wyrzucić resztę.

– Zacznijmy od tego, gdzie się pan urodził – mówię udawanym lekким tonem.

– Gdzie się urodziłem? – Wpatruje się we mnie przenikliwie oczami w czerwonych obwódkach, jakbym próbowała go zdemaskować, co jest oczywiście prawdą, o ile jest co demaskować.

– Urodziłem się tutaj, w tym mieszkaniu, w pokoju w tym korytarzu. Niezbyt daleko zaszedłem przez dwadzieścia dziewięć lat, nie sądzisz?

– Dom to najlepsze miejsce, gdy jesteśmy w potrzebie. – Przytoczyłam jeden z ulubionych komunałów mojej matki. – Ale jestem pewna, że pan podróżował, możliwe, że było to częścią pańskiej edukacji.

Skinienie głową.

– A więc proszę mi o tym opowiedzieć. Gdzie pan studiował?

– Na uniwersytecie. – Albo on się pilnuje, albo chce tylko grać w tę grę na swoich zasadach.

– Gdzie to było?

Chyba widzę w jego oczach podejrzliwość.

– W mieście uniwersyteckim.

Udaję, że mnie to rozbawiło.

– Najwyraźniej nie jest pan typem gawędziarza, Herr Larsson. Już choćby z tego powodu możemy brać pod uwagę tropiki albo Arktykę,

albo miejsce gdziekolwiek między nimi. – Śmieję się. – Nie dowiem się, czy powinnam wyobrazić sobie pana pocącego się na suku, czy dygotającego z zimna na poddaszu.

– Za dużo się bawisz słowami – odpowiada ponuro. – Pomyślałbym, że jesteś pisarką, gdyby nie twoja żalosna gramatyka.

Spuszczam wzrok, by ukryć rumieńce, choć ten obraźliwy komentarz nie powinien mieć dla mnie znaczenia, a przy tym szwedzki jest dla mnie nowy i ma skomplikowane reguły.

– W Arktyce nie ma uniwersytetów – ciągnie Larsson. – W każdym razie nazwy nie są ważne. Nie musisz wiedzieć wszystkiego.

– A więc proszę mi go opisać, pomóc mojej wyobraźni. Uwielbiam opowieści.

– No to kup sobie kryminał na dworcu, w ten sposób poprawisz swój szwedzki! – prycha zadowolony, że mi dopiekl.

– Bardzo zabawne. – Wciąż się uśmiecham, choć z coraz większym trudem.

– Wyobrażaj więc sobie, jeśli masz ochotę, labirynt ciasnych uliczek otoczony średniowiecznymi murami obronnymi i wąską, wolno płynącą rzekę, której woda jest ciemna jak aksamit i zimna jak lód. Wyobraź sobie małą gęsiarkę przed ratuszem, bosą, w chłopskim ubraniu, z koszykiem niesionych na targ kwiatów na ramieniu.

Jego drwiny tylko wzmacniają moją determinację.

– Gęsiarki występują w bajkach...

– Ta dziewczyna jest odlana w brązie. Figura dziewczyny pasącej gęsi na szczycie fontanny przed ratuszem. W dniu rozdania dyplomów ci, którzy zostali wyróżnieni, wspinają się na fontannę i całują gęsiarkę.

To mogła być bajeczka, lecz nieobecny wzrok mojego rozmówcy wskazuje, że dla mnie zanurzył się w prawdziwym wspomnieniu. Po policzku spływa mu łza, czyli wspomnienie na pewno jest prawdziwe.

– Szczęśliwa dziewczyna, ma tylu adoratorów – mówię.

Larsson wyciera łzę kantem dłoni.

– Teraz twoja kolej, pielęgniarczko. Opowiedz mi coś o Elsie.

Prawie nic nie powiedział mi o sobie, ale zapędził mnie w kozi róg. Zauważa niechęć w moim spojrzeniu, w jego oczach widać upór.

– Na początku twierdziłaś, że poznamy się nawzajem.

– Co chciałby pan wiedzieć? Nie ma we mnie nic interesującego. – Teraz moja kolej się bronić.

– Gdzie się urodziłaś?

– W Rotherbaum – odpowiadam szybko, zbyt szybko.

– Rotherbaum koło Hamburga?

Kiwam głową i obserwuję go, zastanawiając się, jak daleko mogę się posunąć.

– Ładne miasto, a przynajmniej takie było.

– Zna je pan? – Jeśli zna, przeliczyłam się i on może mnie na czymś przyłapać. Mieszkałam tam zaledwie cztery miesiące, między wyjazdem z Kolonii a przeprowadzką do Norymbergi, i byłam bardzo zajęta pomaganiem przy sprawie cyklonu B, nie znam więc dobrze tego miejsca.

Larsson kręci głową.

– Nie, nie znam. Czym się zajmował twój ojciec?

– Był nauczycielem. – Gdybym powiedziała, że był pisarzem, on mógłby łatwo to sprawdzić. Muszę być ostrożna z każdym kłamstwem.

– Jakiego przedmiotu?

– Muzyki.

Larsson unosi brwi. Wydaje się, że po raz pierwszy coś związanego ze mną zrobiło na nim wrażenie.

– A ty, Elso, jesteś muzykalna?

– Trochę gram na pianinie, nic więcej. – Zawsze mnie dziwiło, że chociaż mój ojciec napisał biografie wielu kompozytorów, nigdy nie zachęcał swoich dzieci do gry. Może uważał, że nie jesteśmy utalentowani. Może myślał, że chroni nas przed rozczarowaniami, podsuwając nam możliwość wyboru dziedzin, w których moglibyśmy się wyróżnić, jak było w przypadku mojego brata, który studiował medycynę. Chciał oszczędzić nam przykrych konsekwencji popełnionych błędów, choć moglibyśmy się na tych błędach czegoś nauczyć. Albo po prostu wolał mieć spokój w domu i dbał o swoje uszy.

– A więc jesteś wykształcona?

– Och, w szkole nie szło mi zbyt dobrze. Mój starszy brat był najmądrzejszy z całej rodziny, a moja młodsza siostra najładniejsza. Ale byłam dobra w robótkach ręcznych.

– I dobra w językach. Muszę nawet przyznać, że choć od czasu do czasu zdarzają ci się lapsusy, twój szwedzki jest bardziej niż znośny jak na cudzoziemkę.

– Może tak jest. – Ma rację, łatwo uczyć się języków. Mój ojciec ledwie mógł uwierzyć, że tak szybko przyswoiłam podstawy niemieckiego przy, prawdę mówiąc, niewielkim wsparciu. Chodziło mu tylko o to, żebym umiała czytać i pisać dostatecznie dobrze, by mu pomagać, wkrótce zaczęłam jednak mamrotać pod nosem z coraz lepszym akcentem. Ojciec przypisał całą zasługę sobie, delektował się, chwając przed gośćmi moje osiągnięcie, jakby to było jego własne. Czasami widywałam jednak w jego oczach błysk podziwu, przyznanie, że być może łączy nas coś, czego nie podejrzewał.

Mój pacjent osuwa się na poduszki, przez chwilę milczymy, podczas gdy on walczy o oddech. Czy jest coś, co powinnam zrobić, aby mu pomóc w takiej sytuacji? Nie wypełniłam polecenia mojej pracodawczyni, by nie wzbudzać w nim emocji, ale jednocześnie jest jasne, że bawi go nasza sprzeczka. Że to jest jeden z jego lepszych dni.

Głowa chorego opada na pierś, a on zasypia – tak po prostu, bez uprzedzenia.

Obserwuję go ze swojego krzesła, zastanawiając się, czy łatwo byłoby właśnie teraz udusić go poduszką. Nawet nie zdawałby sobie sprawy z tego, co się dzieje, dopóki nie byłoby za późno, a ja tylko przyśpieszyłabym nieuchronne. Nie musiałabym nawet oglądać wyrazu jego twarzy. Z pewnością bym sobie z tym poradziła, gdyby i jeśli byłoby to konieczne. Jedyne problem w tym, że on by się nie dowiedział, dlaczego to zrobiłam. Dla niego byłoby to dobre, ale ja ryzykowałabym, że nie przyniesie mi tak wielkiej ulgi, jakiej pragnę.

Wystawiam nogi na słońce, zamykam oczy i też przysypiam.

Gdy przychodzi Mona, niosąc dla niego zupę na tacy, wymykam się. Karmienie go to jej zadanie. Ja mam godzinę wolnego.

*

Biblioteka w Östermalm znajduje się dziesięć minut drogi od domu Larssonów; docieram tam rozgrzana od szybkiego marszu.

Po otrzeptaniu w wejściu śniegu z butów przechodzę wykładanym marmurem holem, mijam szafki katalogowe i idę po schodach do działu edukacyjnego na pierwszym piętrze.

Korzystając z wydanego w latach trzydziestych katalogu wyższych uczelni, szukam uniwersytetów w Polsce i Niemczech – studia Larssona w którymś z tych krajów mogą potwierdzić jego związki z mężczyzną, którego szukam. Czy wybrałam najlepszą metodę? Ze ściśniętym sercem myślę o Henrym. On by dobrze wiedział, co robić. Byliśmy zgraną parą, uzupełnialiśmy się nawzajem, ja miałam mnóstwo pomysłów, on – zdrowy rozsądek prawnika.

Uzbrojona w listę wbiegam na następne piętro, potracam mężczyznę nabijającego fajkę tytoniem. Mężczyzna opiera się plecami o ścianę, gdy go mijam.

– Młoda damo, więcej uwagi – prosi.

W dziale podróźniczym zaczynam od półki polskiej, znajduję przewodnik po Warszawie z indeksem i szukam jakiegokolwiek odnośnika do małej figury; bez powodzenia.

Na ścianie wisi zegar tykający głośno jak metronom. Wybija wpół do drugiej, czas mi się kończy.

Idę wzdłuż półki, upuszczam dotyczący Niemiec tom, który spada na podłogę, otwierając się na stronie o Heidelbergu ze zdjęciem zamku. Potem sprawdzam Freiberg, tam też nic nie ma; zaczynam tracić nadzieję, że czegoś się dowiem. Ale po Freibergu dochodzę do Getyngi i tu, ku swemu zdumieniu, od razu widzę odnośnik do gęsiarki mojego pacjenta. Jest nawet rysunek przedstawiający figurę bosej dziewczyny z koszem kwiatów.

Trwam przykucnięta już bardzo długo, siadam więc na podłodze i kładę książkę na wyfroterowanych klepkach. A więc mój pacjent studiował w Niemczech i właśnie tym wolał się nie chwalić. Czyżbym trafiła na żyłą złotą w mieszkaniu Larssonów? Nagle moja praca – a już rozważałam rezygnację – przynosi oczekiwany rezultat, a ja siedzę jeszcze kilka sekund, ciesząc się tą chwilą, zanim w końcu wstanę.

Rozglądam się dookoła i upewniwszy się, że nikt mnie nie obserwuje, starannie wyrywam stronę z oprawionej w płótno książki. Całuję twarz

dziewczyny na rysunku. Jesteś jak Julia, mruczę do niej pod nosem,
w każdym razie troszeczkę.

POLSKA

Październik 1945

– A więc wszystkie procesy odbędą się w Norymberdze? – zapytałam, przekrzykując wiatr i warkot silnika.

– Formalnie rzecz biorąc, przed trybunałem wojskowym – odparł Henry. – A każdą sprawę będą rozpatrywali sędziowie ze wszystkich krajów alianckich.

– Kiedy to się zacznie?

– W listopadzie.

– A ci ludzie będą straceni?

– Jeżeli zostaną uznani za winnych.

– Ale oni są winni. Wszyscy wiedzą, co zrobili.

Henry prychnął na taką naiwność.

– Tego właśnie muszą dowieść prawnicy.

Gdy startowaliśmy z lotniska wojskowego na przedmieściu Kolonii, oboje dostaliśmy koce i usadowieni poza zasięgiem wzroku pilota, przykryliśmy się nimi. Pod kocami kurczowo trzymałam Henry'ego za rękę. To był mój pierwszy lot, a mały jednosilnikowy samolot kołysał się mocno na wietrze. Przyglądałam się przez szybę, jak smagane deszczem lasy, pola i rzeki południowej Polski, mojego kraju rodzinnego, przesuwały się pod nami.

Henry zapalił papierosa i mi go podał. Pod jego wpływem zaczęłam palić i tak mi się to spodobało, że choć sam poddał mi ten pomysł, zaczął się niepokoić.

Wojna, która w latach czterdziestych ogarnęła świat, w sierpniu dobiegła wreszcie końca wraz z kapitulacją Japonii po zrzuconiu przez Amerykanów dwóch potwornych bomb. Teraz należało wymierzyć sprawiedliwość sprawcom i miałam rolę do odegrania. Wydawało się zupełnie nierzeczywiste, że ktoś nic nieznaczący, taki jak ja, wpadł w wir międzynarodowych wydarzeń.

Nasze poszukiwania nie były w tej chwili związane z postępowaniami w Norymberdze. We wrześniu Brytyjczycy aresztowali dwóch członków kierownictwa niemieckiej firmy chemicznej odpowiedzialnych za dostawę cyklonu B, zabójczego gazu używanego w obozach, a Henry należał do zespołu przygotowującego materiały dla prokuratury.

Spadaliśmy z nieba niczym kamień, schodząc na lądowisko, które okazało się tylko z grubsza skoszonym polem. Tylne koło się wysunęło i podskakiwało, przednie koła podrygiwały, podobnie jak ogon, a gdy osiągnęliśmy coś w rodzaju równowagi, toczyliśmy się jeszcze pięćdziesiąt metrów po koleinach.

Gdy samolot kołował, by się zatrzymać, mieliśmy przyspieszone oddechy, a przed sobą zaparowaną z zimna szybę. W maszynie były tylko dwa miejsca dla pasażerów, wciśnięte z tyłu, za fotelem pilota. Henry twierdził, że przywykł do tego rodzaju lotów, dla mnie była to jednak całkowita nowość; zorientowałam się, że wbijam mu paznokcie w ramię dopiero wtedy, gdy zdjął moją dłoń i zaczął masować sobie rękę.

– Mówiłem ci, wszystko będzie dobrze – szepnął mi do ucha, nachylając się do mnie. Słyszałam jego głos bardzo wyraźnie, jakbym nagle odzyskała słuch, i z tak bliska, jakby muskał ustami moją skórę.

Przeszłam pierwszą ciężką próbę tego dnia, ale w następnych godzinach czekały mnie większe wyzwania.

Z głośnym warkotem podjechał do nas sowiecki jeep z czerwoną gwiazdą na masce, jeden z wozów przekazanych Rosji przez aliantów w ramach pomocy wojennej. Kierowcą był niski mężczyzna w brązowym mundurze. Na lewym policzku miał bliznę biegnącą od brwi do brody i przecinającą kącik oka, tak że wydawał się stale znacząco unosić brew.

– Poruczniku Hendrickson – powiedział z mocnym angielskim akcentem. – Proszę wsiadać. – Zerkał na mnie jakby zdziwiony, być może dlatego, że nie nosiłam munduru. – A kto to jest? – zapytał.

– Panna James – odparł Henry. – Wspominałem, że będzie ze mną, to moja asystentka.

Rosjanin obserwował, jak Henry ładuje nasze bagaże na tył samochodu, rzucając mi spojrzenia pełne pogardy, wyraźnie dając do zrozumienia, co sądzi o mojej pracy.

– Pojedziemy tam od razu – oznajmił, gdy Henry skończył i upewnił się, że nic nie wypadnie. – Najlepiej to obejrzyć, dopóki jest widno. Porozmawiamy jutro.

Jeszcze kilka miesięcy temu nie znałam angielskiego, teraz posługiwałam się nim wystarczająco sprawnie, by zrozumieć większość z tego, co powiedział. Henry był przekonany, że nie będzie dobrze, jeśli nasi gospodarze uznają mnie za Niemkę, stąd ta przykrywka. Nie spodziewałam się jednak, że będę miała do czynienia z kimś tak doskonale mówiącym po angielsku. Henry powinien był mnie uprzedzić. Będę musiała siedzieć cicho.

Jechaliśmy przez polską wieś. Dziewięć miesięcy wcześniej stoczono tu bitwę, po której pozostały zryte przez czołgi pola i budynki przypominające puste, pocerniałe od dymu skorupy. Domy, które ocalały, robiły wrażenie opuszczonych. Na jednym z pól leżał stos martwych owiec w stanie rozkładu. Na poboczu drogi widzieliśmy dużo grobów oznaczonych drewnianymi krzyżami; te, które wykopano na skraju rowu, zapadły się w błoto.

Na betonowej ścianie przy skrzyżowaniu widniał wyblakły napis: „Jude Pest”, żydowska zaraza, a znaki drogowe pod nim wskazywały kierunek na wschód, do Krakowa i na zachód do Oświęcimia. W Oświęcimiu znajdował się obóz figurujący w naszych dokumentach jako Auschwitz-Birkenau i tam właśnie jechaliśmy. Kraków był miastem mojego dzieciństwa i serce mi się ścisnęło na myśl, że prawdopodobnie na razie, a możliwe, że już nigdy, nie znajdę się bliżej niego.

Przepuściliśmy dwie ciężarówki Armii Czerwonej i ruszyliśmy na zachód; przejechaliśmy przez łukowaty mostek, a kilometr dalej przez tory kolejowe.

Nasz gospodarz wyciągnął rękę i wskazał wyłaniające się zza drzew ogrodzenie.

– Tutaj to się zaczyna – powiedział. – Ta fabryka, Farben.

Za ogrodzeniem stały wysokie szare budynki, niektóre nieukończone. Przejechaliśmy krętą drogą między nimi i w ich cieniu mniej więcej kilometr; wiatr świszczął w tym stworzonym przez ludzi wąwozie.

– To jest większe, niż się spodziewałem – powiedział Henry.

– To tylko jeden róg – odparł Rosjanin – i to niedokończony.

Po drugiej stronie fabryki wjechaliśmy do lasu, rzadkiego i niezbyt ładnego, a po kilku kilometrach na jeszcze bardziej zapuszczone pola.

Jeep grzechotał na żwirowej drodze. Minęliśmy znak: „Oświęcim 1 km”.

Wkrótce potem zobaczyliśmy skupisko niskich, brzydkich domów i wjechaliśmy w plątaninę pustych, ponurych uliczek, przy których stały domy z powybijanymi szybami w oknach.

– Wszyscy stąd wyjechali – wyjaśnił nasz kierowca i ostro skręcił, by ominąć zwłoki psa.

Przejechaliśmy przez ceglany most na rzece i skręciliśmy w lewo. Po prawej stronie równoległe do drogi biegły przez sto metrów tory kolejowe.

– Wybrali ten teren pod zabudowę ze względu na połączenia kolejowe i odosobnienie. To dobre miejsce, jeżeli chce się coś ukryć, jak sędzę.

Skręciliśmy w stronę długiego budynku z cegły. Przed nami biegła odnoga toru kolejowego, przejechaliśmy ją, podskakując, pod poczerniałym od sadzy łukiem kwadratowej wieży. Zatrzymaliśmy się w przygnębiającym miejscu ogrodzonym drutem kolczastym, strzeżonym przez sześć – teraz pustych – budek wartowniczych na żelaznych słupach. Przenikliwy wiatr aż zapierał dech.

Wysiedliśmy z jeepa i idąc wzdłuż toru, dotarliśmy do miejsca, gdzie odchodziła bocznicą.

Rosjanin stanął na hałdzie żwiru przy torze.

– Tutaj odbywała się selekcja tych, którzy wysiadali z pociągów – powiedział.

Groza tego miejsca wciąż była tu obecna, w tej zimnej ziemi. Przez kilka sekund nie mogłam oddychać, cały czas czułam jej wilgotny zapach. Czy oni, moja rodzina, zostali tu przywiezieni? Obróciłam się dookoła. Miejsce było otoczone drutem rozpiętym między betonowymi słupami. Za drutem stał rząd wież wartowniczych, a w oddali był rów melioracyjny wypełniony wodą w kolorze atramentu i zagajnik bezlistnych drzew.

– Chodźcie ze mną – polecił Rosjanin.

Powlekliśmy się za nim wzdłuż bocznic kolejowej.

– Ludzi wybranych do pracy prowadzono do baraków za tym drutem
– rzucił przez ramię; wiatr rozwiewał jego słowa niczym popiół.

Patrzyliśmy w kierunku, który nam wskazywał, ale oprócz czegoś, co wyglądało jak setki słupków, nie było nic.

– Zniszczyli wszystkie dowody, jakie tylko mogli, podłożyli ogień pod baraki. To, co widzicie, to tylko ceglane kominy, one się nie spaliły. Idziemy teraz tą samą drogą, którą prowadzono tych, którzy nie zostali wybrani do pracy.

Spuściłam wzrok, ogarnęły mnie odraza i lęk. Po raz pierwszy od wydarzeń na ulicy w Lucinie i tego, co działo się potem, naprawdę „poczułam” – pozwoliłam przeszłości wejść do mojej bezpiecznej kryjówki – a byłam zupełnie nieprzygotowana na coś takiego i bezbronna.

Przeszliśmy przez otwartą bramę, podwójną linię drutów pod napięciem i rząd bezlistnych brzoź. Za nimi znajdowały się ruiny niskiego ceglanego budynku, który zwałił się do piwnicy.

– Wysadzili krematoria – powiedział Rosjanin – bo próbowali ukryć dowody. To jest jedno z czterech.

Podeszliśmy z nim na szczyt schodów prowadzących w dół, do gruzowiska.

– Teraz będziecie musieli użyć wyobraźni. Tymi schodami schodzili więźniowie. Mówiono im, że idą na dezynfekcję. W pierwszym pomieszczeniu kazano im się rozebrać. A potem mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy nadzy, byli prowadzeni „pod prysznicę”. Zadawali sobie wiele trudu, żeby się wydawało, iż to, co ma nastąpić, to tylko odwszawianie.

– Słyszałem, że zainstalowali fałszywe rury – włączył się Henry.

– Tak – ciągnął Rosjanin. – Wszystko fałszywe, rury, natryski, a wszystko po to, żeby ludzie się za wcześniej nie zorientowali. Nie chodziło tu o względy humanitarne, tak przez was cenione; to tylko znajomość psychologii tłumu. Ale wielu więźniów szybko się domyślało, co się stanie, o ile wcześniej nie wiedzieli w głębi duszy.

– Ile osób mogło się tam zmieścić? – zapytał Henry.

– Dwa tysiące pięćset. Strażnicy przyśrubowywali drzwi, aby zapobiec ich wyłamaniu. Cyklon wrzucano przez otwory w dachu, granulki zamieniały się w gaz. Po wszystkich ciała leżały na stosach wokół fila-

rów, bo ludzie wspinali się jedni na drugich, żeby złapać resztę powietrza.

– Jak pozbywano się gazu? – chciał wiedzieć Henry.

– Od tego były wentylatory. Sonderkommando nosiło też maski gazowe, żeby operacja szła sprawniej.

Od kiedy tam przybyliśmy, niebo przybrało groźniejszy wygląd, a powietrze stało się bardziej lodowate.

– Strażnicy zawsze znajdowali później dzieci schowane pod ubraniami. Zabijali je strzałami z rewolweru. Wszystkie ciała palono. Załadunków do pieców dokonywały Sonderkommanda.

– Sonderkommanda? – zapytał Henry.

– Więźniowie chcący przehandlować resztę swojego człowieczeństwa za trochę dłuższe życie. Później też trafiali do pieców. Niemcy bardzo starannie niszczyli dowody.

Henry sięgnął ręką i wyciągnął z gruzu pasek papieru. Palcem otarł z niego pył i podniósł do gasnącego światła. Nad czaszką ze skrzyżowanymi pieszczelami wydrukowane było wersalikami słowo „GIFTGAS”, a poniżej „ZYKLON”.

– Elso – zwrócił się do mnie podekscytowany, zapominając o mojej przykrywce – zobacz, „Degesch”. – Odczytał nazwisko fabrykanta. – To jest z jednego z tych pojemników.

Rosjanin rzucił okiem na skrawek papieru, ale nie wydawał się zainteresowany.

– Zabierano okulary ofiar, biżuterię, protezy rąk i nóg, a także wszystkie złote zęby. Zwłoki układano w stertach na żelaznych wózkach i wieziono do krematoriów; robiły to Sonderkommanda. Popioły były wrzucane do rzeki albo sprzedawane jako nawóz. Ten proceder był, jak się mówi po angielsku, bardzo efektywny,

Walczyłam o oddech. Usiłowałam podejść przez gruz do Henry’ego, ale zupełnie straciłam czucie w nogach. Kolana się pode mną ugięły i upadłam, uderzając ramieniem w resztki ceglanego muru.

– Moim zdaniem ona nie ma nerwów do tej pracy – rzucił Rosjanin bez śladu emocji; nie zrobił nawet ruchu, by mi pomóc.

Henry rozglądał się dookoła. Na jego twarzy widać było chłopcę dumę z tego, co właśnie odkrył, połączoną z fascynacją horrorem, ale widząc mnie leżącą na ziemi, podbiegł.

Podniosłam się na kolana; w głowie mi się kręciło, opuściłam ją, a resztki naszego śniadania w Kolonii podeszły mi do gardła i spłynęły na mój płaszcz.

Było niemal pewne, że moja rodzina też tu trafiła. Wiedziałam wystarczająco dużo na temat procedur, by się domyślić, co się działo w poszczególnych rejonach. A teraz wszyscy znów tu byli, mieszkańcy wioski Marmów otaczali mnie, robili mi wyrzuty z powodu swojej śmierci.

Upadłam do przodu, twarzą na ziemię, w ustach poczułam gruz i popiół.

Henry już był przy mnie. Chwycił mnie pod pachy i postawił na nogi. Policzki miałam mokre od łez.

– Nie mogłam niczego zrobić! – krzyknęłam. – Byłam tylko dzieckiem, za dużo ode mnie oczekiwaliście. – Mówiłam szybko, mieszając polski z jidysz; nie używałam tych języków od trzech lat.

Dwaj mężczyźni patrzyli na mnie tak, jakbym bełkotała bez sensu. Rosjanin z odrazą, Henry z zakłopotaniem i niepokojem.

*

Przez ostatnie pół godziny pogoda się pogarszała, zaczął padać deszcz. Początkowo o fragmenty cegieł uderzały rzadkie krople, potem duże zaczęły bębnić w nasze głowy. Pobiegliśmy wzdłuż toru do jeepa; gdy osunęłam się na tylne siedzenie, Henry narzucił mi na ramiona swój płaszcz. Krople deszczu spływały po mojej szyi pod ubranie.

Rosjanin rozpiął brezent nad naszymi głowami i ruszyliśmy w milczeniu do pensjonatu na peryferiach Krakowa, położonego zaledwie kilka kilometrów od zielonego przedmieścia, gdzie się wychowałam.

Nasz pokój w pensjonacie był ciepły, ogrzewany przez żelazne rury.

W przylegającej do niego łazience Henry odkręcił kran, by napełnić wannę.

Stałam na dywaniku, a on zdejmował ze mnie swój ciężki od deszczu płaszcz oraz mój, trochę lżejszy, zaplamiony wymiotami. Potem ostroż-

nie ściągał ze mnie ubranie, włącznie z bielizną, aż w końcu stanęłam przed nim, dygocąc, całkiem naga.

– Kąpiel gotowa – powiedział.

W łazience para unosiła się pod sufit. Henry pomógł mi wejść do wanny. Mimo że woda była gorąca, siedziałam, trzęsąc się i szczękając zębami.

Henry użył emaliowanego dzbanka i polał mi głowę wodą, znów napełnił dzbanek, potem jeszcze raz, wreszcie delikatnie rozczesał szczotką moje splątane włosy.

Gdy namydlął mi ramiona i krążył gąbką po plecach, jak robiła kiedyś moja matka, czułam się jak dziecko; od czasu do czasu drżałam i zalewałam się łzami, na co nie pozwalałam sobie przez prawie cztery lata.

*

Obiad – gulasz jagnięcy – przyniesiono do saloniku i zostawiono na stole. Zjedliśmy, a potem usiedliśmy na małej kanapie pod oknem.

– A więc masz na imię Hanna, a nie Elsa – powiedział Henry. – Co się stało, że nie mogłem cię tak nazywać?

Wzruszyłam ramionami i próbowałam się uśmiechnąć. Zostałam zmuszona do przyznania się. A mam teraz trzecią tożsamość.

– Dlaczego, u licha, zmyśliłaś to wszystko? – Henry wydawał się dotknięty, i słusznie.

– Tego dnia, gdy się poznaliśmy, miałam dowód tożsamości Elsy.

– Kim ona była, przyjaciółką?

– Nie jestem pewna. Była córką ludzi, w których domu pracowałam. Wzięłam ten dowód, bo nie wiedziałam, co się ze mną stanie, jeśli nie będę miała żadnego dokumentu. W obozie dla dipisów mówiło się, że Polacy zostaną odesłani do kraju, a ja nie miałam już czego szukać w Polsce, nawet gdyby nie rządili tam Rosjanie. A gdy raz powiedziałam, że jestem Elsą, trudno było się wycofać.

Henry mocno przytulił mnie do siebie, przyglądając mi się badawczo, jakby chciał wyczytać coś więcej z mojej twarzy.

– To miejsce, to krematorium... Właśnie tam zginęła moja rodzina.

Szarpnął się, jakbym poraziła go prądem. Patrzył na mnie przymrużonymi oczami i w końcu poskładał mnie z kawałków.

– Jesteś Żydówką? – Wpatrywał się w moją twarz i włosy. – Nigdy bym...

Nie mogłam znieść jego zakłopotania. Czułam się bardziej naga niż w wannie, więc się odwróciłam.

– Oczywiście. Jak mogłem być taki ślepy? – zapytał sam siebie, uderzając się w kolana. A potem się przeraził. – Dlaczego, u licha, pozwoliłaś, żebym cię tam zabrał? Do tego miejsca?

– Musiałam to sama zobaczyć. Musiałam to poczuć. – Opuściłam głowę i znów się rozplakałam.

Henry objął mnie jeszcze mocniej, a ja siedziałam sztywno, ramionami drżały, zapadałam się w sobie.

Przytulił twarz do moich włosów. W jego ramionach byłam bezbronna. Czułam jego łzy na swojej szyi, ciepłe, kojące.

Byłam zbyt wyczerpana, by mieć otwarte oczy. Henry zaniósł mnie do łóżka i sam też wsunął się pod kołdrę, objął mnie, przytulił i ogrzewał, aż zapadłam w niespokojną drzemkę.

Później, gdy się obudziliśmy, leżeliśmy obok siebie. Henry chciał usłyszeć prawdę o mnie, całą prawdę, od samego początku.

– Urodziłam się w Krakowie piętnastego lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku. – Tak mogłaby wyglądać pierwsza linijka mojej autobiografii.

– W Krakowie – powtórzył. – Blisko miejsca, gdzie jesteśmy teraz.

– Bardzo blisko, choć to nie przypomina powrotu do domu. Mam raczej wrażenie, że moje szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa przed wojną zostały wyciągnięte na wierzch i zdruzgotane.

– Lipiec dwudziestego szóstego roku. Czyli masz dziewiętnaście lat. Cóż, przynajmniej to jest prawdą.

– Zmyślałam tylko to, co musiałam.

– Opowiesz mi o swojej rodzinie? – zapytał.

– Mój ojciec był pisarzem.

– Napisał coś, co bym przeczytał?

– Wątpię, chyba że jesteś wielbicielem niemieckich kompozytorów. Napisał biografie między innymi Schumanna, Bacha i Beethovena. Jego książki były niezwykle szczegółowe, tak samo jak niemieckie z tej dziedziny, a on był wysoko ceniony w swoim środowisku, zarówno w Polsce i Niemczech, jak i w innych krajach.

– A twoja matka?

– Matka uczyła się pielęgniarstwa, ale zrezygnowała, gdy się urodziłam.

– Bracia i siostry?

– Miałam młodszą siostrę Julię i starszego brata Józefa, który studiował przed wojną medycynę na uniwersytecie; byliśmy z niego bardzo dumni. Ojciec powiedział, że nie ma powodu, abym nie mogła osiągnąć tego samego, jeśli się przyłożę. Nikt z nas nie miał jednak pojęcia, jaka zawierucha się zbliża.

– A jakim dzieckiem była Hanna?

Uśmiechnęłam się. Leżeliśmy na poduszce twarzą w twarz.

– Moi rodzice byli bardzo zajętymi ludźmi. Ojciec pisał, a matka działała w Komitecie Dobroczynnym. Czasami zabierała mnie ze sobą, gdy szła odwiedzić biednych: wielodzietne matki w kolejnej ciąży, inwalidów wojennych lub ofiary wypadków w fabrykach, niedołączonych starców. Panie ze stowarzyszenia rozpieszczały mnie, traktowały jak małą damę. Zazwyczaj jednak, ponieważ byłam średnim dzieckiem w rodzinie, robiłam po prostu to, co chciałam. Pozostawiona sama sobie zaczęłam zachowywać się bardzo źle.

– Źle się zachowywać? – Henry uśmiechnął się w ciemnościach. – Dlaczego? Co robiłaś?

– Och, wszystko, dopóki któregoś dnia nie zostałam przyłapana na kradzieży w sklepie. Ojciec stwierdził, że ma tego dość, i zajął się mną. Miałam wówczas jedenaście lat, a on najpierw spalił moje spodnie w kuchni i kazał nosić sukienki, a potem zarządził, że każdego popołudnia po szkole będę pracowała w jego gabinecie jako sekretarka. Byłam „niezdyscyplinowana”, a on postanowił, że mnie „poprawi”.

– I jak mu poszło?

– Zawsze się go bałam, ale pracując z nim, odkryłam, że tak naprawdę obawiałam się tylko jego poczucia humoru; to ono sprawiało,

że jego książki cieszyły się taką popularnością. Ojciec potrafił też tchnąć życie w tych wszystkich nudnych muzyków. I dopilnował, żebym dobrze się nauczyła niemieckiego, aby pomagać mu w pracy. Przed wybuchem wojny miałam już na tyle długie włosy, że dawały się zapleść w warkocze, a ja miałam wszelkie zadatki na młodą damę.

Pracując z ojcem, nie mogłam pozostać beztroską dziewczynką. We wrześniu trzydziestego dziewiątego roku miałam tylko trzynaście lat, ale on rozmawiał ze mną jak z dorosłą i choć część z tego, co mówił, była dla mnie niezrozumiała, zdawałam sobie sprawę z sytuacji. Ojciec nie miał złudzeń co do szans naszego kraju w razie wojny, ale nawet on był wstrząśnięty szybkością posuwania się Niemców i brutalnością najazdu, bombardowaniami i obracaniem całych miast w gruzy, ostrzeliwaniem z karabinów maszynowych tłumów próbujących uciekać. Przyjaciele z kręgów wydawniczych wkrótce zaczęli powtarzać ojcu zasłyszane wiadomości o masowych egzekucjach w lasach wokół miasta.

Matka chciała, żebyśmy wyjechali z Krakowa na wschód, ale nie miała konkretnej propozycji, a gdy ojciec zdecydował, że jakoś przeczekamy, nic go nie mogło przekonać do zmiany zdania. W głębi duszy zdawał sobie sprawę, że nie miał lepszego rozeznania niż reszta z nas, ale podejmowanie decyzji postrzegał jako swój obowiązek, a potem jej się trzymał. Zapewniał nas, że najgorsze już minęło, lecz niezależnie od tego, jak bardzo staraliśmy się mu wierzyć, całkowicie się mylił. Było tylko gorzej.

W listopadzie trzydziestego dziewiątego roku ojciec został aresztowany, a Niemcy powiedzieli matce, że mamy tydzień na opuszczenie domu. Mój osiemnastoletni brat Józef dzielnie zaprotestował, więc zabrali także jego. Patrzyłam, jak odchodzi, i było to najbardziej przejmujące doznanie w moim życiu.

Matka rozpadła się na kawałki, tylko tak można opisać jej stan. Wędrowała po ulicach, szukając ojca i Józefa, jakby byli po prostu rzeczami, które gdzieś zapodziała. Sąsiedzi musieli odprowadzać ją do domu. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić, wzięłam więc sprawy w swoje ręce i pojechałam do rodziny ojca w Marmowie, mniej więcej trzydzieści kilometrów na wschód od Krakowa. Stryj Marlow był młodszym bratem mojego ojca, ale bardzo się od siebie różnili i nie rozmawiali ze sobą od lat, bo się pokłócili. Obawiałam się tej podróży.

Zegar na ratuszu wybił pierwszą. Leżeliśmy w ciemnościach tak blisko siebie, że prawie dotykaliśmy się nosami, ale Henry przysunął się

jeszcze bliżej, jego wąsy muskały mój policzek.

– Wsiadłam do porannego pociągu do Lucina. Podróż powinna trwać tylko godzinę, ale żołnierze dwa razy kazali nam wysiadać, więc jechaliśmy cały dzień. Gdyby sprawy nie przedstawiały się tak rozpaczliwie, zawróciłabym. Ostatnich kilka kilometrów ze stacji do Marmowa przejechałam furmanką. Wsiadłam przed bramą domu stryja. Gdy rano się ubierałam, było dość ciepło, ale wieczorem zrobiło się zimno. Zmarznięta i strasznie zdenerwowana cała się trzęsłam i gdybym miała dokąd pójść, odeszłabym stamtąd.

Stryj i stryjenka zaprosili mnie do saloniku. Gdy zrozumieli, co się stało, pościelili mi łóżko, a następnego dnia wróciłam do nich z matką i siostrą. Zamieszkałyśmy w domku za ich domem, niezamieszkanym od lata.

Zastanawiające, jak szybko ludzie się przystosowują, Marmów wkrótce stał się naszym domem, a gdy dołączył do nas Józef, matka trochę się pozbierała. Niemcy zapędzili mojego brata do naprawiania dróg zniszczonych przez niemieckie czołgi, lecz gdy spadł śnieg, dalsza praca stała się niemożliwa, a Józef skorzystał z zamieszania i niepostrzeżenie uciekł. Unikaliśmy rozmów o ojcu. Wiedzieliśmy już dostatecznie dużo, by zakładać, że nie żyje – intelektualiści od samego początku byli na celowniku Niemców, a przy tym ojciec był Żydem.

Pewnego dnia nastąpił cud. Ojciec pojawił się we wsi, szedł ulicą w wiosennym słońcu, z gołą głową, bez kapelusza i krawata, szczuplejszy, niż zapamiętaliśmy, ale wciąż żywy. Wybiegliśmy na drogę i wszyscy go objęliśmy. Dotarło wtedy do mnie, że pod strachem, który przed nim czułam jako małe dziecko i w czasie, gdy pracowałam jako jego sekretarka, po prostu kryła się miłość.

Okazało się, że biografie niemieckich kompozytorów ocaliły mu życie. Jeden z niemieckich oficerów, muzyk, czytał biografię Brahmsa napisaną przez ojca i choć wiązało się to dla niego z ryzykiem, załatwił mu zwolnienie.

Dom był za ciasny dla nas pięciorga. Julia i ja dzieliłyśmy drugą sypialnię, a Józef co wieczór rozkładał materac na podłodze w kuchni. Mieliśmy nadzieję, że najgorsze już minęło, i ukryci w Marmowie usiłowaliśmy nie słuchać, co się dzieje na zewnątrz, podczas gdy tam prześladowano Polaków uznanych za podludzi i co gorsza, znęcano się nad Żydami. Marmów to był zaścianek i wydawało się, że nikt nie zwraca na

nas uwagi, w końcu jednak nie mogliśmy już dłużej ukrywać się przed światem. We wrześniu czterdziestego pierwszego roku zostaliśmy zmuszeni do opuszczenia wsi i pomaszerowaliśmy do getta w Lucynie; złe czasy wróciły.

Leżeliśmy twarz przy twarzy, oddychaliśmy jednym oddechem. Cicho płakałam.

Henry trzymał mnie pod kocem za rękę.

– Nie musisz nic więcej dziś mówić.

Odsunęłam się trochę, pokręciłam głową i wytarłam łzy dłonią.

– Już prawie skończyłam. Nie chcę więcej sekretów. Udręki życia w getcie – ciągnęłam – nie da się wyrazić słowami. Cała nasza rodzina została upchnięta w jednym pokoju, później jeszcze dokwaterowano nam nowych przybyszów.

Cały czas byliśmy głodni. Ludzie dosłownie umierali z głodu, ich zwłoki leżały na ulicy. Tylko szczury miały się dobrze i wszędzie było ich pełno.

Zdobywanie jedzenia stało się głównym zajęciem, a co gorsza, od czasu do czasu dochodziły do nas zza muru kuchenne zapachy. Głodowanie sprawiło, że puchły nam nogi i musieliśmy wyciąć otwory w butach, aby móc je włożyć.

Na szczęście udało mi się zdobyć pracę, szycie, i mogłam wychodzić na zewnątrz, aby je odebrać i oddać. Oznaczało to jednak, że codziennie musiałam przechodzić koło strażników przy szlabanie i znosić ich szyderstwa. Nazywali mnie Złotowłosą, Goldlöckchen, co wydawało im się bardzo śmieszne, i zrobili sobie zabawę z ciągnięcia mnie za włosy. Dla nich była to świetna rozrywka; tym, którym się to nie podobało, podstawiali nogi i ich kopali.

Mimo to przeżyliśmy. Nauczyłam się tam, że jeśli ktoś postanowi żyć, znieśie wszystko. Założono nawet szkołę dla młodszych dzieci, która przetrwała do końca. Uważaliśmy, że Niemcy mogą zabić tylko część z nas, a większość z pewnością przeżyje.

– Skąd mieliście żywność?

– Przynosiłam smakołyki zawinięte w moje szycie, licząc, że nie zostaną przeszukane. Gdyby strażnicy coś znaleźli, odebraliby mi to i by mnie pobili. Szmuglerzy przynosili jedzenie nocą; przechodzili przez

dziury w murach i je sprzedawali, ale było go za mało, a ceny były dla większości z nas za wysokie.

Mogłabym jeszcze długo opowiadać, na przykład o tym, co przydarzyło się Olkowi – chłopcu, w którym byłam zakochana – i karygodnej roli, jaką odegrałam w tej sprawie, ale to musi poczekać.

– Jak długo tam byliście?

– Do listopada czterdziestego drugiego roku; wtedy wszyscy zostali wywiezieni do obozu, prawdopodobnie tego, który dziś zwiedzaliśmy.

– Ale nie ty?

Pokręciłam głową. Tego, co się wydarzyło na tej brudnej ulicy w Lucinie, nie sposób ująć w słowa nawet w ciepłe ramion tego mężczyzny, nie potrafiłam jednak powstrzymać wspomnień krążących w mojej głowie jak pełne okrucieństwa kadry z kroniki filmowej. Kłęby dymu w wąskiej alejce, krzyki, ujadanie psów odbijające się echem od zrujnowanych murów, tak że hałas łapał człowieka w pułapkę i nie wiadomo było, w którą stronę uciekać, a także twarz „mojego Niemca”, młodego, przystojnego, trzymającego się z boku i wpatrującego się we mnie.

– Nie, nie trafiłam do obozu – odpowiadam wreszcie Henry’emu i to ma być koniec mojej opowieści, przynajmniej teraz. – Zostałam wybrana do pracy w fabryce, gdzie montowano zestawy radiowe do myśliwców, a potem pracowałam jako służąca w domu właściciela tej fabryki w Kolonii. To dlatego tam byłam, gdy przyjechałeś. Szukałam żołnierzy alianckich, a ty i Mike byliście pierwszymi, na których się natknęłam.

Być może dlatego, że był przy mnie Henry, przytulał mnie i dodawał mi otuchy, moja wyobraźnia dała mi tej nocy spokój. Poza Józefem, który trochę wcześniej mignął mi w cieniu z plikiem podręczników do anatomii związanych sznurkiem wiszącym mu u przegubu. Zostałam sama. Ale teraz miałam wrażenie, że Julia leży razem z nami w łóżku, przytulona do moich pleców, z twarzą zanurzoną w moich włosach, i dodaje mi siły. Cześć, gwiazdeczko, szepnęłam bezgłośnie.

Leżeliśmy w milczeniu. Henry zmrużył, potem zamknął oczy – długi i straszny dzień zrobił swoje. Przez chwilę gładził mnie jeszcze po plecach, potem przestał, głowa opadła mu na poduszkę i zasnął.

Rozbudzona i samotna w ciemnościach pozwoliłam sobie paść ofiarą własnej wyobraźni i choć zdawałam sobie sprawę, że to głupie dać jej się

ponieść, sięgnęłam ręką za siebie, by przytulić moją siostrę, ale znalazłam tylko pustkę i zimno.

SZTOKHOLM

Piątek, 20 grudnia 1946, popołudnie

Wracając z biblioteki, natykam się w holu na fru Larsson. Absolutnie nie wygląda to na przypadkowe spotkanie.

– Gdzie byłaś? – pyta, zanim zdążę zdjąć płaszcz.

– Poszłam na spacer – mówię wciąż zdyszana po biegu po schodach.

– A gdzie spacerowałaś?

Patrzy na mnie tak, że czuję się przyłapana. Jeśli powiem jej o bibliotece, będzie chciała wiedzieć, po co tam byłam.

– Na Strandvägen. – Strandvägen to szeroki bulwar biegnący wzdłuż nabrzeża portowego.

Fru Larsson prycha.

– Nic dziwnego, że jesteś zdyszana. A jak, twoim zdaniem, poszło ci rano?

– Myślę, że dobrze – odpowiadam z wahaniem.

– Słyszałam, że zadowolająco. Choć musisz się pilnować i zachować dystans. Spędzanie długiego czasu z kimś obcym dezorientuje go. Będziesz pamiętała?

– Na pewno – obiecuję, zastanawiając się, co ona słyszała.

– Dobrze. – Fru Larsson patrzy na mnie badawczo. – Wiem, że zapamiętasz.

Czuję się, jakbym znów była w szkole, ale liczy się to, że ona najwyraźniej nie ma pojęcia, kim jestem.

Gdy wchodzę do pokoju chorego, on drzemie z brodą na piersi.

Tak się śpieszyłam, by wrócić na drugą, że dosłownie biegłam przez miasto i dopiero teraz mogę się zastanowić, jakie znaczenie ma to, co odkryłam. Już wiem, że przed wojną studiował w Niemczech i przypuszczalnie mówi płynnie po niemiecku, wolał jednak nie rozmawiać ze mną w tym języku, choć jak mogę sobie wyobrazić, dobrze by się bawił, pró-

bując mnie na czymś przyłapać. Może już samo to coś mi mówi. Czy dla niego to jest po prostu gra, zmuszanie mnie do wysiłku, jeśli będę chciała się czegoś dowiedzieć, czy on chce coś ukryć? Coś, co powiąże go z wydarzeniami, o których wolałby zapomnieć. Prawdę mówiąc, gdyby był człowiekiem, którego szukam, i gdyby nakleił podpisane zeznanie na latarni ulicznej przy posterunku policji, nic by się nie stało. Nikogo by to nie obeszło, więc po co to ukrywać? A jeżeli to nie on, dlaczego jest taki skryty? Myśli krążą mi po głowie.

Pół godziny później Larsson się budzi i próbuje się podnieść. Zawiję maseczkę i pomagam mu usiąść. Prosi, bym mu rozmasowała zesztywniałą szyję. Zajęcie jest krępująco intymne, ale udaję, że bardzo się staram, nie dbając o to, czy przynoszę mu ulgę, czy sprawiam ból.

– Wystarczy – mówi w końcu. – Masz bardzo twarde palce.

– Robiłam to samo mojemu stryjowi i nigdy nie narzekał. – Moje kuzynki złościły się, że prosił mnie, a nie córki, ale w gruncie rzeczy były zadowolone, że zwalniałam je od uciążliwego obowiązku.

– Cóż, zapewne był zrobiony z twardszego materiału. Gdzie byłaś? Pachniesz inaczej.

– Wyszłam na dwór.

– To musiało być przyjemne.

Kiwam potakująco głową, zadowolona, że mogę sprawić, by poczuł się jeszcze gorzej.

– Ma pan rację, było. Pogoda jest ładna.

– Od roku nie wychodzę z domu. – W jego głosie słychać uzalanie się nad sobą.

– Mogę zapytać, czy macie wózek inwalidzki.

Prychnięcie.

– Żeby na ulicy wszyscy się ze mnie śmiali? Raczej oszczędzę sobie takiego upokorzenia.

– Wcale tak nie będzie. Ludzie nie zwrócą na pana uwagi. Są zbyt zajęci własnymi sprawami. – Jeśli on nie zechce wychodzić z domu, oszczędzi mi to wysiłku, a i tak nie będę tu uwięziona przez cały dzień.

Larsson milczy, nie podejmuję więc tego tematu; wracam do swojej roli i ściągam maseczkę.

– Podobała mi się nasza rozmowa rano.

– Spodziewam się, że chciałabyś dowiedzieć się o mnie więcej, mam rację? – mówi, gdy usiadłam. – Wykopać to, co zostało.

– Robi się pan śmieszny i o tym wie. Bawiło to pana, a poza tym rozmowa buduje zaufanie.

– Znowu ten psychoanalityczny bełkot. Czytałaś kiedyś jakąś książkę o tym? – Prycha. – Wiem tylko, że ta wymiana wydawała się jednostronna.

– Moim zdaniem wcale tak nie było. A jeśli było, to ja okazałam się bardziej otwarta.

Taka nużąca sprzeczka najwyraźniej stanie się niezbędnym elementem naszych rozmów, ale różnica między tą a poranną polega na tym, że teraz on chyba rzeczywiście chce porozmawiać, nawet jeśli nie potrafi tego głośno powiedzieć. Już naprawdę wierzę, że mogę go skłonić do przyznania się – jeśli ma się do czego przyznać.

– Opowiem panu, jak zostałam pielęgniarką – mówię, przejmując prowadzenie rozmowy.

– Och, niech zgadnę. Byłaś jedną z tych idealnych małych dziewczynek, które pragną naprawiać świat. Takich, które bawią się lalkami w szpital.

Uśmiecham się fałszywie. Nie jestem pewna, czy on widzi ten fałsz, ponieważ zapada już zmrok i mam twarz w cieniu. Zimą dzień jest tu bardzo krótki.

– I które cholernie irytują wszystkie normalne dzieci – kończy zadowolony z siebie.

– Wcale taka nie byłam.

Naburmusza się rozczarowany, że jego małe złośliwostki spłynęły po mnie jak woda po kacze.

– Choć moja matka była przed małżeństwem pielęgniarką, więc może mam to po niej.

– Kontynuuj zatem – mruczy, opadając na poduszki, może w końcu gotowy słuchać bez przerywania. To będzie mnie kosztowało i tym razem byłoby dla niego lepiej, aby miał w zamian coś wartościowego.

– Po pierwsze, myli się pan całkowicie co do tego, jakim byłem dzieckiem, przynajmniej do czasu, gdy skończyłam jedenaście lat. Ganiałam wówczas wszędzie z paczką chłopaków. Nie przyłapałby mnie pan na zabawie lalkami w szpital.

– Chłopcy cię akceptowali?

– Uważali mnie za jedną z nich. Jakoś zapominali, co mam pod ubłocnymi spodniami. Gdybyśmy zobaczyli prawdziwą małą dziewczynkę w sukience, pewnie ciągnęlibyśmy ją za warkocze i wrzucali chrabąszcze za kołnierzyk.

– A więc byłaś twarda i brutalna, a do tego byłaś postrachem swojej własnej płci. Co sprawiło, że obudziła się w tobie wrażliwość?

– Moja młodsza siostra zachorowała.

– Ta ładna, o której wspomniałaś rano?

– A więc pan słuchał – mówię, nabierając większej pewności siebie.

– Wciąż mam uszy i mózg.

– Zachorowała na szkarlatynę. Miała tylko pięć lat. Na plecach i ramionach miała wysypkę, język jej spuchł tak, że z trudnością przełykała i mówiła.

– A ile miałaś lat, gdy odgrywałaś rolę pielęgniarki?

– Dziesięć. – To było w 1936 roku. Rzeczywiście miałam dziesięć lat, a Julia pięć, ale jeżeli on zapyta o rok, będę musiała pamiętać, że dla fru Larsson dodałam sobie pięć lat.

– To wielka odpowiedzialność. Ona musiała być ci bardzo wdzięczna.

Powoli kiwam głową.

– Ale wyzdrowiała? – pyta ostrożnie, być może jest pod wrażeniem moich słów o Julii. Myślałam, że powie coś mądrego lub sarkastycznego, lecz wydaje się zamyślony. – Leczenie się powiodło?

– Co rano zmieniałam jej opatrunki, bandażowałam jej rękę, żeby nie mogła się drapać, choć niewiele to dawało, bo wieczorem była podrapana do krwi. Ale tak, wyzdrowiała, a ja się dowiedziałam, że jest coś potężniejszego niż antybiotyki.

– Co to jest?

– Wola życia.

– Mówisz, że najlepszym lekarstwem była nadzieja?

– Nie nadzieja. Nie powiedziałam tego. To była jej wola życia czy może raczej pragnienie posiadania czegoś, choćby małego, dla czego warto wyzdrowieć.

Larsson patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Nie wierzy mi pan? – Jak dotąd łykał wszystkie kłamstwa, które mu serwowałam, a nie dowierza, gdy mówię prawdę.

– Wierzę, dlaczego miałbym nie wierzyć? Ale nie zgadzam się z twoim wnioskiem.

– Nie sądzi pan, że umysł ma zasadnicze znaczenie dla zdrowia ciała?

– Oczywiście, że tak uważam. Nie zgadzam się jednak na podnoszenie tego na poziom literacki. Na robienie z tego powieści.

Jestem dotknięta do żywego.

– To, co powiedziałam panu o Julii, to nie była fikcja! – Nie próbuję ukryć złości.

On się uśmiecha, delectuje się moją wściekłością.

– Opowiedziałś mi historię. Przygotowałeś sobie materiał, podświadomie czy nie, aby wzbudzić zainteresowanie. Zbudowałaś napięcie, a gdy byłaś gotowa, podałaś zakończenie. W tym przypadku szczęśliwe.

Oburzona walczę, by mu przerwać, nie mogę jednak przebić się przez mur jego głosu, choć on mówi cicho.

– Mówię tylko – ciągnie – że to wydarzenie dobrze się skończyło, a ty odegrałaś swoją rolę. Twoja siostra przeżyła, przynajmniej częściowo dzięki twoim niemałym wysiłkom. Ogólna radość.

– Ona nie żyje – rzucam i niemal się zdradzam, bo chciałam dodać, że to się stało za sprawą człowieka, którego szukam.

– Och! – Jego poczucie wyższości, które usiłowałam przełamać, jakby zmalowało. – Jak? Przecież mówiłaś...

– To było później – przerywam i odzyskawszy panowanie nad sobą, dodaję łagodniej: – Gdy musiałam ocalić ją po raz drugi, zawiodłam ją. Równie dobrze mogła umrzeć jako pięciolatka. W końcu prawie ją zabiłam.

Larsson wpatruje się we mnie. Część jego twarzy jest w cieniu, lecz mimo to widzę, że zwilgotniało mu oko.

Nie! Nie zgadzam się. Nie wolno mu opłakiwać mojej siostry. Tak nie może być. Nie chcę, żeby jej pamięć skalalo współczucie tego odrażającego człowieka.

– Przepraszam, że kwestionowałem twoje słowa. Teraz rozumiem, że to było niewłaściwe. – To jasne, że chce zapytać, co się wydarzyło, co takiego zrobiłam, ale jest zbyt zdenerwowany, by się na to zdobyć.

– W porządku. – Powstrzymuję łzy, zaciskając powieki.

– Ja także miałem siostrę – mówi powoli. – Ona też była piękna. Miała na imię Klara.

Klara! Tak się do mnie zwrócił, gdy wczoraj wieczorem stałam w ciemnościach w drzwiach do jego pokoju.

– I również umarła młodo. – Patrzy na ścianę po drugiej stronie pokoju.

– Co się stało? – pytam bez ogródek, nie okazując mu najmniejszego szacunku, choć on właśnie mi okazał. Zbyt się boję, że zakończy rozmowę. To była bardzo bolesna wymiana, ale przynajmniej teraz coś się ruszyło.

– Umarła na tę samą chorobę, którą ja mam. Leczenie było wtedy nie tak nowoczesne jak dziś, a moi rodzice byli naiwni. Opiekowaliśmy się nią w domu. Oboje uważali, że tak będzie najlepiej, nie wzięli jednak pod uwagę, że ten bakcyl jest bardzo zaraźliwy, szczególnie w przypadku młodych organizmów. Zanim Klara umarła, zaraziłem się od niej, jakbym przejął pałeczkę w sztafecie. Gdy moja matka stała nad grobem jednego dziecka, nie miała powodu sądzić, że będzie, choć po wielu latach, stała nad grobem drugiego.

Po policzku Larssona spływa łza z żalu za siostrą albo nad sobą, któż to wie. Wyciera łzę chusteczką do nosa wyjętą spod kołdry.

Odwracam się, pozwalając lecieć moim własnym łzom, bezradna wobec ciężaru mojej ogromnej straty. Płacę za nimi wszystkimi – za moim przystojnym Olkiem o dumnym uśmiechu, za matką i ojcem, za moim mądrym bratem... za śliczną Julią, która nosiła na małych dłoniach siatkowe mitenki.

Podchodzę po omacku do kontaktu w ścianie, co daje mi sposobność pozbierania się. Wycieram twarz chusteczką, dopiero potem włączam światło.

Larsson obserwuje mnie, gdy wracam na krzesło. Oczy mam zapuchnięte, policzki czerwone.

– Opowiedzieliśmy sobie smutne historie – mówi. – Takie, które na różne sposoby poruszają nas oboje. Zgodnie z twoją teorią osiągnęliśmy nirwanę wzajemnego zaufania. – Uśmiecha się przekornie. Znika nuta smutku zauważalna w jego głosie jeszcze przed minutą. Szybko doszedł do siebie, a ja mam niemiłe uczucie, że on chciał tylko wyprowadzić mnie z równowagi.

– Mówiłam prawdę. – Jestem przytłoczona stratą, przepełniona żalem. Mam dość na dziś. Wymieniliśmy się wspomnieniami i to ja wyszłam na tym gorzej.

– Ja również. – Larsson uśmiecha się z wyższością, wydaje się, że ma więcej energii niż dobiegł do tematu. Jakby metoda, którą zastosowałam dziś rano, przywróciła go do życia, pomogła mu wydostać się z kokonu, ale mężczyzna, który się z niego wyłonił, podoba mi się jeszcze mniej.

Wracając korytarzem, mijam pokój fru Larsson. Drzwi są uchylone, zatrzymuję się na chwilę, potem idę przez hol. Z oddalonej kuchni dochodzi odgłos przestawiania ciężkich garnków.

Zastanawiam się, jakie pyszności są przewidziane na ten wieczór. Wczoraj mój posiłek szybko wystygł, a mnie pozostało obdzieranie kości ze skóry i wyławianie klusek z szarej brei. Ale zjadłam wszystko, grzebiąc widelcem, głośno przeżuując i pośpiesznie przełykając. Takie zachowania są nie do przyjęcia w dobrym towarzystwie; najpierw szokowały Henry'ego, potem go śmieszyły, a wreszcie, choć starał się to ukrywać, napełniały niesmakiem. Gdy było się głodnym – naprawdę głodnym, tak jak my w getcie – zmienia się podejście do jedzenia

Hałas w kuchni cichnie, przebija się głos fru Larsson. Słyszę szuranie krzesła po podłodze i rozmowę.

Postanawiam wrócić do pokoju mojej pracodawczyni i pośpiesznie ruszam korytarzem, którym przyszłam. Jeśli mnie tam nakryje, będę udawała, że jej szukałam, aby poprosić o mój klucz.

Drzwi zostawiam przymknięte, podchodzę do biurka i siadam na krześle. Mam przed sobą oprawione w ramki zdjęcia, które wcześniej

widziałam tylko od tyłu. Spodziewam się znaleźć zdjęcie mojego pacjenta, może nawet w mundurze, ale widzę tylko podobizny nieznannej mi młodej kobiety w letniej sukience i kapeluszu oraz starszego mężczyzny w garniturze, o siwych, przygładzonych olejkiem włosach.

W rogu stoi telefon mojej pracodawczyni i przez moment wyobrażam sobie, że zadzwonię do Henry'ego, ale nie ma na to czasu, a poza tym dobrze wiem, jak to będzie wyglądało. Jego mieszkanie nie ma własnej linii, a wspólny telefon na klatce schodowej będzie dzwonił wieki, zanim ktoś poczuje się zmuszony, by odebrać, a potem trzeba będzie długo czekać, aż Henry podejdzie. I nawet jeśli rzuci słuchawką, gdy się dowie, że to ja, moje wyszeptane przeprosiny oraz frustracja i rozczarowanie Henry'ego będą zbyt trudne do zniesienia.

Trzecie zdjęcie leży na boku między telefonem a zasłonką. Podnoszę je, przez chwilę widzę w szkle swoje odbicie. Zdjęcie przedstawia chłopca stojącego na werandzie. Chłopiec ma dwanaście lub trzynaście lat i uśmiecha się do fotografa. Ramię trzyma na uchwycie fotela na kółkach, na którym siedzi przykryta kocami mała dziewczynka; ma buzię wystawioną do słońca i włosy zlepione potem.

Próbuję rozpoznać te dzieci i wtedy słyszę kroki w korytarzu. Zaskoczona zapominam, że miałam zachować się jakby nigdy nic, szybko odsuwam krzesło, by schować się pod biurkiem. Zdjęcie wypada mi z ręki i uderza o podkładkę na biurku. To tylko kilka centymetrów, ale szkło pęka.

Drzwi zostają zamknięte, klucz przekreślony, a ja jestem uwięziona.

Kroki się oddalają.

Gdy mój oddech zwalnia, wyglądam z kryjówki i rozmyślam o swojej sytuacji, która jest o wiele gorsza, niż byłaby, gdyby fru Larsson weszła i mnie tu zastała. Mogę tu siedzieć całymi godzinami, a i tak w końcu będę musiała ponieść konsekwencje. Jak na ironię mam teraz mnóstwo czasu, aby się tu rozejrzeć – klucz do biurka wystaje spod rogu podkładki na poziomie moich oczu – ale chcę się tylko stąd wydostać.

Wyglądam z okna na podwórko dwa piętra niżej. Mam tylko jedno wyjście, co prawda, desperackie.

Wchodzę na krzesło, przekładam nogę przez framugę. Kilka sekund siedzę okrakiem na parapecie, zastanawiając się nad skokiem i utwier-

dzając się w decyzji, potem przerzucam drugą nogę, przysiadam na krawędzi i lecę w dół.

KOLONIA

Kwiecień – lipiec 1945

Początek lata 1945 roku w Kolonii. Każdego rana wsiadałam do jeepa, który zawoził mnie do zarekwirowanego budynku poczty, gdzie pracował Henry. Tymczasem wojna wydawała się coraz bardziej odległa, ponieważ armia niemiecka poddała się nad Renem, a wojska alianckie parły na wschód.

W kwietniu Brytyjczycy i Amerykanie wyzwolili kolejne obozy koncentracyjne – wszystkie obozy wyzwolone do tej pory znajdowały się na terenach zajętych przez Sowietów – i napływ informacji zamienił się w potop, a skala potworności stała się jasna.

Pod koniec czerwca od czterech miesięcy należałam do naszego małego zespołu. Formalnie nadal mieszkalam w obozie dla dipisów, ale w praktyce coraz rzadziej przestrzegano obowiązujących tam zasad. Co wieczór podwożono mnie do obozu już po zgaszeniu świateł; wracałam do swojego baraku po ciemku, znałam każdą dziurę w bruku, chwiejące się drewniane kładki, rozciągnięte linki namiotowe.

W lipcu, w dniu obchodów zwycięstwa w Europie, przerwaliśmy pracę w południe.

Henry został zaproszony na wieczorne przyjęcie w konsulacie brytyjskim. Było to najbardziej prestiżowe wydarzenie tego rodzaju w mieście i Mike droczył się z nim, mówiąc, że wszyscy mężczyźni zabiorą ze sobą żony albo kochanki, które przedstawią jako żony, a on będzie sam.

– Elso, chciałabyś pójść ze mną? – zapytał Henry, gdy siedzieliśmy na słońcu, paląc papierosy.

– Na przyjęcie? – Ta propozycja mnie zaskoczyła, ale i podekscytowała, nic w tym dziwnego. Nigdy nie byłam na czymś wspanialszym niż wiejskie wesele. Wypuściłam dym kącikiem ust niczym stary wiarus, by ukryć podniecenie. – A co, u licha, mam na siebie włożyć? Wyrzuć mnie, jak tylko przyjdę... Albo zagonię do pracy w kuchni.

Henry zerknął na moją sfatygowaną sukienkę i pocerowany sweter, które nosiłam codziennie.

– Można by pomyśleć, że ci nie płacimy – mruknął, gasząc papierosa na schodku. – Chodź ze mną.

Poszłam za nim dookoła budynku do rampy, gdzie kiedyś podjeżdżały furgonetki pocztowe. Motocykl Henry’ego stał na swoim miejscu pod resztkami okapu. Henry usiadł na siodełku i zapalił silnik.

– Wsiadaj – ponaglił mnie, podjeżdżając bliżej i poklepując skórzane tylne siedzenie. – Nie bój się.

Ten niemiecki motocykl wojskowy był przeznaczony dla kurierów. Na szarym lakierze miał dużo zarysowań i wgnieceń, ale silnik był dobry, pracował miarowo, gdy Henry robił małe kółko.

Nigdy nie jechałam motocyklem, wbijałam więc paznokcie w ramiona Henry’ego, gdy pędziliśmy śliską drogą. Na skrzyżowaniu Henry się zatrzymał, sięgnął po moje ręce i ułożył je tak, bym obejmowała jego pierś. Ruszyliśmy.

– Trzymaj się mnie – powiedział – inaczej spadniesz na pierwszym zakręcie, a ja nie chcę mieć cię na sumieniu.

Wjechaliśmy na pustą drogę, Henry przyśpieszył, silnik już nie warczał, tylko ryczał. Wiatr rozwiewał mi włosy, zarzucił dół sukienki na uda. Henry krzyczał i śmiał się do wiatru. Trzymałam się go z całej siły z oczami mocno zamkniętymi z przerażenia, nie dbając o to, że mój uścisk może pozbawić go tchu.

Zawiózł mnie do sklepu z używaną odzieżą dla kobiet. Miejsce wyglądało na opuszczone, szyby okienne były pokryte kurzem, farba na drzwiach odpadała płatami. Gdy weszliśmy, zabrzączał dzwonek.

W środku nie paliło się światło, korytarz prowadzący do przebieralni tonął w ciemnościach. Mimo tego nędznego stanu we wnętrzu pozostały resztki dawnej świetności w postaci pokrytego aksamitem szezlongu i wysokiego lustra w złoconej ramie.

Z mroku wyłoniła się starsza kobieta w żałobnej czerni. Spojrzała na Henry’ego, potem na mnie, usta miała zaciśnięte.

– Ta pani potrzebuje sukni na przyjęcie – oznajmił Henry z chłopięcym entuzjazmem.

Kobieta skinęła głową i dała mi znak, żebym poszła za nią.

Zaprowadziła mnie za kotarę i wyjęła suknie – przedwojenne, pachnące naftaliną i wilgotnym tynkiem.

– Proszę wybierać – mruknęła.

– Tam – powiedziałam, wskazując wysoko zawieszony drążek za jej plecami, a na nim coś z czerwonego jedwabiu, co nie znalazło się wśród wybranych przez nią sukien.

Kobieta weszła na kilka schodków i zrzuciła to na dół, żebym złapała.

– Gdzie jest przebieralnia? – zapytałam.

– Nie ma przebieralni, światło jest wyłączone.

Wciągnęłam suknię na oczach tej kobiety i obróciłam się przed lustrem. Nigdy nie miałam na sobie czegoś takiego. Wyglądałam jak gwiazda filmowa. Uniosłam włosy do góry i przyglądałam się przez ramię swoim nagim plecami.

– Temu Amerykaninowi spodoba się pani w tym – powiedziała kobieta. – Zawsze im się to podoba. Niech pani teraz wyjdzie i mu się pokaże. – Zastanawiałam się, czy jej powiedzieć, że pomyliła się co do narodowości mojego towarzysza, ale byłam zbyt podekscytowana.

Czułam się trochę głupio, wychodząc zza kotary, ale wyraz twarzy Henry’ego był tego wart. Nie było to zadowolenie ani zaskoczenie, lecz coś zupełnie innego – przerażenie.

Wróciłam za kotarę i rozpięłam suknię, która opadła mi do kostek.

Kobieta ją podniosła i zaczęła składać.

– Nie myśl, że to cię dokądkolwiek zaprowadzi – powiedziała, nawiązując do swoich wcześniejszych słów. – On się ciebie pozbędzie, gdy się już zabawi.

To jest twoje zdanie, pomyślałam. Nie byłam pewna, jak zakończy się ten dzień, ale zadawałam sobie pytanie, czy tym razem mam przynajmniej jakieś karty atutowe.

Przyjęcie odbywało się w ogrodzie na przedmieściu. Między drzewami były rozwieszane brytyjskie flagi. Gdy zaczęło się ściemniać, dwoje angielskich dzieci, chłopiec i dziewczynka, krążyło dookoła i zapalało małe świece w zielonych, niebieskich, różowych i żółtych szklanych pojemnikach umocowanych na drutach zwisających z niższych gałęzi.

Trzymałam się Henry’ego, gdy przechodziliśmy od grupy do grupy gości, rozmawialiśmy z oficerami, dyplomatami, a także prawnikami; niektórzy z nich mnie znali i z trudem ukrywali zdziwienie na mój

widok. Za plecami Henry'ego padło kilka sprośnych dowcipów, a ja, widząc, że on się rumieni, również się rumieniłam.

Około dziesiątej Henry przeprowadził mnie przez budynek konsulatu. Przed wejściem czekał na nas jeep, którym przyjechaliśmy.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam, ale odpowiedzią był tylko tajemniczy uśmiech.

Wróciliśmy do miasta i zatrzymaliśmy się nad rzeką, niedaleko katedry, gdzie cztery miesiące wcześniej Henry i Mike znaleźli mnie wędrującą bez celu.

Henry wyjął z tyłu wozu torbę i powiedział, żebym poszła za nim.

Weszliśmy na frontowe schody katedry, pchnęliśmy pocerniałe od dymu drzwi i wkroczyliśmy w mrok. Wewnętrznych drzwi do południowej wieży kościoła nie było, wspięliśmy się po schodach na samą górę.

Henry pociągnął mnie do otworu okiennego. W dole rozciągała się siatka zniszczonych przez wojnę ulic. Nad naszymi głowami migotały gwiazdy. Ta sceneria była zarówno pełna powagi, jak i piękna. Wpatrzona w dal zastanawiałam się, czy w świetle dziennym udałoby mi się zobaczyć dom Winkllów na odległym przedmieściu, gdzie spędziłam tyle czasu.

Wiatr podwiewał mi sukienkę. Nie zdawałam sobie sprawy, że drzę, dopóki Henry nie zdjął marynarki i nie okrył mi ramion.

– Ile masz lat, Elso? – zapytał cicho.

– Dziewiętnaście – skłamałam, choć tylko trochę; moje urodziny przypadały za kilka dni. Elsa Winkell miała by jednak tylko szesnaście lat i taki wiek figurował w jej dowodzie tożsamości, którym się posługiwałam. Na szczęście nikt nie zwrócił na to uwagi.

Henry otworzył torbę stojącą u jego stóp, wyjął koc, rozłożył go na kamiennej posadzce i zachęcił mnie, bym usiadła. Znów sięgnął do torby, tym razem wyjął dwa kieliszki i butelkę wina, które zabrał z przyjęcia.

Wyciągnął korek, napełnił kieliszek i podał mi go. Spojrzałam na wino, potem na Henry'ego, rozmyślając o tej chwili, tym czasie i miejscu, które wybrał.

– Pomyślałem, że po tak ciężkiej pracy zasłużyliśmy na małe święto tylko dla nas – wyjaśnił.

Wzięłam kieliszek drżącą ręką.

On podniósł swój do ust.

– Co świętujemy? – Byłam zdenerwowana, a jednocześnie podekscytowana i próbowałam potraktować lekko tę sytuację.

Wino było słodkie i orzeźwiające.

– Nic konkretnego, tylko mam wrażenie, że ten wieczór to święto na cześć żywych. – Starał się, by to wszystko, picie musującego wina na wieży górującej nad miastem, wydawało się spontaniczne, podczas gdy wcale takie nie było.

Na przyjęciu wypłam bardzo mało, a teraz miałam głowę pełną bąbelków. Henry'emu też kręciło się w głowie. Opowiadał o swoim dzieciństwie w Ontario, o tym, jak dorastał nad jeziorem, w weekendy łowił ryby z ojcem i miał psa.

Tak jak poprzednio dopytywał się o moje życie. Przez wino miałam mętlik w głowie, myliłam Elbę z Hanną, przekreślałam fakty, o których mówiłam mu wcześniej. Zaśpiewałam nawet kilka wersów polskiej piosenki ludowej, której nauczyłam się w szkole.

A Henry wcale nie wydawał się tym zdziwiony.

– Masz piękny głos, Elso.

Zarumieniłam się i spuściłam wzrok, aby uniknąć jego spojrzenia.

– Zaśpiewaj ją dla mnie jeszcze raz.

Gdy doszłam do końca, położył dłoń na mojej i nachylił się. Jego usta znalazły kącik moich ust, ale nasze nosy się zderzyły, jego wąsy połąskotały mnie w policzek, a on się cofnął.

– Przepraszam – szepnął. – Nie powinienem tego robić.

Milczałam. Nie miał za co przeproszać. Od tygodni się na to zanosilo, a ja wiele razy mogłam temu zapobiec.

Henry podniósł butelkę i sprawdził jej zawartość. Była pusta. Wystawił rękę za balustradę i wypuścił butelkę z dłoni. Był to smutny gest z nutą rozpacz i wyraz jego nastroju zupełnie innego niż przed minutą. Serce mi zamarło, gdy czekaliśmy na uderzenie butelki o posadzkę.

Zawsze podejrzewałam, że jego życzliwość ma swoją cenę. Zrobiłabym błąd, gdybym postanowiła teraz uregulować rachunki. Ten wieczór

prowadził do czegoś, co było oczywiste od chwili, gdy wsiadłam na motocykl. Jediną kwestią było, czy to się stanie.

Henry wstał, ja również. Zawinął kieliszki w koc i włożył do torby.

– Chodźmy – rzucił.

Było mi żal i jego, i siebie, że to, co zaplanowałam, nie potoczyło się tak, jak miałam nadzieję. Na schodach wzięłam go za rękę. Skoro on mnie pragnie, to czemu nie? Co mogę stracić? Nie mam już nikogo. A poza tym byłam mało znaczącą nagrodą.

Henry odwrócił się do mnie, spojrzeliśmy na siebie. Fakt, że trzymałam go za rękę, przywrócił mu trochę pewności siebie, ale w jego oczach nie widziałam już – co mną wstrząsnęło – typowej dla niego pogody ducha, wydawał się raczej przestraszony, jakby wiedział, co jestem gotowa mu zrobić, zanim jeszcze to zrobiłam.

SZTOKHOLM

Sobota, 21 grudnia 1946, rano

– Dzień dobry – mówi mój pacjent; jego dobry humor wyprowadza mnie z równowagi.

– Dzień dobry – odpowiadam ostrożnie.

Zawiązuję maseczkę, podchodzę do łóżka i wyglądam pościel, odgrywając rolę pielęgniarki.

Myśli na jego temat przyprawiają mnie o jeszcze większy mętlik w głowie. Zdjęcie, które wczoraj wieczorem ukradłam z pokoju fru Larsson, bez wątplenia przedstawia jego i jego siostrę. Wciąż nie wiem, kim jest ten człowiek, ale przynajmniej część z tego, o czym wczoraj mówił, okazała się prawdą. Fakt, że byłam tym zaskoczona, jest miarą mojej nieufności.

Ale ważne jest również to, że on nie wie, iż mam co do niego wątpliwości, bo inaczej już by mi się nie udało skłonić go do otworzenia się.

– Dziękuję, że zaufał mi pan wczoraj – mówię, mając nadzieję, że weźmie to za dobrą monetę.

– Chodzi o Klarę?

– Tak, o to, co mi pan opowiedział o Klarze.

– Nie byłem pewny, czy mi uwierzyłaś.

– Oczywiście, że uwierzyłam, dlaczego miałabym nie uwierzyć? – pytam zaniepokojona, że tak łatwo mnie przejrzeć.

– Ludzie nie zawsze mówią prawdę.

– Nie mamy powodu okłamywać się nawzajem – ripostuję, czując, że się rumienię.

– Oczywiście – mówi. Mój pacjent nie zdaje sobie sprawy, z jaką handlarką kłamstw ma do czynienia. Zdjęcie jest schowane pod moim materacem. Zabrałam je, kierując się wątpliwą logiką – rozbite szkło ujawni, że byłam w tym pokoju, ale jeśli zdjęcie zginie, nikt się nie domyśli. Później znajdę lepszą kryjówkę. Jednak jeśli zdjęcie zostanie znalezione,

co wtedy? Czy zostanę dyskretnie odprawiona, czy wpadnie policja i mnie aresztuje?

Wczorajsze wejście do pokoju fru Larsson pod wpływem impulsu, bez żadnego planu, było bardzo ryzykowne, a po tym, jak mnie zamknęła, mogłam wyjść, tylko skacząc na schody pożarowe dwa metry niżej. Zrobiłam to niezgrabnie, omal nie wpadłam pod poręcz; gdybym się pośliznęła, poleciałabym dwa piętra w dół.

Z trudem zeszłam do „tajemniczego ogrodu” Göstena i lawirując między donicami bez roślin, weszłam do holu.

Gösten był na portierni. Zaskoczyło go, ale i ucieszyło moje niezapowiedziane przybycie. Spędziłam z nim godzinę, dopóki się nie uspokoiłam.

Zapytał mnie, jak sobie radzę z opieką nad chorym; być może skojarzył to moje wejście do holu oraz tamto wcześniejsze z zachowaniem mojego pacjenta i wyobraził sobie, że cierpię.

Odparłam, że wszystko jest w porządku, starając się wyglądać na zadowoloną, i zapytałam go, jak dobrze zna Larssona, licząc na jakieś dodatkowe szczegóły.

– Znałem go jako młodego chłopca, a potem młodego mężczyznę, ale nie za dobrze.

– Czy on wyjechał na studia?

– Do Niemiec.

– A później?

Gösten pokręcił głową i spuścił wzrok. Czy powiedział już wszystko, co wie, czy wie więcej, ale nie chce powiedzieć?

W końcu zadzwoniłam do drzwi mieszkania, zmuszając Monę do wpuszczenia mnie, co ją zirytowało. Nie czułam się winna, wyciągając ją z kuchni. Skoro fru Larsson nie zamierza dotrzymać obietnicy i nie daje mi klucza, obie będą musiały się przyzwyczaić do wpuszczania mnie.

– Jesteś gotowa? – pyta mój pacjent, nachylając się, więc mogę poprawić poduszki.

– Wezmę brzytwę.

– Jest sobota, prawda? – upewnia się. – Straciłem rachubę czasu, ale brzmi, jakby mogła być.

Muszę pomyśleć. Mieszkam w tym domu zaledwie od kilku dni, ale w porównaniu z restauracją czas płynie tu wolniej.

– Tak – potwierdzam. – Ale jak brzmi sobota?

– Samochody warczą, tramwaje dzwonią, a latem ptaki weselej śpiewają.

– Podoba mi się uwaga o śpiewających ptakach. Zimą się o nich zapomina, ale zawsze przyjemnie znów usłyszeć je wiosną.

– Miejmy nadzieję, że wiosną, gdy ptaki wrócą, nadal tu będziesz.

Jesteśmy bardzo uprzejmi wobec siebie, rozmawiamy jak dobrzy znajomi. To niepokojące. Nie mogę sobie pozwolić na to, by się z nim zaprzyjaźnić. Jeśli się okaże, że jest mężczyzną, którego szukam, będę musiała być silniejsza i bardziej stanowcza niż kiedykolwiek.

– Cóż, zobaczymy – mówię i niczym prawdziwa pielęgniarka dodaję: – Przypuszczam, że wszystko zależy od zachowania mojego pacjenta. – Albo od tego, czy przeżyje. – A więc co dzieje się w sobotę, że jest dniem szczególnym? – Wychodzę zza parawanu z miską gorącej wody.

– To jest dzień mojej kąpieli.

– Muszę cię wykapać! – Próbuje ukryć strach, ale miska mi się trzęsie i woda się przelewa.

– Tak, zmyć stare pokłady.

– Oczywiście – mówię, unosząc kapiącą brzytwę, i przejeżdżam nią gwałtownie po jego policzku.

– Czasami mam wrażenie, że wcale nie jesteś pielęgniarką – mówi, gdy sunę gąbką po jego piersi między połami bluzy od pizamy i pod pachami. On mógłby zrobić to sam, zastanawiam się więc, dlaczego woli, żeby mył go ktoś obcy.

– Na przykład kiedy?

– Na przykład, gdy się rumienisz. Myślałem, że wszyscy jesteśmy tylko ciałami.

– Nie mam z tym żadnego problemu – zapewniam rzeczywiście zarumieniona. Nie chodzi o ciała jako takie, mogłabym mu szczerze powie-

dzieć, że dość się ich naoglądałam. To kwestia bliskości z nim i człowiekiem, którym może się okazać.

Larsson sam przewraca się na bok, choć widać na jego twarzy, że jest mu niewygodnie, a ja przeciągam gąbką po jego kręgosłupie, rozpryskując mydliny. Mój pacjent ma na boku wklęsłą bliznę; rana się zagoiła, ale ją omijam.

Zamykam oczy i myję rowek między jego pośladkami. Miałam nadzieję, że on będzie wolał sam się umyć w tym miejscu.

Wrzucam gąbkę do miski i osuszam ręcznikiem skórę na jego talii.

Larsson opada na poduszki, ale kołdra się ześlizguje, tak że widać jego penis leżący na udzie. Oboje zamieramy, gapiąc na niego, jakby jakiś arogancki intruz wdarł się do pokoju.

Larsson szybko podciąga kołdrę do pasa, teraz przyszła jego kolej, by się zarumienić. Może ja też powinnam, ale na widok tego komicznie małego atrybutu męskości udaję obojętność i uśmiecham się w środku.

Opanowanie sytuacji zajęło krótką chwilę, a gdy jestem za parawanem, otwierają się drzwi, wchodzi Mona z tacą z poranną kawą i stawia ją z hukiem.

Wynurzam się zza parawanu i widzę dwie filiżanki oraz dzbanek. Po raz pierwszy przyniesiono kawę także dla mnie.

– Dołącz do mnie – mówi mój pacjent, wydaje się zadowolony z siebie. Zaplanował to sobie.

Biorę filiżankę i siadam przy drzwiach, by zachować dystans.

– Jest trochę gorzka – mówi. – Przepraszam, ale trudno zdobyć dobrą kawę.

Wzruszam ramionami. Kawa jest taka sama jak ta, którą serwowałam w restauracji, a poza tym pijałam gorszą.

– Mam taką zasadę – mówię. – Jeżeli nie można czegoś zmienić, trzeba wykorzystać jak najlepiej to, co się ma.

Larsson uśmiecha się szyderczo, odsłaniając pożółkłe zęby. Ten wyraz twarzy jest dla niego czymś tak naturalnym, że prawdopodobnie nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Masz cały zbiór takich powiedzonek, prawda?

– Nie wiem, o co panu chodzi.

– Cóż, wczoraj mówiłaś o „woli życia” jako najważniejszym czynnikiem niezbędnym dla wyzdrowienia. Przypuszczałem wtedy, że to taka świecka mądrość, ale po namyśle uważam, że o ile nie zaniedbuje się przy tym leczenia, zasadniczo masz rację. Pragnienie przeżycia musi być ważnym czynnikiem.

– Mówiłam to na podstawie obserwacji.

– Z twojej długoletniej pracy jako pielęgniarki?

– Z moich kilku lat pracy jako pielęgniarki – replikuję ostro.

Mój pacjent patrzy na mnie.

– Dlaczego musisz przez cały czas przyjmować cholerną pozycję obronną? Myślę, że choć jestem schorowany, mam prawo do swoich poglądów.

– Przykro mi. – Skrępowana coraz większą poufałością rzeczywiście się bronię, gdy w gruncie rzeczy on się ze mną zgadza, a przecież próbuję zdobyć jego zaufanie. Czując odrazę do niego jako mężczyzny, zapominam, po co tu przyjechałam.

– Jeżeli mogę cię o coś zapytać... Czy wola życia odegrała rolę w leczeniu twojej siostry?

– Chodziło o to, by czegoś znów zapragnęła.

– A czego zapragnęła?

– Chciała, żebym ją nauczyła jeździć na łyżwach, dlatego musiała wyzdrowieć.

– Jak ci się udało obudzić to pragnienie?

– Przyniosłam moje stare buty, z których wyrosłam, ale na nią pasowały idealnie, pomogłam je wypastować i przymocować łyżwy. Zainteresowała się i to sprawiło, że cel stał się osiągalny.

– I?

– Pewnego dnia poczuła się dostatecznie dobrze, żebyśmy mogły wyjść.

– A jak sobie poradziła?

– Doskonale. Upadała, ale kilka siniaków jej nie zniechęciło.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie nas na zamarzniętych moczarach, trzymających się za ręce, lawirujących między trzcinami. Na początku uczyłam ją, wykorzystując techniki, które stosował wobec mnie nasz brat Józef – na przykład ciągnęłam ją za sobą, trzymając jeden koniec gałęzi sosny, podczas gdy ona trzymała drugi – ale Julia tego nie potrzebowała. Miała wdzięk, potrafiła przemienić najzwyczajniejszy spacer we fruwanie. Była urodzoną tancerką i już przed chorobą początkującą utalentowaną baletnicą. Jazda na łyżwach nie sprawiała jej trudności. W jej przypadku wydawała się czymś łatwym.

– Opowiedz mi więcej o Klarze – mówię, zmieniając temat, żeby już nie myśleć o losie Julii.

– To było dawno temu.

Czekam na więcej, ale mój rozmówca milczy, a do mnie dociera, że nie zamierza się zwierzać, choć ja to zrobiłam.

– I? – Próbuję go skłonić do mówienia.

– Wolałbym o niej nie rozmawiać. Temat jest ciągle zbyt bolesny.

– Tak, ale... – wykrztuszam. Temat jest „zbyt bolesny”, ale on z zadowoleniem wypytywał mnie o Julię. Jeśli nie zamierza się odwzajemnić w tak prostej sprawie, jak mi się uda naprowadzić go na trudniejsze tematy?

W mieszkaniu piętro wyżej ktoś zaczyna grać na pianinie. A my słuchamy. Początkowo melodia brzmi dobrze, lecz gdy grający opuszcza nutę, Larsson się krzywi. Ta oznaka przesadnej wrażliwości to już dla mnie za dużo, nie potrafię dłużej panować nad swoją frustracją.

– Pan uważa wszystkich za gorszych od siebie, prawda? – rzucam rozzłoszczona. – Cóż, ja...

Zapanowanie nad sobą kosztuje mnie dużo wysiłku. Nie mogę spojrzeć mu w twarz, widzę jednak kątem oka, że on siedzi i gapi się z rozdziawionymi ustami. Wątpię, czy przez wiele ostatnich lat ktokolwiek, może z wyjątkiem jego matki, ośmielił się mówić do niego w ten sposób.

Otwierają się drzwi, wchodzi Mona z zupą na obiad, Larsson zamyka usta.

Mona stawia tacę na stole, a dla mnie jest to znak, że mam wyjść.

W korytarzu przystaję, by moje serce zwolniło. To irracjonalne, że poczułam się urażona. Zastanawiam się, ile mojej pracy nad zdobyciem

zaufania tego pacjenta poszło na marne. Jakie to ma znaczenie, że on nie chce rozmawiać o Klarze? Zapytałam go o siostrę tylko po to, żebyśmy przestali rozmawiać o Julii. Tu nie chodzi o Klarę. A poza tym, jeśli on chce się złościć na czyjąś marną grę na pianinie, niech to robi; mnie prawdopodobnie również by to drażniło, gdybym nie mogła od tego uciec.

Między Moną i mną z pewnością nie ma przyjaźni. Ale jestem jej wdzięczna choćby za to, że toleruje moją obecność w porze posiłków. Ciekawe, jak było z innymi pielęgniarkami. Przypuszczam, że te bardziej bojaźliwe jadły w swoich pokojach.

W garnku na kuchence jest dużo zupy, grudkowego, szarozielonego bulionu, ale siedzę i czekam na powrót Mony.

Gdy wchodzi, jestem już spokojna, przynajmniej na zewnątrz, kłębiące się w środku uczucia są niewidoczne.

Mona, ledwie rzuciwszy na mnie okiem, wyjmuję z kredensu miskę i nalewa do niej trochę swej kuszącej mikstury.

Jem, a ona na drugim końcu stołu szoruje ziemniaki i układa je na blacie.

– Co słyhać? – pytam. Wbrew oczekiwaniom zupa okazuje się smaczniejsza, niż wygląda. Jest także sycąca i rozgrzewa mnie w środku.

Mona ze szczotką w dłoni zastanawia się nad odpowiedzią. To nie jest pytanie otwarte, jakie ona lubi, a poza tym nie ufa mi jak każdemu cudzoziemcowi i ma do tego prawo. Mona należy jednak do osób, które nawet jako niemowlęta nie ufały własnej matce.

– Przygotowuję kolację, jak widzisz.

Uśmiecham się, udając życzliwe zainteresowanie, bo nie chcę, żeby tak łatwo mnie spławiła.

– A co będzie na kolację?

– Mięso duszone z ziemniakami.

– Mniemam, mięso duszone z ziemniakami, moje ulubione, zwłaszcza na zimno.

– To dobrze, nie będziesz więc rozczarowana. – Mona myśli, że uważam się za lepszą od niej, co w gruncie rzeczy jest prawdą. Nie chciała-

bym jeszcze stracić posady, choć perspektywy są mizerne. Po prostu muszę lepiej to ukrywać.

– Przypuszczam, że syn fru Larsson tęsknił za wami wszystkimi, gdy był w Niemczech – rzucam lekkim tonem.

– Przypuszczam, że jakoś to przeżył.

– Ale nie wrócił stamtąd zdrowy?

Mona patrzy na mnie surowo. Wytrzymuję jej spojrzenie, ale jestem wstrząśnięta jego intensywnością.

– Pytam jako jego pielęgniarka – mamrocze wytrącona z równowagi.
– Myślę, że powinnam znać przebieg choroby.

– Jestem pewna, że powiedziano ci wszystko, co musisz wiedzieć. –
Mona wraca do szorowania z jeszcze większym zapałem. Nie chciałabym być warzywem w jej silnych rękach.

– Chyba masz rację – zgadzam się potulnie.

Wyjmuje z szuflady ostry nóż, kroi ziemniaki w plastry i wrzuca do dużej miski z wodą. W szufladzie leży mnóstwo noży, włącznie z dobrze naostrzonymi nożami do krojenia mięsa. Dobrze wiedzieć, że mam pod ręką przydatne narzędzia, choć myśl o konieczności użycia któregoś z nich budzi we mnie przerażenie. Czy poderżnę mu gardło, czy go zasztyletuję? Wyobrażam sobie ucieczkę z tego mieszkania, krwawe ślady butów na śniegu, jak na tej makabrycznej ilustracji z mordercą w książce o prawdziwych zbrodniach.

– Może on wrócił, bo tęsknił za twoją kuchnią. – Próbuję zażartować, aby odegnać okropne myśli, a także trochę rozładować ciężką atmosferę. Mona zamiast się rozluźnić sztywnieje. Ona naprawdę nie ma poczucia humoru, już to wiedziałam, ale zdenerwowana mrocznymi wizjami popełniłam błąd i tylko pogorszyłam sytuację. Mona sądzi, że z niej szydę.

– Powód jego powrotu to jego sprawa – warczy. – I jego matki.

– Tak, oczywiście – przytakuję. – To z pewnością nie moja sprawa. – Wstaję i podchodzę do kredensu, z którego nieproszona, bardziej by się odegrać, a nie dlatego, że mam ochotę, biorę drżącą ręką pomarszczone jabłko. Głośno się w nie wgryzając, wychodzę z kuchni.

Ta szermierka słowna mnie wyczerpała. Jakbyśmy walczyły, a ja zraniłam przeciwniczkę. Zostawiłam Monę jeszcze bardziej podejrzliwą

w stosunku do mnie niż wcześniej, jeżeli to w ogóle możliwe. Kolejny taki błąd może być moim ostatnim. Jestem bliska zrobienia sobie wroga z tej kobiety, podczas gdy najbardziej jest mi potrzebny przyjaciel.

KOLONIA

Kwiecień – maj 1945

– Czy ona żyje?

– Chyba oddycha... ale trudno powiedzieć.

– Skąd się wzięła cała ta krew? Jest wszędzie. Mam ją na nogach. Na pewno nie może być tylko jej.

– Ma rozbitą głowę.

Powoli odzyskiwałam przytomność, otworzyłam oczy. Wysłano już kogoś po zarządcę do biura obozu dla dipisów, ponieważ przypuszczano, co zupełnie zrozumiałe, że nie żyję i trzeba mu przekazać tę wiadomość.

– Mówię wam, nic jej nie jest – orzekła pochylona nade mną sąsiadka z dolnej pryczy. – A że wszystko jest w porządku, chcę się trochę przespać.

Przyglądało mi się jakieś pięć kobiet. Nie widziałam ich twarzy. Na zewnątrz panowały ciemności, a światło w baraku było wyłączone. Czułam zapach kapusty z ich ust i dotyk kościstych palców na swojej czaszce.

– Zrobić przejście – rozkazał głos od drzwi.

– Ona spadła z górnej pryczy – wyjaśniła jedna z kobiet.

– Mogła skręcić sobie kark, biedaczka.

– Mówiłam im, że dwa metry to za dużo. Czy tego nie mówiłam? Ale oczywiście nikt mnie nie słuchał.

– Ona krzyczała przez sen coś okropnego...

Krzyczałam przez sen! To była dla mnie nowość. Myślałam, że mam w głowie pustkę. Czyżby coś mi się śniło i niczego nie pamiętałam?

– Zupełnie nie można się porządnie wyspać przy całym tym zamieszaniu.

– ...jak zagubiona dusza.

Mocne ramię uniosło mnie do pozycji siedzącej. Do ucha kapąła mi krew. Wszystko wokół wirowało. Światło latarki przesunęło się po suficie, zdążyłam zobaczyć twarz tak samo pulchną jak twarz Frau Blau, kucharki Winkllów.

Moja zabandażowana głowa budziła współczucie Henry'ego, który niczym samozwańcza niania krzątał się koło mnie i zatroskany przekonywał, że nie powinnam się przemęczać. W końcu zrozumiał – po tym, jak podniosłam ciężki skoroszyt i rozmyślnie uderzyłam go w ramię – że lepiej będzie zostawić mnie w spokoju.

Nasze biuro znajdowało się w suterenie opuszczonego budynku sortowni pocztowej, który zajęło wojsko. Mieliśmy do dyspozycji dużo pomieszczeń i kosze używane dawniej do przenoszenia paczek, a teraz mnóstwa tekturowych teczek. Moim pierwszym zadaniem było uporządkowanie tego chaosu. Koledzy, dla których wciąż byłam Elsą, żartowali sobie z moich niemieckich „zdolności organizacyjnych”, co było paradoksalne, ponieważ byłam Polką, a Niemcy kpili z Polaków, których musieli ratować od skutków ich nieudolności. W suterenie panował chłód i to, w połączeniu ze spokojem płynącym z rutyny, złagodziło moje bóle głowy.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie ojciec kazał mi zrobić jako sekretarce, było uporządkowanie jego papierów. Obserwował kątem oka, jak sobie radzę. To był rodzaj sprawdzianu. Lubił opowiadać przyjaciołom, że mając do wyboru wszystkie sensowne kryteria porządkowania – datę, temat czy nazwisko – wybrałam położenie geograficzne. To nie była całkiem prawda, ale ojciec lubił patrzeć, jak się rumienię. Dopiero po kilku miesiącach dotarło do mnie, że drocząc się ze mną, okazywał mi miłość.

Miałam tylko jedenaście lat i nie byłam szczególnie duża, a ojciec robił na mnie wrażenie olbrzyma; jego szeroka pierś i ramiona wydawały się jeszcze większe, gdy siedział w wielkim, krytym skórą fotelu z wysokim oparciem. Gdy był przy nas, wydawało się nie do pomyślenia, że komukolwiek z naszej piątki może stać się krzywda. Ale gdy zamykano nas w getcie, miał już za sobą ciężkie więzienie i był skurczoną wersją dawnego siebie.

Z całej rodziny on, pisarz, był najgorzej przygotowany na taką sytuację. Całymi godzinami siedział bez ruchu na schodku małego domku, w którym mieszkaliśmy, i wpatrywał się w nogi przechodniów. Gdy wracałam wieczorem od Frau Grite, podnosił wyczekująco wzrok, ponieważ wiedział z doświadczenia, że mam przy sobie ukryte jedzenie. W jego

pustych oczach człowieka pokonanego nie widać było zainteresowania czymkolwiek innym.

Koło południa Henry zabrał mnie na górę, żebym zaczerpnęła trochę powietrza. Na stole stały szklanka lemoniady oraz talerz z chlebem, serem i kawałkami nieco przywędłego selera naciowego. Henry zapalił papierosa i podsunął mi paczkę.

Znów mnie zapytał, jak goi się rana, i z przyjemnością słuchał, gdy opisywałam kobiety gdaczące nade mną niczym kwoki. Wcale nie były tak pełne współczucia, ale on wydawał się uradowany, improwizowałam więc, by go rozbawić.

Tego rana pracował nad zebranymi przez Sowietów i przysłanymi poprzedniego dnia zeznaniami więźniów, którzy przeżyli obóz, i gdy mówiłam, myślał o pracy. Gdy skończyłam, znów popadł w ponury nastrój. Zapalił kolejnego papierosa i siedział, patrząc na dziedziniec.

Potem zaczął cichym głosem opowiadać o relacji, którą właśnie przeczytał. Było to wiele miesięcy przed naszą wyprawą do Auschwitz i nie miał pojęcia o moich losach.

– Więźniowie właśnie wysiedli z pociągu – mówił. – Byli dezorientowani, głodni, a przede wszystkim spragnieni. Kilka dni spędzili w zamkniętych wagonach towarowych bez jedzenia i wody. Po wyjściu na powietrze ślaniają się na nogach. Z wagonów są wyciągani zmarli. Strażnicy na nich wrzeszczą, a psy tylko czekają, żeby ich rozszarpać.

Powiedziano im, że są w drodze na wschód, do nowego miejsca zamieszkania, ale nieludzkie warunki podróży i takie przywitania uświadamiają każdemu, kto jest wciąż gotów zaprzeczać prawdzie, że to kłamstwo.

Wszyscy są zapędzani na rampę obok pociągu. Ci, którzy idą zbyt wolno, są powaleni na ziemię. Przed szeregiem stoi lekarz w białym kitlu i dokonuje selekcji. To nie jest zwykły lekarz, tylko esesman. Odsyła większość kobiet i wszystkie dzieci na lewo, gdzie dołączają do nich starsi i niedołążni mężczyźni. W kolejce stoi młoda kobieta z dwójkiem dzieci, dziewczynką i chłopcem.

Kobieta ma czas zrozumieć, co się dzieje, i gdy staje przed lekarzem, przedstawia swoją sprawę. „Moja córka jest doskonałą szwaczką – wyjaśnia – zatrudnianą przez ludzi, których stać na to, co najlepsze”. Dziewczynka ma siedem lat i jest mała na swój wiek. „Proszę popatrzeć –

mówi jej matka – ona ma piękne małe ręce”. Podnosi rękę córki do góry. „Idealne do robienia niewidocznych dla oka ściegów. A mój syn...”. Patrzy na chłopca, który ma tylko cztery lata. Jakie kłamstwo matka wymyśli w jego obronie?

Lekarz rozważa to, co usłyszał. Zadumany mówi na głos, że kobiety z umiejętnością szycia są rzeczywiście przydatne i że ta mała dziewczynka, jeżeli jest tak dobra, jak mówi jej matka, również może zostać zatrudniona. Ale jeśli chodzi o chłopca, mówi kobiecie, że nie będzie miał z niego żadnego pożytku, jednak ponieważ jest wielkoduszny, jest też gotowy dać jej wybór.

Wybór? Początkowo kobieta nie rozumie, ale potem już wie, w czym rzecz, i wstrząśnięta patrzy na syna. „Nie mogę zostawić jednego z nich – mamrocze łamiącym się głosem, ledwie słyszalnym wśród krzyków i wrzasków.

„Możesz zabrać jedno” – mówi lekarz z oburzeniem i już zaczyna żałować swojej propozycji. Kolejka rośnie, a on będzie miał problem, jeśli kobieta szybko nie zdecyduje. Był niemądry, okazując słabość, ostatecznie to nie robi przecież różnicy. „Albo żadnego – dodaje. – To twój wybór”.

A ta kobieta musi zrobić coś nie do pomyślenia, wybrać jedno z dwojga swoich dzieci. Może myśli, że jej córka, ładna, o ujmujących manierach, ma przynajmniej niewielką szansę, jeśli zostanie sama, ale syn był rozpieszczany i jest tak kapryśny, że tylko ona umie z nim postępować.

Wybiera więc syna. Przyciąga go do siebie i w tej samej chwili puszcza małą rączkę córki, odpycha ją, a ona się potyka i upada na ziemię.

Dziewczynka wciąż nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia tego, co się właśnie stało. Myśli, że została ukarana, choć nie ma pewności za co.

Kobieta przechodzi do grupy po prawej stronie, ciągnąc chłopca za rękę, żeby zdążyć, nim lekarz zmieni zdanie. Nie ma odwagi obejrzeć się za siebie.

A mała dziewczynka klęczy i patrzy. Nie może dostrzec, gdzie zniknęła matka z bratem. Na jej twarzy widać panikę, ale jest już po wszystkim, okrąża ją gęsty tłum.

Siedzieliśmy w milczeniu, żadne z nas nie miało ochoty mówić.

– Tak było – odezwał się w końcu Henry. Po policzku spłynęła mu łza. Nie próbował jej ukryć.

– Skąd wiecie? – zapytałam.

– Wiemy, bo ta kobieta przeżyła. Nazywa się Zofia Zawistowska i takie zeznanie złożyła przed sowieckim komisarzem.

– A jej syn?

– Podobno umarł na tyfus.

Henry rzucił niedopałek papierosa, który zamienił się w popiół między jego palcami, i wgniół go obcasem w żwir.

Niezdarnie wstał, krzesło przewróciło się na bok. Odepchnął je i spojrział na mnie, a ja poczułam na sobie gniew bijący z jego twarzy. Chcąc nie chcąc, częścią winy obarczył także mnie, ponieważ wierzył, że ci mordercy byli moimi rodakami. Wszelkie współczucie dla mojej biednej obandażowanej głowy poszło w niepamięć.

Obserwowałam go, jak przechodzi między samochodami, zazdroszcząc mu intensywności uczuć, jego wściekłości i żalu. Wolałabym to niż odrętwienie, które wypełniało mnie jak beton, od czubka głowy po palce u stóp.

Później, wpatrując się w swój pusty talerz, poczułam, co było do przewidzenia, oburzenie. To jego spojrzenie mnie zraniło. Gdyby znał prawdę, to nade mną roniłby łzy. Wstałam, aby za nim pójść i powiedzieć mu to, lecz się zatrzymałam. A jeśli go złapię i skłonię do wysłuchania mnie, od czego mam zacząć? Do których kłamstw przyznać się najpierw? Czy on jeszcze kiedyś by mi uwierzył, gdybym mu powiedziała, że przez cały czas oszukiwałam go w sprawie mojej tożsamości? A gdyby uwierzył, co wtedy?

SZTOKHOLM

Sobota, 21 grudnia 1946, popołudnie

Po przygnębiającej rozmowie z Moną w kuchni wykorzystuję resztę przerwy i wychodzę na spacer. Pod butami mam błoto z topniejącego śniegu, lecz powietrze jest przejrzyste, a jaskrawe słońce mimo zimna grzeje mi policzki i to mnie uspokaja.

Niespodziewanie natrafiam na budynek sądu, okazały, odsunięty od ulicy, z pokrytym teraz śniegiem frontowym dziedzińcem i ogrodzeniem z kutego żelaza. Do głównego wejścia prowadzą szerokie schody między kanciastymi kolumnami. Ta solidna budowla ma bez wątpienia budzić zaufanie do wymiaru sprawiedliwości, ale na mnie to tak nie działa. Wspaniała fasada przytłacza mnie, sprawia po prostu, że czuję się mała i nieważna.

Do pokoju mojego pacjenta wracam zdenerwowana, nie wiem, co mnie tam czeka, ale przewiduję, że przygotował jakąś ripostę w odpowiedzi na mój wybuch przed obiadem. Muszę spokojnie godzić się z tym, cokolwiek zrobi. Gdy tylko zamykam drzwi i wkładam fartuch pielęgniarstwa, rzeczywiście wraca do przerwanej rozmowy, a ja, zaciskając zęby, udaję potulną.

– Wcześniej – zaczyna – byłaś niezadowolona, że nie chciałem rozmawiać o Klarze, a ja... być może źle podszedłem do sprawy. Musisz zrozumieć, że pewne tematy są dla mnie bolesne. Jeśli mamy rozmawiać, rozmawiajmy o czymś innym.

Jego spokój szokuje mnie i rozbraja, nie wiem, gdzie podziąć wzrok.

– Mnie też jest przykro – mówię cicho przeprasającym tonem, nie patrząc mu w oczy.

Choć oboje wyraziliśmy żal, atmosfera pozostaje napięta. Przed obiadem nastąpił impas, lecz wycofaliśmy się na tyle, by pozostawić pole do manewru. Na tym polega istota mojego zadania. Jestem niczym stary gwardzista. Gdy upadam, muszę się podnieść. Gdy ktoś wznosi przede mną szaniec, muszę go obejść.

Nad nami ktoś zaczyna grać. Mój pacjent robi się niespokojny, wkrótce ja też się denerwuję i nasłuchujemy, czy grający znów się

pomyli.

– Jeżeli mamy rozmawiać o czymś innym, jaki temat by panu odpowiadał? – pytam, przerywając mu wsłuchiwanie się w muzykę. – Może mógłby pan opowiedzieć mi o swojej pracy?

– Byłem architektem. Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

Nie pozwalałam, by jego opryskliwość mnie zniechęciła.

– To musiało być fascynujące. – Tak naprawdę nic nie wiem o tym zawodzie.

– Nie było fascynujące. Było nudne. Nie tego chciałem. – Larsson odwraca wzrok w stronę okna.

– A więc czego pan chciał, jeśli nie zostać architektem?

– Chciałem poświęcić się muzyce, ale... – Kręci głową, dając do zrozumienia, że tego tematu też nie chce ciągnąć.

– Na jakim instrumencie pan grał?

– Nie potrafisz zgadnąć? – Jestem wyraźnie skonsternowana, a on robi dłonią taki gest, jakby chciał schwytać dźwięki unoszące się w powietrzu.

– Na fortepianie?

– A teraz muszę tu siedzieć i codziennie cierpieć katusze. – Odgania ręką nuty spadające na nas z góry.

Ktoś, kto tam gra, od pewnego czasu powtarza tę samą frazę, raz po raz, niczym igła gramofonu uwięziona w rowku płyty. Wydaje się, że ze mną jest podobnie.

– Co panu przeszkodziło zostać pianistą?

Mój pacjent kręci głową.

– Moja matka mnie w tym nie wspierała. Nigdy się nie poddajesz, prawda, Elso?

Wreszcie poczułam, że moja nieustępliwość się opłaca; w jego głosie pojawił się lżejszy ton, a na twarzy cień uśmiechu.

– Co pan ma na myśli?

– Wciąż prowadzisz swoje małe przesłuchanie.

Uśmiecham się, jakby to był żart, choć mało śmieszny.

– Ja to widzę inaczej.

– Co muszę zrobić, żebyś przestała?

– Powiedzieć mi coś godnego uwagi i się nie wykręcać – przekomarzam się. W ostatnich kilku minutach charakter naszej rozmowy się zmienił. Wkradł się do niej humor. Mój pacjent potrafi zachować się tak niegrzecznie jak wcześniej, lecz teraz robi to, udając, że żartuje, a ja mogę sobie pozwolić na żarty, lekkie kpiny z jego wyniosłości tak długo, dopóki nie przekroczę granicy. Wygląda na to, że mam więcej narzędzi, by skłonić go do otwartości, a jednocześnie mniej, by chronić siebie.

– Jeśli potrzebujesz tylko rozrywki, kusi mnie, by wysłać cię do biblioteki mojego nieżyjącego papy, ale jakoś wątpię, żeby ci to wystarczyło. Wczoraj interesowałaś się moimi czasami studenckimi. Cóż, mam historyjkę, która, znając ciebie, powinna ci się spodobać. Rzecz działa się w dniu dziewiętnastych urodzin mojego przyjaciela.

– Proszę mówić, słucham.

– Wyobraź sobie ogród ze stołem na kozłach pod drzewami i grupę przyjaciół, wśród nich jestem ja, grających w krykieta; pień starej wiśni zastępuje bramkę. Wyobraź sobie tych samych przyjaciół po grze; są rozgrzani, spoceni, serca biją im mocno, a oni zajadają tort orzechowy i wznoszą za siebie nawzajem toasty ciepłym piwem.

Wyobraź sobie, jak leżymy później na trawie, a ja zauważam dziewczynę przyglądającą się nam zza granicznego muru. Ten ceglany mur był wysoki, miał dwa i pół metra, a może nawet trzy, co sprawiało, że ta scena wydawała się niezwykła. Czy dziewczyna stała na drabinie, czy balansowała na szczudłach? I jak długo nas obserwowała? A może, przy odrobinie szczęścia, przypatrywała się nam dostatecznie długo, by zobaczyć, że byłem najlepszym graczem w tym meczu? W tamtym czasie byłem naprawdę sportowcem.

Ale choć patrzyła na nas wszystkich, mogła się zainteresować którymś z moich przyjaciół, przystojnym rudowłosym Alexandrem albo naszym gospodarzem Michaelem, pulchnym erudyta w granatowej marynarce ze złotymi guzikami.

Słońce za głową dziewczyny rozświetlało jej ciemne włosy, tworząc aureolę, a choć twarz miała ukrytą w cieniu, jako młody idealista od razu doszedłem do wniosku, że z pewnością jest piękna.

Pomachałem ręką, by zwrócić jej uwagę. Udało mi się, ale nie całkiem. Dziewczyna, odkrywszy, że ją zauważono, zsunęła się z muru i w mgnieniu oka zniknęła, a mnie zostało tylko niejasne wspomnienie, że tam była.

Jej zniknięcie mnie zasmuciło, a dobra do tej chwili zabawa nabrała smaku tak nijakiego, jak smak piwa pozostawionego na deszczu.

Później mimochodem zapytałem przyjaciela o sąsiedni dom. Najwyraźniej w tym tygodniu wprowadziła się nowa rodzina. Pracownicy firmy przeprowadzkowej przez dwa dni wwozili paki. Zespół pokojówek wnosił dywany. Zatrudniono tapicera, by odnowił meble; wyścielał je świeżym końskim włosiem i nabijał ćwieki pod rozstawioną na chodniku markizą. Mój przyjaciel nie widział nikogo z mieszkańców, słyszał jednak, że to rodzina jakiegoś bankiera z Frankfurtu, i rozweselony powtarzał plotkę, że dostarczono złote krany do łazienek. Praca w bankowości kojarzyła się nam obu z nieco podejrzanymi, niedawno ukradzionymi pieniędzmi. Ale ja byłem zakochany i nie chciałem pozwolić, aby cokolwiek splamiło mojego tajemniczego anioła.

Mój pacjent przerywa. Cieknie mu z nosa, więc znajduje chusteczkę i go wyciera.

– Podoba ci się ta opowiadka? – pyta, zerkając na mnie z ukosa.

– Oczywiście – zapewniam, zaniepokojona, że on przerywa.

Podoba mu się, że jestem taka przejęta.

– Jesteś ciekawa, jak zakończyła się ta historia, prawda? Początek z piękną dziewczyną w zagadkowej scenerii musi w pewnym momencie prowadzić do romantycznego *rendez vous*, inaczej nie byłoby powodu o tym opowiadać.

To prawda. Jestem zaabsorbowana próbą upewnienia się, że nie przeczyłam czegoś, przez co on mógłby się zdradzić.

– A więc to wszystko działo się, gdy był pan studentem w Niemczech? – Larsson już to ujawnił, wspominając o Frankfurcie, chcę jednak, by to jednoznacznie potwierdził, gwoli ścisłości, jak podczas zeznania świadka w sądzie.

Przytakuje, ale tylko skinieniem głowy.

– Tego wieczoru wychodziłem z domu przyjaciela, nie mogąc zebrać myśli. Czułem jednocześnie uniesienie, pierwszy raz się zakochałem,

i rozpacz, że już nigdy nie zobaczę obiektu mojej miłości. Z chęcią zamieniłbym się z przyjacielem; nie był tak przystojny jak ja, ale miał szczęście mieszkać obok niej.

Tego lata mój przyjaciel i ja staliśmy się bliscy sobie jak nigdy. Odwiedzałem go tak często, jak pozwalał na to rozsądek, aż wreszcie musiałem ograniczyć swoje wizyty, gdy stało się jasne, że jego początkowy zaskakujący entuzjazm dla mojego towarzystwa maleje.

W końcu po kilku miesiącach okazało się, że mój wysiłek się opłacił. Lato już wtedy się skończyło, z drzew opadały liście.

Pewnego popołudnia, po nudnej partii szachów rozegranej w płaszczach na tarasie domu Michaela, pozwoliłem mu wygrać, a on o tym wiedział, wracałem pieszo do domu. W alejce odchodzącej od drogi do jego domu zobaczyłem ku swemu zaskoczeniu zbliżającą się córkę bankiera; szła z pochyloną głową, przytrzymując kapelusz, by nie porwał go wiatr.

Alejka była wąska i żebyśmy się nie zderzyli, jedno z nas musiało zrobić krok w bok, by drugie mogło przejść. Zatrzymałem się kilka metrów od dziewczyny, serce mi łomotało. Początkowo się wydawało, że ona przejdzie bez słowa, nawet mnie nie zauważając, a tymczasem się zatrzymała, a wtedy do mnie dotarło, że mimo wszystkich tych wizyt w nadziei na spotkanie jej zupełnie nie byłem przygotowany na taką ewentualność.

To ona odezwała się pierwsza: „Wiesz, że niegrzecznie jest się gapić”. W uszach oczarowanego młodego człowieka jej głos miał słodczy miodu, byłem jednak zbity z tropu zarówno jego cudownym brzmieniem, jak i zdumiewającą pewnością siebie tej dziewczyny. Nie wiedziałem, że są takie dziewczęta.

Odwróciłem wzrok.

„Przepraszam” – powiedziałem.

„Mieszkasz w domu obok, prawda? – zapytała i od razu się poprawiła. – Nie, ty jesteś tym przyjacielem, który ciągle się tu kręci”. – Zdziwiłem się, więc dodała: – „Cóż, on tak właśnie mówi, gdy rozmawia w ogrodzie z matką o tobie”. – Roześmiała się i wyglądała przy tym tak pięknie, a może jeszcze piękniej, niż wyobrażałem sobie w snach. – „Pozwolisz mi teraz przejść? Jestem spóźniona i ojciec będzie się denerwował”.

Odsunąłem się na bok, a potem towarzyszyłem jej nieproszony, drobiąc małymi krokami, ponieważ szła niezwykle powoli.

„Co on jeszcze mówi?” – zapytałem, bo o niczym innym nie mogłem myśleć.

„Że jesteś jak dziwna ryba – odparła z figlarnym błyskiem w oku. – Że jeśli jakiś rybak wyrzuci cię do wody, ty znów wpłyniesz do jego sieci”. – Zakryła usta dłonią w rękawiczce, widziałem jednak, że ukrywa uśmiech.

„Do jakiej szkoły chodzisz?”. – Dowiedziałem się o niej przynajmniej tyle, że jest jeszcze w wieku szkolnym. Wymieniła nazwę szkoły, o której nie słyszałem.

„To szkoła z internatem – wyjaśniła. – Daleko stąd”.

„Kiedy tam wracasz?”.

„Jutro”.

„Jutro!”. – Moja twarz zdradzała bezgraniczne zdumienie, co stanowiło dla tej dziewczyny doskonałą okazję do zakpienia ze mnie, ale z niej nie skorzystała. Doszliśmy do ścieżki biegnącej na tyłach ogrodów.

Ona szła w niezwykle sposób, stawiała stopę na ziemi, zanim podniosła drugą, musiałem więc zwolnić, by dotrzymać jej kroku, i aby zrobić coś z nogami, kopałem leżące pod liśćmi kasztany. Wydawało się, że ją to bawi. Choć byłem starszy od niej o dwa lata, czułem się przy niej młody i głupi. Moment nieuwagi sprawił, że moja towarzyszka potknęła się o korzeń i żeby nie upaść, chwyciła mnie za ramię. Szczęśliwy przypadek, ponieważ od tej chwili trzymała dłoń w rękawiczce na moim rękawie, mimo że miejsce, gdzie mieliśmy się rozstać, było już blisko.

Doszliśmy do furki w murze otaczającym jej ogród, ona wyjęła z kieszeni żelazny klucz. Zaraz mieliśmy się rozstać, odsunąłem więc na bok resztki rozważań i zacząłem ją błagać, by pozwoliła mi do siebie pisać.

„Dlaczego chcesz to robić? – zapytała, spuszczać wzrok. – Nie znasz mnie”.

Przez chwilę czułem pustkę w głowie.

„Więc mógłbym cię poznać” – powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

„To jest dość dobra odpowiedź, ale nie do końca. Bo gdy mnie poznasz, możesz tego żałować”.

Mój pacjent przerwał i rozejrzał się po pokoju. A ponieważ milczał, rozczarowana zapytałam:

– A więc pan pisał?

Skinął głową.

– I żałował pan tego?

– To już inna historia.

– Jak miała na imię ta dziewczyna? – Zdaję sobie sprawę, że sytuacja jest delikatna. Jeśli teraz będę drażniła, kto wie, co zrobi.

– Miała na imię Miriam – odpowiada, ale widać, że nie chce być wypytywany. – A teraz, zgodnie z zasadami naszej gry, ty musisz mi coś opowiedzieć.

– Co pan chciałby ode mnie usłyszeć? – pytam. Czuję się oszukana, jego opowieść naprawdę mnie zaintrygowała.

– Musi być *quid pro quo*.

– Co to znaczy?

– Coś za coś. Chcę wiedzieć, kiedy pierwszy raz się zakochałaś.

Teraz moja kolej zrobić coś, na co nie mam ochoty. Kusi mnie, żeby zachować się tak jak on, odmówić i powiedzieć, że jak na jeden dzień dość już rozmawialiśmy, podkopałoby to jednak zaufanie, które zdobyłam, i nie pomogłoby w realizacji mojego planu.

Czy jestem gotowa opowiedzieć mu o Olku? Nie jestem.

– Opowiem panu o Julii – mówię szybko, aby naprowadzić go na inny temat. – Była piękna i tak zupełnie różna ode mnie, że mój ojciec mawiał, że przyniosły ją wróżki jako nagrodę pocieszenia, ponieważ nie radzi sobie z pierwszą córką. – To była część komicznej mantry, w której ojciec mówił coś, udając, że myśli coś innego, podczas gdy w rzeczywistości mówił to, co myślał. Bez wątplenia Julia była jego ulubienicą, podobnie jak nas wszystkich. – Ale słodka Julia wskazywała na mnie, usiłując mówić, choć nie mogła opanować chichotu. „Nie, papo, Hanne przyniósł anioł...”.

– Nie chcę słuchać o twojej siostrze – przerywa mi zirytowany Larson. Nie interesuje go moja urocza opowiadka, ale na szczęście nie zauważa mojej wpadki, a przecież zdradziłam swoje prawdziwe imię. – Pierwsza miłość w zamian za pierwszą miłość. To jest warunek naszej wymiany.

Rozglądam się po pokoju, zupełnie jakbym szukała w nim jakiegoś miejsca, gdzie mogłabym się ukryć, a potem mamroczę:

– On miał na imię Olek.

– Olek – powtarza mój pacjent. – Ładne imię dla przystojnego chłopca, bez wątpienia. Ile miałaś lat?

– Czternaście.

– Dobrze, opowiedz mi więc, jak młoda Elsa go zauroczyła.

To jest prawdziwa tortura, ale nie mam wyboru.

– Ścigaliśmy się.

– Tak? I?

– To było na weselu. Biegałam wtedy szybko i pokonałam wszystkie kobiety, a po tym, jak otrzymałam wianek zwyciężczyni, przyszedł i wyzwał mnie przy wszystkich, żebym stanęła do „prawdziwego wyścigu”. Zaskoczył nas, jego arogancja zapała nam dech. Kobiety od razu się rozkrzyczały, chciały zobaczyć jego klęskę, a mężczyźni oczywiście wrzeszczeli, czekając na jego wygraną. Żadne z nas nie mogło się wycofać.

Zerkam kątem oka. Mój pacjent osunął się na poduszki, oczy mu błyszczą, zanurza się w przeszłości, mojej przeszłości... Tak samo jak ja.

– Zdjęłam buty, przykucnęliśmy obok siebie, chorągiewka opadła i wystartowaliśmy.

Trasa była łatwa – bieg po trawie do rzeki, potem wokół starego dębu i z powrotem na miejsce startu. Całą drogę do drzewa biegliśmy łeb w łeb. To go zaskoczyło. Widział, że jestem szybka, ale był zbyt pewny siebie, by się tym przejmować.

Gdy okrążaliśmy pień, on się precisnął, znalazł się przy drzewie i przez kilka sekund, gdy byliśmy niewidoczni dla obserwatorów, próbował odepchnąć mnie na bok. Gdy mu się nie udało, złapał mnie za włosy, a w końcu w desperacji przydeptał mi bosą stopę. To wszystko może się

wydawać nieuczciwe, ale wśród nas, młodych dziewcząt i chłopców, takie zagrania uchodziły za dopuszczalne, a ja oddałam mu więcej, niż dostałam. Uderzyłam go łokciem w podbródek i kopnęłam w kostkę, tak że zgiął się wpół i upadł twarzą na ziemię.

Zanim stanął na nogi, byłam już na otwartej przestrzeni, pięć metrów przed nim, i bez problemu minęłam linię mety.

– Można by pomyśleć, że takie całkowite upokorzenie zabije wszelką szansę na romans – zauważył mój pacjent. – Nawet Atalanta ścinała głowy tylko tym mężczyznom, których pokonała.

Wzruszam ramionami.

– Wcale nie. Zanim go pokonałam, byłam po prostu dziewczyną, zwykłą dziewczyną. Mogę tylko powiedzieć, że potem było inaczej...

– A co stało się potem?

– Będzie pan musiał sobie na to zasłużyć.

To jest koniec mojego dnia pracy albo prawie koniec, a mam coś do zrobienia. Larsson odprowadza mnie wzrokiem, gdy idę do drzwi. Zostawić kogoś chcącego więcej to jego zasada, stosował ją wobec mnie i sprawia mi dziwną przyjemność, że mam okazję odpowiedzieć mu tym samym, zyskać nad nim przewagę.

Olek przyglądał się, jak triumfujące kobiety otoczyły mnie i podniosły do góry, aby mnie pokazać pokonanym mężczyznom.

Tuż po czwartej wychodzę z domu. W ostatnich dniach temperatura spadła, od czwartku nie padał świeży śnieg, więc stary jest mocno ubity.

Na domiar złego złośliwy wiatr wdziera się pod mankiety i poły płaszcz, szukając luk w mojej obronie, i znajduje je na skórze między rękawami a rękawiczkami, na oczach i na końcu mojego nosa.

Chodniki są posypane piaskiem, moje zdarte podeszwy mają więc wystarczającą przyczepność. Lawiruję, ostrożnie stawiając nogi, z pochyloną głową, skulona pod płaszczem, w podwójnie owiniętym szaliku zakrywającym usta, tak że oddycham przez mokrą wełnę.

A pod tymi wszystkimi warstwami mam obolałe zębra i drżące nogi.

Apteka znajduje się na ulicy równoległej do tej, przy której mieszkają Larssonowie. To staroświecki budynek o wąskim frontonie, w którym oprócz drzwi znajduje się pojedyncze okno, gdzie umieszczono łukowatą

czarną tablicę z nazwą: „Berg Apotek” i złotym liściem. Z daleka wydaje się, że apteka jest zamknięta, lecz gdy podchodzę bliżej, widzę w środku światło rzucające blask na pokryty lodem chodnik.

Dzwonek u drzwi dzwoni, a ja idę po drewnianej podłodze.

Za kontuarem siedzi mężczyzna w marynarce i kamizelce.

– Fröken? – pyta, nie podnosząc wzroku. Mężczyzna trzyma butlę z grubego brązowego szkła nad rzędem małych butelek z wąskimi szyjkami i powoli przelewa do nich gęsty płyn.

– Zastanawiałam się... – zaczynam, ale aptekarz jest tak skupiony na swojej czynności, że czekam, by skończył.

Po napełnieniu trzech buteleczek odstawia butlę na kontuar i ją korkuje. Nakłada małe metalowe nakrętki.

– W czym mogę pomóc?

– Mam problemy ze spaniem.

– Czy jest jakiś szczególny powód?

– Szczególny powód?

– Dla którego panienka nie może spać.

– Zdenerwowanie... Tak przypuszczam.

– A co sprawia, że zdrowa dziewczyna, taka jak panienka, musi się denerwować? – Przygląda mi się, prostując się na krześle i się uśmiecha.

– Mam nadzieję, że nie młody mężczyzna.

Rumienię się. W aptece jest ciepło i po zimnie na dworze pocę się pod bluzką, halka przykleiła mi się do krzyża.

– Moja matka jest słabego zdrowia, a ojciec zмага się... Oni na mnie polegają, wysyłam im, co mogę. Ta sytuacja mnie martwi i denerwuje, a ja pozwoliłam, żeby mnie przytłoczyła – wyrzucam z siebie szybko i wpatruję się w swoje rękawiczki.

– Rozumiem.

– Potrzebuję po prostu czegoś, co mi pomoże opanować emocje.

Aptekarz bierze napełnione buteleczki i ustawia je w rzędzie na półce za sobą, a potem pisze coś na kartce.

– Staram się nie stracić pracy. – Trudno powiedzieć, czy on wierzy w moją historyjkę, ale ja sama się nią przejęłam i łzy żalu nad sobą napływają mi do oczu.

– Nie lubię wydawać tego rodzaju leków, nie wiedząc, jaki dokładnie jest powód – mówi spokojnie aptekarz. – Ludzie uznają, że to im pomaga, a potem nie potrafią się bez tego obejść. Jaki jest panienki zawód?

– Jestem kelnerką.

– Kelnerką – powtarza takim tonem, jakby to słowo znaczyło coś nieprzyzwoitego. Spuszczam wzrok i wpatruję się w swoje rękawiczki, które ściskam w dłoniach, unikając spojrzenia tego mężczyzny, aby nerwowy błysk w moich oczach albo zarumienione policzki nie zdradziły, że jestem kłamczuchą.

– Dziś byłam po południu tak zmęczona, że upuściłam kilka talerzy i dwa się stłukły, a szef powiedział, że potrafi mi za nie z wypłaty. – Mówiąc to, mam przed oczami Hasana, który próbowałby to właśnie zrobić, i na pomoc przychodzi mi łza dostatecznie duża, by spłynąć po moim policzku.

– Kierownik tak postępuje?

Potwierdzam skinieniem głowy, przez moment nerwowo trzęsie mi się broda.

– To bardzo nieładnie z jego strony.

– Jeżeli się nie wyśpię, chyba się rozpadnę. Nie spałam od wielu dni.

– A czy panienka mieszka z rodzicami?

Kręcę głową.

– Oni mieszkają w Västerås. Mam pokój nad restauracją. Jeśli stracę pracę, nie będę miała gdzie się podziać.

– Rozumiem. – Aptekarz kładzie kartkę, którą zapisał, za trzema butelkami i patrzy na mnie.

– Muszę po prostu się z tym uporać, trochę wypocząć i jestem pewna, że wszystko znów będzie w porządku.

– Lekarstw, o jakie pani prosi, nie sprzedaję lekką ręką.

– Jestem zrozpaczona.

– Cóż, w pani przypadku wszystko wydaje się oczywiste i sędzę, że w tych szczególnych okolicznościach wolno mi coś pani dać. Jak mówię, nie jest to lekarstwo, które chętnie wydaję, a zwłaszcza młodej osobie, ale jeśli to jest tylko ten jeden raz i jeśli ma pani pomoc stanąć na nogi, że tak powiem, i uniknąć czegoś gorszego...

– Tylko o to mi chodzi.

Mężczyzna wstaje, wysuwa szufladkę z regału za sobą, wyjmuje teksturowe pudełko i stawia je na kontuarze. Odlicza sześć tabletek, wrzuca je po jednej do brązowej buteleczki i zakręca ją. Potem wyjmuje pióro, pisze coś na etykiecie, pędzelkiem nakłada klej na odwrocie i przylepia do buteleczki.

Podnosi wzrok i patrzy na mnie.

– Nie powiedziała panienka nic, co by wskazywało, że jest zamężna, czy dobrze się domyślałam?

– Nie mam męża.

– Chodzi tylko o to, że istnieje pewne ryzyko, jeśli ten lek przyjmuje kobieta, która spodziewa się dziecka. Ryzyko dla niej i dla jej dziecka.

Przygląda mi się badawczo znad okularów.

– Musi być panienka absolutnie pewna, że w panienki przypadku nie ma takiego ryzyka.

– Jestem niezamężna, więc niczym nie ryzykuję.

– Podkreślam to, ponieważ w dzisiejszych czasach małżeństwo i dzieci często nie chodzą w parze.

– W tej kwestii nie ma żadnego powodu do obaw.

– To dobrze. Po prostu trzeba się upewnić. Wstyd jest tu nie na miejscu, mam obowiązek zapytać, rozumie panienka. – Bierze buteleczkę i stawia na mojej dłoni, nie wypuszczając jej z ręki. – Dałem panience sześć tabletek. Proszę brać na noc nie więcej niż dwie, na godzinę przed snem. Te wystarczą na trzy noce. Jeśli w tym czasie normalny sen nie wróci, proszę przyjść jeszcze raz.

– Tak.

Aptekarz wciąż nie puszcza buteleczki.

– Bardzo ważne jest, żeby nie przekraczać dawki, którą zaleciłem, choćby panią kusiło, choćby sen nie przychodził. Rozumie pani?

– Rozumiem.

W pokoju owijam pończochami buteleczkę z pigułkami i chowam w górnej szufladzie komody w moim pokoju.

Gdy zasuwam szufladę, piętro wyżej ktoś znów zaczyna grać na pianinie. Tym razem melodia jest boleśnie znajoma. Zapadam się w materac, subtelne akordy otwierające *Światło księżycy* Debussy'ego prowadzą mnie do domu, a ja pozwalam wrócić wspomnieniom tamtych beztrojskich lat, gdy liczyło się tylko to, żeby wywołać czyjś uśmiech lub skłonić kogoś do śmiechu.

KOLONIA

Marzec 1945

Jeśli moje życie ma początek, środek i koniec, to spotkanie w marcu 1945 roku na frontowych schodach katedry w Kolonii dwóch uroczo ekscentrycznych mężczyzn, bardziej postaci z bajki niż rzeczywistych, oznaczało początek końca.

Początek trwał tylko trzynaście lat i był to szczęśliwy czas spędzony w Krakowie, pięknym zabytkowym mieście na południu Polski. Zakończył się nagle w 1939 roku wkroczeniem Niemców.

Środek był jeszcze krótszy, trwał pięć lat i był to czas okupacji, której ostatni okres spędziłam tutaj, w Kolonii, jako niewolnica w domu Winkllów. Zakończył się zaledwie godzinę temu, gdy wędrując samotna i niekochana po placu przy katedrze, zostałam znaleziona przez Henry'ego.

Bezsprzecznie zaczął się dla mnie „koniec” – podróż, która przez następne półtora roku prowadziła mnie do Hamburga, Norymbergi i wreszcie do mieszkania Larssonów w Sztokholmie.

Wówczas o tym nie wiedziałam, zdawałam sobie jednak sprawę, że zaczyna się coś ważnego. Gdy tego rana opuszczałam dom Winkllów, zmiana taka czy inna wydawała się nieuchronna.

Jeep, na który czekali żołnierze, w końcu przyjechał i wsiedli do niego. Henry, kanadyjski oficer, który, jak sądziłam, aresztował mnie, przyjrzał mi się niepewnie z tylnego siedzenia.

– Fräulein, czy możemy cię gdzieś podwieźć?

– Podwieźć mnie? – To pytanie mnie zaskoczyło. Czy oni nie zdawali sobie sprawy, że jestem ich więźniem? Że im się poddałam? – Nie mam dokąd jechać – powiedziałam nieco zdesperowana, wyobrażając sobie, że albo będę spała w ruinach, albo, co gorsza, powlokę się z powrotem do Winkllów.

– No więc wskakuj – powiedział. – Obóz dla dipisów jest zaraz za rzeką. – Widząc, że nie rozumiem, dodał: – Przesiedleńców, ludzi, którzy nie mają się gdzie podziać.

Przejechaliśmy wąskimi uliczkami średniowiecznej dzielnicy niszczonej przez cztery lata nalotów, a później wzdłuż Renu. Było późne popołudnie, słońce świeciło nam w twarze.

Każde skrzyżowanie blokowały amerykańskie czołgi z białymi gwiazdami na wieżyczkach. Przed posterunkami kontrolnymi stali w kolejce niemieccy żołnierze w strzępach mundurów, często młodszy od Rolfa, okropnego starszego brata Elsy, i jeszcze bardziej obdarci cywile. Jak mogłam nie zauważyć tego wszystkiego? Czy naprawdę znalazłam jedyną niestrzeżoną drogę do centrum?

Przejechaliśmy przez rzekę po kołyszącym się moście pontonowym; w przeciwną stronę, w głąb Niemiec, jechała kolumna pojazdów wojskowych i maszerowali żołnierze.

Po kilku kilometrach zatrzymaliśmy się w cieniu wieży strażniczej.

– Cóż, to jest twój nowy dom, Fräulein – oznajmił Mike, szkocki sierżant w dziwnej spódnicy. – Przynajmniej na razie.

Spojrzałam na wysokie ogrodzenie z drutu i miałam ochotę uciec z tego miejsca dokądkolwiek. Wyglądało jak więzienie.

– Powinienem cię uprzedzić, że prawdopodobnie dostaniesz kwestionariusz do wypełnienia – powiedział Henry. – Ma to pomóc ustalić, jakiego rodzaju Niemką jesteś, choć nawet głupiec zauważy, że nie mogłaś zrobić nic złego! Jeśli tak się stanie, użyj zdrowego rozsądku. To jest niejasny system, wszystko zależy od tego, ile punktów zdobędziesz, i najlepiej pokazać się jako „czysta”. Ci ludzie decydują, kogo muszą rozstrzelać.

Pod koniec pierwszego tygodnia zostałam wezwana do gabinetu komendanta obozu mieszczącego się w drewnianym baraku. Przed barakiem stał jeep z włączonym silnikiem; za kierownicą siedział Mike w kilcie, obierał pomarańczę i rzucał skórki na kolana. Gdy go mijałam, skinął mi głową i podniósł nóż do góry, jakby mi salutował.

Zaprowadzono mnie do gabinetu komendanta. Zostałam tam Henry’ego siedzącego w fotelu obok biurka.

Komendant obozu, rumiany Amerykanin o spuchniętym nosie, poprzekładał swoje papiery i dopiero potem zwrócił na mnie uwagę.

– Fräulein Winkell – zaczął, akcentując „W”, co sprawiło, że nazwisko zabrzmiało jeszcze bardziej obco, jednocześnie zerkając na mój

dowód tożsamości, który mi skonfiskowano. Później przyglądał mi się badawczo zza biurka.

– Z tego, co mówił porucznik, zrozumiałem, że ma pani wyjątkowe umiejętności sekretarskie. – Akcent komendanta był okropny, przez chwilę wydawało mi się, że źle go zrozumiałam. Umiejętności sekretarskie? O czym on mówi? Ale zauważyłam, że Henry puszcza do mnie oko, i zrozumiałam, że powinnam podjąć grę.

Przytaknęłam skinieniem głowy. Zresztą jak ciężka mogła być taka praca? Umiałam czytać i pisać i już jako dziewczynka byłam sekretarką i asystentką swojego ojca.

– Porucznik sądzi, że jest pani osobą, która mogłaby się przydać w jego biurze. Oczywiście decyzja należy do pani, ale to jest okazja i radzę, by pani była rozsądna i poważnie się nad tym zastanowiła.

– Zapewniam, że praca będzie interesująca – włączył się Henry. – Posada jest płatna i będą dodatki. – Próbował mnie przekonywać, jakby istniała możliwość, że odmówię. W obozie dla dipisów byłam dopiero od tygodnia, a już czekałam, aż pojawią się przede mną jakieś perspektywy.

– Dziękuję – powiedziałam ze ściśniętym gardłem.

– Będzie pani musiała oczywiście wracać tu wieczorem, przed godziną policyjną – zastrzegł major – dopóki pani status nie zostanie określony.

Wracać tu? Gdzie indziej mogłabym pójść? A gdybym postanowiła zniknąć, co tak naprawdę mógłby z tym zrobić? Świadomość, że pogróżka jest czcza, to pierwszy klucz do przetrwania.

– Kiedy zacznę? – zapytałam.

– Teraz – odparł rozpromieniony Henry. – Mamy mnóstwo pracy.

*

Wyjechaliśmy przez bramę w kłębach pyłu.

– To miejsce przypomina mnie o ciarki – powiedział Mike i przyśpieszył, a koła jeepa zazgrzytały na szorstkich kamieniach i potłuczonym szkłe. – Za bardzo przypomina tamte obozy.

– W niczym nie przypomina „tamtych obozów” – odparł Henry surowo. – Nie mów tak nawet żartem.

– Tamte obozy? – zapytałam, choć zdawałam sobie sprawę, że są pytania, które mogę zadawać, lecz nie otrzymam na nie odpowiedzi.

Jeszcze nie.

Henry powiedział, że jest mnóstwo pracy, ale najpierw zatrzymaliśmy się przed cukiernią – Konditorei – w jedynym budynku stojącym przy spustoszonej przez wojnę ulicy. Henry wysiadł, obszedł samochód, otworzył drzwi z mojej strony i podał mi rękę. Mimo zdenerwowania uśmiechnęłam się. Ten mężczyzna był więcej niż doskonałym aktorem, zupełnie nie przypominał prawdziwego oficera armii i nawet jeśli w oczach amerykańskiego majora był oficerem, wydawało się, że gra jakąś rolę.

Fragment chodnika oczyszczono z gruzu. Stały tam trzy krzesła nie od kompletu i żelazny stolik. Przywodziło to na myśl minimalistyczną dekorację sceniczną do sztuki Czechowa. Henry odstawił krzesło, a gdy siadałam, przysunął je do stołu. Z taką samą przesadną dżentelmenerią stryjek Mały usługiwał stryjence, gdy coś mu wybaczyła.

Za naszymi plecami Mike wyciągnął spod brezentu w tyle jeepa worek mąki z pieczęcią „U.S. Army” i wniósł go na ramieniu do cukierni.

Właściciel przytrzymał mu drzwi, a potem podszedł się z nami przywitać. Kelnerka w wykrochmalonym fartuszkowi postawiła na stole tacę z trzema małymi filiżankami i dzbankiem kawy oraz porcelanowy talerz z trójkątnym kawałkiem ciasta udekorowanym płatkami migdałów.

– To jest tort migdałowy – wyjaśnił Henry. – Specjalność zakładu. – Gdy zobaczył, że się waham, dodał: – Jedz, to dla ciebie. Wyglądasz, jakbyś potrzebowała czegoś pysznego. – Wyciągnął papierosy, zapalił i rozparł się na krześle. Promienie marcowego słońca padały mu na twarz, odejmując lat i wygładzając rysy. Miał nieduże, miękkie wąsy i niepewność w ciemnych oczach; oceniłam jego wiek na dwadzieścia pięć lat, później się dowiedziałam, że był bliżej trzydziestki.

Ciasto okazało się wyśmienite, zjadłam je widelczykiem o wiele za szybko. Henry nalał kawy, podniosłam małą filiżankę do ust. Uszko było dostatecznie duże, aby mój palec się zmieścił, a kawa mocna. Jak mawiała moja stryjenska, taka kawa stawia człowieka na nogi. Kofeina zrobiła swoje, wyprostowałam się na krześle.

Henry przyglądał się bacznie mojej reakcji.

– Najlepsza kawa na wschód od Paryża – powiedział. – I nic w tym dziwnego, bo została ukradziona z prywatnych zapasów generała Bradleya. A teraz, Fräulein Winkell, chciałbym ci opowiedzieć o pracy, przy której będziesz pomagała, a gdy to zrobię, zrozumiesz, dlaczego mówię ci o tym tutaj, w porannym słońcu. Mogę się do ciebie zwracać Elsa?

– Elsa? – powtórzyłam zaskoczona, a po chwili zaczęłam się zastanawiać, jak długo jeszcze będę w stanie udawać. – Tak, panie poruczniku, może pan.

Henry upomniał mnie, kiwając palcem.

– Żadnych „poruczników”, proszę. Zostawiamy rangi, salutowanie i wszystkie te nonsensy na placu apelowym. Gdy jesteśmy tylko we troje, Elso, jest po prostu Henry i...

– Mike – dokończył szkocki sierżant, odsuwając trzecie krzesło i biorąc papierosa z otwartej paczki Henry’ego.

– Pora na historię jak z horroru – powiedział Henry.

Zaczął od opisanego prostymi słowami tego, co było nie do opisanego. Czyli od odkrycia przez Armię Czerwoną obozów koncentracyjnych w Polsce, gdzie więziono ludzi niepożądanych w państwie Hitlera: Żydów, Cyganów, kalekich, chorych umysłowo, przeciwników politycznych, komunistów. Wydaje się, że Żydzi stanowili najliczniejszą grupę. Zwożono ich, więziono, a ostatecznie większość zamordowano.

– Zweryfikowane relacje naocznych świadków mówią, że spędzano ich do specjalnych pociągów złożonych z bydłowych wagonów...

Akurat o tym wiedziałam. Miałam wrażenie, że dogania mnie moja przeszłość.

– Jak oni umierali? – zapytałam, ledwie słysząc własny głos, tak mi dzwoniło w uszach.

– Nie znamy wszystkich faktów – odparł Henry.

– Czy to możliwe, że niektórzy z nich przeżyli?

– Nie znamy faktów – powtórzył cicho. – Ale w nasze ręce zaczęły wpadać dokumenty, więc wkrótce będziemy wiedzieli więcej.

– Wiemy jednak, że palili zwłoki – włączył się Mike.

Przetarłam oczy, spodziewając się łez, lecz pozostały suche. Nawet wtedy, gdy myślałam o moich zaginionych rodzicach i w końcu musia-

łam pogodzić się z tym, co zawsze wiedziałam w głębi duszy – że nie mogli przeżyć, nawet mała Julia – nie potrafiłam uronić ani jednej łzy. Jeżeli już, to płakałam nad sobą, nad dobrą, miłą dziewczynką, która przemieniła się w siedzącą tu dziś twardą, bezwzględną kobietę zainteresowaną tylko tym, by przeżyć. Kobietę ukrywającą nawet swoje prawdziwe imię.

– Dlaczego więc tu jesteśmy? – ciągnął Henry – Tu, w Niemczech, i rozmawiamy o obozach koncentracyjnych? Cóż, w Kanadzie byłem prokuratorem. Sukces, jaki odniosłem w kilku głośnych sprawach z pozwów zbiorowych, zwrócił na mnie uwagę amerykańskiego wojska, które, jak przypuszczam, dostrzegło we mnie jakiś talent, a może coś innego sprawiło, że zostałem oficerem, ale nieposługującym się bronią, nie potrafię trafić kaczki z odległości pięciu kroków, tylko prawem wyłącznie w jednym celu: wymierzenia sprawiedliwości tyłu zbrodniarzom wojennym, ilu zdołamy. Pracujemy nad tym od prawie dwóch lat.

– W tej chwili oni się puszą, są cholernie z siebie dumni – dodał Mike. – Myślą, że to, co zrobili, ujdzie im na sucho, ale my weźmiemy kosę i wytniemy ich do samej ziemi.

– Wiem, że to są twoi rodacy, Elso – powiedział Henry. – Ale pomożesz nam? Potrzebujemy kogoś, kto może wejść do miejsc, gdzie nam się nie uda. My jesteśmy duzi i widoczni, ty możesz wśliznąć się niezauważona i zdobyć dla nas to, czego potrzebujemy, żeby dopaść tych drani. Nie mamy czasu. Teraz dowody leżą na wierzchu i można je zebrać, ale już zaczął się wyścig, bo oni chcą je ukryć albo zniszczyć. Zbyt wielu ma coś do stracenia, gdyby prawda wyszła na jaw.

Patrzyłam to na jednego, to na drugiego. Znów tak dużo się ode mnie oczekuje, po raz kolejny każdy patrzy na Hannę, aby naprawiła to, co zostało zepsute.

Tego wieczoru położyłam się na pryczy wyczerpana. Nie tyle z powodu popołudniowej pracy – w porównaniu z życiem u Winkllów była łatwa – co zamętu w mojej głowie, jaki powstał, gdy sobie uświadomiłam, że nic nie czuję. Nawet śmierć Julii nie zrobiła na mnie wrażenia. Do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy, nie wiedziałam, kiedy i jak do tego doszło. Po prostu nie czułam dostatecznie dużego gniewu, choć przecież wiedziałam, jaki los spotkał moją rodzinę. W tamtych latach coś się ze mną stało. Moja wrażliwa skóra zmieniła się w pancerz nie do przebicia.

SZTOKHOLM

Niedziela, 22 grudnia 1946, rano

Dziś jest niedziela, ale i tak muszę się zająć moim pacjentem, wstaję więc o ósmej, gdy jeszcze jest ciemno.

Wchodzę do kuchni i nalewam sobie kawy. Mona też tu jest, ale nie rozmawiamy ze sobą. Stoi odwrócona do mnie plecami, ale jej wrogość jest wręcz namacalna. Tęgo rana nie czuję się dostatecznie silna, by się z nią spierać, a tym bardziej próbować czegoś się od niej dowiedzieć. Wyjmuję z lodówki ser, kładę go na talerzu wraz z kromką chleba, wracam do swojego pokoju i jem śniadanie na łóżku, przyglądając się przez okno, jak promienie słabego wczesnego słońca padają na ścianę sąsiedniego budynku, i słuchając dzwonów kościelnych, które właśnie zaczęły bić.

Próbuję jak najdokładniej przypomnieć sobie wieczorki, wszystko, co wiem o „moim Niemcu”, cokolwiek, co mogłoby mi pomóc zdobyć pewność co do tożsamości mężczyzny z pobliskiego pokoju. Co do mnie mówił. Sposób, w jaki się do mnie uśmiechał, gdy znalazł sposobność do zostania ze mną sam na sam. To, jak zakradł się do kuchni, gdy pracowałam przy kuchennym stole, i założył mi włosy za uszy, a mnie trzęsły się nogi, a stopy przyrosły do podłogi.

Straszliwie się go bałam.

Fakt, że wiedział, iż jestem Żydówką, sam w sobie nie stanowił ryzyka. Frau Grite mnie chroniła, dała mi i kazała nosić wykrochmaloną białą bluzkę bez gwiazdy Dawida, żeby ten znak „nie psuł nastroju”, choć miałam taki obowiązek. Popełniałam przestępstwo, za które surowo by mnie ukarano, gdyby je wykryto. Mogłabym zostać wyprowadzona na zewnątrz i zastrzelona.

– Wiesz, że nie masz się czym martwić – powiedział pewnego wieczoru, sięgając do talerza; ręka tego mężczyzny otoczyła moje ramię, owionął mnie jego mdły zapach.

Nie mam się czym martwić! Co on, u licha, miał na myśli? Miałam aż nadto powodów do zmartwienia.

Wchodzę do pokoju mojego pacjenta i zamiast niego widzę na łóżku tylko kłębowisko ściągniętych prześcieradeł i wgłębienie w materacu. Czy on zmarł w nocy? Przemknęło mi przez głowę, że to z pewnością oszczędziłoby mi kłopotu.

– Pomyślałem, że ucieszysz się z niespodzianki – mówi Larsson. Odwracam się zaskoczona. Mój pacjent siedzi za drzwiami w fotelu na kółkach. Próbuje podjechać do mnie, ale ma za słabe ręce i zostaje na miejscu.

– Gdzie pan to znalazł?

– Zawsze tu był.

– Ale jak pan...

– Mona mi pomogła. Ta kobieta może podnieść dwa razy tyle, ile waży, a ja jestem cieniem człowieka, którym byłem.

– Co pan chce zrobić? – To pytanie jest po prostu głupie. On chce zostać zawieszony na dwór, a ja jestem zdezorientowana przez pozorną poprawę stanu jego zdrowia. Trzy dni temu wydawało się, że on umiera. Natomiast im dłużej ja przebywam w tym mieszkaniu, tym robię się słabsza i mniej pewna siebie. I mniej gotowa zrobić to, po co tu przyjechałam.

– Chciałbym pojechać na wycieczkę, na słońce. Według moich obliczeń nie ma teraz tłumów zdążających do kościoła i ulice będą tylko dla nas.

Podchodzę do wózka i podjeżdżam nim do drzwi. Albo mój pacjent jest cięższy, niż wygląda, albo to urządzenie jest zrobione z żelaza.

Wyjeżdżamy na korytarz, w milczeniu toczę wózek po chodniku. Mona czeka w holu i otwiera frontowe drzwi. Ci dwoje kiwają do siebie głowami, jakby byli w zмовie, a ja stanowiałabym część ich planu. Nie przewidziałam, że się w ten sposób dogadują.

Czekamy na windę, a on drwiąco przygląda się odrapanym ścianom i posadzce ze sztucznego marmuru.

Jesteśmy już na dole, Gösten otwiera drzwi windy i entuzjastycznie wita Larssona. On też należy do spisku. Pochylony jak chłop pańszczyźniany biegnie otworzyć drzwi wejściowe. Na zewnątrz pomaga mi znieść wózek ze schodków.

W końcu jesteśmy sami na ulicy. Pytam mojego pacjenta, dokąd mam go zawieźć.

– Chciałbym zobaczyć Strandvägen, to tam, jak rozumiem, chodziłaś na spacer.

– Na spacer? – powtarzam i dopiero teraz przypominam sobie swoje kłamstwo sprzed kilku dni. Matka musiała mu powtórzyć, co mówiłam, albo Mona podsłuchiwała i uznała, że opłaca się na mnie donieść. Muszę być ostrożniejsza albo wpadnę, bo jednej osobie powiem co innego niż drugiej.

Jazda w dół jest łatwa, po prostu wystarczy ograniczyć skłonność wózka do skręcania w prawo, co mogłoby się skończyć wywrotką, a mój pacjent znalazłby się na ziemi. Na płaskim terenie zaczynają się jednak trudności, więc dobrze się składa, że dzień jest chłodny i jedziemy po zacienionej stronie ulicy.

Po drodze mijamy biały, przypominający tort weselny budynek Wielkiej Synagogi, który mimo całej swej wspaniałości wydaje się nie na miejscu, ponieważ w Europie nie pozostała żadna duża czy mała synagoga. Nie wychowano mnie na praktykującą Żydówkę; ojciec był pod tym względem bardziej konsekwentny niż matka i nie czuł się związany z wiarą przodków, dopóki nie zamieszkał na wsi u swojego brata. Wiedziałałam jednak dostatecznie dużo o judaizmie, by mieć świadomość, że najważniejszą zasadą tej religii jest praktykowanie wybaczenia. Ta zasada jest bez wątpienia przestarzała.

Dziesięć minut później znajdujemy się już na otwartej przestrzeni, przejeżdżamy przez ulicę i jesteśmy na nabrzeżu. Rozkoszujemy się zimowym słońcem, mój pacjent odchyła głowę do tyłu, wydaje się tak wyczerpany, jakby to on pchał ten fotel na kółkach.

Wybieram miejsce przy rzędzie ławek, zatrzymuję się i odwracam wózek tak, że mamy widok na szarą wodę i bezlistne drzewa na pobliskiej wyspie. Dwadzieścia metrów dalej, po mojej lewej stronie, jakiś mężczyzna sprzedaje ciepłą *pepparkakor*, zimową zupę imbirową; wiatr przywiewa do nas słodki, mdlący zapach.

– Usiądź – mówi mój pacjent, wskazując najbliższą ławkę. – Nie bój się, to nie odjedzie, jeśli opuścisz hamulec, ale z pewnością to wiesz, bo takich wózków używają w szpitalu.

Opuszczam dźwignię dużym palcem u nogi i przez chwilę wyobrażam sobie, jak z moją niewielką pomocą fotel rzeczywiście się toczy w stronę wody, ja udaję, że za nim biegnę, potem uderza w kamienny gzyms i Larsson wpada do jeziora. Co bym wtedy zrobiła? Stałabym na brzegu i patrzyła, jak tonie, jak krzyczy przerażony, jak się miota, a jego głowa niknie pod wodą, wyłania się i znowu znika? A może uciekłabym jak najszybciej, żeby mnie nie złapano?

– To jest piękne – mówi mój pacjent, gdy siadam na ławce obok niego. – Ale słuchając, jak dyszysz i sapiesz za moimi plecami, można by pomyśleć, że to ty jesteś chora, a nie ja.

Rzeczywiście z trudem łapię oddech, bo nie jestem już czternastoletnią dziewczynką, która ganiała po całej wsi. I czeka mnie teraz droga powrotna pod górę, po śniegowej brei.

– Zakładam – ciągnie Larsson – że gdy odzyskasz siły, nie będzie przesadą poprosić cię, żebyś kontynuowała od miejsca, gdzie przerwałaś.

– Co przerwałam?

– Swoją opowiadankę o romansie.

– To naprawdę byłaby przesada – mruczę. Ten jego protekcyjny ton sprawia, że pozwalam się sprowokować, choć powinnam ukrywać uczucia. Wraca napięcie związane z tym, co planuję zrobić.

– Ajaj! Trafiłem w czułe miejsce. Widzę, że oczekujesz wymiany na swoich warunkach, że ja mam dotrzymać słowa...

– O to właśnie chodzi, że pan nie dotrzymuje. – Kolejny raz udało mu się sprawić, że nie byłam w stanie ukryć frustracji. W czasie naszych rozmów on dowiedział się o mnie więcej niż ja o nim. Moje śledztwo stanęło na głowie.

Siedzimy w milczeniu, oboje na swój sposób podminowani. Do portu wpływa statek pasażerski, skręca do kanału i zbliża się do kei. Larsson sięga do górnej kieszeni, wyjmując ciemne okulary i krzywo wkłada na nos. Okulary zaczynają się zsuwać i spadłyby na jego kolana, gdyby ich nie złapał i nie włożył jeszcze raz.

– A ta dziewczyna, o której pan opowiadał? – rzucam, wciąż nie potrafiąc ukryć głupiej irytacji. – Ta, która tak zawróciła panu w głowie tylko dlatego, że patrzyła na pana zza muru. Założę się, że nie miał pan dość odwagi, żeby do niej napisać.

– Dlaczego tak mówisz?

– A gdyby pan napisał, wątpliwe, czyby panu odpisała. – Wciąż jestem poirytowana i mimo ryzyka, że wszystko zepsuję, niewiele mogę z tym zrobić.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Och, nie wiem? Doprawdy? Cóż, byłam kiedyś dziewczyną w jej wieku i bardzo dobrze wiem, o czym mówię. Postawił ją pan na piedestale, tylko że...

– Błędnie zakładasz, że ona była taka jak ty. – Larsson robi się czerwony na twarzy. – Ona w niczym ciebie nie przypominała. Była uroczą istotą.

– Uroczą istotą! – Uśmiecham się drwiąco. – A ja jestem potworem? – Nie wierzę w ani jedno jego słowo. Wydaje mi się, że ta dziewczyna była manipulanką. Znam takie typy. – Uroczą istotą, rzeczywiście, która na swoje nieszczęście poznała pana. – Teraz posunęłam się już o wiele za daleko.

– Tak – mówi Larsson, patrząc przed siebie, na wyspę naprzeciwko. Milknie, a ja się zastanawiam nad konsekwencjami mojej złości. – Ale masz rację – dodaje po chwili. – Jej nieszczęściem rzeczywiście było to, że mnie poznała. – Moment wcześniej był oburzony na mnie, teraz, sądząc z wyrazu jego twarzy, wydaje się nienawidzić siebie. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam, ale to dużo wyjaśnia. On wyrzeka na świat, ale osobą, której naprawdę nienawidzi, jest on sam.

Bez uprzedzenia chwyta mnie za rękę, a ja powstrzymuję dreszcz niechęci. Opuszcza głowę, po policzkach lecą mu łzy.

– Niech pan to z siebie wyrzuci – mruczę. – To pomoże. – Sprytna, przebiegła Hanna kolejny raz przejmuje kontrolę. Gdzie była przez kilka ostatnich dni? Z pewnością nie dość blisko. – Musi pan o tym opowiedzieć. To jedyny sposób.

– Napisałem do niej, wbrew temu, co mówisz – mamrocze. – Miałem dość odwagi, a Miriam była tak dobra, że mi odpisała.

– Wiem, że pan to zrobił. Zachowałam się okropnie. – Moje nastawienie do tego mężczyzny zmieniło się z napastliwego w opiekuńcze.

– Początkowo nasze listy były dość ogólnikowe, ale odpowiadaliśmy na nie bardzo szybko, tak że napisaliśmy ich całe mnóstwo. Spotkałem

się z nią na stacji kolejowej, gdy w grudniu wróciła do domu. Szliśmy przez miasto, powtarzając sobie wyznania, które wcześniej powierzyliśmy listom. W pewnej chwili Miriam poczuła się zmęczona, zaczęła utykać, usiedliśmy więc w kawiarni.

Larsson poprawia lewą ręką okulary, a prawą wyciera oczy.

– I wtedy zdarzyło się coś strasznego i wszystko, co piękne, przepało. Do naszego stolika podeszło trzech wyrostków w mundurach Hitlerjugend, otoczyli nas i zażądali, żebyśmy wyszli. To byli tylko chłopcy, ale już tak aroganccy, jak ci z oddziałów szturmowych. Mieszkałem w Niemczech dostatecznie długo, by taki pokaz agresji nie zaskoczył mnie całkowicie, ale nigdy nie doświadczyłem czegoś podobnego w stosunku do siebie.

Nie posłuchaliśmy, a oni chwycili za stół i go rozkołysali, tak że kawa wylała się Miriam na kolana. Ona siedziała bez ruchu z pochyloną głową, ale wtedy wzięła mnie za rękę, z godnością wstała i pociągnęła mnie za sobą. Potem nastąpiło najgorsze. Miriam szła powoli, a oni, widząc to, zaczęli szydzić z jej kalectwa. Jeden szedł obok niej i powłóczył nogą, patrząc jej prosto w twarz, a drugi kopnięciem wytrącił jej laskę z ręki, a ona upadła na ziemię. A wiesz, Elso, o co w tym wszystkim chodziło?

– O to, że ona była Żydówką. – W jego opowieści nie ma niczego, co mogłoby mnie naprawdę zdziwić.

– O to, że ona była Żydówką. – Larsson zdejmuje okulary, oczy mu błyszczą od łez.

– A pan o tym nie wiedział? – Rozumiałam, że ktoś może nie mieć całkowitej pewności, ale naiwność tego człowieka mnie zdumiewa. Dziewczyna o imieniu Miriam, córka bankiera, czego on się spodziewał? Uosabiała wszystko, czego nienawidzili Niemcy, nawet ci niezdolni kogoś skopać.

– Nie zależało mi na tym, by wiedzieć – mówi Larsson. – Pomogłem jej wstać i poszliśmy. A wiesz, co czułem?

Nie odpowiadam.

– Czułem wstyd. Czułem wstyd i złość. Wstyd za siebie, ponieważ nic nie zrobiłem, nie wstawiłem się za nią, a złość na nią, bo przez nią znalazłem się w sytuacji, w której wyszło na jaw moje tchórzostwo.

Z boku przyglądałam się badawczo jego oczom. Czy są to oczy człowieka, którego przyjechałam tu znaleźć?

– Na czym polegało jej kalectwo? – pytam cicho.

– Jako dziecko zachorowała na polio, łagodny przypadek, ale w konsekwencji jej lewa noga rosła trochę gorzej niż prawa. Miriam pisała mi o tym w listach, a mnie nie przeszkadzała ta niedoskonałość. W gruncie rzeczy ta ułomność jeszcze bardziej mnie do niej przyciągała. Sprawiała, że pragnąłem ją chronić.

– Ale niedoskonałość w postaci bycia Żydówką nie budziła podobnych uczuć?

– Nie budziła – odparł cicho. – Próbowałem przekonać sam siebie, że to nie ma znaczenia, ale odkąd się o tym dowiedziałem, miało znaczenie większe niż cokolwiek innego.

– Już jej pan nie kochał.

– Nie, to nieprawda, kochałem ją tak samo jak wcześniej, choć jednocześnie jej nienawidziłem. Podczas jej wakacji spotkaliśmy się jeszcze kilka razy, ale gdy w styczniu wróciła do szkoły, nie napisała, a przy następnym spotkaniu zachowywaliśmy się jak obcy sobie ludzie. Zmieniłem się do tego stopnia, że gratulowałem sobie przewyciężenia słabości.

– Nie był pan wyjątkiem. – Uwalniam rękę z jego spoconego uścisku.

Z pracy z Henrym i zespołem wiedziałam dość, by zrozumieć, jak całe społeczeństwa ulegały trwającej latami propagandzie, i nie dotyczyło to tylko Niemiec, lecz także Polski na długo przed wojną.

– W Szwecji to nie był wielki problem – mówi Larsson – ale jako student w Niemczech obracałem się w środowisku najbardziej zaangażowanych politycznie osób naszego pokolenia; dla nich była to sprawa najważniejsza, a ja dałem się porwać nurtowi.

Te słowa, to zło wyrażone z taką klarownością zafascynowałyby i równie mocno przeraziłoby Henry'ego. Po raz kolejny nabieram przekonania, że ten młody mężczyzna jest tym, którego szukam, że jego droga życia, którą zaczął opisywać, mogła naprawdę przeciąć się z moją w Lucinie w 1942 roku.

KOLONIA

Marzec 1945

Opuszczając dom Winkllów, zatrzymałam się przy bramie, spojrzałam za siebie i na chwilę zamarłam. Herr Winkell stał w oknie pokoju Elsy. Zaraz mnie odeśle z powrotem do fabryki, pomyślałam, przypominając sobie, jak stawał w oknie swojego gabinetu i obserwował naszą pracę. Odwróciłam się, brama się za mną zamknęła. Już nie mógł mnie zatrzymać.

Gdy przemierzałam przedmieścia Kolonii, coraz bardziej widoczne stawały się skutki bombardowań. Na ulicach leżało tyle gruzu ze zburzonych domów, że po kilku kilometrach porzuciłam rower Rolfa – zresztą i tak dętka była już przebita – i wyruszyłam w drogę po rumowisku w solidnych butach Elsy.

Rzykowałam, wyprawiając się samotnie w drogę. Po mieście włożyły się bandy przestępców, do których dołączyli uciekinierzy z więzień; dużo było też żołnierzy zbiegłych z obozów jenieckich. Władze, chcąc zaprowadzić w mieście porządek, zgarniały wszystkich podejrzanych, po czym ich rozstrzeliwano. Na każdym kawałku niezburzonego muru były przyklejone plakaty piętnujące zdrajców, czyli Żydów i komunistów.

W centrum miasta podziurawione budynki przypominały zdeptane plastry miodu. Przez puste otwory okienne w wysokich ścianach widać było wiosenne niebo.

Szłam, ostrożnie stawiając stopy na stertach gruzu, aby rumowisko się nie osunęło, bo mogłabym coś sobie złamać i zostać pogrzebana.

Bolały mnie nogi, cały czas utykałam i zastanawiałam się, czy ktoś mnie obserwuje z cienia. Czy rzuci się na mnie jakiś bandyta z nożem, czy może zastrzeli mnie żołnierz ot, tak, dla sportu, bo znalazł nieduży, ale powolny ruchomy cel?

Dotarłam na brzeg Renu i przechyliłam się przez rozchwianą balustradę. Jezdnia i tory kolejowe leżały pod wodą.

Ruszyłam w stronę katedry, której wielki szkielet wystawał ze zgliszcz niczym zębra mamuta z kamienistej plaży.

Doszłam do podnóża schodów, gdy z głównego wejścia wyłonił się nade mną oficer, pierwsza istota ludzka, jaką widziałam od pół godziny. I nie w niemieckim mundurze, ale amerykańskim. Czy to już naprawdę koniec? Serce biło mi mocno, gdy rozglądałam się dookoła, ale tam, na otwartej przestrzeni, nie miałam szansy cegokolwiek zrobić.

Oficer poprawił czapkę i schodził po dwa stopnie naraz, nie patrząc na mnie, ponieważ zamykał futerał zawieszzonego na piersi aparatu fotograficznego.

Stałam bez ruchu jak słup, prawie nie rzucałam cienia, bo słońce było wysoko, a on znalazł się zaledwie kilka metrów ode mnie i dopiero wtedy mnie zobaczył i zastygł.

Otworzył usta ze zdziwienia jak mały chłopiec.

W tym samym wejściu ukazał się żołnierz w zielonej spódnicy. Na mój widok podniósł karabin do ramienia i wycelował w moją głowę. Panowała taka cisza, że szcęk zamka zabrzmiał jak pstryknięcie palcami.

Próbowałam podnieść ręce, ale pozostały przyklejone do moich boków. Spoglądałam to na lufę karabinu, to na miękkie jak zwierzęce futerko wąsy nad ustami oficera.

– Opuść to, Mike – rozkazał oficer, z niecierpliwością machając ręką.
– Przecież widzisz, że to tylko zagłodzony wróbelek.

– Ale jak ona przeszła przez posterunek kontrolny?

– Tak jak to robią wróble. Opuść to. Wystraszysz ją i odfrunie.

Żołnierz, który już zszedł ze schodów, przestał celować w moją głowę, opuścił broń niżej i teraz mierzył w moją pierś.

Dopiero wówczas dotarło do mnie, że oni, mimo swoich mundurów, mówią po niemiecku. Komu właściwie się poddałam?

Oficer usiadł na kamiennych schodach, poklepał miejsce obok siebie i spojrzał na mnie prosząco.

– Nie jesteśmy tu, by straszyć małego ptaszka. Prawda jest taka, że potrzebujemy twojej pomocy. Przyszliśmy tu i się zgubiliśmy. To wszystko moja wina, jak powie ci Mike. Chciałem zobaczyć katedrę, ale bez znaków drogowych i wszystkich tych punktów orientacyjnych wymienionych w moim przewodniku nie możemy znaleźć drogi powrotnej.

Czy ja śnię? Ten człowiek to bardziej turysta niż wojownik. Czy jeśli się uszczypnę jak Alicja, obudzę się w moim pokoju na poddaszu domu Winkllów albo na pryczy w fabryce?

– Jesteście Amerykanami? – zapytałam, choć byłam tego pewna, ponieważ w tych dwóch mężczyznach nie było zupełnie nic niemieckiego. Zastanawiałam się jednak, co by się ze mną stało, gdyby to był podstęp, gdybym dała się nabrać i zadała niewłaściwe pytanie.

– Pomyłka, Fräulein – powiedział, przyglądając mi się bacznie, a ja niespokojnie przestępowałam z nogi na nogę. – Ja jestem Kanadyjczykiem, a ten tu Mike jest Szkotem, ale skierowano nas do Pierwszej Armii Stanów Zjednoczonych ze względu na nasze specjalne umiejętności.

– Ale mówicie po niemiecku.

– To tylko jedna z naszych umiejętności.

Żołnierz o imieniu Mike usiadł na schodku wyżej i wygładził spódnicę na udach. Karabin położył obok siebie.

– Nazywamy to kilt – wyjaśnił, przyłapawszy mnie na gapieniu się na jego gołe łydki. Akcent miał tak osobliwie nierówny jak droga na polskiej wsi.

Mike wyjął z plecaka termos i przytrzymując go kolanami, odkręcił pokrywkę, po czym nalał kawy do dwóch metalowych kubków. Jeden podał oficerowi, ale ten nie wypił kawy, lecz podsunął kubek mnie. Poczulałam charakterystyczny zapach.

Przyjęłam kubek i powoli piłam. Moja twarz, napięta jak mocno zwinięty kłębek wełny, rozluźniła się. Prawdziwa kawa po wszystkich tych latach zadziałała z jednej strony jak mocne uderzenie, a z drugiej była jak muśnięcie piórkiem. Ręka mi opadła, pusty kubek wyśliznął się z palców i potoczył się po kamieniach. Oficer zatrzymał go bokiem buta.

Trudno było utrzymać ten sam poziom strachu, gdy jest się na pikniku w słoneczny dzień w towarzystwie staromodnego turysty i żołnierza w spódnicy. Czy naprawdę jestem pewna, że nie wpadłam do króliczej nory?

Oficer rozłożył mapę na ciepłym kamieniu, wygładził zagięcia i przycisnął każdy róg kawałkiem cegły, żeby nie porwał jej wiatr.

– A teraz, Fräulein, czy możesz nam pomóc i pokazać, jak mamy wracać?

Nachylałam się. Mapa została wyrwana z przewodnika i była usiana symbolami oznaczającymi kościoły i inne interesujące miejsca, obecnie wszystkie zburzone. Chciałam pomóc, ale choć mieszkałam w Kolonii od dwóch lat, rzadko pozwalano mi wyjść z domu Winkllów, więc dla mnie, podobnie jak dla nich, Kolonia była obcym miastem.

– Przypuszczam, że po prostu będziemy musieli poczekać, aż wyślą jeepa i nas znajdą – powiedział oficer. – Tak czy inaczej, mały ptaszku, należy ci się nagroda. – Wyjął z plecaka tabliczkę zawiniętą w staniol i odłamał kwadracik. Rozprostował mi palce i położył go na mojej brudnej dłoni. Patrzyłam na kawałek ciemnej czekolady z bijącym mocno sercem.

A gdy nie ośmieliłam się go zjeść, wyjął mi czekoladę z ręki i wcisnął w usta, gdzie eksplodowała na moim języku niczym granat.

W czasie gdy tych dwóch mężczyzn czekało na jeepa, stałam się zagadką do rozwiązania. Oficer skłonił mnie do opowiedzenia o sobie w zamian za kolejne kawałki czekolady.

– Co pan chce wiedzieć? – zapytałam zdenerwowana.

– Nie podałaś mi nawet swojego nazwiska.

– A pan nie podał mi swojego – odparłam w nadziei, że niechęć do ujawnienia mojej nowej tożsamości nie wyda się podejrzana. A oni się po prostu roześmiali.

– On jest Henry – powiedział Mike. – Henry Hendrickson. Jego rodzice bardzo chcieli mu ułatwić zapamiętanie, jak się nazywa

– Mam na imię Elsa – powiedziałam po dłuższej chwili, jękając się. Pomyślałam o pokazaniu dowodu tożsamości, który zabrałam z pokoju córki Winkllów, ale oni o to nie prosili, uznałam więc, że lepiej nie ryzykować sprawdzania naszego podobieństwa.

– Cóż, Elso. – Henry się uśmiechnął. – Co jeszcze powinniśmy o tobie wiedzieć?

Zaczęłam mówić i okazało się, że nie brakuje mi inwencji; pożyczyłam sobie spokojne, uprzywilejowane życie córki naszych pracodawców i użyłam wyobraźni, żeby połączyć wszystko w spójną całość i z zaskoczeniem stwierdziłam, że moja nowa tożsamość daje mi poczucie bezpieczeństwa. Gdy powiedziałam Henry’emu, że cała moja rodzina nie żyje, zauważyłam w jego oczach współczucie i coś, co wyglądało na łzy.

SZTOKHOLM

Niedziela, 22 grudnia 1946, wieczór

Głośno dzwoniąc, pędzi na mnie tramwaj, a ja walczę o wyciągnięcie obcasa z szyny. Później uwięziona jest już nie moja stopa, ale koło fotela. Mój pacjent przywarł do mnie, trzyma głowę na moim boku, mocno obejmuje mnie w talii. Może ten tramwaj postanowił zabić nas oboje. Przez jasno oświetloną przednią szybę widać twarz motorniczego. W ostatniej sekundzie wyrywam się, porzucam mojego pacjenta i odska-
kuję do tyłu...

Budzę się. Leżę na pościeli. Oddycham ciężko, poza tym w pokoju panuje zupełna cisza. Opadam na poduszkę. Czy krzyczałam przez sen, co często mi się zdarzało? W środku cała się skręcam, kulę się niczym rekrut pod ogniem schylający się przed każdym świszczącym pociskiem.

Mój oddech zwalnia. Jakiego rodzaju informację wysłała mi sumienie? Że im dłużej przebywam w tym miejscu, tym większe ryzyko wykrycia prawdy? Albo że wszystkie moje podstępny mające coś wydobyc z Larssona są tylko wyszukany i egoistycznym sposobem przeciągania sprawy?

Leżę na plecach wymięta i spocona i wpatruję się w sufit.

To wszystko trwa za długo. Referencje, które przedstawiłam podczas rozmowy o pracę, są nieprawdziwe. Nie zakładałam, że ktoś zdąży sprawdzić ich autentyczność. Jeżeli fru Larsson postanowi to zrobić, czego, znając ją, należało się spodziewać, jej listy z pytaniami szybko wrócą ze stemplem: „Adresat nieznany”. Potem wystarczy tylko rozmowa telefoniczna, by wyszły na jaw moje kłamstwa. Fru Larsson mogłaby też przejść na drugą stronę ulicy i porozmawiać w restauracji z Hasanem. Dowiedziałyby się od niego interesujących rzeczy. „Pielęgniarka! – prychnęłyby, odurzając ją zapachem z ust. – Ta suka umie co najwyżej obsłużyć klienta”. Jestem zdana na siebie na terytorium wroga.

Ale przynajmniej na dzisiejszy wieczór mam plan, więc zbieram siły i chwiejnie wstaję z łóżka.

Wyjmuję z głębi szuflady buteleczkę z proszkami nasennymi, robię miejsce na blacie komody i kruszę tabletki nożem. Miałam zużyć tylko

połowę i zachować resztę, lecz mimo ostrzeżenia, że są bardzo silne, wykorzystuję wszystkie. Zawsze mogę zdobyć więcej, nawet gdyby wiązało się to z koniecznością wyprawy do innej apteki. Za drugim razem Herr Berg nie będzie już taki łatwowierny.

Zbieram proszek na kartkę wyrwaną z podręcznika, składam ją i wsuwam do kieszeni spódnicy.

Gdy wchodzę do kuchni, Mona odwraca się do mnie plecami. Na stole stoi taca z kolacją fru Larsson – talerz z kawałkiem szarobiałej ryby w wodnistym sosie, gotowane ziemniaki i kieliszek porto.

– Przepraszam za wczoraj – mówię. Mona wzrusza ramionami, zauważam jednak, że te ramiona się rozluźniają, jakby ktoś je pogłaskał. Ta kobieta nie należy do osób, wobec których ludzie są bardzo grzeczni, moje przeprosiny ją zaskoczyły. – Chyba cię obraziłam, ale nie miałam takiego zamiaru.

– Wszystko w porządku – mamrocze. Postawiłam ją w niezręcznej sytuacji. To w gruncie rzeczy prosta kobieta, zgorzkniała i nieżyczliwa, a przy tym, na szczęście dla mnie, zupełnie pozbawiona wyobraźni.

– Chciałabyś, żebym zaniósła fru Larsson kolację?

Przejdźcie od wroga do przyjaciółki – a o to mi chodzi – to niełatwe zadanie. Mona się odwraca i przygląda mi się podejrzliwie. Wyjmuje z kredensu serwetkę, przeciąga ją przez srebrne kółko i kładzie na tacy. Potem kiwa głową na mnie, na tacę, na drzwi. Z tacą w obu rękach wycofuję się tyłem i otwieram drzwi, napierając na nie plecami.

Gdy na korytarzu skręcam za róg, stawiam tacę na podłodze, wsypuję pokruszone tabletki do kieliszka z porto i mieszam palcem, by mieć pewność, że się rozpuściły. Upijam odrobinę, właściwie zaledwie moczę język, i wyczuwam na szczęście tylko słodycz wina.

Fru Larsson jest w salonie, siedzi przy oknie.

Na mój widok mruga i lekko się uśmiecha, jakby przyniesienie tacy z kolacją pomogło mi zyskać jej względy. Gdyby to było takie proste, a ja bym znalazła się tutaj wyłącznie po to, aby zdobyć przyjaciół.

Wróciwszy do kuchni, znajduję kolację dla mnie na tacy, choć bez srebrnego kółka. To jest aluzja, żebym szybko wróciła do swojego pokoju, a ponieważ nerwy mam napięte z powodu tego, co przed chwilą zrobiłam, z wdzięcznością wychodzę.

Po jedzeniu stawiam tacę na podłodze i zwijam się w kłębek na materacu. Mam się tylko zdrzemnąć, lecz jestem tak zmęczona, że budzi mnie dopiero dzwon kościelny wybijający jedenastą. Za długo spałam, ale przynajmniej odpoczęłam i mam jaśniejszy umysł niż przez cały dzień.

Wciąż jest za wcześnie, by mieć pewność, że na nikogo się nie natknę, więc, patrząc na ścianę, czekam, aż wybije północ. Wtedy, walcząc z przemożną chęcią drzemki, czekam kolejne pół godziny, tak dla pewności.

W końcu wstaję z ciepłego łóżka, wkładam drugi sweter na szlafrok, wciągam długie do kolan skarpety i przewiążuję się paskiem. W tyłu warstwach ubrania wyglądam dziwnie. Ale przecież nikt mnie nie zobaczy.

Idę korytarzem do sypialni fru Larsson.

Spod drzwi nie pada światło, ale przyciskam do nich ucho. Gdybym weszła, a ona by nie spała, rozmowa byłaby trudna. Patrząc na klamkę, zastanawiam się, czy powinnam zawrócić. Tak czy inaczej, drzwi są prawdopodobnie zamknięte na klucz, ale gdy naciskam klamkę, otwierają się. Uchylam je na tyle, bym mogła się wśliznąć.

Pokój jest duży w porównaniu z moim i o wiele bardziej elegancki, z dwoma wysokimi oknami wychodzącymi na ulicę. Fru Larsson leży odwrócona do mnie tyłem, pada na nią światło latarni ulicznych przenikające przez cienkie zasłony.

Przechodzę na palcach po dywanie i przyglądam się jej. Usta ma otwarte jak ryba, a włosy, w dzień starannie upięte, opadają potargane na poduszkę. Nawet nie przebrała się na noc.

Podchodzę tak blisko, że czuję ciepło jej oddechu. Może wyczuwa ruch powietrza albo ja nie byłam dostatecznie cicho, ponieważ otwiera nagle jedno oko i przez sekundę patrzy na mnie...

A ja odskakuję do tyłu.

Potem fru Larsson zamyka oko, naciąga na siebie narzutę i odwraca się twarzą do ściany.

Czekam w cieniu szafy, aby się uspokoić, upewnić, że mocno śpi, i obserwuję, jak jej ciało drży i się wierci. Potem podchodzę do toaletki i znajduję klucze w miseczce z laki.

Zamykam na klucz drzwi do gabinetu fru Larsson, siadam na krześle przy biurku i zapalam lampę.

Kluczem wyjętym spod podkładki otwieram środkową szufladę. Znajduję papier listowy i koperty, buteleczki atramentu, dwa pióra wieczne – jedno z pękniętą skuwką – ołówek automatyczny i różne inne przybory, między innymi poplamioną atramentem drewnianą linijkę, ale nie ma tam moich referencji, choć widziałam, że je tam wkładała.

W dolnej lewej szufladzie powinny leżeć dokumenty, ale są tam tekturowe pudełko z dziecięcymi baletkami z różowego atlasu, przetartymi na dużych palcach, oraz damskie kalosze. Szuflada powyżej jest w zasadzie pusta, leżą tam tylko zardzewiała pinezka, zielone piórko z pozlepianą chorągiewką i kilka paragonów za pończochy, a najgłębiej, tak że omal go nie przeoczyłam, pistolet. Obracam go w dłoni. Jest cięższy, niż wygląda, i zimny, zimniejszy niż ten pokój. Z głębi szuflady turlają się trzy naboje, mają długie mosiężne łuski i polerowane stalowe czubki. Czy mogłabym zastrzelić mojego pacjenta? Wiem, jak głośna jest broń. Wystrzał w mieszkaniu byłby ogłuszający i przyciągnął uwagę całej kamienicy, a wtedy ucieczka nie byłaby możliwa. A co więcej, napatrzyłam się na to, co robi broń; widziałam, jak wygląda głowa, a właściwie to, co z niej zostało, po przejściu przez nią kuli. Odkładałam pistolet na miejsce i zasuwam szufladę.

W drugiej dolnej szufladzie znajdują się słownik szwedzko-niemiecki i słownik synonimów oraz Nowy Testament. Szuflada powyżej zawiera więcej paragonów ze sklepów, parę pękniętych recepturek, a w głębi pudełko z listami. Zanim odkryłam schowek Henry'ego w jego szafce nocnej, myślałam, że ludzie mający sekretne skrytki z listami istnieją tylko w filmach i sztukach teatralnych, a nie w prawdziwym życiu, ale teraz widzę, że to się często zdarza.

Słyszę skrzypnięcie desek podłogowych w korytarzu, przerywam przeszukiwanie; w jednej ręce mam pudełko, drugą chwytam łańcuszek zwisający z lampy na biurku gotowa zgasić światło... Ale wszystko cichnie, kładę więc pudełko na podkładce.

Największy pakiet to listy od siostry o imieniu Christina, prawdopodobnie kobiety, u której pracowała Mona. Christina pisze trudnym do odczytania maczkiem, ale prostym językiem, tylko krótkimi zdaniami, a w listach są niemal wyłącznie narzekania na trudności ze znalezieniem kogoś uczciwego do pomocy.

Następny plik zawiera listy od przyjaciółki z Hanoweru, najstarsze są sprzed pierwszej wojny światowej; dziewczynki poznały się podczas wakacji w pensjonacie w Atenach. Pisywały do siebie kilka razy w roku, nie ma jednak listów późniejszych niż z końca lat trzydziestych. Przyjaciółka pisała po niemiecku, a ja z wielką ciekawością czytam opisy staczenia się kraju w dyktaturę. Już mam odłożyć ten plik, gdy natykam się na list z lata 1935 roku, w którym była mowa o wizycie syna fru Larsson jadącego na południe, na uniwersytet.

Pod spodem leżą listy wysyłane przez mojego pacjenta z Saksonii, ostatni pochodzi z marca 1939 roku.

Zegar kościelny wybija wpół do drugiej. Jestem w tym pokoju od ponad godziny i mimo wszystkich tych warstw ubrania czuję przenikliwie zimno. Zbieram listy od przyjaciółki i związuję sznurkiem, listy mojego pacjenta układam w osobny stosik.

Ostatnia paczka listów jest przewiązana czarną wstążką, jak się okazuje, sparciała, bo gdy podnoszę paczkę, wstążka się rozrywa, a listy rozsypują się na biurku i na podłodze. Ostatni jest z końca lat dwudziestych. Napisał je mąż fru Larsson, pochodzą z czasów przedmałżeńskich i są to listy miłosne z odrobiną dwuznacznych aluzji i czułych dygresji. Ich lektura jest nieco krępująca, a poza tym nie mają one żadnego znaczenia dla mojego śledztwa, więc odkładam je na bok.

W pudełku widzę jeszcze tylko kilka listów, głównie w sprawie zakwestionowanego zapisu w testamencie wuja, a na samym spodzie leży telegram. Rozkładałam go, czytam krótką wiadomość i wtedy zegar wybija godzinę drugą. Telegram i listy mojego pacjenta chowam do kieszeni szlafroka. Pozostałe listy wkładam do pudełka i zamykam szuflady.

Rozglądam się wokół siebie, by sprawdzić, czy wszystko jest tak, jak było, wracam, ponieważ trzeba postawić równo krzesło, otwieram kluczem drzwi i wychodzę.

*

Ponownie wchodzę do pokoju fru Larsson, spodziewając się, że będzie spała, ale jej łóżko jest puste.

Ułga na myśl, że mi się wszystko udało, sprawiła, że stałam się lekko-myślna, a nagła panika wywołana odkryciem, że nie ma jej w łóżku – że nogi się pode mną uginają.

Zostawiwszy klucze w miseczce, szybko wychodzę, z hukiem zamykając drzwi.

Chcę jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju, więc cicho biegnę i skręcając za róg korytarza zderzam się z fru Larsson, która właśnie wychodzi z pokoju mojego pacjenta.

Obie cofamy się o krok.

– Elso, co ty tu robisz o tej porze? – pyta moja pracodawczyni drżącym głosem, przykładając dłoń do piersi. Mogłabym ją zapytać o to samo, ona powinna przecież spać jak zabita. Herr Berg i te wszystkie jego przestrogi. Oszukał mnie.

– Lunatykowałam – odpowiadam szybko, zbyt szybko, nie patrząc jej w oczy, a potem dorzucam jednym tchem: – Robiłam to od dziecka.

– Spacer po nocy! – mamrocze, oczy ma na wpół zamknięte, szczękę zeszywniałą. – Prawie mnie przewróciłaś!

Zaczynam się usprawiedliwiać.

– Obudziłam się na końcu korytarza i wracałam do swojego pokoju. – To wytłumaczenie jest śmieszne. Zastanawiam się, co jeszcze mogę powiedzieć, ale koloryzowanie mogłoby tylko uczynić moje słowa mniej wiarygodnymi, nawet jeśli fru Larsson jest częściowo odurzona.

– Pomyślałam, że może ty też usłyszałaś Stefana i szłaś sprawdzić, co u niego.

– Nie – mówię, żałując, że na to nie wpadłam. – Jak on się czuje?

– Jest niespokojny, ostatnio jakby trochę bardziej. Usiłuje zasnąć, a wtedy... – Fru Larsson opiera się o ścianę i przygląda mi się błędnym wzrokiem. – Jakie śliczne papucie.

Opuszczam wzrok zaskoczona zmianą tematu.

– Sama zrobiłam je na drutach.

– Zdolna z ciebie dziewczyna, co, Elso? – Mówi bełkotliwie, niewyraźnie, słowa zlewają się ze sobą. – Jesteś tu od kilku dni, a już czujesz się jak w domu i zyskałaś sympatię mojego syna, co twoim poprzedniczkom nie udawało się przez miesiące.

– Nie wiem, co pani ma na myśli. – Fru Larsson jest znużona, ale w jej głosie daje się wyczuć zazdrość, niewykluczone jednak, że próbuje mnie pochwalić. Gdyby rzeczywiście obserwowała nasze wzajemne rela-

cje, szybko by zauważyła, jak interesowna jest moja życzliwość dla jej syna.

– Zawsze śpisz w papuciach?

– Jeśli jest zimno. – Wymijam ją, trzymając się blisko ściany na wypadek, gdyby chciała mnie zatrzymać.

– Elso – mówi i znów ziewa.

– Tak? – Jestem już blisko rogu i oglądam się za siebie.

– Bądź ostrożna. Nie chcę, żebyś go zraniła.

– Zraniła? – pytam zmieszana, lecz ona już odchodzi niepewnym krokiem, opierając się o ścianę; z tyłu zwisa jej niechlujnie dół bluzki, który wysunął się ze spódnicy.

Jestem już w swoim pokoju i zamykam drzwi. Zostawiam klucz w zamku, a jako dodatkowe zabezpieczenie podstawiam krzesło pod klamkę.

Padam na łóżko, moje serce galopuje i dopiero gdy zwolni, wydaję listy mojego pacjenta i depezę.

Listy niewiele wnoszą, żaden nie ma więcej niż dwie strony, odstępy między linijkami tekstu są duże, a informacji jest niewiele; nie ma ani słowa o wielkiej miłości Larssona do biednej, utykającej Miriam. Ostatni list opisuje presję egzaminacyjną.

Telegram jest bardziej interesujący. Na kopercie znajduje się pieczęć: „Wrzesień 1945, Helsinki”. Rozwijam cienki papier i przypatruję się kilku napisanym na maszynie słowom: „Hotel J... przyjdź szybko... S”.

Dopiero teraz przypominam sobie, że zostawiłam klucz w zamku biurka fru Larsson.

KOLONIA

Luty – marzec 1945

W lutym 1945 roku Amerykanie zbliżali się do Kolonii. Nocami nie pozwalali nam spać; huk pocisków poluzował dachówki nad moją głową, aż wreszcie wyrwały się z zardzewiałych gwoździ, zsunęły się ze stromego dachu, odbiły od rynny i roztrzaskały na ścieżce piętnaście metrów niżej.

Szczury pod rumowiskiem piszczały na znak protestu.

W końcu i ja wpadłam w przerażenie i spędzałam całe noce skulona pod kocem na dolnym stopniu schodów na strych.

Ostatniego dnia miesiąca do kuchni Winkllów weszła Luisa w palcie i kapeluszu, ze starą torebką na ramieniu. Wyglądała, jakby wybierała się na zakupy.

– Odchodzę – powiedziała. – Zostajesz sama. Obok Luisy stała jej walizka. Ta sama, którą miała, gdy się poznałyśmy, ale tym razem nie zostałam poproszona, żebym ją niosła.

– Dokąd się wybierasz?

– Do mojej siostrzenicy, do Bawarii.

– Jak tam dojedziesz? – Nawet przy mojej ograniczonej znajomości kraju wiedziałam, że to daleka droga, a pociągi nie jeździły.

Ale Luisa nie odpowiedziała, po prostu wyszła. Z okna sutereny obserwowałam jej nogi wspinające się po schodach. Gdybym nie wiedziała, czyje to nogi, nie rozpoznałabym ich. Ubranie wydawało się na nią za duże, a pończochy zwijały się wokół kostek. W ciągu tych paru lat przyzwyczaiłyśmy się do siebie, teraz jednak ona znów stała się kimś obcym.

Winkllowie – matka i ojciec – nadal byli w domu, ale prawie nie wychodzili ze swoich pokoi, tak że miałam cały parter dla siebie. Tej nocy czułam się osamotniona i spałam w pustym łóżku Luisy. Poduszka pachniała jej włosami; zatonęłam w dużym wgłębieniu, które zrobiła w materacu.

Śniła mi się Julia huśtająca się na furtce do ogrodu mojego stryja w Marmowie. Zawołałam ją, a ona się odwróciła, lecz zanim zdążyłam zobaczyć jej twarz, obudził mnie myśliwiec lecący tak nisko nad dachem, że zatrzęsły się szyby w oknach.

Następnego rana nie zaniiosłam śniadania dla Frau Winkell do jej pokoju. Uznałam, że moje obowiązki w tym domu już się skończyły, i zaczęłam przygotowania do odejścia.

Szukałam wszędzie mojego dowodu tożsamości, przejrzałam wszystkie szafki w kuchni, serwantki w jadalni, włamałam się nawet do biurka w gabinecie Herr Winklla za pomocą noża do krojenia mięsa. Ostatni raz widziałam dokument w torebce Luisy i w końcu musiałam pogodzić się z tym, że wciąż tam jest. Dlaczego nie pomyślałam o tym wczoraj? Bez dowodu byłam nikim, a dla Niemców – wrogiem, potencjalnym szpiegiem, a wiele razy słyszałam od Luisy, że widziała „szpiegów” powieszonych na latarniach.

Weszłam na pierwsze piętro. Drzwi do pokoju Elsy były zamknięte, jak zawsze od jej śmierci. Nacisnęłam klamkę i znalazłam się w środku. W pokoju panowała ciemność, różowe zasłonki, pozostałość po dzieciństwie, z którego Elsa ledwie wyrosła, były zaciągnięte. Spodziewałam się zapachu zgnilizny, choć jej ciała tu nie przyniesiono, a zamiast tego powietrze mocno cuchnęło barem, wódką i papierosami. Na toaletce Elsy stała popielniczka z gabinetu na dole.

Zamknęłam drzwi i zapaliłam światło. Obok popielniczki leżał stos rzeczy wyjętych z szafek – lalki i inne zabawki z czasów, gdy Elsa była małą dziewczynką, oraz album ze zdjęciami.

Przekartkowałam album z czarno-białymi wakacyjnymi fotografiami pucołowatego dziecka kąpiącego się w morzu, pochylonego z siecią na krewetki nad wypełnionym wodą zagłębieniem w nadmorskich skałach i prowadzonego na ośle po plaży, pod parasolem.

Szuflady w szafkach Elsy były wysunięte. Leżały w nich uprane i wyprasowane bluzki i swetry gotowe na jej powrót do żywych, a także wstążki, z których nigdy całkowicie nie wyrosła i którymi już nigdy nie zwiąże włosów.

Znalezienie dowodu tożsamości Elsy leżącego pod rękawiczkami i szalikami zajęło mi tylko parę minut.

Otworzyłam dokument. Elsa z fotografii, co było do przewidzenia, nie bardzo mnie przypominała. Poza tym zdjęcie zostało zrobione kilka lat wcześniej, gdy miała pełniejszą twarz. Sfotografowano ją w mundurku BDM³, czyli w białej bluzce z wykładanym kołnierzykiem i w czarnej chustce na szyi. Warkocze z jedwabnymi kokardami sprawiały, że wydawała się jeszcze młodsza. Na szczęście dla mnie błysk lampy fotografa rozjaśnił brązowe włosy Elsy, tak że ich kolor nie był oczywisty. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze, żeby przypomnieć sobie własny wygląd, i porównałam go ze zdjęciem. Największą różnicę między nami stanowiło to, że Elsa się uśmiechała.

Rozczesałam włosy szczotką z toaletki i zaplotłam warkocze sięgające mi do ramion.

Nie zorientowałam się, że ktoś otworzył drzwi, ale usłyszałam kroki jej ojca na dywanie. Odwróciłam się gwałtownie i gdy wstałam, wsunęłam dokument do kieszeni spódnicy.

Herr Winkell podszedł do mnie wpatrzony w moją twarz. Rozłożył ręce. Po policzkach spływały mu łzy.

– Elso – wymamrotał. – Elso, moja kochana.

Cofnęłam się, przesunęłam na bok i prześliznęłam się pod jego rękami, a gdy ruszył chwiejnym krokiem w moją stronę, odepchnęłam go i uciekłam z pokoju.

Gdy znalazłam się na szczycie schodów, przystanąłam i obejrzałam się za siebie. Z pokoju Elsy nie dobiegał żaden dźwięk, lecz gdy zeszłam na dół, Herr Winkell wołał córkę. Ona nie wróci, pomyślałam. Ja również.

Wzięłam z szafy płaszcz i szalik Elsy, potem napompowałam koła w rowerze Rolfa, obniżyłam siodełko i poprowadziłam rower ścieżką.

Herr Winkell obserwował z okna, jak otwierałam bramę; wyglądał za szybą jak trup. Przez chwilę patrzyłam przez ramię, ale to był już koniec. Wsiadłam na rower i wyruszyłam w stronę słupów dymu wznoszących się nad miastem.

SZTOKHOLM

Poniedziałek, 23 grudnia 1946, rano

– Nie ma się czym martwić – zapewnił mój Niemiec i choć bałam się okazać słabość, łzy napływały mi do oczu. Spuściłam głowę, by nie widział mojej twarzy, zawsze tak było, gdy stał blisko mnie; cofałam się, nogi miałam złączone, ręce przyciśnięte do boków.

Idę do mojego pacjenta. Wspomnienia drobnych incydentów z przeszłości mają zwyczaj nachodzić mnie bez uprzedzenia. Od kiedy tu zamieszkałam, zdarza się to coraz częściej. Być może zbliżam się do prawdy.

Gdy mój Niemiec zorientował się, że płaczę, wydał się zmieszany, a nawet poruszony. Dotknął mojego policzka, po czym podniósł palec, by sprawdzić, czy jest mokry.

– Dlaczego mam się nie martwić? – zapytałam tak cicho, że prawie siebie nie słyszałam. Bałam się, że jego przyjazne gesty to tylko okrutny podstęp mający uspić moją czujność, by mógł mnie doszczętnie zniszczyć.

– Ponieważ nigdy nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić, Hanno.

Mówił do mnie po imieniu, choć nigdy mu go nie podałam. Musiał zadać sobie trud, aby się dowiedzieć. Wtedy po raz pierwszy przyjrzałam mu się bacznie, choć przez łzy, próbując coś wyczytać z jego twarzy.

– A mojej rodziny? – zapytałam z wahaniem. Po co mi obietnica tylko dla mnie.

– Oczywiście – mruknął, odwracając wzrok.

Wchodzę do jego pokoju i widzę, że mój pacjent jest na nogach. Albo prawie. Pomagając sobie rękami, przenosi się bez pomocy z łóżka na fotel. Gdy zamykam drzwi, siada na nim, sapiąc.

Przez kilka sekund siedzi zupełnie nieruchomo z zamkniętymi oczami, a ja obserwuję żyłą pulsującą słabo na jego szyi przy wycięciu bluzy od pizamy.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę – mówi, wciąż łapiąc oddech.

– Udało się panu – odpowiadam, ukrywając niechęć. – Ale czy ma pan pewność, że taki wysiłek jest rozsądny?

– Cóż, jeśli nie jest, to będzie twoja wina. – Otwiera oczy i patrzy na mnie. – Całe to twoje gadanie przywróciło mi trochę chęci do życia, tak jak przewidziałaś.

Czy on stroi sobie żarty? Czeka na moją reakcję, a gdy nic nie mówię, śmieje się cicho.

Zastanawiam się nad paradoksem tej sytuacji. Jeżeli moje podejrzenia okażą się słuszne, nie powinnam mu pomagać w odzyskaniu sił. Mój pacjent jest większy ode mnie i skoro mam go obezwładnić, im jest słabszy, tym lepiej. A przy tym już wiem, że tabletki nasenne, które jak sądziłam, mogą być przydatne, okazały się nie tak skuteczne. Próbuję nie myśleć o chwili, która być może się zbliża. Nigdy nie zabiłam nikogo stojącego wyżej w hierarchii istot żywych niż pająk czy ślimak. A jak będę się czuła potem? Czy będzie to radość i ulga, czy zacznie mnie prześladować kolejny demon? Właśnie dlatego chcę mieć całkowitą pewność.

– Chyba muszę zrobić panu zastrzyk. – To jest element jego leczenia, choć z tego, co czytałam w podręczniku, nic nie daje. Według autorki nie istnieje cudowne lekarstwo na gruźlicę. Jest szczepionka, ale nie pomoże już zarażonym.

– Wiem, wiem. W poniedziałek zastrzyk. – Mój pacjent znów jest wyczerpany, to znak, że niezależnie od tego, jak dobrze się czuje, nadal jest chory. Opiera głowę na oparciu fotela i wpatruje się w słoneczne refleksy na suficie, a potem znów zamyka oczy.

Podwijam mu rękaw piżamy powyżej łokcia, odsłaniając cienkie ramię. Domyślając się, że widzę, jak jest słaby, mówi:

– Kiedyś byłem sportowcem, teraz nie dałoby się tego powiedzieć. Nie byłbym w stanie nawet podnieść rakiety, nie mówiąc już o serwowaniu.

– Wkrótce będzie pan w stanie znów to robić – kłamię.

– Kobiety zawsze... wiesz... spójrz na mnie.

– A ja jestem pewna, że będzie dobrze.

Nigdy nie robiłam zastrzyku. Wiem z podręcznika, że najważniejsze jest usunięcie powietrza z igły, bo inaczej może nastąpić atak serca.

Jeżeli do tego dojdzie – a być może w ten sposób załatwię sprawę – udam nowicjuszkę i z pewnością nie pójdę do więzienia za zwykłą pomyłkę.

Przebiegam palcami po jego ramieniu, by znaleźć żyłę. Mój pacjent ma skórę cienką jak papier.

Nie mam doświadczenia, zdaję się więc na instynkt i wbijam igłę.

– Au! – krzyczy, zagryzając wargi, gdy igła przebija skórę, ale nie trafia w żyłę. – Delikatniej proszę.

– Przepraszam – mamroczę. Myślałam, że to będzie łatwiejsze. Strzykawka jest nieporęcznym narzędziem z metalu i szkła, więc aby mocno ją trzymać, chwytam ją niczym sztylet.

I wbijam po raz drugi.

– Kurwa!

Oboje jesteśmy zaskoczeni, że użył tak nieparlamentarnego słowa.

Mój pacjent otwiera oczy i bacznie mi się przygląda.

– Co ty próbujesz zrobić?

Wypuszczam kroplę surowicy z igły i cała spocona znów szukam żyły, która choć widoczna pod skórą, wymyka się jak piskorz, gdy próbuję się w nią wbić.

– Jezu Chryste, au!

Nic gorszego nie mogło się zdarzyć. Nie tylko nie trafiłam w naczynie krwionośne, choć próbowałam utrzymać je na miejscu kciukiem, ale wbiłam się głębiej. Pewnie ponosi mnie wyobraźnia, ale mam wrażenie, że czubek igły uderzył o kość.

Mój pacjent leży bezradny i patrzy na mnie ze strachem w oczach. Ręka mi się trzęsie, ale nie ma mowy, żebym się teraz poddała.

Wyobrażam sobie stojącą za mną moją matkę. Co by mi powiedziała? Uspokój się i nie śpiesz albo, co bardziej prawdopodobne, wbij tę igłę w jego przeklęte serce.

– Dzięki Bogu! – mówi, wzdychając, gdy czwarta próba kończy się powodzeniem. – Idzie gładko, jeśli robisz zastrzyk i przyciskasz palcem, gdy wyciągasz igłę. – Prycha. – Dlaczego w ogóle ci to mówię? Nie masz kwalifikacji. Choć czasami myślę...

– Zrobione – przerywam mu wesoło, odkładając strzykawkę, i wycieram pot z czoła. – Teraz nie było tak źle, prawda? – Ten marny żart pod jego adresem miał mi pomóc odzyskać choć trochę wiarygodności.

– Powiniennem cię aresztować – mruczy mój pacjent i raczej nie jest to żart.

– Zachowuje się pan jak dziecko. – Wycieram chusteczką higieniczną ślinę z jego brody. – Myślałam, że jest pan mężczyzną. – Teraz, gdy ta męka się skończyła, wrócił mi humor.

Larsson uważnie ogląda swoje ramię.

– Zrobiłaś ze mnie poduszeczkę do szpilek. Jaka czarownica wbija igły wprost w swoją ofiarę?

– Przepraszam, nawet najlepsi mogą mieć złe dni.

– Cóż, tym razem przeprosiny, jeśli to naprawdę są przeprosiny, przyjęte, lady Makbet, ale tylko pod jednym warunkiem.

– A jaki to warunek? – pytam, wycierając strzykawkę przed włożeniem jej do pudełka.

– Opowiesz mi o swoim chłopaku, tym, którego pobiłaś w wyścigu dzięki oszustwu.

Odwracam wzrok. Dobry humor, który pojawił się na moment, znów chowa się za mnie niczym cień.

– Dlaczego pana to interesuje? – Gra znowu się rozpoczyna. Ta gra, którą sama zaczęłam, i być może nastąpią ostatnie wymiany zwierzeń, lecz jeśli tak, nie jestem na to przygotowana.

– Bo intryguje mnie, jakiego rodzaju masochista zakochuje się w kimś takim jak ty.

Gdyby w tym momencie spojrział w górę, zobaczyłby w moich oczach desperację. Muszę być dzielna, myślę, nie ma ucieczki. Muszę się pogodzić z tym, że w tej grze chodzi o moją skórę.

– Miał na imię Olek – mówię cicho i wracam do wspomnień, wpatrując się w ciemne jak zimowe niebo oczy mojej nastoletniej miłości.

– Znam już jego imię – zauważa mój pacjent. – Ile lat miał ten chłopiec?

– Był o rok starszy ode mnie, ale oboje urodziliśmy się w lipcu.

– A jak poradził sobie z przegraną, z tym, że zwyciężyła z nim dziewczyna?

– Nie wiem, nikt nie zwracał na niego uwagi, a tym bardziej ja.

– A jak sprawy się potoczyły?

– Następnego dnia odszukał mnie po szkole. Moje kuzynki wyśmiały się z niego, ale on tylko się zaczerwienił i kpiny się skończyły.

– Odprowadził cię do domu?

– Wygląda na to, że pan już wie, co się wydarzyło. Tak, odprowadził mnie do domu.

Nie powiedziałam mu, że droga, którą pokonywałam w pół godziny, zabrała nam trzy godziny. Po prostu zaczęliśmy rozmawiać, a mieliśmy sobie dużo do powiedzenia. Nigdy wcześniej nie spotkałam chłopca, który chciałby dowiedzieć się czegoś o mnie. Na cmentarzu pod cisem Olek zapytał, czy może mnie pocałować, a ja, chichocząc, odwróciłam głowę. Następnego wieczoru pozwoliłam.

– Rozmawialiśmy i okazało się, że dobrze się dogadujemy. Zostaliśmy przyjaciółmi.

I zakochaliśmy się w sobie po uszy. Nasz kraj był zniszczony przez Niemców, wokół Żydów zaciskała się pętla, lecz gęstniejący mrok podsycał tylko nasze pragnienia.

– Ale na pewno było coś więcej niż przyjaźń – podsuwa Larsson rozczarowany moją powściągliwością.

– Owszem, ale powinien pan zrozumieć, że byliśmy młodzi i nie wiedzieliśmy nic o niczym. – O niczym oprócz miłości i jej bolesnym odchodzeniu w nicość.

W jego spojrzeniu widać głód. Nie nakarmiłam go do syta, a jeśli oczekuję w zamian mięsa, sama będę musiała dostarczyć mu mięso.

– Tego lata przyrzekliśmy sobie, że się pobierzemy.

Olek zapytał mnie, czy gdy będziemy już dostatecznie dorośli, wyjdę za niego, a ja odpowiedziałam: tak. Stało się to na weselu mojego przyszłego przyjaciela, Karola, i było ostatnią szczęśliwą chwilą, jaką razem przeżyliśmy. Tydzień później pędzono nas z Marmowa do odległego o szesnaście kilometrów getta w Lucinie.

– Ale to nie przetrwało? – pyta mój pacjent, mający być może zdolność przewidywania, a być może myślący o swoim własnym doświadczeniu.

– Nie, nie przetrwało. On zrobił coś, czego nie chciałam, a ja z nim zerwałam. – Odwracam się. Po policzkach płyną mi łzy.

– A ty bardzo lubisz, żeby ludzie robili to, co chcesz – zauważa mój pacjent i uśmiecha się zadowolony z siebie, ale puszczam to mimo uszu. O tym, co zrobił Olek i co się potem wydarzyło, nie mogę mówić nie tylko dlatego, że ujawniłabym swoją tożsamość, ale także dlatego, że opowiadanie o tym, nawet w cztery oczy, byłoby nie do zniesienia.

– Powinnaś spisać to, o czym mi mówisz – stwierdza mój pacjent.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Gdy odejdziesz, zatrzymam to jako dowód. Nikt nie uwierzy, że mógł istnieć ktoś taki jak ty.

– Dowód? Może ja też powinnam spisać jako dowód to, co pan mówi – odpowiadam, z trudem ukrywając rozgoryczenie.

Larsson milknie, i dobrze, choć z drugiej strony szkoda, bo byłam już tak blisko prawdy.

– Nie chodziło mi o dowód jako taki – odzywa się w końcu, w jego głosie daje się słyszeć obronny ton – ale o zapis, który utrwali wspomnienia. A ty łatwo się obrażasz. Czasami zapominasz, że zostałam tu zatrudniona dla mojego dobra, a nie z jakiegoś innego powodu.

Otwierają się drzwi. Spodziewam się Mony z naszą kawą, ale wchodzi fru Larsson. Stawia tacę na stoliku syna.

– Co to za rozmowa o jakimś dowodzie?

– Tak sobie gawędziliśmy – odpowiadam. Teraz moja kolej na przybranie obronnego tonu. Po co ona tu przyszła?

Baczenie przygląda się synowi, a gdy on się wzdryga, przenosi uwagę na mnie. Wytrzymuję jej spojrzenie przez kilka sekund, potem spuszczam wzrok. Mogłoby się wydawać, że jesteśmy dziećmi przyłapanymi na bójce albo na całowaniu się.

– Przyszłam tylko powiedzieć, że masz dzisiaj trochę wolnego, Elso. Lekarz Stefana przyjdzie go zbadać, więc nie będziesz potrzebna. Masz popołudnie dla siebie.

– Teraz moja kolej o coś pana zapytać.

– Jesteś jak dziecko z tą potrzebą opowiadania na zmianę.

– Bo nie byłoby zabawy, gdyby mówiło tylko jedno z nas.

– A więc zaczynaj, zadaj mi pytanie, a potem ja ci zadam. – Układa się wygodnie na poduszkach. – W porządku. Pytaj, o co chcesz, jestem gotowy.

Zastanawiam się, co zrobić, o co zapytać najpierw. Nie powinnam od razu go przyszpilać, muszę być przebiegła, znaleźć słabe punkty w jego obronie, sprawić, by stracił czujność, i dopiero wtedy mocno uderzyć.

– Czy w dzieciństwie miał pan psa? – pytam. Pytanie jest nietrudne i niezbyt pomysłowe, ale przez sekundę myślałam o Henrym i bezpańskim kundlu, którego przygarnęła jego rodzina.

Mój rozmówca już nie jest taki spięty. Czuje ulgę, że nie gram ostro.

– Tak, miałem. A ty? – Odpowiadając pytaniem, omija swoją kolej.

– Moje kuzynki miały kota. Był starym wojownikiem bez ucha i krążył po okolicy, płodząc kocięta, dopóki nie zastrzelił go jakiś chłop za terroryzowanie jego owcy.

Larsson kiwa głową. Docenia moje starania, zresztą odpowiedź jest dobra, gładka i barwna, a nawet po części prawdziwa; dodałam tylko płodzenie kociąt i zastrzelenie. Ale jeżeli to miała być walka na pięści, skończyło się tylko na poklepywaniu się po ramionach i sprawdzaniu zasięgu naszych rąk.

– Moje drugie pytanie – mówię – brzmi: Czy kiedyś coś pan ukradł?

– Nie! – Mój pacjent jest oburzony, a jednocześnie się rumieni. Trafiałam w czuły punkt. – Tak – mruczy. – Jeden raz, ale przypadkiem, nie celowo. – Śmieję się z jego zakłopotania, zastanawiając się, co u licha ukradł przypadkiem. – A ty, panno cnót wszelakich?

– Ja? Kradłam dużo, dopóki jako jedenastolatka nie zostałam przyłapaną z ręką w słoju z cukierkami, dosłownie. Ręka utkwiała mi w środku, a gdy ją wyjmowałam, słoje spadł na podłogę i się rozbił. Właściciel sklepu ze słodyczami wyciągnął mnie na zewnątrz, tak żeby chłopcy, którzy mnie namówili, a potem udawali, że mnie nie znają, mogli zobaczyć, co się robi ze złodziejami. Od razu na schodkach zbił mnie kijem, którego używał do zdejmowania słoików z najwyższej półki.

– Chciałbym to zobaczyć – mówi mój pacjent z błyskiem okrucieństwa w oku. – To wtedy w końcu zrozumiałaś, że nie warto żyć jak włóczęga?

– Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że dziewczyna musi polegać na sobie i nie może ufać chłopcom. Tak czy inaczej, nie wiem, dlaczego pan się śmieje, bo to wcale nie było zabawne, bolało mnie jak diabli, cała byłam w siniakach.

Nie powiedziałam mu, ponieważ nie pasowało to do mojej zmyślonej tożsamości, że gdy ojciec się o tym dowiedział, uwięził mnie na miesiąc, a potem, chcąc ukrócić moje wybryki, zrobił ze mnie swoją sekretarkę.

Mój pacjent się uśmiecha. Jest wyraźnie rozluźniony. Już czas wykorzystać to, co do tej pory uzyskałam.

– Był pan żołnierzem? – pytam łagodnie.

Jest tak, jakbym uderzyła go pięścią w nos. On się wzdryga, a mowa jego ciała wystarczy za odpowiedź.

– Czemu o to pytasz?

– Wielu mężczyzn było, więc jestem ciekawa.

– Tak, wielu mężczyzn – mamrocze pod nosem.

– Musiał pan widzieć różne rzeczy.

– Widzieć różne rzeczy – powtarza bezmyślnie, spuściwszy wzrok.

Tak, i być może robić coś jeszcze, myślę, a jeśli jesteś tym, kogo szukam, wkrótce za to zapłacisz.

Patrzy na mnie. Ma zimne oczy. Jest na mnie naprawdę zły.

– Powiedz mi, Elso, dlaczego udajesz kogoś, kim nie jesteś?

Teraz moja kolej dać się zaskoczyć.

– Co pan ma na myśli? – Ta potyczka, kombinacja naszych nastrojów, czyli mojej dociekliwości i wojowniczości i jego chęci obrony i napastliwości, zamieniły pokój chorego w pole bitwy.

– Och, przestań. Jest w tobie coś śliskiego. Przede wszystkim jesteś pielęgniarką, która nic nie wie o pielęgniarstwie. Dla ciebie strzykawka nie jest przyborem medycznym, tylko bronią.

– To nieprawda, szkoliłam się w... – Ale on mnie zdeprymował, tak że nie mogę nawet przypomnieć sobie nazwy szpitala, w którym, jak

mówiłam jego matce, odbywałam praktykę.

KOLONIA

Kwiecień 1944 – luty 1945

Życie w domu Winkllów, które zdawało się biec ustalonym trybem, zmieniło się na początku 1944 roku, gdy Rolf został powołany do wojska. Nie zdawałam sobie sprawy, że ten chłopak, chudy i pryszczaty, osiągnął już odpowiedni wiek. Nie zauważyłam, że na jego twarzy zagościł nieustanny uśmiezek drapieżnika.

Matka Rolfa, przekonana, że syn zginie na froncie wschodnim, była niepokieszona. Dla mnie było to jednak święto, mogłam poruszać się po domu bez strachu. Nie bałam się już, że ten chłopak podstawi mi nogę na schodach lub rzuci mną o ścianę w jadalni. Albo dopadnie mnie na półpiętrze i podrapie obgryzionymi paznokciami. Mogłam mieć nadzieję tylko na jego śmierć na wojnie.

W czerwcu armie brytyjska, amerykańska i kanadyjska przeprowiły się przez kanał La Manche i zaczęły wypierać Niemców z Francji, a jednocześnie na wschodzie naciskali na nich Rosjanie. Zbir dostawał to, na co zasłużył.

We wrześniu Herr Winkell wrócił z jednej ze swych rzadkich wizyt w Polsce. Na wszystkich spotkaniach rodzinnych jego krewni traktowali go prawie jak obcego. Nic dziwnego, ponieważ za każdym razem wydawał się trochę starszy, trochę bardziej siwy, trochę bardziej pomarszczony, coraz mniej zadowolony z siebie.

– On ma tam kochankę – powiedziała któregoś dnia Elsa; weszła do mojego pokoju bez pukania i stanęła nade mną.

– Skąd wiesz? – Elsa i ja byłyśmy już wówczas, a zwłaszcza od wyjazdu Rolfa, przyjaciółkami. Ufała mi bardziej niż Luisie, opowiadała o swoim chłopaku, który próbował przekroczyć wyznaczoną przez nią granicę. Traktowała mnie jak młodszą siostrę, choć miała tylko piętnaście lat, a ja skończyłam osiemnaście.

– Poznałam ją, gdy tam byłam. – Elsa mówiła o kochance ojca. – Zaprosił ją na obiad.

– Jesteś pewna, że to ona?

– Pewna? Była tak bezwstydna, że miałam ochotę dać jej w twarz. I jemu za postawienie mnie w takiej sytuacji.

– Co on teraz zrobi?

– Niewiele może zrobić. Fabryka ma zostać zamknięta, a on będzie musiał porzucić tę kobietę. Mama nigdy mu nie pozwoli sprowadzić jej do Niemiec. To dlatego wrócił, chciał o tym porozmawiać. Jest jak chory z miłości szczeniak. Gdyby wszystko poszło po jego myśli, trzymałby ją na strychu jak lalkę w pudełku i wyjmował, żeby się nią pobawić, gdy zostanie sam.

Patrzyłam na Elbę zdumiona. Czy mężczyźni uważają, że mogą prosić swoje żony o coś takiego? Wyobraziłam sobie stryja Małego próbującego to zrobić i stryjenkę, która go porzuca. O ile nie wykopałaby go na ulicę niczym beczułkę, którą był. Mogłam jednak wyobrazić sobie mojego ojca z kochanką, choć on byłby dyskretny i zachowałby się przyzwoicie.

– Czy jeśli zamkną fabrykę, twój ojciec otworzy ją tutaj?

Elsa wzruszyła ramionami.

– Być może. – Ale fabryka jej nie interesowała, rozmyślała prawdopodobnie o swoim chłopaku i o tym, jak długo zdoła utrzymać go na dystans, o ile rzeczywiście to robiła.

Pomyślałam o Karolu. Czy dowiemy się czegoś od jego żony lub zobaczymy jego dziecko? Czy my – Karol, inni robotnicy i ja sama – spotkamy się wszyscy już niedługo tu, w Niemczech?

Następnego dnia Herr Winkell wrócił do swojej fabryki w Polsce i jeśli Elsa miała rację, w ramiona swojej kochanki.

Od tej pory myśl, że robotnicy mogą zostać sprowadzeni tutaj, do Kolonii, nie dawała mi spokoju. Byli mi bliscy, ale bardzo się bałam, że każde spotkanie może ujawnić mojemu otoczeniu to, co trzymałam w tajemnicy – że tak jak oni jestem Żydówką. Moja sytuacja poprawiła się na tyle, że miałam coś do stracenia.

Myślałam jednak ciepło o Karolu. W fabryce się zaprzyjaźniliśmy. Tęskniłam za niewinnym dotykiem jego ramienia, gdy pomagaliśmy sobie nawzajem.

Gdy miałam okazję, wypytywałam Elbę o zamiary jej ojca, ale los fabryki leżał poza strefą jej zainteresowania, która ograniczała się do

toczonej przez nią wojny z natarczywymi rękami jej podchorążego.

W przeciwieństwie do Elsy Luisa, kucharka Winkllów, była dość dobrze poinformowana.

– Fabryka nie ma przyszłości, ponieważ Rosjanie podeszli zbyt blisko, żeby mogła przetrwać – odpowiedziała na moje nieśmiało zadane pytanie. A ja przez chwilę denerwowałam się, że Marmów stratuje kolejną armia. Czy jeśli ktoś z mojej rodziny przeżył, będzie miał dokąd wrócić?

– Czy on odbuduje fabrykę tutaj? – zapytałam.

– Jeśli zdoła dotrzymać umów. Wojsko od dawna nie jest zadowolone z tego, co im wysyła.

– Skąd to wiesz?

Luisa poklepała się po nosie i rzuciła mi znaczące spojrzenie. Dawała mi w ten sposób do zrozumienia, bym pilnowała własnych spraw, ale nie byłam jeszcze gotowa się poddać.

– Ale jeśli uda mu się odnowić kontrakty, sprowadzi robotników? Zrobi to, prawda?

Popatrzyła na mnie dziwnie.

– To się nie zdarzy. On zatrudnił Żydów, żeby oszczędzić pieniądze. Nie pozwoli mu sprowadzić ich tu, żeby zatruli Niemcy. – Koszmarny sposób, w jaki mówiła o Żydach, już mnie nie zaskakiwał. W Polsce, zanim przyszli Niemcy, też nami pogardzano i ustanawiano prawa przeciwko nam. Wydawało się, że Luisa zupełnie zapomniała, że ja także pracowałam w fabryce i o czym to świadczyło. Jak przypuszczałam, było dla niej nie do pomyślenia, żeby pozwolono Żydówce mieszkać w domu Winkllów, pod nosem ich wszystkich.

– Choć jest jedna Żydóweczka, którą on lubi brać do łóżka. – Jej oczy błysnęły lubieżnie. Wyglądało na to, że Herr Winkell jest w tarapatkach, a z nim my wszyscy.

– No więc co się z nimi stanie? – dociskałam, wracając do tematu moich kolegów z fabryki. Zdawałam sobie sprawę, że pytanie jest naiwne, ale desperacko chciałam się upewnić.

– Nie wiem, co będzie z tymi ludźmi – odparła, to jej nie obchodziło.

Jedno, co wiedziałam na pewno, to to, że ładują ich do pociągów. Sama to widziałam, ale nie miałam pojęcia, dokąd ich wiozą.

– Może byłoby lepiej, żebyś się tak nie interesowała Żydami. – Luisa znów spojrzała na mnie znacząco. – Bo ludzie mogą to źle zrozumieć.

– Nie mają czego źle zrozumieć – rzuciłam. Głowa mi pękała.

W końcu 1944 roku Herr Winkell wrócił z Polski na dobre. Nie otworzył fabryki w Niemczech, ponieważ, jeśli wierzyć Luisie, kontrola jakości wypadła źle.

Musiałam założyć, że zaprzyjaźnionych robotników spotkał taki sam los jak moją rodzinę, i z wielkim trudem podtrzymywałam nadzieję, że może kiedyś znajdziemy się wszyscy razem w jakimś dalekim kraju.

Wraz z powrotem Winklla duży dom zaczął się wydawać nadmiernie zatłoczony. Natykałam się na mojego pracodawcę w niespodziewanych miejscach, zgarbionego, z niedopałkiem papierosa w palcach albo siedzącego w oknie i wpatzonego w drzwi frontowe, jakby mogła się nagle pojawić jego „Żydóweczka” z walizką ciągniętą po bruku.

W przeciwieństwie do pogrążonego w letargu męża Frau Winkell ożyła, maszerowała po pokojach z wysoko podniesioną głową.

Wieczorami wpadała do mnie Elsa, żeby uciec od panującej na dole napiętej atmosfery. „Oni znów się kłóca”, mówiła. Kładła się na moim łóżku i wpatrzona w sufit marzyła o tym, o czym marzą kilkunastoletnie dziewczęta.

Na początku 1945 roku większa część Francji była już zajęta przez wojska alianckie, które zbliżały się do Renu. Nasiliły się naloty na Kolonię. Samoloty brytyjskie nadlatywały nocami czarne niczym wrony, z warkotem, od którego drżały szyby w oknach. W dzień przylatywali Amerykanie samolotami połyskującymi jak ryby w płytkim stawie. Czasami ich myśliwce nurkowały, by przelecieć nad dachami; skrzydła samolotów odcinały czubki drzew.

W mieście grasowała śmierć.

W słoneczny wiosenny dzień jej kosa spadła na naszą ulicę.

Nalot zaczął się bez ostrzeżenia, syreny zawyły dopiero później. Srebrzyste bombowce leciały po błękitnym niebie, lecz tym razem nas minęły, nie było więc sensu, żeby Luisa uciekała teraz do schronu; ja

w każdym razie nigdy nie zostałam tam zabrana. Luisa przyglądała się nalotowi z okna sutereny.

– Ktoś przeżywa ciężkie chwile – powiedziała, odwracając się do zlewu, i opłukała ręce. – Ale dzisiaj to nie nasz problem. – Wytarła dłonie. Obie uśmiechnęłyśmy się głupawo, tak się dzieje, gdy po strachu przychodzi ulga, i zakłopotane odwróciłyśmy się od siebie.

Poszłam na górę.

Elsa stała w holu, wkładała brązową sztruksową kurtkę od mundurku BDM z quasi-wojskowymi emblematami na rękawie i mottem oddziału napisanym gotykiem i naszytym przeze mnie na mankiecie.

– Dokąd się wybierasz? – zapytałam. Samoloty już odleciały, ale mieliśmy nie wychodzić z domu.

– To nie twoja sprawa. – Elsa podziwiała swoje odbicie w lustrze, zagryzając wargi, aby nabrały koloru. Miała lśniące włosy, pewnie świeżo umyte. W kilku ostatnich miesiącach wyładniała, nie była już tak przysadzista jak jeszcze niedawno. Teraz ubrania na niej wisiały.

– Zobaczysz się z nim, prawda? – zapytałam bez ogródek, na co dawniej bym się nie zdobyła, a co wynikało ze szczerej sympatii. Nie lubiłam natomiast jej chłopaka Klause. Widziałam go kilka razy i zawsze patrzył na mnie z niesmakiem, jakby wyczuwał zapach mojej złej krwi.

Przez chwilę Elsa patrzyła na mnie nieprzyjaźnie, potem pojaśniała na twarzy.

– Nic ci do tego – rzuciła, odwróciła się i ruszyła do drzwi.

– Alarm nie jest jeszcze odwołany – nie poddawałam się, choć wiedziałam, że już nie mam szans.

– A kim ty jesteś? Moją matką? – Elsa otworzyła frontowe drzwi i zbiegła ze schodów, skacząc po dwa stopnie naraz.

Godzinę później przyniosło ją dwóch sąsiadów. Jeden trzymał ją za nogi, drugi – pod pachy. Początkowo nie było widać obrażeń, w oczy rzucało się tylko rozdarcie na ramieniu kurtki, tak równe, jakby zrobiono je nożyczkami. Pomyślałam, że dziewczyna po prostu upadła, lecz spod kołnierzyka wystawał odłamek pocisku ostry jak grot strzały, a bluzka była przesiąknięta krwią. Wszystkie rany były płytkie, ale kawałek metalu przeciął arterię.

Sąsiedzi położyli Elbę na posadzce w holu. Włosy dziewczyny, jeszcze niedawno lśniące i czyste, pokrywał ceglany pył.

Jej matka przysła z salonu i zamarła. Potem osunęła się po ścianie, uderzyła o stolik i przewróciła krzesło.

Luisa pobiegła do jadalni i wróciła z obrusem, ale przy Elbie był już jej ojciec. Podniósł córkę i przytulił do piersi, ułożył jej głowę na swoim ramieniu, a swoją przycisnął do jej szyi.

Zaskoczyło nas, że tak jawnie okazywał głęboki ból. Obrus wypadł Luisie z ręki.

Herr Winkell z ciałem córki w ramionach poszedł sztywnym krokiem do swojego gabinetu.

Luisa stała z otwartymi ustami. Frau Winkell leżała pod ścianą, patrząc w przestrzeń.

A ja płakałam, jakbym straciła kolejnego członka rodziny.

SZTOKHOLM

Poniedziałek, 23 grudnia 1946, popołudnie

Mam mdłości. Próbuje wstać, by pójść do łazienki, ale słabo trzymam się na nogach, siadam więc ciężko na krześle w rogu. Oskarżenie ze strony mojego pacjenta, że udaję kogoś innego, gram jakąś rolę, jest zbyt bliskie prawdy, choć z pewnością to tylko przypadkowy celny strzał.

– Wyglądasz na chorą – zauważa mój pacjent, gdy potykając się, wychodzę z pokoju.

Mam mętlik w głowie, jakbym zaliczyła na ringu jednocześnie dwa ciosy. Z jednej strony reakcja Larssona na pytanie, czy był żołnierzem, wiele mówi, z drugiej – odsłoniłam się bardziej niż kiedykolwiek. Nie-wykluczone, że cały trud, jaki włożyłam w zdobycie jego zaufania, poszedł na marne; może i byłam blisko, ale niewystarczająco blisko.

A teraz wolę wyjść z jego pokoju, niż udawać, że nic się nie stało, i prawie przyznać, że mam coś do ukrycia.

Nie byłam na dworze od dwóch dni, korzystam więc z wolnego popołudnia niechętnie mi darowanego przez fru Larsson i wychodzę z mieszkania. Nie zjeżdżam windą, schodzę po schodach, by nie przyciągnąć uwagi Göstena. Nie potrafię się zmierzyć z jego szczerą troską i na domiar wszystkiego go okłamywać, choć to konieczne. W holu przemykam obok portierni, gdzie Gösten rozmawia z lokatorem o zapodziejanej paczce, i niezauważona wychodzę przez podwójne drzwi na ulicę.

Nie wiem, dokąd pójść na wciąż miękkich nogach, wsiadam więc w pierwszy nadjeżdżający tramwaj. Jedzie do nabrzeża, a potem wokół zatoki i to właśnie w nim dopadają mnie oni – moja rodzina i sąsiedzi. Zajmują siedzenia koło mnie, komentują najnowsze wydarzenia niczym grecki chór. Wiem, że są produktem ubocznym słabości i majaczenia, lecz to nie czyni ich obecności mniej przerażającą. Próbując uciec, otwieram na siłę automatyczne drzwi, a gdy tramwaj zwalnia na zakręcie, ląduję ciężko na jezdni, toczę się na bok i wpadam w pryzmę zbitego śniegu zalegającego wzdłuż rynsztoka.

Leżę na plecach. Jakiś mężczyzna macha do mnie z chodnika i bacznie mi się przygląda.

– Wszystko w porządku, kochana?

Wpatruję się w przestrzeń obok jego głowy. Duchy, mimo mojej pośpiesznej ucieczki, tłoczą się wokół mnie.

„Wiesz teraz, kim on jest, i nadal nic nie zrobiłaś”, gorączkuje się piekarz z Marmowa, wymachując mi przed nosem umączonymi dłońmi. Wydaje się to przerażająco rzeczywiste.

– Muszę być pewna, że to jest on – usprawiedliwiam się głośno błagalnym tonem. Ale prawdę mówiąc, co jeszcze mogę zrobić, jeżeli on się nie przyzna? Wrogość mojego pacjenta po tym, jak go zapytałam, czy był żołnierzem, mówi mi wystarczająco dużo.

„Tak, daj jej szansę”, prosi moja matka łagodnie.

Moja stryjenka nie ma w sobie łagodności. „To jest po prostu egoizm, egoizm”, mamrocze; za życia też zawsze znajdowała winnego.

– Wynoście się wszyscy! – krzyczę i podpierając się rękami, wstaję i kuśtykam po chodniku. Moja lewa kostka, skrzyta wskutek skoku z tramwaju, boli przy każdym kroku.

Docieram do drzwi baru, wchodzę. W pomieszczeniu panuje mrok – światło wpada tylko przez brudne okna – i cuchnie zwietrzałą wódką i rozlanym piwem. Przeciskam się przez rząd stołków, opieram się plecami o kontuar i czekam na duchy, by stawić im czoło, ale przyszła za mną tylko siostra, być może wysłana, by się upewnić, że im nie uciekłam.

– Julio – szepczę. Julia czeka cierpliwie w mroku przy drzwiach. Widzę jej cienkie nogi i zniszczone buty. – Wiesz, że możesz mi zaufać, zrobię to, nie zawiodę cię. Zrozum, że to poważna sprawa i jestem po prostu przerażona. Po prostu muszę mieć pewność.

– Co się dzieje, kochana?

Odwracam się szybko i widzę tego mężczyznę z ulicy.

– Kim pan jest? – pytam ostro.

– To mój bar i to ja powinienem cię o to zapytać!

Sadowię się na stołku i zerkam przez ramię, aby sprawdzić, co z moją siostrą, ale wydaje się, że odeszła, a ja wolniej oddycham, choć nie mam wielu powodów, aby czuć ulgę. Jeśli wciąż będę tak gwałtownie traciła kontakt z rzeczywistością, skończę w zakładzie dla obłąkanych.

– Co podać, fröken? – pyta barman; poufały ton tego człowieka wskazuje, że jego zdaniem jestem już wstawiona. – Coś, co przywróci równowagę?

Wódka sprawiła, że zanim nadszedł wieczór, opadłam z sił, ale mam dziwnie jasny umysł, a przynajmniej tak mi się wydaje. Głośno rozmawiam z mężczyzną w średnim wieku z wytatuowanymi na obu przedramionach kotwicami, które od czasu do czasu niepostrzeżenie zamieniają się w swastyki. Na początku wzięłam go za marynarza, okazało się jednak, że handluje rybami, i ilekroć chce coś powiedzieć, pochyla się i zionie mi w twarz morskazukiem i śledziem. Po nim stółek zajmuje czerwony na twarzy biznesmen w garniturze. Zdejmuje marynarkę, pod którą ma koszulę z krótkimi rękawami i z plamami potu pod pachami. Opowiada o swojej żonie, o tym, jak ukradła mu wszystko, włącznie z synem, i popłynęła do Ameryki. Wydawało się to boleśnie świeże, ale w miarę rozwoju opowieści okazuje, że mowa o wydarzeniach sprzed dwudziestu lat.

– Bił ją pan? – pytam niepewna, czy powinnam wziąć jego stronę, czy jej. Wprawiam go w zakłopotanie, potem w złość, odsuwa więc swój stółek daleko ode mnie, oglądając się za siebie.

Wczesnym wieczorem przysiada się młody architekt, a przynajmniej tak twierdzi, lecz gdy zadaję mu pytanie, co wybudował, jest zmieszany i zasłania twarz grzywką. Zmienia temat, zaczyna oskarżać system i jego wypowiedź szybko zamienia się w wykład o mechanizmach władzy. Pytam, czy jest bolszewikiem.

– Nie! – krzyczy rozsierdzony. – Nie jestem szumowiną! Jestem wyznawcą Rousseau. – Niezależnie od tego kłopotliwego wybuchu złości jego opis państwa rządzonego przez obywateli, czystej utopii, jest pociągający, kiwam więc głową ze zrozumieniem, ponieważ w tej wizji znikają wszystkie opresyjne instytucje.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że stoję oparta o główny filar w sali. Niespodziewanie przypominam sobie miłą scenę z dzieciństwa, której nie wspomniałam od dawna. Mój brat Józef przenosi mnie na rękach przez górski potok. Mam pięć lub sześć lat, w tamtych czasach, przed objęciem władzy przez nazistów, kilka razy spędzaliśmy wakacje w Górach Harcu. Po drugiej stronie potoku jest łąka, a na niej chata pasterza. Czy Józef niesie mnie do chaty, czy wracamy do miejsca, skąd przyszedliśmy?

W końcu wybucham płaczem, łzy lecą mi po twarzy, wszystko wokół wiruje. Myślę o Henrym, o tym, co zostawiłam za sobą w Niemczech, i o swojej niepewnej przyszłości, gdy będzie już po wszystkim. Co stanie się wówczas ze mną?

Godzinę czy dwie później odzyskuję świadomość w wąskiej uliczce na tyłach hotelu; obudziły mnie mewy kłócące się nade mną o zawartość kosza na śmieci.

Podnoszę się z trudem, głowa mi pęka, jestem przemarznięta. Stoję, obciągając spódnicę i ciasno owijając zabrudzony płaszcz wokół talii. Sprawdzam kieszeń i odkrywam, że straciłam portmonetkę. Zaraz potem okazuje się, że nie mam także kapelusza i jednego buta. Kilka metrów dalej znajduję but z zerwanym sznurowadłem.

Przez sklepione przejście wymykam się na ulicę i kuśtykam wzdłuż nabrzeża. Kilka metrów ode mnie, po mojej lewej stronie, znajduje się ponure jezioro. Dojście do domu zabiera mi godzinę i przez całą drogę idą za mną duchy. Dopiero gdy wchodzę do holu i staje się oczywiste, że nie będę próbowała uciekać, wyczuwam, że moja eskorta się oddala.

KOLONIA

Czerwiec 1943 – marzec 1944

Elsa była trochę bystrzejsza niż jej matka i brat i prawie od początku wiedziała, że jestem Żydówką, lecz choć podobało jej się, że ma mnie w garści, w gruncie rzeczy nie miała ochoty mnie wydać.

Zagrożenia ze strony Frau Winkell również można było uniknąć przy zachowaniu ostrożności. W przeciwieństwie do swojej córki radośnie wierzyła we wszystko, co raz wbiła sobie do głowy, a na szczęście mój wygląd nie budził natychmiastowych podejrzeń. Propaganda nie wyczuła Frau Winkell na istnienie jasnowłosych Żydówek.

Inaczej przedstawiała się sprawa z Rolfem. Chłopak nie grzeszył rozumem, ale był prawdziwym wrogiem i stosując wszystkie szczeniackie metody piętnastolatka, wykazywał pomysłowość w robieniu ze mnie kłębka nerwów.

Stanowił żywą ilustrację uporczywej krótkowzroczności Frau Winkell. Dla niej wciąż był jej małym chłopcem. Wiecznie głodnymi uwagami oczami patrzył głupio z oprawionych w ramki zdjęć w salonie; na jednym rzucał patykami w aparat fotograficzny, na innym niszczył zamek z piasku zbudowany przez siostrę. Ale w obecności matki jego maniery stawały się słodkie aż do mdłości, zupełnie jak gorzka czarna kawa Luisy po wrzuceniu do niej kilku kostek cukru.

Pierwsza oznaka stanu wojny między Rolfem a mną pojawiła się pewnego wieczoru, gdy zdjęłam koc ze swojego łóżka i zobaczyłam na prześcieradle maleńkiego szczura.

Nie poruszał się i choć początkowo wydawał się spać, okazał się dostatecznie martwy, by wydalić jakąś czarną ciecz ze swoich trzewi.

Nie wiedziałam wówczas, do czego Rolf jest zdolny, uznałam więc, że są to zwłoki jednego ze szczurów żyjących na strychu. Nocami te szczury biegały po ścianach i drapały pazurkami po stromym dachu. Przywykłam do nich. W getcie było gorzej. Tam szczury stanowiły prawdziwą plagę. Nocą skakały z szaf na śpiących, licząc na to, że przynajmniej jedno z ciał stłoczonych na wąskich łóżkach nie będzie miało siły, by walczyć.

Pomyślałam też, że być może ten mały szczurek został przyniesiony przez kota sąsiada. Traktował moje okno, otwarte po to, aby wypuszczać letnie gorące powietrze, jak drzwi i powitał moje pojawienie się na samej górze domu z pogardą.

Ale gdy następnego dnia rano wniosłam do jadalni tacę ze śniadaniem, Rolf zapytał siostrę:

– Ktoś tu śmierdzi szczurem?

A ja poznałam prawdę.

Później, gdy siostra poprosiła go, by przestał krążyć po jadalni, pijąc mleko, odparł głośno:

– Szczury. To wszystko, co mam do powiedzenia.

W końcu, gdy wynosząc tacę, przytrzymałam drzwi nogą, obejrzał mnie od góry do dołu.

– Hanna powinna coś zrobić z włosami – oznajmił. – Wyglądają jak pęczek szczurzych ogonów.

– A mnie się podobają jej włosy – odparła Elsa, nie podnosząc oczu znad grzanki. – To jedyna ładna rzecz w jej wyglądzie.

Rolf miał tylko jednego przyjaciela, jeżeli przyjaciel to właściwe słowo na określenie tego chłopaka. Łączyła ich wspólna wizja świata zbudowana na podstawie tego, co wyczytali w „Völkischer Beobachter” przywozonym przez Rolfa do domu. Był to brukowiec wydawany w masowym nakładzie, nacjonalistyczny i siejący nienawiść do Żydów jako wrogów ludzkości.

Simon miał ciemne włosy i ziemistą cerę, zaokrąglone ramiona i chytre, przymrużone oczy, którymi wciąż za mną wodził. Przypominał mi kolegę ze szkoły podstawowej. Nie z wyglądu, bo Jan był gruby, miał ognistorude włosy, bladą cerę i mnóstwo piegów, lecz z zachowania – obaj byli stale spięci, przypominali ofiarę pozującą na drapieżnika udającą ofiarę.

Rolf zauważył fascynację Simona już przy naszym drugim spotkaniu i od razu zaczął ją wyszydzać, rzucając ordynarne uwagi, gdy sprzątałam po nich. Obaj chłopcy mieli na sobie brązowe koszule Hitlerjugend. Rolf rozłożył się na swoim krześle, jedna ręka mu zwisała, druga była niewidoczna; gdy podnosiłam tacę, sięgnął pod moją spódnicę i uszczypnął mnie w udo, wbijając paznokcie tak mocno, że przebiły mi skórę. Upu-

ściłam tacę na stół, naczynia zabrzęczały, mleko się wylało, cukier się wysypał. Filizanka i spodek stłukły się na podłodze.

Rolf wstał.

– Zapłacisz za to! – wrzasnął, stojąc nade mną, gdy rzuciłam się między jego nogi, by pozbierać kawałki porcelany do fartucha. Odsunęłam się jak najdalej, aby wydostać się z zasięgu jego nóg, lecz nie dość szybko. Przydeptał mnie butem w pasie, przewrócił na plecy i wciąż stojąc nade mną, przycisnął stopę do mojej piersi.

W kuchni, która była w suterenie, rozpętało się piekło, chodziło o to, kto ma zapłacić za szkody. Luisa krzyczała, że jestem niezdarną głupią idiotką i że poinformuje Frau Winkell. W końcu musiała dojść do wniosku, że niczego nie zyska, wciągając swoją panią w tę sprawę – gdyby mnie wyrzucono, ona miałaby po prostu więcej pracy – weszła więc na stołek i ukryła skorupy za wysokim gzymsem na górze kredensu. Zdążyła już się uspokoić i oznajmiła tonem spiskowca, że co z oczu, to i z serca. Było to jej ulubione powiedzonko, którego używała najczęściej, gdy chodziło o słodkie wypieki.

Ten incydent z Rolfem nie był jednak wyjątkiem i powtarzał się w takiej czy innej formie za każdym razem, gdy pojawiał się Simon. Na szczęście byłam pilną uczennicą, szybko chodziłam i uważałam, żeby się nie znaleźć zbyt blisko tego chłopaka.

Ale pewnego dnia Rolf, zirytowany fiksacją swojego przyjaciela, zatarasował mi wyjście. Niosłam właśnie wyładowaną tacę. Cofnęłam się. Wydawało się, że chce wytrącić mi ją z rąk, odwróciłam się więc, by ją odstawić, a wtedy on chwycił mnie od tyłu w tali, unieruchamiając mi ręce, podniósł mnie i przycisnął do piersi.

– Mówiłem ci, że mogę ją dla ciebie przytrzymać – powiedział do Simona. Walcząc ze mną, z trudem oddychał. Broniłam się bardziej zajądło, niż się spodziewał. Może byłam na wpół zagłodzona, ale po ciężkiej pracy w tym domu przez ostatni rok miałam wyrobione mięśnie i szarpałam się z całej siły.

Simon skulił się na krześle.

– No już – niecierpliwił się Rolf. – Nie mogę jej trzymać bez końca.

Simon wstał i podszedł z wyciągniętą prawą ręką i przymkniętymi oczami, jakby się bawił w przypinanie osłu ogona.

Nie mogłam uderzyć piętami w pieszczel Rolfa, odwróciłam więc głowę, przyłożyłam policzek do jego pryszczów, chwyciłam ustami całe jego ucho i ugryzłam.

Potem sprawy potoczyły się bardzo szybko. Rolf zakwiczał niczym zarzynany prosiak i mnie puścił, ja zaś, niczym szczur, za którego mnie uważał, pogramoliłam się na kolanach jak najdalej od niego.

Simon schował się za pianino jak przerażony królik i przyglądał się tej scenie.

Wstałam i dochodziłam już do drzwi, gdy jedna ze stojących w serwantce figurek z miśnieńskiej porcelany uderzyła we framugę i rozbiła się na kawałki.

Byłam pewna, że w kuchni rozpęta się awantura z powodu stłuczonej figurki, lecz ku mojemu zdumieniu Luisa pośpieszyła do jadalni, gdzie właśnie zmiatałam porcelanowe szczątki małego niewolnika. Potem, stojąc na krześle, przesunęła jego sąsiadów – żołnierza w zielonym mundurze, chudego skrzypka i mleczarkę – aby zamaskować lukę w ich szeregach.

*

Wbrew oczekiwaniom Luisa mi pomogła, być może mi współczuła, nie miałam jednak wątpliwości, że Frau Winkell się ze mną porachuje, gdy tylko Rolf jej przedstawi swoją wersję wydarzeń. Ale nic takiego nie nastąpiło. Możliwe, że chłopak stał się ostrożniejszy po tej walce, jaką z nim niespodziewanie stoczyłam.

Tak więc uniknęłam kary, a rozbita figurka dołączyła do tych, które zniknęły wcześniej.

Wojna między mną a Rolfem nie skończyła się jednak, on nie chciał jej końca, choć brakło mu teraz odwagi. Na krótki czas ograniczył się do gróźb, na przykład gdy szłam po schodach, podnosił rękę i uśmiechał się, widząc, że się wzdrygam i mocno trzymam się poręczy. Zaczął się jednak mój drugi rok w domu Winkllów, nad naszymi głowami szalała wojna w powietrzu, więc nasza wojna domowa też przybrała na sile.

Brytyjskie bombowce mocno uderzały w Kolonię. Nawet tutaj, na dalekim przedmieściu, doświadczyliśmy paralizującej grozy, gdy samoloty przelatywały nad nami w szyku bojowym. Reflektory przeciwlotnicze przeszukiwały ciemności, aby wydobyć z nich dolną część kadłuba, a gdy tak się stało, śledziły samolot, dopóki nie spadł w płomieniach.

Po nocy spędzonej w suterenie, gdy w oddali płonęło miasto, nastrój w domu naładowany był ledwie skrywaną agresją.

Rolf i Elsa poszli każde do swojej szkoły z nadzieją w głębi duszy, że już jej nie znajdą.

Tymczasem Luisa i ja wykonywałyśmy nasze obowiązki powoli, mechanicznie jak zombi; obie wciąż miałyśmy w uszach huk eksplozji.

Po nalocie w pokojach osiadł kurz. Z sufitów spadły małe kawałki tynku i leżały teraz na stołach i krzesłach, a zasłony drżały wskutek odległych detonacji, połyskując jedwabście. Luisa kazała mi biegać tam i z powrotem ze ścierką do kurzu i mopem.

Pewnego rana usłyszałam trzask zamykanych drzwi. Obserwowałam z okna Luise, poprawiała kapelusz. Wyszła razem z Frau Winkell i obie oddalały się ulicą.

Stałam na palcach w salonie i usuwałam miotełką na bambusowym kijku pajęczyny z rogów wysokiego sufitu, teraz widoczne dzięki pyłowi.

Kark mi zeszywniał, opuściłam rękę i opierając się o tył kanapy, czekałam, aż wróci mi siły. Zapatrzyłam się na pianino stojące w kącie salonu, co mi się często zdarzało.

Rzadko miałam dom tylko dla siebie. Gdybym się odważyła, mogłabym zrobić wiele rzeczy, na które miałam ochotę. Mogłabym wrócić do swojego pokoju i ukraść godzinę snu albo pójść do kuchni i ukraść kilka kęśów jedzenia. Zamiast tego podeszłam do otwartego pianina.

Pianino służyło głównie jako miejsce do stawiania oprawionych w ramki fotografii. Elsa próbowała od czasu do czasu zagrać coś, co zapamiętała z lekcji w odległych latach przed wojną, ale tak naprawdę nikt się tym pianinem nie interesował.

Odłożyłam miotełkę do kurzu, pochyliłam się nad klawiaturą i wystukałam jedną ręką pierwsze takty *Światła księżycy* Debussy'ego. Cudowne dźwięki odbijały się echem w pokoju. Pianino było rozstrojone, lecz mimo to melodia przywołała wspomnienie dzieciństwa. Usiadłam na taborecie i zaczęłam grać, tym razem obiema rękami.

Nie byłam utalentowaną pianistką. Nigdy się na to nie zносиło. Ale mój stryj Mały, który przed najazdem niemieckim grał w każdą środę wieczorem w piwiarni, zachęcił mnie do wykonywania fragmentów piosenek wodewilowych i robiłam to w sobotnie poranki. Granie kawałków, których on lubił słuchać, było dla mnie mordęgą, tymczasem stryj koły-

sał się w takt tej muzyki. Chodziło mu tylko o rozrywkę, nigdy nie przyszło mu do głowy, by mnie czegoś więcej nauczyć. *Światło księżycyca* odkryłam sama i choć nigdy nie potrafiłam dobrze zagrać więcej niż tylko początek tej kompozycji – „dobrze zagrać” to może przesada, ale tak to zapamiętałam – miała ona dla mnie szczególne znaczenie, była czymś jednym jedynym, co należało tylko do mnie.

Grałam ten utwór z zamkniętymi oczami, palce same znajdowały klawisze. Gdy zagrałam po raz pierwszy, czerwoną od piwa twarz mojego zaskoczonego stryja rozjaśnił uśmiech, a stryjenka wyszła z kuchni, by się dowiedzieć, skąd płynie „prawdziwa” muzyka. Moje kuzynki stały na schodach urzeczone...

Coś spadło i zmiądzżyło mi palce.

Mogło skończyć się gorzej. W domu Winkllów nigdy nie traciłam całkowicie czujności, więc stukot butów Rolfa na parkiecie dotarł do mojej świadomości. W ostatniej chwili otworzyłam oczy i zabrałam palce z klawiszy... ale nie dość szybko; lakierowane drewno z całą siłą uderzyło w ich czubki.

Zerwałam się na równe nogi, taboret przewrócił się na dywan, tak że zostałam uwięziona w rogu, stałam tam i patrzyłam na Rolfa przerażona, powstrzymując jęk, ssąc obolałe czubki palców, z oczu płynęły mi łzy.

I to jego spojrzenie pełne złośliwej satysfakcji. On nawet nie patrzył na mnie, tylko nad moją głową, zadowolony, że sprawił mi ból.

Zza drzwi dobiegł głos jego matki. Udręczona bólem dłoni, odkrywszy, że wciąż zostało mi trochę odwagi, choć niemądrej, zrobiłam najgłupszą rzecz.

Przemknęłam obok Rolfa i szybko wybiegłam z pokoju.

Frau Winkell, która właśnie wróciła, poprawiała fryzurę przed lustrem w holu. Podbiegłam do niej i pokazałam ręce z czerniejącymi paznokciami.

– Pani syn to zrobił! – Próbowałam panować nad głosem, ale to się podnosił, to cichł.

W drzwiach pojawił się Rolf. Trochę przypominał psa, który wie, że zrobił coś złego, i spodziewa się kopniaka, a trochę kieszonkowca oceniającego swoje szanse na łup.

Frau Winkell w zamyśleniu wzięła moje opuchnięte palce w dłonie. Czule je pogładziła i przez chwilę wydawało się, że w jej oczach widać współczucie.

– Nie słuchaj jej, mamie – rzucił nerwowo Rolf. – Ona jest niezdara, zawsze sama robi sobie krzywdę.

Frau Winkell patrzyła na mnie już nieco inaczej, twarz jej pociemniała.

– Kłamię, kradnie i tłucze różne rzeczy.

Zacisnęła usta, zmrużyła oczy. Spojrzała mi w twarz.

– Puść mnie – mruknęła tonem pełnym niesmaku, choć to ona trzymała mnie za rękę.

Teraz ją puściła i potarła dłoń o biodro, jakbym zostawiła na niej plamę.

– Ona jest obrzydliwą kłamczuchą – ciągnął Rolf. – Powinna zostać surowo ukarana.

Zaczęłam się wycofywać, dotarło do mnie z całą jasnością, jak bardzo się myliłam.

– Idź do swojego pokoju, dziewczyno – powiedziała Frau Winkell surowo. A potem, gdy ociągałam się z odejściem, jej spojrzenie stało się ostre jak brzytwa, a ona podniosła rękę i uderzyła mnie w twarz, uszkadzając mi szczękę, a ja uderzyłam głową o ścianę.

SZTOKHOLM

Wtorek, 24 grudnia, rano

Jak należało się spodziewać, powrót do mieszkania okazuje się swego rodzaju wyzwaniem.

Najpierw natykam się na skonsternowanego i zaniepokojonego Göstena, który zaczyna patrzeć na mnie tak, jakby w rzeczywistości mnie nie znał. To tyle, jeśli chodzi o naszą przyjaźń. Może jemu niezbyt się podoba ta nowa Elsa, którą w jego oczach zaczynam się stawać. Po raz drugi wracam w okropnym stanie, tym razem bez kapelusza, w podartych pończochach i kłapiąc butem bez sznurowadła; jest to efekt uboczny zemdlenia po pijanemu w uliczce. To może być za wiele prawie dla każdego. Nowa wersja Elsy mnie również się nie podoba, a Gösten nie zna nawet jednej dziesiątej prawdy.

Później muszę się zmierzyć z Moną, która z ironicznym uśmiechem otwiera drzwi do mieszkania, odsuwa się, bym mogła wejść, a potem w ciszy głośniejszej niż słowa odwraca się i obserwuje, jak powłócząc nogami, idę do swojego pokoju.

Następnego rana kulę się na dnie wanny, woda z prysznicą uderza w moją skołataną głowę, nienawiść do samej siebie miesza się z nienawiścią do mężczyzny w tamtym pokoju.

Jakaś dłoń głaszcze mnie po włosach, zaczynam płakać, łzy nikną w strumieniu wody. Mała ręka leży na moim ramieniu. „Nie bój się, Hanno”, szepcze mi Julia do ucha, jej głos zlewa się z szumem wody. „Wkrótce będzie po wszystkim”.

I wtedy prysznic pokazuje, co potrafi, w mgnieniu oka przełącza się z tropików na Arktykę. Szok przywraca mi świadomość.

Później, dygocząc, przyglądam się sobie w lustrze z rosnącym przerażeniem. Na szyi i ramionach mam siniaki. Uda są opuchnięte i usiane małymi śladami po ugryzieniach – czy to dzieło jakichś owadów, czy coś gorszego? Podrapane kolana wyglądają tak, jakby ciągnięto mnie po bruku. Gdy szcztokuję włosy, wypada cała garść. To może być skutek napaści. Jak udało mi się uciec?

Czy kiedykolwiek ucieknę?

Fru Larsson jest już u syna, a ja stoję, wahając się, przed drzwiami jego pokoju. Mam mdłości z powodu ucisku w żołądku i absolutnie nie jestem gotowa na przesłuchanie.

Fru Larsson podnosi głos.

– Jesteś naiwny, wyobrażając sobie coś takiego.

– To ty wyobrażasz sobie różne rzeczy – odpowiada równie głośno jej syn. – Co chcesz zrobić? Wyrzucić także ją?

– Jesteś zbyt ufny, to wszystko. Za jakiś czas...

– Czas niczego nie zmieni – odwarkuje Larsson.

– Cóż, może powinieneś pomyśleć o tym, zanim...

Drzwi się otwierają, odskakują, ale moja pracodawczyni wychodzi z takim impetem, że prawie na mnie wpada.

– Och! Elsa! Nie spodziewałam się. – Od razu wie, że podsłuchiwałam.

– Właśnie przysłam – mówię zbyt szybko.

Lustruje mnie od góry do dołu i z powrotem. Widać po jej twarzy, że odzyskuje swoje wrodzone poczucie wyższości.

– Dochodzę do wniosku, że jesteś papłą.

– Przykro mi.

– Myślałam, że pielęgniarki, jeśli już nie umieją trzymać języka za zębami, przynajmniej prowadzą się przyzwoicie. Ale odkryłam, że nie zawsze.

– Nie miałam niczego złego na myśli – tłumaczę się nerwowo i nic w tym dziwnego, ale fakt, że słyszałam, jak syn tej kobiety bierze moją stronę, dał mi nadzieję, że mimo wczorajszego spięcia nie wszystko stracone.

– W każdym razie postępuj z nim dziś łagodnie, jest zdenerwowany. Nie męcz go niepotrzebną gadaniną. Uważam, że na razie wystarczy tych opowieści, nie sądzisz?

Mój pacjent jest na nogach, stoi, nie podpierając się. Na twarzy wciąż ma rumieńce po sprzeczce z matką.

– Co ona ci tam powiedziała? – Jest rozgniewany, ale na nią, nie na mnie. Zapomniał o swojej wczorajszej złości.

– Powiedziała, że jest pan zmęczony.

Obrusza się, podchodzi powoli do okna i opiera się łokciem o parapet. Znów pada śnieg. Białe płatki opadają na szybę, przywierają do niej na chwilę i ześlizgują się na dół. Okno jest uchylone, do pokoju wpada słaby strumień zimnego powietrza. Mój pacjent z trzaskiem zamyka okno.

– Co jeszcze?

– Że jestem papłą. Nie wiem, skąd to wie.

Uśmiecha się.

– Cóż, jesteś. – Humor mu się poprawia. Podchodzi do krzesła i siada. Atmosfera jest zupełnie inna niż wczoraj.

– A jak przebiegła wizyta lekarza? – pytam, rozpoczynając niezobowiązującą pogawędkę. Widok mojego pacjenta poruszającego się tak energicznie sprawia, że czuję się jeszcze gorzej. Dzisiaj to ja jestem chora. Siadam na swoim krześle przy drzwiach. Potrzebuję butelki gorącej wody i łóżka. Do mojego fatalnego stanu przyczyniły się przede wszystkim ekscesy z zeszłego popołudnia i wieczoru, ale zastanawiam się też, czy w końcu zbliża się miesiączka nieobecna już trzy miesiące; od pobytu w getcie nie pojawia się tak regularnie jak dawniej.

– Nie pytaj – mówi. – Ten gość obmacuje mnie i ostukuje, potem mruczy i pojękuje, a w końcu wyjmuje notatnik i coś tam bazgrze.

– Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Każdy widzi, że wraca pan do zdrowia. – Może to dobre dla niego, myślę, ale nie dla mnie.

– Możliwe. Bez wątpienia dowiemy się później, co ten stary szarlatan ma do powiedzenia. Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, że łatwo mi odpuści. Zajmowanie się mną jest stanowczo zbyt lukratywne.

– Sądzę, że pana matka nie chce, żebyśmy dłużej rozmawiali.

– Ona by chciała, żebyśmy siedzieli w milczeniu, jak przypuszczam.
– Jest zirytowany moimi słowami, wiedziałam, że tak będzie. Jakby to on wpadł na pomysł rozmowy.

– Moim zdaniem ona uważa, że tak byłoby bardziej profesjonalnie.

Mój pacjent zastanawia się przez chwilę, potem wstaje, z pewnym trudem wraca do okna i wygląda na zewnątrz.

Oddycham szybko, ale ukrywam swoje poruszenie. Już prawie doprowadzam go tam, gdzie jest mi potrzebny – jak ryba urzeczona czymś, co wydaje jej się muchą, choć w rzeczywistości jest to haczyk.

– Mam w nosie ten jej profesjonalizm – mówi w końcu. – Gdyby mogła, uwięziłaby mnie tu, przy sobie, na zawsze.

Udaję, że robię porządek na półkach w rogu pokoju, nie odzywam się, pozwalam, by haczyk unosił się w powietrzu. A potem czuję mdłości, więc znów siadam. Mam rumieńce, jest mi gorąco. Gdy poruszam głową, wszystko mnie boli.

– Wczoraj byłem wobec ciebie nie w porządku – odzywa się wreszcie mój pacjent.

Przeprosiny. Jestem zdziwiona, nie przypuszczałam, że się na to zdobędzie.

– Zadałaś mi rozsądne, uzasadnione pytanie, a ja w odpowiedzi zasugerowałem, że jesteś... Cóż, cokolwiek powiedziałem, cofam te słowa. Rzeczywiście jesteś najgorszą pielęgniarką, jaką miałem, to nie ulega, niestety, wątpliwości, ale nie powinienem zarzucać ci oszustwa.

– Dziękuję – mówię zdumiona. Właśnie wtedy, gdy mi się wydaje, że go znam, on wciąż mnie zaskakuje. – Chociaż – dodaję z udawanym uśmiechem – we właściwym czasie będę oczekiwała także jakichś wyrazów żalu za podważanie moich kompetencji zawodowych.

Larsson się irytuje.

– Nieprędko się doczekasz. Inna sprawa, że jesteś wyjątkowo denerwująca, i to również powinienem ci powiedzieć. Ale mniejsza z tym, mimo wszystko spróbuję odpowiedzieć na twoje pytanie. Rzeczywiście byłem żołnierzem, walczyłem na wojnie. Wstąpiłem do armii niemieckiej nie z powodu urzeczona ukochanym przez wszystkich Führerem, ale z powodu Miriam.

– Dlaczego, co ona zrobiła? – Co teraz zarzuci tej biednej dziewczynie?

– Zaręczyła się z Żydem, synem wspólnika jej ojca bankiera.

– Przecież każde z was poszło własną drogą.

– Tak, rzeczywiście, wiem o tym. Te zaręczyny nie powinny dla mnie nic znaczyć, ale problem polegał na tym, że choć nie byliśmy razem, ni-

gdy nie było zerwania, a ja zdałem sobie sprawę, że nie przestałem jej kochać.

Przyglądam mu się badawczo, nie ukrywając tego. Nawet teraz, gdy mi się zdaje, że znam jego osobowość, wciąż mnie zdumiewa jego oczekiwanie, że świat będzie się kręcił wyłącznie wokół niego.

– Poszedłem do niej do domu i w drzwiach powiedziałem jej, co czuję, i że to jest szaleństwo, zaproponowałem nawet siebie w zamian za niego, ale była zimna, obojętna, zupełnie się zmieniła. Nie odchodziłem, zaczęła płakać, a gdy próbowałem ją objąć, wyrwała mi się. Gdyby się zgodziła, uchroniłaby mnie od tego, co stało się później. Ale ona mnie porzuciła, zostawiła bez pomocy. Następnego dnia zgłosiłem się do punktu rekrutacyjnego w Hanowerze. Nigdy już jej nie widziałem.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– A co się stało z Miriam? – Ta młoda kobieta zaczęła obchodzić mnie bardziej, niż zdawałam sobie sprawę. Zapytałam, wiedząc, że jeśli ona nie dostała w rozdaniu jednego z kilku dzokerów, co mnie się udało, to nie mogło się skończyć dobrze.

– Prawdopodobnie wyszła za mąż – mówi i to jest koniec rozmowy na ten temat.

Siedzimy w milczeniu. Miriam pomogła mi zejść tak daleko, wydaje się jednak, że z nią dalej się nie posuniemy. Mimo że głowa mi pęka, muszę kontynuować rozbijanie jego skorupy.

– A więc został pan żołnierzem?

– Wojna to nie jest coś, o czym łatwo rozmawiać. Każdy z nas dał się porwać w jej wir, różniąc się od pozostałych stopniem naiwności i idealizmu, lecz ci, którzy przeżyli, wyszli z wojny jako inni ludzie.

– Byliście zmuszani do robienia różnych rzeczy? – podsuwam.

– Robiliśmy, co nam kazano.

– Czy walczył pan na wschodzie?

Skinięcie głową.

– Mój oddział wchodził w skład armii, która podbiła Polskę w trzydziestym dziewiątym roku...

A więc był tam! Wiedziałam. Te słowa przechylają szalę.

– Czy walki były... bardzo ciężkie?

– Miejscami bardzo ciężkie, ale szybko było po wszystkim, po kilku tygodniach, nie więcej.

Tylko kilka tygodni i po wszystkim! To okropieństwo zdawało się trwać miesiącami. Warkot czołgów na polnych drogach. Wycie nurkujących bombowców. Zwycięstwo szybko wydało się nieprawdopodobne, a gdy Anglicy i Francuzi mimo obietnic nie przyszli nam na pomoc, klęska była nieuchronna. Oddziały niemieckie maszerowały niedaleko naszego domu, strzelając w okna tylko dlatego, że mogły.

Wkrótce uderzono w nas, Żydów. Prawo przestało obowiązywać, na przykład mojego brata Józefa zmuszono do rezygnacji ze studiów medycznych w Warszawie, wrócił więc do domu i całymi dniami prześadywał na werandzie. Potem zrobiło się o wiele gorzej, aresztowano najpierw mojego ojca, a potem Józefa.

– A co się działo z ludźmi, których pokonaliście? – Jestem ciekawa, a jednocześnie przerażona tym, co on może powiedzieć. Może nawet będzie chciał częściowo się zrehabilitować, wyrażając żal.

Larsson wytrzymuje moje spojrzenie.

– Co się stało, to się stało i teraz się nie odstanie.

– A jak walki się skończyły?

– Byłem ranny w bok, kula przeszła na wylot, ale rana się nie goiła, więc gdy mój oddział został przerzucony do Francji, zostałem.

– To musiało być duże rozczarowanie. – Usiłuję ukryć swoją wrogość, lecz ona już zaczyna się tlić.

Mój pacjent wzdycha i potrzęsa głową.

– Elso, łatwo osądzasz z pozycji wyższości moralnej, ale wtedy nie było to możliwe. Wydarzyło się wiele rzeczy, których trzeba się wstydzić, ale też dużo chwalebnych, wspaniałych, przynajmniej w oczach młodych mężczyzn.

Młodzi mężczyźni bawiący się w wojnę, pomyślałam z narastającym gniewem. Przypomniałam sobie przymusowy marsz z Marmowa do Lucina, mężczyzn, kobiet i dzieci ciągnących bagaże w tumanach pyłu, w palącym słońcu. Wszyscy zabraliśmy ze sobą za dużo, upadaliśmy pod ciężarem wypchanych walizek i z ociąganiem porzucaliśmy je na poboczu drogi.

– A co pan robił, gdy zostawił pan swój oddział? Był pan kimś w rodzaju policjanta? – Nie mogę ukryć rozgoryczenia. Zbiera mi się na płacz, ale staram się powstrzymać łzy.

– Mniej więcej.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin resztki rezerwy, z jaką się do siebie odnosiliśmy, pomniejszły się tak bardzo, że zostały zaledwie jej pozory.

Każde z nas próbuje wyczytać coś z twarzy drugiego, wcale się tego nie wstydząc. W jego oczach widać wesoły błysk; przypuszczam, że podoba mu się końcówka tej partii, bo nie wie, jak się ona zakończy. Wystarczy tylko jeden lub dwa ruchy i będzie szach-mat.

Mam prawie wszystko. On jest Szwedem, nazywa się Larsson i był z armią niemiecką w Polsce. Gdy poprawiło się jego zdrowie, spod maski chorego wyłoniła się twarz człowieka, którego pamiętam. Ile jeszcze dowodów jest naprawdę potrzebnych? Jestem już tak blisko wyciągnięcia z niego oczywistego przyznania się. Nie mogę teraz uznać, że to koniec.

A gdy on się przyzna, zrobię to, po co tu przyjechałam. To moja obietnica, choć sama najlepiej wiem, że prościej złożyć obietnicę, niż jej dotrzymać.

Mój Niemiec stał sam w holu przed lustrem. Miał na sobie płaszcz i przyglądał włosy. Zobaczywszy mnie w lustrze, opuścił rękę.

– Hanna? – szepnął do mojego odbicia.

– Co pan miał na myśli?

– Kiedy miałem coś na myśli?

– Gdy mi pan powiedział, że nie mam się czego bać.

– Chyba tak powiedziałem. – Był pijany, mówił bełkotliwie. Odwrócił się do mnie, a ja się cofnęłam. – Jeśli będziesz potrzebowała, pomogę ci...

– A mojej rodzinie? – zapytałam zdumiona i przerażona własną śmiałością.

– Jeśli to obiecałem.

W holu pojawił się drugi niemiecki oficer, a ja z opuszczonymi ramionami wróciłam do drzwi. Przybysz coś powiedział, obaj się

uśmiechnęli; widziałam to w lustrze.

Wracając do kuchni, też nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Po raz pierwszy zdobyłam się w tym domu na coś takiego.

Sprawdzam teraz tego mężczyznę, niemal pewna, że mogę go powiązać z tamtym, narysować ciągnącą się przez lata linię jak przy linijce.

Wchodzi Mona z obiadem mojego pacjenta, napięcie spada, robię głęboki wdech.

Wychodzę z pokoju przekonana, że wystarczy jedna rozmowa, aby wydobyć z niego to, czego potrzebuję.

Moje kroki w korytarzu są zarazem lekkie i ciężkie, szybkie jak kroki królika, wolne jak słonia. Jeśli jedno brzemie wkrótce zostanie zrzucone, będę niosła zamiast niego drugie, cięższe i bardziej przerażające.

Dochodzę do swojego pokoju i widzę, że drzwi – myślałam, że je zamknęłam – są otwarte. Gapię się na nie, wątpiąc w samą siebie. Rano byłam zupełnie otępiała.

Wchodzę, rozglądam się dookoła. Czy ktoś przeszukiwał mój pokój? Jedna szuflada jest wysunięta. Ale mogłam ją tak zostawić. Koc i prześcieradło są skotłowane, ale były takie już wcześniej. Siedząc na materacu, sięgam pod spód, po zdjęcie, które zabrałam z gabinetu fru Larson. Przesuwam rękę dookoła, potem wstaję, podnoszę materac i patrzę na sprężyny. Zdjęcie w połamanej ramce zniknęło... A może schowałam je gdzie indziej?

Moje serce galopuje. Czy zostałam przyłapana, czy zaczynam popadać w szaleństwo?

Gdzie są listy? Kolejny przypływ strachu. Poklepuję kieszeń spódnicy – wciąż tam są, bezpieczne.

Wyczuwam za plecami Olka. Jego młode, chętne dłonie trzymają mnie w talii. Podbródek spoczywa na moim ramieniu. „Czas gier minął”, mówi, wydychając te słowa do mojego ucha. Chcę się odwrócić, by spojrzeć na niego po raz ostatni, ale boję się, co tam zobaczę.

POLSKA / KOLONIA

Maj – czerwiec 1943

W nocy usłyszałam kroki na podeście. Z niepokojem przypomniałam sobie ostrzeżenie Elsy przed Möllerem, szoferem Herr Winklla, ale zaskrzypiały schody i dotarły do mnie głosy z garażu na dole. Zawarczał silnik mercedesa. Drzwi do garażu się zamknęły, a ja, zawieszona w ciszy, znów zapadłam w niespokojny sen. Rzucałam się i przewracałam na sienniku, za twardym i za cienkim wedle wszystkich standardów, lecz bardzo wygodnym w porównaniu z tym, co miałam we wspólnej sali sypialnej w fabryce, która była moim domem przez ostatnich osiem miesięcy.

To była moja jedyna noc w domu Herr Winklla w Polsce, przejętym po to, by Winkell miał blisko do swojej fabryki.

Obudziło mnie światło wpadające przez zamazane okno. Ubrałam się i wyszłam na podest. Drzwi do pokoju Möllera stały otworem. Jego pokój był jeszcze brzydszy i brudniejszy niż ten, który przydzielono mnie; na ścianach pozostały tłuste ślady palców i przypięte wyblakłe strony wyrwane z katalogów domów towarowych ze sztucznie uśmiechniętymi kobietami w biustonoszach i peniuarach. Na wbitym w ścianę gwoździu wisały na szelkach sztruksowe spodnie.

Umyłam się w łazience, wąskim pomieszczeniu ze zbiornikiem wody i małą umywalką. Na półce stał kubek z pędzlem do golenia i brzytwą. Opłukałam twarz i nachyliłam się, aby napić się wody. Na koniec wygładziłam palcami włosy przed popękany lustrem.

Zeszłam po drewnianych schodach do ogrodu. Tylne drzwi do garażu były otwarte, samochód zniknął. Z obawą myślałam o tym, co mnie czeka, ale powietrze było przejrzyste, a słońce ogrzewało mi skórę.

Poszłam na tył domu i próbowałam otworzyć drzwi tarasowe, lecz były zamknięte, okrążyłam więc taras i dotarłam do domu od frontu.

Pod gankiem stała jakaś kobieta, wkładała klucze do kieszeni. Gdy się zbliżałam, podniosła wzrok.

– Jesteś tą nową pokojówką? – zapytała, naciągając rękawiczki na duże dłonie.

Skinęłam głową.

– Dobrze, już miałam iść po ciebie. Pociąg odjeżdża za pięćdziesiąt minut, oni już pojechali, a my musimy dojść. Gdzie jest twoja walizka?

– Nie mam walizki.

– Tym lepiej, pomożesz mi. – Kobieta była średniego wzrostu, miała niewiele ponad trzydzieści lat, obszerną talię i wydatny biust; o tego rodzaju figurze mój stryj Mały mawiał: „niczego jej nie brakuje”.

Wskazała głową stojącą obok tekturową walizkę.

– Rusz się, to nie ugryzie.

Podniosłam walizkę kilka centymetrów. Ważyła o wiele więcej, niż sugerował jej rozmiar, ale obiema rękami udało mi się podnieść ją do biodra.

Obserwowała moje wysiłki, unosząc brwi, a potem ruszyła przed siebie długimi krokami.

– Dokąd idziemy? – zapytałam, z trudem za nią nadążając.

– Na stację, przecież ci mówiłam.

– Ale dokąd potem?

– Do domu, dzięki Bogu. Daleko od tego odludzia. Obym nigdy więcej nie oglądała czegoś takiego. A teraz w drogę, nie mamy dużo czasu, mówiłam ci. I nie porysuj spodu walizki, bo jeśli będzie rozdarta, zapłacisz za naprawę z własnej kieszeni. Nie zamierzam płacić za kogoś ze swoich zarobków.

Rok wcześniej byłabym dostatecznie silna, by przenieść taki ciężar z jednego końca Marmowa na drugi, ale mięśnie mi zwiotczały, a ciało wychudło, tak że pod koniec drogi moje chude ramiona się poddały, walizka wysliznęła mi się z palców i upadła bokiem na ziemię.

Kobieta odwróciła się, popatrzyła z irytacją i podeszła do mnie.

Wzdrygnęłam się, bo spodziewałam się policzka wymierzonego silną dłonią, ale ona westchnęła teatralnie, z łatwością podniosła walizkę i podjęła marsz, a ja pomykałam w ślad za nią jak mysz.

Stacja znajdowała się bliżej, niż zapowiadała moja nowa znajoma. W dziesięć minut pokonałyśmy schody i weszłyśmy do hali z kasami, gdzie kobieta kupiła bilety do Kolonii.

– Tak, w jedną stronę – odburknęła kasjerce. – Już to pani mówiłam. Dwa w jedną stronę. Dlaczego ktoś przy zdrowych zmysłach chciałby wracać? Nazwiska podróżnych? Do czego, u licha, są pani potrzebne? Frau Blau, skoro pani nalega, i...

Nie jadłam śniadania, a wiadomość, że jadę do Niemiec, daleko od moich przyjaciół z fabryki, jedynych bliskich mi ludzi, wywołała przy pustym żołądku taki wstrząs, że pozbawiła mnie tchu. Oparłam się rękami o ścianę i wczepiając się w nią paznokciami, osunęłam się na posadzkę.

Dochodziłam do siebie otoczona przez trzy stojące nade mną osoby – kasjerkę, ucznia i bagażowego w czapce i koszuli z podwiniętymi rękawami. Przypatrywali mi się z ciekawością, rozbawieniem i niepokojem. Moja towarzyszka robiła, co mogła, aby się rozeszli.

– Skąd mam wiedzieć, co jej się stało? – rzuciła, podnosząc mnie.

Pociągnęła mnie po peronie, podtrzymując, przyciskając do swego boku jak zabłąkane dziecko, i przepchnęła mnie przez drzwi do restauracji. Gdy klamka uderzyła o ścianę, zadzwonił głucho dzwonek.

Wróciwszy od bufetu, kobieta postawiła na stole talerz z bułką wielkości dziecięcej piastki, a gdy po nią sięgnęłam, położyła dłoń na moim nadgarstku, aby zwrócić moją uwagę. Czerwona na twarzy patrzyła mi prosto w oczy.

– Jeżeli jeszcze raz wytniesz taki numer, Fräulein, nie będziemy przyjaciółkami.

Dom Winkllów w Kolonii, duży budynek z cegły, stał przy ulicy na skraju wielkiego miasta.

Elsa, dziewczyna, której mnie przedstawiono zeszłego wieczoru, czekała na nas w holu. Za nią stał jej brat Rolf. Rolf był wyższy i starszy od siostry, brakowało mu jednak jej krzepy, przywodził na myśl chwast, któremu pozwolono za bardzo wyrosnąć.

– Jaki był pociąg? – zapytała Elsa – Brudny, jak przypuszczam. My przyjechaliśmy samochodem, choć Möller zadbał, żebyśmy podskakiwali na każdym wyboju, jaki się trafił, nawet na autostradzie. Pokażę ci twój pokój.

Wędrówka z dworca mnie zmęczyła, więc wchodziłam po schodach powoli. Elsa i Rolf szli za mną zniecierpliwieni. Na ostatnim odcinku

schodów sufit był niski, nawet ja musiałam się schylać przed wejściem na podest.

Elegancki dom z boazeriami i ciemnymi tapetami został na dole. Na górze wąski podest wyłożono postrzępionym płótnem umocowanym w rogach.

W moim pokoju było małe okno wychodzące na wyblakłe niebo. Pod ścianą stało wąskie żelazne łóżko z poplamionym materacem, a na odra-panej komodzie ustawiono pustą miskę do mycia. Przez nieszczelne okno wpadało lodowate powietrze.

Dygotałam z zimna w cienkim płaszczu. Odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z dwojgiem bardzo dużych dzieci wypełniających otwór drzwiowy. Elsa, dziewczyna o muskularnych łydkach, opierała się o framugę, a pochylony nad siostrą Ralf musiał wcisnąć głowę pod okap dachu. Oboje sprawili, że mały pokój wydał się jeszcze mniejszy. Przyszli tu z wielką ochotą, aby zobaczyć moją reakcję.

Uśmiechnęłam się do nich najszerzej, jak mogłam.

– Powinnaś uważać się za szczęściarę – oznajmiła Elsa tonem wyższości. – Mimo wszystko.

Rolf się skrzywił.

– Ona chyba nie jest szczególnie wdzięczna.

Najwyraźniej źle mnie zrozumieli. Naprawdę byłam wdzięczna. Sami nie chcieliby tu mieszkać, ale dla mnie to, co uważali za nędzne, było luksusem.

– Pokój jest ładny – zapewniłam z moim coraz lepszym niemieckim akcentem.

– Pokój... jest... łaadny – przedrzeźniał mnie Rolf, wybałuszając oczy.

– Rozpakuj szybko walizki – rozkazała Elsa. – Luisa jest zmęczona, więc nie można oczekiwać, że to zrobi, a matka chce, żeby się tym od razu zająć.

Gdy schodzili na dół, słyszałam ich rozmowę.

– Czy ona tu zostanie? – zapytał Rolf. – Wydaje się marnym materiałem.

– Musi – odparła Elsa. – Nie ma dokąd pójść – dodała już na schodach. – Zdajesz sobie sprawę, że ona jest...

W domu Winkllów życie toczyło się według ustalonego porządku. Wstałam o świcie, żeby się przygotować do kolejnego dnia pracy, a kładłam się spać, gdy skończyłam. Myłam podłogi, froterowałam, zamiatałam, podnosiłam i dźwigałam różne rzeczy, pakowałam, prałam, płukałam i wyżymałam, a w rzadkich spokojniejszych chwilach szyłam, bo tego ode mnie oczekiwano. W szkole przodowałam w szyciu i to ja naszyłam żółte gwiazdy na ubrania naszej rodziny; ukradłam złotą nitkę z tałesu stryja, by przyszyć nią gwiazdę do płaszcza Julii. Gdzie jest teraz Julia? Czy myśli czasem o swojej siostrze?

Winkllowie pochłaniali w ciemnej jadalni podawane przeze mnie śniadanie, na które składały się żytni chleb, masło, ser, szynka, plasterki jajka na twardo, dżem i mleko, a po śniadaniu Elsa i Rolf wychodzili każde do swojej szkoły.

Luisa robiła przez większość poranków zakupy dla rodziny. Czasami zabierała mnie ze sobą do pomocy przy niesieniu pakunków, ale zwykle szła sama. Chodząc z nią, domyśliłam się, dlaczego woli zrezygnować z mojego towarzystwa. Te wyprawy stwarzały okazję do spotkań z kucharkami i gospodyniami służącymi w innych domach. Kobiety zasiadały razem w kawiarni, narzekały na swój los, a tymczasem ja czekałam na ławce na zewnątrz niczym pies. Luisie nigdy nie przyszło do głowy, że nie będąc na smyczy, mogłabym uciec. Ale słusznie się tego nie obawiała. Ucieczka nie trwałaby dłużej niż kilka godzin. Nie miałam pieniędzy, posiadałam tylko kilka ubrań, w których mogłam wyjść z domu, a moje buty były zaledwie płóciennymi kapciami i mogły się rozpaść na twardych trotuarach. Nie miałam nawet dowodu tożsamości. Byłam nikim, zatrzymano by mnie przy pierwszej kontroli, dowiedziano się, kim jestem i wsadzono do pociągu jadącego na wschód.

Najważniejszą przeszkodę stanowiło jednak to, że nie miałam dokąd pójść. Nie znałam nikogo, kto wziąłby mnie w ramiona i ochronił. Byłam mniej niezależna niż chomik Rolfa, biegający w swoim blaszanym kołowrotku. Gdyby zamknięto mnie na klucz w moim pokoju na strychu, nie byłabym mniej wolna. Jako Żydówka w Niemczech w 1943 roku miałabym mniej szans na przeżycie na ulicach Kolonii niż mysz polna w mieście pełnym bezpańskich kotów.

A co z resztą mojego dnia?

Frau Winkell po posiłkach, które przynosiłam jej na tacy do pokoju, albo gapiła się w przestrzeń, pozornie nieświadoma, co się dzieje wokół niej, albo inicjowała ambitne przedsięwzięcia wprowadzające zmiany w domu. Zanim całkiem uszła z niej energia, zawsze zdążyła rozzłościć Luisę, a mnie solidnie zmęczyć przy przywracaniu wszystkiego do stanu, jaki panował, zanim zaczęłyśmy.

Typowa dla tych szaleńczych wybuchów energii była obsesja czystości.

Gdy tylko pojawiłam się w tym domu, Frau Winkell postanowiła prawdopodobnie to wykorzystać i podjęła nieprzemyślaną decyzję, że mam uprać zasłony z salonu. Zaraz po wyjściu Elsy i Rolfa przysiadłam na szczycie chwiejącej się drabiny; na poziomie oczu miałam karnisz i odpinałam te zasłony centymetr po centymetrze, dopóki nie spadły, wzbijając tuman kurzu. Luisa zaczęła kląć, a ja musiałam kurczowo się trzymać rozkołysanej drabiny.

Przeciągnęłyśmy zasłony przez dom do balii na podwórzu. Dzień zaczął się od pięknej pogody z lekkim wiatrem, lecz w południe, gdy należało rozwiesić na sznurze ociekające zabarwioną wodą zasłony, niebo było już zachmurzone. A gdy już wisiały, zaczął padać deszcz.

I właśnie wtedy zainteresowanie Frau Winkell zgasło, a przed nami stanęło wyzwanie – musiałyśmy wysuszyć metry mokrego materiału, którego wzór w wiosenne kwiaty spływał jesiennymi łzami.

– Dlaczego ona zaczęła to robić? – zapytałam Luisę. Miałam ręce czerwone do łokci. Luisa pozwalała w takich sytuacjach na odrobinę buntu, ale pewnych granic nie powinnam przekraczać.

– Czuje taki przymus, gdy ma miesięczkę – odparła Luisa opryskliwie.

– Skąd pani to wie?

Pokręciła głową zdumiona moją naiwnością.

– Ile ty masz lat, dziewczyno? Czy ja nie zbieram jej rzeczy do prania?

Dzieci wracały po południu.

Czasami Elsa dołączała do nas w kuchni, aby nam opowiedzieć, jak minął jej dzień i co które dziewczynki o kimś powiedziały. Luisa udawała, że słucha, lecz mieszały się jej przyjaciółki z wrogami, nie mogła

się połączyć w zerwanych traktatach pokojowych czy paktach o nieagresji. Elsy to nie obchodziło. Chciała się tylko wygadać, a dla niej stałyśmy o wiele za nisko, aby nadawać się na rozmówczynię.

Czasami Elsa przyprowadzała do domu przyjaciółki i przyjmowała je w salonie. Wyjmowano z serwantki jeden z serwisów do herbaty, a ja czekałam w pobliżu, aby rozstawić talerzyki i nalać herbatę do filiżanek, zupełnie jakby te dziewczynki były eleganckimi damami, które przyszły z wizytą.

Lubiły rozmawiać o chłopcach z gimnazjum, które znajdowało się tuż obok ich szkoły, za rogiem, co stwarzało mnóstwo okazji do fraternizacji, choć nauczycielki strzegące zasad przerywały każde tête-à-tête.

Potem sнуły szeptem domysły o sposobach uprawiania miłości. Podśluchiwałam i śmieszyła mnie ich niewiedza. Byłam dwa lata starsza od Elsy i jej przyjaciółek, ale w ich wieku Olek i ja eksperymentowaliśmy, ile się dało bez ryzykowania wypadku. Urok tych wspomnień był niemal nieznośnie bolesny. Ukrywaliśmy się w szopie na końcu jego ogrodu, absurdalnie niewinni trzymaliśmy się za ręce, nie potrafiąc powstrzymać się od uśmiechu, bo to wszystko było zabawne. W przypadku tych dziewcząt oczywiście bardziej chodziło o presję niż przyjemność. Monstrualnie brzydka tuba propagandowa Hitlera, Herr Goebbels, obwieścił tak jasno, jak to możliwe, że powołaniem kobiet jest rodzenie dzieci.

Elsa i jej przyjaciółki rozmawiały również o swojej działalności w Związku Dziewcząt Niemieckich; zapisanie się do tej organizacji było obowiązkowe. Przy więcej niż jednej okazji słyszałam o dziewczynce imieniem Frida, która nie umiała pływać, a dowódczyni oddziału wrzuciła ją do wody, tak że omal nie utonąła. Dowiedziałam się też, że Frida ma jedwabiste blond włosy, które zaplata w długie warkoczki. To wyraźnie się nie podobało Elsie i jej akolitam, sfrustrowanym, ponieważ one wszystkie były ciemnowłose, a w niektórych przypadkach niezbyt ładne.

Gdy tematy do rozmowy się wyczerpywały, zaczynała się gra w ganiecie mnie w tę i z powrotem; przynosiłam i sprzątałam różne rzeczy, a one się przyglądały, jak szybko umiem biegać. Czasami, gdy Elsa chciała naprawdę mi dokuczyć, proponowała zabawę w zgadywanie, skąd jestem.

– To Cyganka – stwierdziła jedna z dziewczynek i pokiwała głową wielce zadowolona z własnej domyślności. – Ona ma takie krzywe spojrzenie, nie patrzy w oczy tak jak oni tuż przedtem, zanim kogoś okradną.

– Nieźle, ale odpowiedź niepoprawna – powiedziała Elsa równie zadowolona z siebie, strząsając okruchy ze swojej niebieskiej spódniczki od mundurku.

– Z sierocińca, takiego, który bierze opóźnione w rozwoju bachory ze slumsów – podsunęła złośliwie druga, mając usta pełne ciasta.

– Jej ojciec pasał świnie w lesie – orzekła kolejna dziewczynka. Być może w dzieciństwie czytała za dużo baśni Hansa Christiana Andersena. – Można się tego domyślić po jej wstrętnym świńskim nosie. – Przyłożyła palec do czubka swojego nosa, żeby zrobić świński ryj. Paradoks polegał na tym, że to dziewczę było córką rzeźnika, a w Krakowie tego rodzaju człowiek nie wszedłby do naszego domu frontowymi drzwiami, musiałby skorzystać z kuchennych.

– Jeszcze gorzej. – Elsa zachichotała. – Wszystkie strzelacie o wiele za wysoko.

Przyciągnęłam jej wzrok i milcząco błagałam, aby przestała. Była jedyną osobą w tym domu dostatecznie bystrą, by odkryć, kim jestem, i uwielbiała mi o tym przypominać.

Jeśli istniały jakieś wątpliwości, czy ona wie, rozwiały się, gdy pewnego dnia podeszła do mnie i narysowała paznokciem gwiazdę na mojej piersi.

– Wiem, gdzie to było – powiedziała.

– Co? – Serce mi zamarło ze strachu, a potem zaczęło galopować.

– Myślę, że usunięcie tego było wbrew prawu – drwiła ze mnie.

– Nie wiem, co ty...

– Owszem, wiesz.

A potem wzruszyła ramionami i najwyraźniej straciwszy zainteresowanie, odeszła.

W swoim pokoju rozpięłam guzik na karku i zdjęłam sukienkę.

Podniosłam ją do światła. Niczym ślady stóp w świetle gwiazd ukazały się maleńkie dziurki w miejscach, gdzie moja igła przedziurawiła splot tkaniny.

Serce waliło mi jak młotem. Jak mogłam być tak głupia, tak ślepa. Cały ten czas oskarżałam się, że zdradzam innych, podczas gdy otwarcie zdradzałam samą siebie.

Obejrzałam swój płaszcz i sweter, ale wełna i dzianina były grubsze i ukrywały sekret. Odetchnęłam ciężko i padłam na łóżko. Czy Elsa o tym powie?

Następnego rana natknęłyśmy się na siebie w holu. Elsa stała z matką i na mój widok powiedziała:

– Muszę porozmawiać z tobą o Hannie. – Spojrzała na mnie z przebiegłą miną. Cofnęłam się w stronę schodów, jakby ucieczka do pokoju mogła mnie ocalić.

Frau Winkell przyglądała się córce nieobecny wzrokiem, w ręce miała szklaneczkę z czymś, co pijała codziennie przy obiedzie, aby spłukać pigułki przepisane przez lekarza.

– Mam kilka rzeczy, które mogłabym jej oddać – ciągnęła Elsa. – Ona zawsze wygląda jak obszarpana, a to jest krępujące, gdy przychodzą moje przyjaciółki.

– Jak miło, że myślisz o kimś, kto miał mniej szczęścia – odparła Frau Winkell. – Ale mam nadzieję, że to nie będzie nic zbyt ładnego.

Elsa pokręciła głową.

– To są rzeczy, z których wyrosłam; albo dam je Hannie, albo pójdą na Pomoc Zimową, ale nie wyobrażam sobie, by moje sukienki bardzo się przydały na froncie wschodnim.

– Zostawię to tobie – odparła jej matka. – Ale pamiętaj, że te rzeczy muszą być praktyczne, a także odpowiednie dla pozycji Hanny.

– Dopilnuję tego.

Frau Winkell się oddaliła, a Elsa odwróciła się do mnie z protekcjonalnym uśmiechem.

Podczas tej wymiany zdań między matką a córką wycofałam się najdalej, jak mogłam i stałam teraz rozplaszczona przy ścianie, wystraszona jak przyparty do muru królik.

– Chodź na górę – powiedziała Elsa.

Siedząc na swoim łóżku, Elsa przyglądała się, jak przymierzam dwie jej sukienki, zieloną z wzorem w żółte kwiaty oraz ciemnoniebieską z białym kołnierzykiem, rozdartą pod pachą, co mogłam bez trudu naprawić.

– Jesteś bardzo chuda – powiedziała, widząc mnie rozebraną.

Nie znalazłam odpowiedzi na coś tak oczywistego, choć prawdę mówiąc, od przyjazdu tutaj przybrałam trochę na wadze. Ale stwierdzenie, że zwykle nie byłam głodna, byłoby kłamstwem.

– Masz szczęście. A ja? Ja po prostu nie mogę odmówić sobie ciasta.

Wygladziłam niebieską sukienkę na swoich wąskich biodrach.

– Obróć się – poleciła.

Posłuchałam, rąbek sukienki unosił się wokół moich kolan. Mimo-wolnie się uśmiechnęłam. Elsa знаła mój sekret, ale wydawała się tym nie przejmować, przynajmniej teraz, a w tych ubraniach mogłam stać się nową osobą.

– Dziękuję, Elso – powiedziałam, zakładając, że ona zrozumie, iż chodzi mi o jej dyskrecję, lecz Elsa, już znudzona, położyła się na plecach na poduszce i patrzyła w okno.

Po powrocie do pokoju pocięłam swoje stare sukienki na pasy. W kuchni jeszcze tlił się ogień. Zastanawiałam się, czy znieść te dowody na dół i puścić je z dymem, nie mogłam jednak ryzykować, że ktoś mnie przyłapie. Poszerzyłam więc dziurę w ścianie i wcisnęłam do niej strzępy sukienek jako prezent dla szczurów.

Być może dlatego, że poczułam się bezpieczniej, tej nocy po raz pierwszy od naszego rozstania przyśniła mi się moja rodzina. Aby się chronić, stłumiłam pamięć o nich, pocieszając się nadzieją, że dokądkolwiek trafili, mają się dobrze. Ale teraz pojawili się *en masse*, aby wyraźnie okazać swoje niezadowolenie.

Zacząła moja stryjenka Sofie. „Powiedz jej, Mały, jaką jest niewdzięcznicą. Powiedz, jak cierpimy... Owoc tylko co drugi dzień, a mięso zaledwie cztery razy w tygodniu”.

Gdyby akcja mojego snu rozgrywała się na ekranie kinowym, ona by go wypełniła; wychyliłaby się z ekranu, aby wycelować upierścienionym palcem w moją twarz. W następnej scenie pojawił się mój brat ze stertą książek. „Potrzebuję ciszy, żeby się uczyć – oznajmił ponuro. – Dlaczego ona tego nie rozumie? Dlaczego nikt nie powie Hannie, żeby była cicho?”. – Wcześniej nigdy nie był wobec mnie surowy, uczył się co wieczór, ale zawsze znajdował czas na życzliwość.

„To dlatego, że ona myśli tylko o sobie” – stwierdził mój ojciec czający się poza kadrem. On również nie był tym człowiekiem, którego kochałam. Gdy zaczęłam z nim pracować i lepiej się poznaliśmy, stali-

śmy się sobie bliscy. A teraz się wydawało, że nikt nie chce wziąć mojej strony. Dlaczego oni nie rozumieją, że są wobec mnie niesprawiedliwi? Na dalszym planie stał jeden z kumpli Małego od wyścigów konnych. Z boku twarzy miał dużego siniaka, a szczękę przekrzywioną.

„Ona nas zawiodła, gdy jej potrzebowaliśmy” – powiedział ojciec, pojawiając się na ekranie. Trzymał coś przy piersi. Wychyliłam się, by zobaczyć, co to jest, i bardzo tego pożałowałam. To była moja siostra Julia w różowej sukience. Ale nie ta Julia, którą znałam, tylko podmie-niec. Nie miała swoich pięknych włosów, a jej usta były otwarte w nie-mym krzyku.

Cofnęłam się i wtedy zobaczyłam, że tak naprawdę oni wszyscy się zmienili. Szyja mojego brata wydawała się słabo przymocowana do ramion. Z głowy matki sączyła się krew.

Te demony nigdy nie były moją rodziną.

– Wynocha! – krzyknęłam. Byłam jak Faust, gdy zdał sobie sprawę, czym jest w istocie jego kompania. – Wynoście się wszyscy!

SZTOKHOLM

Wtorek, 24 grudnia 1946, popołudnie

Wracam po obiedzie do pokoju mojego pacjenta i wpadam w zasadzkę zastawioną przez fru Larsson.

– Elso, mam problem ze skontaktowaniem się z osobami, które dały ci referencje – mówi. – Minęły cztery dni, a ja nie dostałam odpowiedzi od żadnej z nich. Czy to możliwe, że w adresach, które mi podałaś, były nieścisłości?

Wzdrygam się i od razu zdaję sobie sprawę, że ona to zauważyła.

– Prawdopodobnie są zajęci – mówię. – Zwłaszcza pastor Luthman. – Przypinam łatkę nieudolności do szlachetnego charakteru tego człowieka. – Jeśli nie ma nikogo, kto mógłby mu pomóc, nie śpieszy się z otwieraniem poczty. Na pierwszym miejscu stawia pracę ze swoimi parafianami. – Moja umiejętność wymyślania kłamstw na poczekaniu, i to w takich okolicznościach, jest niezwykła.

– Godne pochwały ze strony pastora Luthmana.

– A poza tym poczta w Niemczech nie działa tak jak dawniej.

– Tak – zgadza się moja pracodawczyni i wydaje się, że to już koniec, lecz ona pyta: – Elso, jak się ma twój ojciec?

– Mój ojciec?

– Zauważyłam, że nie dostajesz żadnych listów. Czasami młodzi ludzie zrywają, niestety, kontakt, ale jeśli on został sam, zastanawiam się, czy wszystko jest...

– Wszystko jest w porządku. On ma się dość dobrze, z pewnością, a ja jestem tutaj dopiero od kilku dni.

– Ale napisałaś do niego, co tutaj robisz?

– Jeszcze nie – mówię, próbując obmyślić jeden krok do przodu, bo to lepsze niż krok do tyłu.

– Może ja mogłabym to zrobić w twoim imieniu?

– Jestem pewna, że to nie jest konieczne. To by go wprawilo w zakłopotanie i zdenerwowanie. – Mam rozpaloną głowę, a spod pach spływa mi pot. Wciąż jeszcze wypacam alkohol z wczoraj. – Niedługo do niego napiszę.

– I nie masz gości. Gdy nie ma nikogo bliskiego, do kogo można się zwrócić w razie potrzeby, to oznacza samotność. Gdyby coś ci się stało, uchowaj Boże, nie miałabym pojęcia, kogo zawiadomić. Nie chciałabym czekać tydzień, bo pastor Luthman nie otwiera poczty!

Ta kobieta mnie sprawdza. Mogę tylko mieć nadzieję, że nie całkiem wie, czego szuka.

Uśmiecha się, ale w tym uśmiechu nie ma ciepła. Nie mogę odwrócić wzroku. Ona wodzi oczami po mojej twarzy.

– Zastanawiam się, czy to dlatego jesteś taka otwarta przy moim synu. On uważa, jak sędzę, twoją niezwykłą szczerość za urzekającą. Też jest samotną duszą.

Trzęsą mi się nogi, coraz bardziej mi słabo. I wciąż spodziewam się oskarżenia z jej strony o kradzież zdjęcia i listów.

Ale tak się nie dzieje, a ona znów się uśmiecha, być może po raz pierwszy szczerze.

– Ucieszysz się, gdy ci powiem, że lekarz Stefana przyniósł dobre wieści. Aktywna faza choroby w końcu minęła. Myślę, że możemy teraz patrzeć na jego przeszłość z większym optymizmem.

Ta wiadomość zapiera mi dech, z trudem zdobywam się na odpowiedź.

– Wierzę, że tak jest. Zrobił duże postępy. – Czuję, że jeśli ona za chwilę nie pozwoli mi odejść, zemdleję.

Ale sama odchodzi, a mnie kręci się w głowie, więc chwytam się framugi drzwi.

Pozwoliłam, by mnie przestraszyła. Ta jej troska o mojego ojca i list do niego. Ona myśli, że w jakim wieku żyjemy? Ale ta sprawa ze zdjęciem – zabranie go to była zupełna głupota z mojej strony, wpadłam jednak w panikę, gdy szkło pękło. I co się teraz stanie? Mętnie sobie przypominam, że schowałam je za komodą. Albo tak było, albo Mona zamierza mnie szantażować.

Wchodzę do pokoju mojego pacjenta i zastaję go siedzącego w fotelu. Świeci słońce, lecz jak zwykle okno jest otwarte, więc do pokoju wpada zimne powietrze.

Zamykam drzwi, a mój pacjent się uśmiecha.

Siadam ciężko, wdzięczna za zimny powiew.

– Nie możesz złapać tchu – mówi. – Jakbyś się ścigała.

On myśli, że jest taki sprytny, robiąc aluzję do tego, co opowiedziałam mu o Olku, ale ja udaję, że nie rozumiem tego żarciku.

– Czuję się dobrze – mówię i jakoś dochodzę do siebie.

Zakładam maseczkę, a on gestem daje mi znak, żebym ją zdjęła.

– Już nie ma potrzeby. Mój konował twierdzi, że nie potrafi znaleźć śladu infekcji, co zważywszy na fakt, że przed miesiącem byłem jego zdaniem jedną nogą w grobie, oznacza albo cudowne ozdrowienie, albo to, że on tyle wie o medycynie co ty.

– Tak, słyszałam, że są dobre wieści. – Staram się, by brzmiało to entuzjastycznie, ale nie pozabierałam się jeszcze całkowicie po wstrząsie, nie przetrzymałam tej rewelacji.

– Od kogo słyszałaś? Od mojej matki? Cóż, przypuszczam, że się cieszy, a jesteś pierwszą osobą, na którą się natknęła, choć prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że sam ci to powiem.

– To naprawdę miłe z pana strony. – Sytuacja dramatycznie się zmieniła. Moje zadanie stało się o wiele trudniejsze; jakiegokolwiek działania podejmę, będę teraz musiała wziąć pod uwagę to, że on nabiera sił.

– Niespecjalnie, bo niezależnie od tego, co mówią o tobie inni, to dzięki tobie dochodzę do zdrowia.

– Dlaczego, co ja zrobiłam?

– Całe to rozmawianie to był twój pomysł. Konował utrzymuje, że to zasługa antybiotyków, ale nigdy mu nie ufałam. Wiesz, o czym myślałam, siedząc tu i czekając na twój powrót?

Kręcę głową przygnębiona.

– Wyobrażałem sobie umierającego rycerza przywróconego do życia przez panią jego serca. Wybacz, że przeniosłem nas do średniowiecza,

ale w wieku dorastania czytałem za dużo romansów rycerskich Malory'ego.

Krzywię się zniesmaczona, że przypisał mi taką rolę.

– Jest pan zbyt wielkoduszny, a tak czy inaczej, nie wydaje się, że będzie pan dużo dłużej mnie potrzebował.

– Och, bez obaw, jeszcze daleko do końca twojej pracy. Moja matka nie pozwoli ci tak łatwo wyrwać się z jej szponów. Okazała się nawet dostatecznie wielkoduszna, by przyznać, że źle cię oceniła.

Źle mnie oceniła? Czy my rozmawiamy szyfrem? A poza tym, gdy zrobię to, co mam zrobić, zniknę na dobre, a oni poznają moją prawdziwą, a nie wymyśloną przeszłość.

– W każdym razie – mówię, chcąc wykorzystać jego dobry nastrój – skoro mamy okazję, powinien pan przynajmniej skończyć opowiadać o swojej służbie wojskowej.

Odwraca się, już się nie uśmiecha.

– Myślę, że powiedziałem wystarczająco dużo. Mam dobre wspomnienia, które dają mi siłę.

– Wczoraj mówił pan o honorze.

Unosi brwi, oczy ma wilgotne od łez.

– Upiększyłem przeszłość. Prowokowałaś mnie do mówienia o tym, o czym nie zamierzałem mówić. Działy się wtedy rzeczy hańbiące, świat teraz o nich wie. Kto jak kto, ale ty jako Niemka też o tym wiesz, choć wielu wciąż temu zaprzecza.

– Wątpię, by zrobił pan coś gorszego niż inni.

– Kto powiedział, że zrobiłem coś złego? Wmawiasz mi, że coś mówiłem.

– Nikt... Ale i tak jestem pewna, że to ja sama zrobiłam coś najgorszego.

Milczy, a ja czekam, aż przemyśli moje słowa. Co takiego zrobiła Elsa, że czuła się bardziej winna niż ja?

– A co ty zrobiłaś? – pyta w końcu. – Wiemy już, że kradłaś słodycze. Co jeszcze? Ciągnęłaś dziewczynki za włosy? Nie byłbym zaskoczony. Nie wydajesz się mieć szczególnych względów dla swojej własnej płci.

Coraz bardziej go nienawidzę. Nienawidzę jego i siebie samej. Czas doprowadzić to do końca dla dobra nas obojga. Ale ostatnia warstwa jego skorupy jest najtwardsza. Jeśli on jest tym, kim podejrzewam, tę powłokę wzmacniają jeszcze instynkt samozachowawczy, poczucie winy i strach przed skonfrontowaniem się z głęboko ukrytą prawdą. Muszę uciec się do czegoś specjalnego, do wyznania o tak wielkim ciężarze, że opór tego człowieka pęknie. Potrzebuję bomby tak potężnej jak ta, którą Amerykanie zrzucili na Japonię.

– Jeśli to jest najgorsze, co pan mógł sobie wyobrazić, cieszę się – odpowiadam drżącym głosem.

Detonator jest już nastawiony, podaję go mojemu pacjentowi i muszę tylko go skłonić, żeby wziął ładunek.

Czekam, zegar tyka.

– Cóż, powiedz więc – odzywa się w końcu. – Nie dręcz mnie. Wydobądź swoją niegodziwość na światło dzienne.

Jeśli moja rewelacja jest granatem, przyszła pora wyciągnąć zawleczkę.

– Chodzi o Olka. – Drzę, wymawiając to imię, jestem zdenerwowana i przerażona, a przecież muszę być silna.

– Olka – powtórzył. Wychylił się do przodu, oczy ma szeroko otwarte, gardę opuszczoną.

– To było w czasie wojny, gdy policja zabrała mnie na przesłuchanie.

– Zabrali cię na przesłuchanie? – Przygotował się na jakąś zabawną opowieść i trudno mu wyobrazić sobie tego rodzaju wydarzenie. Duży postęp w porównaniu z kradzieżą słodyczy.

To, co zaraz wyjawię, rzeczywiście się zdarzyło, nie mogę jednak powiedzieć całej prawdy, bobym się zdradziła. Mój pacjent musi myśleć, że opowiadam o Niemczech. Zostałam aresztowana w getcie, a policjanci, którzy po mnie przyszli, wyciągnęli mnie za włosy na ulicę. Takie doświadczenie trudno opisać, a jeszcze trudniej znieść. Miałam wrażenie, że mnie oskalpowano. Myślałam, że zaraz zostanę rozstrzelana. Cella, do której mnie wsadzono, była tak straszna, że nie da się porównać z niczym – pozbawiona okien piwnica w budynku, w którym kiedyś była szkoła podstawowa, z nagimi ścianami i cementową podłogą zalaną cuchnącą wodą.

– Zostawili mnie w celi na całą noc – mówię.

Nie było na czym spać i panowało przeraźliwe zimno. Nie było światła, a w ciemnościach nie miałam na czym skupić wzroku, w głowie kłębiły mi się wizje tego, co się ze mną stanie. Miałam piętnaście lat, niewiele więcej niż dziecko. W końcu usnęłam, nie wiedząc nawet, czy to już wieczór, czy jeszcze popołudnie.

– Nie mam pojęcia o tego rodzaju sytuacjach – mruczy mój pacjent. – Co ty, u licha, zrobiłaś?

– Nic nie zrobiłam.

On musiał być zupełnie ślepy. Podczas pracy z Henrym dowiedziałam się, że w Niemczech przez cały czas zdarzały się tego rodzaju rzeczy.

– Następnego rana – ciągnęłam – drzwi się otworzyły i zabrano mnie do innego pomieszczenia.

W rzeczywistości postawiono mnie na nogi gwałtownym szarpnięciem. Po dwunastu godzinach ciemności oślepiło mnie światło z okna na klatce schodowej. Zaciągnięto mnie do jakiegoś biura i przykuto kajdankami do krzesła.

– Mężczyzna, który przyszedł mnie przesłuchać, wcale nie przypominał osoby, jakiej się spodziewałam. Miał na sobie garnitur. Zapytał, jak się czuję.

Zapamiętałam też, że nosił muszkę i mógł być nauczycielem, a nawet pisarzem, jak mój ojciec. Miał dobre maniere. Zwracał się do mnie po imieniu. Nie był Niemcem, tylko Polakiem, inspektorem policji, ale o tym szczególnie mój pacjent nie powinien wiedzieć. Niemcy mnie przerażali, lecz może ten stróż prawa był tutaj naprawdę po to, aby pomóc.

– Odparłam, że niezbyt dobrze i podniosłam się, aby mu pokazać, że jestem przykuta.

– Przykuta?

– Kajdankami do krzesła.

Larsson robi głęboki wdech. Nie mówię mu jednak, że oni używali kajdanek z regulowanym obwodem, aby można je było przystosować do różnych nadgarstków, nawet dziecięcych, a strażnik, który mi te kajdanki nakładał, czy to z bezmyślności, czy złośliwości, zmniejszył obwód tak bardzo, że metal wrzynał mi się w skórę.

– Ten mężczyzna zgodził się, że to rzeczywiście musi być niewygodne. Wydawało się, że mi współczuje. Gdy łzy zaczęły mi lecieć po policzkach, wyjął chusteczkę z górnej kieszeni i je wytarł. Potem zauważył, że chce mi się pić i zawołał, by przyniesiono wodę, a gdy tak się stało, przytrzymał kubek przy moich ustach i tą samą chusteczką wytarł mi brodę. Przyznał, że młode dziewczęta, takie jak ja, nie powinny być traktowane w ten sposób. Nie zrobił jednak nic, by uwolnić mi ręce. Powiedział, że gdyby był w pobliżu, sytuacja przedstawiałaby się inaczej.

Zapytałam go, czego ode mnie chce, a on odparł, że są pewne proste pytania, które wymagają odpowiedzi, jedna czy dwie kwestie do wyjaśnienia, a potem będę mogła wrócić do rodziny i że to nic, czego dobra obywatelka nie mogłaby zrobić. Woda rozjaśniła mi w głowie i zorientowałam się, że zastawiono na mnie pułapkę, a ten mężczyzna wcale nie jest mi życzliwy i nie był taki, nawet zanim przedstawił mi cenę za wolność. Skojarzyłam pewną posiadaną przeze mnie informację z tym, czego on przypuszczalnie chce.

– Skąd mogłaś wiedzieć, czego chce policja? – zapytał Larsson.

– Powiedział mi, że chcą wiedzieć, gdzie przebywa podejrzany o przestępstwo, ponieważ muszą zadać mu tylko kilka pytań, i że, oczywiście, nikt się nie dowie, że to ja im pomogłam.

– Oczywiście mu powiedziałaś?

Pokręciłam głową.

– Powiedziałam, że nic o tym nie wiem. Policjant stwierdził, że z pewnością wiem. I dodał, że poszukiwany przez nich młody mężczyzna używa imienia i nazwiska Olek Janosik i że oni doskonale wiedzą, iż my dwoje jesteśmy „wielkimi przyjaciółmi”.

Mój pacjent znów gwałtownie wciągnął powietrze.

– Olek – powtarza, mrużąc pod nosem. Chyba nie podejrzewał, że ten chłopak, który tak go oczarował, miał skłonności przestępcze.

– Byłam zbyt wyczerpana i przerażona, by zaprzeczyć, że go znam, próbowałam jednak udawać obojętność i odpowiedziałam, że nie widziałam go od miesiący.

– Dlaczego oni chcieli znaleźć Olka? – dopytuje się mój pacjent. Podejrzewam, że należy on do czytelników, którzy zawsze muszą sprawdzić, jak kończy się czytany właśnie rozdział.

– Przystąpił do ruchu oporu.

Larsson prawdopodobnie wyobraża sobie teraz, że najgorsze, co robił Olek, to wypisywanie na murach hasel albo rozdawanie ulotek. W rzeczywistości grupa działała z opuszczonej kopalni cyny w lasach na północ od getta; chłopcy ukradli broń i zastrzelili wartownika. Wiedziałam, gdzie się ukrywają, ponieważ Olek wiele razy narażał się na niebezpieczeństwo, wracając do getta, by się ze mną zobaczyć, a ja z nim zerwałam, żeby go od tego powstrzymać, i tyle.

– Od tego momentu przesłuchanie potoczyło się zwykłym trybem. Policjant zadawał pytania, ja wypierałam się wszelkiej wiedzy o tym, w co zaangażował się Olek i gdzie jest. W końcu policjant stracił cierpliwość, wstał z krzesła, przechylił się nad stołem i uderzył mnie w twarz.

Nie spuszczałam oka z twarzy mojego pacjenta, by zobaczyć jego reakcję. Wydaje się tak wzburzony, jakby to jego ktoś spoliczkował.

– Potem znów mnie zapytał, gdzie jest Olek, a gdy odpowiedziałam mu przez zaciśnięte zęby, że nie wiem, znów mnie uderzył, tym razem w drugi policzek, grzbietem dłoni. Głowa mi odskoczyła, rąbnęła w oparcie krzesła. Ten cios był silniejszy niż pierwszy, a krawędź jego sygnetu rozcięła mi wargę.

Gdy się wyprostowałam, by na niego spojrzeć, szumiało mi w głowie, a on znów podniósł rękę. Szarpnęłam się do tyłu, ale on opuścił rękę na swoje papiery. Potem powiedział, że to bicie było godne pożalowania, że nie jest potworem, tylko dobrym mężem i ojcem i ma córkę, że nie sprawiło mu to przyjemności, ale muszę zrozumieć, co się stanie, jeśli nadal będę kłamała, i że w tym budynku są ludzie, dla których znęcanie się nad innymi to prawdziwa przyjemność. Powiedział, że to jest gra, w którą możemy grać cały dzień, i zapewnił, że w końcu powiem mu wszystko, co on musi wiedzieć, więc równie dobrze mogę zrobić to teraz i oszczędzić nam obojgu przykrości.

Przerywam, nalewam sobie wody z dzbanka mojego pacjenta i popijam ją ze szklanki. On patrzy na swoje kolana. Przebiera palcami. Z pewnością uznał moją opowieść za mniej zabawną, niż się spodziewał.

– Co zrobiłaś? – pyta w końcu. – Powiedziałaś mu, gdzie on jest?

– Jeszcze nie, w rezultacie ten mężczyzna nadal mnie bił, a im dłużej to robił, tym bardziej byłam zdeterminowana, żeby nic mu nie powiedzieć. – W moim życiu było tak wiele mroku, że byłam już nim zmę-

czona, a ochronienie Olka wydawało się przynajmniej jedną dobrą rzeczą, którą mogłam zrobić. – Po dziesiątkach uderzeń nerwy w moich policzkach i szczękach odrętwiały.

– Po dziesiątkach uderzeń – powtórzył słabym głosem, pewnie sobie wyobrażał, jak to mogło być.

– Po kolejnej godzinie zadawania pytań i bicia zdał sobie sprawę, że nie zrobił żadnych postępów, miał jednak w rezerwie lepszą metodę perswazji. Wyszedł, aby wprowadzić w życie swój plan awaryjny i wrócił po godzinie z moją dziesięcioletnią siostrą Julią.

POLSKA

Listopad 1942

Gdy moją rodzinę, niemiłosiernie udręczoną wizją tego, co ją czeka na placu, zapędzono tam z powrotem, nas wyprowadzono przez bramę getta. Było nas tylko dwadzieścioro, ale gdyby nie to, czego byliśmy świadkami, trudno byłoby uwierzyć, że mieliśmy szczęście.

Oficer wyznaczył tylko jednego strażnika, który miał pilnować nas w drodze, utykającego kaprała w średnim wieku. Strażnik kazał nam iść dwójkami środkiem drogi, a sam szedł dziesięć kroków za nami, trzymając karabin w obu rękach, i przechodził to na prawą, to na lewą stronę, by obserwować kolumnę, gotów zastrzelić każdego, kto próbowałby uciekać. Słyszając, że ktoś rozmawia, wrzeszczał, ale nie mógł słyszeć wszystkiego, więc szeptaliśmy między sobą, dzieląc się obawami.

– Kiedy znów ich zobaczymy? – zapytał Karol, młody robotnik rolny z Marmowa, znany jako Samson z powodu swoich ramion. Niedawno wziął ślub, a rozdzielony z żoną, jak typowy nowożeniec wciąż się za nią rozglądał.

Ślub Karola latem był ostatnią uroczystością we wsi. Na polu za synagogą ustawiono stoły na kozłach. Dzieci ścigały się z jajkami na łyżkach, były wyścigi w workach i na trzy nogi. Po południu panny i kawalerowie gawędzili pod drzewami ocieniającymi strumień; ciepło i wino domowej roboty rozluźniały obyczaje. Żonaci mężczyźni i zamężne kobiety obserwowali młodych, snuli domysły i pertraktowali.

Gdy zbliżał się wieczór, Karol zabrał nowo poślubioną żonę do swojego domu; niósł ją przytuloną do piersi na jednym mocarnym ramieniu, a drugą ręką wymieniał uściski dłoni z przyjaciółmi i sąsiadami. Oboje państwo młodzi byli powszechnie lubiani i gdyby nie okupacja niemiecka, mieliby przed sobą szczęśliwą przyszłość.

Cztery miesiące później zostaliśmy zapędzeni do getta w Lucinie. Po kolejnych dwóch miesiącach okazało się, że żona Karola jest w ciąży, jej brzuch szedł przed resztą jej wychudzonej postaci, robił się coraz bardziej krągły i napięty, podczas gdy ona się kurczyła. Ludzie gadali. Dlaczego on nie potrafił zachować samokontroli? Poczekać, zamiast spr-

wiać sobie przyjemność? Narodziny dziecka tutaj! Ta myśl była nie do zniesienia. Teraz ciężarna żona Karola została zabrana do jakiegoś jeszcze gorszego miejsca.

Ponieważ wszyscy milczeli, Karol zapytał jeszcze raz, głośniejszym, narażając się na gniew strażnika.

– Kiedy oni do nas dołączą?

– Wkrótce – wyszeptał ktoś, by go uciszyć. Ten ktoś znalazł w sobie siłę, by skłamać mimo głupoty tego pytania. Być może Karol, choć potężnej postury, wciąż chciał, by go uspokajano jak dziecko. – Już niedługo będą z nami.

Szliśmy noga za nogą dziesięć kilometrów, wystawieni na przenikliwy wiatr, szosą między gliniastymi polami, na których stały kałuże. Zatrzymaliśmy się dopiero po dotarciu do grupy budynków. Było to odosobnione miejsce, ukryte za wąskim pasem lasu i otoczone dwumetrowym ogrodzeniem z drewnianych słupów i drutu kolczastego; po wykopaniu dołów pod słupy pozostały kopczyki zamarznętej ziemi.

Zaprowadzono nas do niskiej szopy z blaszanym dachem, klepiskiem i zagrodami dla bydła. Drewniane wrota zostały zamknięte od zewnątrz antabą.

Po jednej stronie leżały bele słomy, usadowili się na nich mężczyźni.

Ja usiadłam na klepisku, oparłam się o chropowatą ścianę i rozmyślałam o tym, co się wydarzyło na ulicy w Lucinie. Czy moja rodzina i sąsiedzi podejrzewają, że ich zdradziłam, dobiłam targu, by siebie chronić? Czy byłoby im łatwiej, gdyby wiedzieli, że nie znalazłam się w lepszej sytuacji, tylko w co najmniej porównywalnej niedoli?

Modliłam się, co rzadko mi się zdarzało, powtarzałam na wpół zapomniane frazy, najpierw za rodziców, potem za brata, a w końcu za siostrę – żeby byli bezpieczni, gdziekolwiek są, i żebyśmy wkrótce znów byli razem.

I żeby Julia wciąż we mnie wierzyła, nawet jeśli nikt inny nie wierzy.

Krótko po świcie drzwi się otworzyły i ten sam kapral obudził nas kopniakami, a najwolniej wstających uderzał karabinem, tak że padali na ziemię i dopiero potem wstawali. Gdy wychodziliśmy na zewnątrz, stał w drzwiach. Podstawił mi nogę, ale udało mi się przez nią przeskoczyć.

Na dziedzińcu kapral i dwaj inni brutalni mężczyźni, obaj o nieogolonych wrednych twarzach, z wrzaskiem kazali nam ustawić się w szeregu. Znalazłam się na końcu, na najgorszym miejscu, ponieważ za każdym razem, gdy nas okrążali, czułam ich nienawiść.

Staliśmy tak godzinę dręczeni głodem. A potem zaczął padać deszcz i przemokliśmy.

Gdy nad budynkami pokazało się słońce, pojawiła się limuzyna i została wpuszczona przez bramę.

Kierowca wysiadł i otworzył tylne drzwi. Rozłożył parasol i trzymał go nad głową mężczyzny w dwurzędowym garniturze, podobnym do tych, jakie kiedyś nosił mój ojciec, choć ojciec wyglądał w nich wspaniale, robił wrażenie człowieka, z którym należy się liczyć, natomiast garnitur tego mężczyzny podkreślał tylko, że jego właściciel jest nadęty i nadgorliwy. Podeszedł do nas, z niesmakiem omijając kałuże i wzdrygając się, gdy błoto przyczepiało się do czubków jego butów.

Przyjrzał się bacznie naszemu szeregowi i wydawał się zadowolony z tego, co zobaczył, dopóki nie spojrzał na mnie. Wtedy się skrzywił. Było dla niego oczywiste to, co ja wiedziałam od początku. Nie pasowałam do grupy, w której oprócz mnie byli sami mężczyźni, w większości doskonali robotnicy.

Zniecierpliwiony przepytął kaprala, po czym obaj podeszli bliżej i stanęli nade mną.

Dzięki ojcu, który skłonił mnie do nauki niemieckiego, zrozumiałam dostatecznie dużo z tego, co powiedział mężczyzna w garniturze. Byłam: „kolejną gębą do wykarmienia... nieodpowiednią, niewydolną, nieopłacalną... stanowiłam obciążenie dla i tak już niewielkich zysków... należy mnie wymienić”. Wyliczał moje zauważone mankamenty coraz bardziej podniesionym głosem.

Po raz pierwszy pojawiła się przede mną szansa powrotu i dołączenia do rodziny, wiedziałam jednak, że jest złudna i że moja obecna sytuacja, choć niezbyt obiecująca, się nie zmieni.

Kapral pomajstrował przy swoim pasie do karabinu i podniósł broń do talii. Słuchał, mając wypisane na twarzy, że słyszał już takie utyskiwania.

– Nie – rzucił ostro, przerywając w końcu mężczyźnie. – To już postanowione. Szkoda słów. Klamka zapadła.

– Mogę pracować – zapewniłam drżącym głosem, zdobywając się na odwagę, by się odezwać. – Jestem silniejsza, niż się wydaje. – Patrzyłam w dół, na swoje buty, i czekałam na bicie lub coś gorszego.

– Widzi pan? Ona będzie użyteczna – stwierdził kapral już łagodniejszym tonem i postawił karabin na ziemi. – Ona mówi po niemiecku, a mało który z nich umie coś więcej niż bełkotać. Może tłumaczyć dla pana, co oni mówią, a jeśli chodzi o „kolejną gębę do wykarmienia” – uśmiechnął się – rozwiązanie jest proste. Można jej dawać dziecięce racje.

Miejsce okazało się o wiele większe, niż nam się początkowo wydawało, ponieważ za szopą, w której spaliśmy pierwszej nocy, znajdowały się ceglane zabudowania fabryczne.

Jak zasugerował kapral, jeszcze tego dnia przydałam się jako tłumaczka; przekładałam na polski instrukcje niemieckiego kierownika. Praca szła powoli. Ci niegdyś silni mężczyźni przywykli do bardzo małej ilości jedzenia, ale nikt z nas nie jadł od wczoraj, a niektórzy jeszcze dłużej.

Przez cały czas nas pilnowano. Właściciel fabryki miał nieograniyczny widok na halę fabryczną z okna swojego gabinetu, który znajdował się na podwyższeniu. Nie opuszczając swego ciepłego królestwa, mógł obserwować, który z jego robotników nie pracuje dostatecznie ciężko. Unikałam spoglądania w górę; byłam zbyt słaba, żeby się narażać, i zbyt ostrożna, by zwracać na siebie uwagę. Ale gdy to zrobiłam, a zdarzyło się to dwa razy, on stał za szybą i wpatrywał się we mnie, a przynajmniej tak mi się wydawało. Za każdym razem znajdowałam w sobie siłę, by pracować trochę szybciej.

W południe dostaliśmy jedzenie – kapustę pływającą w ciepłej wodzie i kawałek czarnego chleba. Jedliśmy, stojąc przy stołach warsztatowych. Byliśmy zwierzętami roboczymi w najlepszym razie tej samej kategorii, co inne zwierzęta gospodarskie. I byliśmy tak głodni, że zjedliśmy łącznie wszystko, co nam dano.

Po posiłku zostałam wezwana do stanowiska pracy Karola, który dużymi dłońmi usiłował wmontować trzy małe metalowe elementy w trójkątną obudowę, a potem dokręcić dwie małe mutry, i miał z tym trudności. Kierownik stał z tyłu z zegarkiem w ręce. Z każdą próbą palce Karola wydawały się coraz bardziej niezręczne.

– Mogę? – zapytałam tak cicho, że ledwie słyszałam samą siebie. Wyjęłam drobne elementy z rąk Karola, umieściłam obudowę na desce i pokazałam mu, jak jedną ręką nimi manewrować, a drugą dokręcać mutry. Spróbował posłużyć się moim sposobem, a gdy skończył, kierownik chrząknął i odszedł. Kierownik nie był surowy, dawniej miał własną fabrykę, ale została zbombardowana przez Brytyjczyków i teraz musiał pracować dla innych. Nie lubił nas, to prawda, ale musiał utrzymać się na stanowisku. Bał się strażników prawie tak samo jak my.

Karol przyglądał mi się zaintrygowany, z wdzięcznością, ale przede wszystkim ze zdziwieniem. Nie docenił mnie. Ale dlaczego miałyby być inaczej? Ja również nigdy bym nie przypuszczała, że potrafię robić tego rodzaju rzeczy. Cofnęłam się o krok i wtedy zaszedł mnie od tyłu właściciel fabryki w miękkich skórzanych butach, a ja wpadłam na niego. Osaczona odsunęłam się na bok i przywarłam do stołu warsztatowego z oczami wbitymi w ziemię.

Co on zrobi? Kręciło mi się w głowie z wyczerpania, głodu, strachu, żalu, a teraz poczułam słodki, mdlący zapach jego wody kolońskiej.

– Masz zręczne palce, Fräulein – powiedział. Wziął Karola za nadgarstek i podniósł do góry jego wielkie łapsko. – Na nieszczęście zwykle dostaję właśnie coś takiego. – Odwrócił się i odszedł.

Tego wieczoru zaprowadzono nas nie do szopy, w której spaliśmy pierwszej nocy, lecz do baraku z rzędami drewnianych prycz.

Byłam jedyną kobietą wśród pięćdziesięciu mężczyzn, z których więcej niż połowa nie trafiła tu z getta w Lucinie, to byli obcy ludzie. Miałam szesnaście lat, zdawałam sobie jednak sprawę, że mężczyźni, których nigdy wcześniej nie widziałam, zerkają na mnie, obserwują, wymieniają szeptem uwagi. Usiadłam na dolnej pryczy blisko drzwi, ubranie wciąż miałam mokre po porannym deszczu i czułam zbliżającą się gorączkę. Staralam się nie płakać.

Na dalekim końcu baraku znajdował się kran, z którego leciała woda do wiadra. Ci, którzy o tym wiedzieli, rozbierali się do pasa i się spryskiwali.

Nie zauważyłam, że podchodzi do mnie Karol, dopóki nie stanął nade mną. Przyniósł kilka koców i wykorzystując główki gwoździ wbitych w drewno, zawiesił zasłonę wokół mojej pryczy.

– Przyniosę ci wodę, gdy oni skończą – obiecał. – Powinnaś wiedzieć, że tu nie masz się czego bać. Gdy będziemy pisać do naszych rodzin, będziesz mogła im przekazać, że wszystko jest w porządku.

– Dziękuję – powiedziała cicho; byłam wdzięczna za to, że ktoś okazał mi życzliwość, jakiej nie zaznałam od półtora dnia. Ale zaniepokoiły mnie jego słowa: „będziemy pisać do naszych rodzin”. Karol był bardziej szalony niż ktokolwiek z nas.

Życie moje i moich kolegów robotników zawsze wydawało się co najmniej niepewne, ale w tamtym czasie byliśmy stosunkowo bezpieczni i choć zdarzały się rozmowy o oporze czy nawet sabotażu, mądrzejsze głowy, takie jak Karol, pilnowały, aby to nie zaszło za daleko. Przyciągnięcie uwagi SS byłoby samobójstwem.

Poza tym jedyną rzeczą wartą odnotowania było to, że znów zaczęłam miesiączkować. W getcie wyschłam na wiór, lecz tutaj, po kilku miesiącach choćby mizernego jedzenia, cykl powrócił. Powinam się cieszyć, wiedząc, że nie jestem bezpłodna wskutek wygłodzenia, jednak strona praktyczna tej sytuacji, związane z miesiączką osłabienie i dyskomfort, choć nie miały wpływu na moją pracę, sprawiały, że życie stawało się dla mnie jeszcze większym wyzwaniem.

Gdy pewnego dnia, trzy miesiące po przybyciu do fabryki, kończyła się popołudniowa zmiana, zostałam wezwana do gabinetu Winklla, właściciela fabryki, mężczyzny, który nosił garnitury, świeżo wyprane koszule i jedwabne krawaty i używał taniej wody kolońskiej.

Szłam po schodach zdenerwowana. Nikt nie miał tam wstępu, jeżeli go nie wezwano. Hala fabryczna była pusta, jedyne światło padało z okna gabinetu, tego okna, z którego nas obserwował.

Winkell był sam. Na stole stała butelka wina, a on bawił się kieliszkiem, który trzymał obiema dłońmi. Ze stojącego na szafce z dokumentami radia rozbrzmiewała muzyka, prawdopodobnie wariacja Schumannna.

– Fräulein Lis – wymamrotał, przyglądając mi się, gdy stałam na progu; wydawał się lekko pijany. Byłam zaskoczona, że zna moje nazwisko, ponieważ w fabryce, której produkcja wzrosła trzykrotnie, pracowało teraz znacznie więcej robotników, choć co prawda, zaledwie kilka kobiet. Jeszcze bardziej mnie zdziwiło, że zwrócił się to mnie używaną w normalnych okolicznościach formułą grzecznościową. Wskazał wełniany szal wiszący na oparciu krzesła po drugiej stronie biurka.

– Proszę to narzucić.

Zmieszałam się, nie byłam pewna, czy się nie przesłyszałam, ale wieczór był zimny, a to polecenie mogło być, choć to mało prawdopodobne, wyrazem życzliwości. Sięgnęłam po szal i zarzuciłam na ramiona. Winkell pchnął w moją stronę leżącą na biurku agrafkę, a ja ją wzięłam i zapięłam pod szyją. Szal sięgał mi do talii i całkowicie zakrywał marynarkę w chłopięcym rozmiarze, którą wkładałam na sukienkę. Ręcznie tkany materiał był szorstki w dotyku, ale po moich ramionach rozchodziło się już rozkoszne ciepło.

– Dziękuję – mruknęłam. Nie wiedziałam, do czego ten człowiek zmierza. Wydawało się, że raczej nie znalazłam się w tym miejscu, by dostać nagane, a ciepło otulającego mnie szala sprawiło, że przestały mi się trząść kolana.

Winkell wpatrywał się we mnie z fotela za biurkiem i jakby zadowolony dał mi znak głową, bym usiadła naprzeciwko. Zrobiłam to, a on rozparł się w fotelu.

– Jest dla mnie zagadką – powiedział – jak to się stało, że mówisz po niemiecku.

Nie po raz pierwszy uderzyła mnie myśl, że mogłabym spróbować udawania, że jestem z pochodzenia Niemką. Niemcy uważali wszystkich Polaków, którzy mogli tego dowieść, za obywateli Rzeszy. Gdybym to zrobiła, może bym się stąd wydostała, ale jak długo potrwałoby takie udawanie? Nie byłoby łatwe pozbyć się piętna Żydówki. Poza tym fabryka była czymś w rodzaju schronienia na bezludziu. Inspekcje wojskowe nie zdarzały się często, a ich brutalność przypominała nam, jakimi jesteśmy szczęściarzami. Winkell zmuszał nas do ciężkiej pracy, mieliśmy jednak więcej jedzenia niż w getcie, a kary wymierzano raczej rzadko. Moja sytuacja mogła być o wiele gorsza.

– No więc? – zniecierpliwił się. W świetle lampy na biurku błyszcząca wpięta w klapę marynarki mojego pracodawcy odznaka partii nazistowskiej, swastyka na krwistoczerwonym kole.

– Ojciec mnie nauczył – wyjaśniłam, nie podnosząc wzroku.

– A dlaczego?

– Żebym mogła mu pomagać.

– Pomagać mu? W jaki sposób?

– Przy materiałach do jego badań. Pisał biografie.

– Czyje biografie? – Dziwne, ale ta wskazówka, że kiedyś moje życie składało się z czegoś więcej niż te roztrzaskane kawałki, które teraz z niego zostały, chyba nie zrobiła na nim wrażenia.

– Niemieckich kompozytorów.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, popijając wino.

– A co miał do powiedzenia o kompozytorze, którego właśnie słuchamy?

Po krótkim wahaniu wsłuchałam się w muzykę. Byłam prawie pewna, że to jest Schumann, ale Winkell mnie sprawdzał i nie mogłam sobie pozwolić na pomyłkę.

– Napisał, że on ożenił się z córką swojego mistrza i umarł na pomieszenie zmysłów – odparłam. – Możliwe, że wskutek syfilisu – dodałam nerwowo.

– Och.

Godzinę później odesłał mnie. Miałam nadzieję, że pozwoli mi zatrzymać szal, ale nie powinnam być tak naiwna. Gdy szłam do drzwi, polecił mi zdjąć szal i powiesić go na haczyku na drzwiach. Niezależnie od tego, z jakiego powodu kazał mi go założyć, chodziło o jego korzyść, nie moją.

– Może on nie lubi, żeby mu przypominano, że jesteś Żydówką, i mógłby coś złapać – zauważył Karol ze złośliwym błyskiem w oku. Wyjaśnił sytuację, by dodać mi otuchy. Podobnie jak ja nie miał pewności, co oznacza niespodziewane zainteresowanie Winklla. Czy to jest coś dobrego, czy złego.

– Co masz na myśli?

– Szal zakrywa to – powiedział, zerkając na przód mojej marynarki.

– Ach. – I też spojrzałam na dużą żółtą gwiazdę na mojej piersi, której noszenie obowiązywało wszystkich Żydów od 1941 roku. Drugą gwiazdę miałam naszytą na sukience. Nigdy nie myślałam, że do tego przywyknę, ale tak się stało.

– Przypuszczam, że gdy on się odpręży, raczej sobie nie przypomina, czym jest „to”, z czym to robi.

– A myślałam, że sam zapach wystarczy, żeby mnie zdradzić – powiedziałam, i choć sytuacja nie była wesoła, uśmiechnęliśmy się.

Później mniej więcej raz na tydzień byłam wzywana do gabinetu Winklla.

Szal wisiał na haczyku po zewnętrznej stronie drzwi, owijałam się nim przed wejściem i zapinałam go pod brodą. To się nie zmieniło nawet wtedy, gdy zrobiło się ciepło, nawet gdy przez otwarte okno gabinetu wpadało powietrze gęste od wieczornego upału.

Winkell zaczynał od rozmowy o muzyce, a potem rozprawiał o niemal wszystkim – sytuacji na froncie, polityce, swojej rodzinie. Myślę, że po prostu potrzebował kogoś, kto go wysłucha. Rzadko zadawał mi pytania o coś innego niż o fakty dotyczące kompozytorów, których utwory znał, stało się to dla niego rodzajem gry.

Pewnego majowego popołudnia zostałam wezwana do Winklla, gdy na dole wciąż jeszcze trwała praca. Było to niezwykle, wszystkie poprzednie wizyty odbywały się wieczorem. Jak zawsze owinęłam się szalem i zapięłam agrafkę. Zapukałam do drzwi i je otworzyłam.

Na krześle przy biurku siedziała naprzeciwko Winklla kobieta w średnim wieku. Miała na sobie żakiet w kolorze śliwkowym i czarny kapelusz z ekstrawaganckim, ufarbowanym na niebiesko piórem, które trzepotało w strudze powietrza z wiatraka na biurku.

Winkell gestem polecił mi wejść, a ja stanęłam plecami do okna.

– To jest ta dziewczyna – powiedział do kobiety. Zachowywał się sztywno, nie zdradzając, że łączyła nas nietypowa relacja.

Kobieta bacznie mi się przyglądała.

– Cóż, czy ona ma język?

– Powiedz coś – polecił Winkell.

– Ja... – wymamrotałam. Miałam sucho w ustach, nie wiedziałam, czego się spodziewać.

Kobieta patrzyła na mnie, czekając na więcej.

– Czy ona jest ograniczona?

– Dziewczyno, powiedz jej, jak się nazywasz.

– Hanna Lis – wymamrotałam.

– Hanna to żydowskie imię – rzuciła kobieta. – Mówiłeś, że ona nie będzie jedną z nich. – Była wyraźnie przerażona, jakby mogła już się zarazić, bo znalazła się w tym samym pokoju co ja.

Zaparło mi dech ze strachu, do czego to może prowadzić. Byłam Żydówką, to żaden sekret. Dlaczego on temu zaprzecza?

– Nie jest jedną z nich – oświadczył Winkell z nutą irytacji w głosie.

Nogi się pode mną ugięły. Dlaczego on kłamie?

Wstał i podszedł do mnie.

– Spójrz, oczy powiedzą ci prawdę. Zobacz, jakie ma włosy. – Podniósł kilka kosmyków i pociągnął tak, że poczułam ból; ta brutalność miała prawdopodobnie podkreślić jego dystans wobec mnie, a zarazem upewnić go, że wiem, iż muszę grać razem z nim. Chwycił mnie za głowę i ją odwrócił. – A jej profil? Czy to jest profil Żydówki?

Zerknęłam na niego kątem oka. Patrzył na tę kobietę, lecz wyraz jego twarzy nie zdradzał, jakie ma zamiary. Serce biło mi mocno.

– Ona jest Polką – powiedział. – Gorszą z natury, to oczywiste, ale nie trzeba jej potępiać. Akurat ona dobrze rokuje. Wmieszali ją w partię Żydów, których przysłano w listopadzie. Trzymam ją, bo wydaje się zdolna.

– Masz jakieś papiery, żeby tego dowieść?

– Gdzieś mam. – Przybrał wyraz twarzy człowieka, któremu sprzeciwia się namolne dziecko. Nie lubił, żeby mu się przeciwstawiano. Wszyscy wiedzieliśmy, że nie wahał się postępować okrutnie, dopóki nie dostał tego, czego chciał, czyli zysku ze swojej inwestycji. To miało sens, łatwo było to zrozumieć. To, co robił teraz, ryzykując złamanie najsurowszego prawa, podając mnie za gojkę, nie miało żadnego sensu.

– Ja tylko pytam ze względu na władze, one mogą być uparte, jeśli nie ma pewności.

Ci dwoje przypominali mi stryjenkę Sofie i stryja Małego sprawdzających się nawzajem.

– No więc chcesz ją czy nie? – mruknął Winkell.

Kobieta pociągnęła nosem.

– Ona śmierdzi. – Omal się nie roześmiałam. Już od roku nie pachniałam sobą i było bardzo prawdopodobne, że śmierdzą. Możliwość umycia

się była bardzo ograniczona, a teraz, latem, temperatura w hali fabrycznej krytej metalowym dachem sprawiała, że wszyscy mocno się pociliśmy, a co gorsza, miałam na sobie ciepły szal.

– Co z tego? – zapytał Winkell. – Daj jej się wykąpać.

Jego żona wciąż milczała, więc dodał:

– Prawdę mówiąc, chyba ją zatrzymam. – Spojrzał na papiery na biurku. – To by uprościło wiele rzeczy. Będę musiał ją zastąpić dwiema osobami. Spójrz na to. Mam górę papierkowej roboty. W tych czasach wszystko, nawet zamówienie czegoś tak prostego jak śrubka, wymaga formularza z mnóstwem podpisów...

– Wezmę ją – warknęła kobieta. – Oczywiście, że ją wezmę. Wiesz, że nie mam wyboru. Dzisiejsze dziewczyny wolą pójść do fabryki niż ryzykować pracę tam, gdzie są potrzebne, a Luisa dawno zapomniała, co znaczy ciężka praca. Ale mam nadzieję, że ona rzeczywiście jest „zdolna”. Nie mam cierpliwości do nierozgarniętych, nigdy nie miałam. Przeprowadź ją wieczorem.

Kobieta wstała, poprawiła kapelusz, pozwoliła pocałować się w policzek.

– I nie spóźnij się.

Po jej wyjściu trwałam w bezruchu, zastanawiając się, co oznacza dla mnie ich porozumienie. Na dole, w hali fabrycznej, pracował Karol. Pochylał się nad stołem roboczym, ale w tym momencie zerknął w górę, w okno gabinetu, jakby wiedział, że patrzę na dół.

Winkell ślęczał przy biurku, robiąc wiecznym piórem notatki w księdze rachunkowej. Mimo wiatraka czoło miał złane potem. Wydawał się nie pamiętać, że wciąż tam jestem.

W końcu przemówił, lecz nie przerwał pisania.

– Ta pani jest moją żoną – powiedział. – Możesz zostać jej służącą, pracować w moim domu. – Podniósł wzrok. A jeśli chodzi o to, o czym rozmawialiśmy... – Nasze oczy się spotkały. – Sugeruję, żebyś rzeczywiście dowiodła, że jesteś zdolna, albo twój pobyt będzie krótki. – Wrócił do pisania, pedantycznie przecinał kreską każde „t” i stawiał kropkę nad każdym „i”. – I usuń te piekielne naszywki.

– Herr Director – pożegnałam się skinieniem głowy i wyszłam. Na zewnątrz, na podeście, nogi się pode mną ugięły i musiałam trzymać się

poręczy, by nie spaść ze schodów.

Wróciłam do swojego stołu i zapatrzyłam się na narzędzia. Z czubka lutownicy zwisała niczym ołowiana łza kropla stopionego metalu. Jak długo mnie tu nie będzie? Byłam odrętwiała. Opuścić tych ludzi tak nagle, gdy stali się wszystkim, co mam?

Podszedł Karol, machając cewką cylindryczną, którą trzymał za drut.

– Wszystko w porządku? – zapytał, podając mi cewkę. Przyniesienie tego elementu było pretekstem do odejścia od warsztatu i rozmowy.

Obracałam cewkę w rękach, udając, że ją sprawdzam. Czy Winkell obserwuje nas ze swojego gabinetu? Dlaczego on się mną interesował? Czy naprawdę chodziło tylko o to, by załatwić żonie darmową służącą?

Choć nie miałam wyższego stanowiska niż ci mężczyźni, bez trudu przyswoiłam sobie zasady montowania urządzeń elektronicznych, które produkowaliśmy, podczas gdy większości mężczyzn to się nie udało i gdy gotowe urządzenie nie działało, co zdarzało się często, to mnie wzywano, bym wykryła błąd. Zaskoczyło mnie, że Winkell był gotów mnie oddać... Może myślał, że ja tylko zamiatam pod stołami roboczymi, co również należało do moich obowiązków, ponieważ byłam dziewczyną, byłam niewysoka i tylko ja się do tego nadawałam.

– Czego on chciał? – zapytał Karol.

Pokręciłam głową, nie byłam w stanie odpowiedzieć. Odwróciłam głowę od okna gabinetu. Po twarzy leciały mi łzy i spadały na drewniany stół. Czy rzucono mi koło ratunkowe, a jeśli tak, to dlaczego? Czy pod brutalnym zachowaniem Winkella kryła się w rzeczywistości troska?

Poczułam na ramieniu dużą dłoń Karola, odwróciłam się do niego bokiem i przytuliłam się do jego piersi. To było naganne, fabryka to nie miejsce na okazywanie uczuć, choć nie było w tym nic innego niż tylko chęć ochrony i pragnienie bycia chronioną.

– On mówi, że mam pracować w jego domu. – Staliśmy w milczeniu, czułam ciepło jego ciała, a wolny rytm jego serca konkurował z galopadą mojego. Gdyby w tym momencie Karol objął mnie ramieniem, naprawdę bym się rozpłakała.

Ale on się odsunął i wyjął z mojej dłoni cylinder. Byliśmy tak blisko siebie zaledwie kilka sekund, ale miałam wrażenie, że trwało to całe letnie popołudnie.

– To dobrze. Dostaniesz więcej jedzenia, nabierzesz ciała i znów będziesz piękna.

– Tak – powiedziałam, lecz choć chciałam w to uwierzyć, nie potrafiłam. Przypatrzyłam się już wystarczająco dokładnie Frau Winkell, by wiedzieć, że nie ma ona nawet wątpliwej przyzwoitości swojego męża. Będzie mnie głodziła i zmuszała do pracy ponad siły, a jeśli odkryje okropną prawdę, że jestem Żydówką, wyrzuci mnie do śmieci.

– Kiedy tam idziesz?

– On kazał mi przyjść wieczorem, ale niedługo was odwiedzę – zapewniłam, zastanawiając się, jak uda mi się to zrobić.

– Dobrze – powiedział, bo teraz przyszła jego kolej na kłamstwo. I odwrócił się, aby bez powodzenia ukryć przede mną łzy.

– Znajdę sposób, a poza tym on będzie musiał mnie tu sprowadzić, gdy to, co zmontujecie, nie będzie działało.

Karol się uśmiechnął, ja również. Gdyby wtedy mnie objął, przy wszystkich tych mężczyznach i samym Herr Winkllu, nie miałabym nic przeciwko temu.

Gdy wszyscy wyszli, zostałam w hali fabrycznej. Jedyne światło dochodziło z gabinetu Winklla.

Zgasił je i wyszedł na podest.

– Chodź za mną – polecił już na dole po sprawdzeniu, czy spełniłam jego rozkaz i pozbyłam się dowodu, że jestem Żydówką. Wyszliśmy z fabryki.

Wieczór był przyjemny, zachodzące słońce łagodziło kontury budynków i drzew stojących na skraju okolicznych płaskich pól.

Przy bramie czekał samochód Winklla, silnik już pracował. Szofer otworzył tylne drzwi, Winkell wsiadł i wygładził spodnie na kolanach.

Nadal nie miałam pewności, czy pojedę tym samochodem. Nie pasowało to do mojego statusu. Nie zostały otwarte żadne drzwi, co dałoby mi wskazówkę, lecz gdy podeszłam do przodu, zobaczyłam, że na siedzeniu leżą dokumenty.

– Siadaj z tyłu – powiedział szofer, widząc moje zakłopotanie. – Albo w bagażniku – dodał, chichocząc. Ten człowiek nazywał się Möller. Był Polakiem tak jak my i nie miał prawa uważać się za naszego zwierzch-

nika, a mimo to przechadzał się dumnie po fabryce, a gdy wchodził po schodach do gabinetu Winkla, z szyderczym uśmieszkiem strząsał popiół z papierosa na nasze głowy. Mówił krótkimi zdaniami i miał ograniczony zasób słów, co wskazywało, że pod jego tupetem i arogancją kryła się zwykła głupota. Gdyby miał pojęcie, że mój ojciec był przed wojną cenionym pisarzem – dostatecznie dobrze znanym, by jego książki wystawiano w witrynach najlepszych księgarni w Warszawie i Berlinie – i że moja rodzina była dość zamożna, najpierw by się zdziwił, ponieważ nic w moim nędznym wyglądzie na to nie wskazywało, a potem wpadłby w złość i zrobił się zazdrosny.

Dopiero po raz drugi w życiu jechałam samochodem. Mój ojciec bez trudu mógłby sobie pozwolić na auto, uważał jednak, że korzystanie z nowoczesnych maszyn jest poniżej jego godności. Pierwszą okazję do przejażdżki miałam dzięki stryjowi Małemu, któremu wreszcie udało się wygrać na koniach i wpłacił zaliczkę na wielkiego moskwicza z drugiej ręki. Stryj, stryjenka i ich trzy córki przyjechali do nas, do Krakowa – był to jeden z ich nielicznych wyjazdów – gnani chęcią pochwalenia się swoją niespodziewaną zamożnością. Mój brat i ja usiedliśmy z tyłu, Julię trzymałam na kolanach. Ściśnięci między kuzynkami jeździliśmy po okolicy, wychylając się na zewnątrz i wypatrując znajomych.

Stryj prowadził okropnie, nagle się zatrzymywał, potem gwałtownie ruszał, a my, siedzący z tyłu, zsuwaliśmy się z siedzenia i chichotaliśmy. Panował prawdziwie wakacyjny nastrój. Robiliśmy ambitne plany podróży latem, poczynawszy od mazurskich jezior; potem padały coraz śmielsze propozycje, każdy chciał przeforsować swoją. Stryj zasugerował Moskwę. Zawsze przechwalał się tym, że jakiś jego daleki krewny był osobistym służącym cesarza Napoleona podczas fatalnej wyprawy w 1812 roku. Ja wolałam Pekin, ponieważ czytałam kiedyś o Zakazanym Mieście i to mnie zaintrygowało. Paryż, oznajmiła stryjenka, dołączając z opóźnieniem do gry. San Francisco!, krzyknął mój brat, tak zdecydowany przebić nas wszystkich, że przejechał samochodem za ocean.

Nigdy nie dotarliśmy do żadnego z tych miejsc. W następnym tygodniu samochód został zwrócony, ponieważ koń stryja niosący jego nadzieje na drugą ratę, pośliznął się na torze. Sąsiedzi nigdy nie pozwolili mu o tym zapomnieć; ilekroć przez miasteczko przejeżdżał samochód, co rzadko się zdarzało, żartowali, że przyjechała w końcu „szkapa Małego”.

Samochód Winklla w niczym nie przypominał auta stryja; to był luksusowy mercedes ze wzmocnionymi bokami. Na masce miał gwiazdę w okręgu. Gwiazdę o trzech ramionach, nie sześciu.

Winkell odpoczywał po swojej stronie tylnego siedzenia. Wyjął z portfela wykałaczkę i wyskrobywał spod paznokci fabryczny brud, po czym podnosił dłoń, by sprawdzić efekt. Mimo wieczornych wizyt w jego gabinecie i wybrania mnie na służącą być może dawał mi w ten sposób znać, jak niskie ma o mnie mniemanie. Skuliłam się w przeciwnym rogu, pod udami czułam gładką, śliską skórę i znalazłam się milion kilometrów od autobusu wycieczkowego mojego stryja.

Im dłużej jechaliśmy, tym bardziej się denerwowałam. Kontakt z jedynymi przyjaciółmi, jakich miałam, rozluźniał się i z pewnością się urwie jak zbyt mocno naciągnięta nitka. Każdy kilometr jazdy po tej pełnej kurzu drodze oddalał możliwość spełnienia danej Karolowi obietnicy powrotu. Ale co ja sobie, u licha, wyobrażałam? Że Winkell mieszka w odległości spaceru? Że będę miała wolne niedzielne popołudnia?

Po kilkudziesięciu kilometrach dojechaliśmy do dzielnicy willowej, gdzie domy były ukryte za murami i ocieniały je dęby i wiązy. Była to ładna okolica, ostro kontrastująca z ponurymi polami otaczającymi fabrykę.

Möller wysiadł i otworzył bramę, za którą na końcu krótkiego podjazdu stał nowoczesny dom z płaskim dachem. Zza chmur przebijały się ostatnie promienie słońca i lśniły na szybach narożnych okien na górnym piętrze. Dom był futurystyczny, niepodobny do żadnych innych, które widziałam. Zastanawiałam się, kto go wybudował, jakie życie pędzili jego mieszkańcy, a jeśli im go odebrano, gdzie są teraz. Jakże wygodnie by było dla mojego pracodawcy, gdyby mieszkali tam Żydzi.

Winkell ruszył przed siebie i wszedł do domu.

Poszłam za nim, ale Möller chwycił mnie za rękaw.

– Zabierz to – rozkazał, wskazując papiery na przednim siedzeniu pasażera, a potem podawał mi jedną po drugiej grube teczki, w końcu trzymałam w ramionach siedem czy osiem, a ich sterta sięgała mi do brody. Teczki były ciężkie, a moje ramiona słabe, ale gdy wchodziłam za Möllem po schodach do drzwi wejściowych, najtrudniej było patrzeć, dokąd idę. Musiałam zaglądać za teczkę leżącą na wierzchu, aby postawić nogę. Nie chciałam się przewrócić i dać temu człowiekowi satysfakcji.

Wniosłam teczki do gabinetu po prawej stronie od drzwi frontowych i położyłam je na biurku pod oknem. Pokój był zastawiony skrzyniami. Czy Winkell właśnie się wprowadził?

Frau Winkell wyszła z sąsiedniego pokoju. Popatrzyła na mnie surowo.

– A więc już jesteś – powiedziała, rzucając mi ostrzegawcze spojrzenie, jakby podejrzewała, że przymierzam się do kradzieży. Odwróciła się i wyszła do holu. Möller poszedł za nią, przymilając się i mamrocząc coś, czego nie słyszałam, ale bardzo możliwe, że chodziło o mnie. On wiedział, że jestem Żydówką. Czy wyjawiał jej ten sekret?

Nie zareagował, widząc, że usunęłam gwiazdy z moich ubrań, nawet okiem nie mrugnął. Miałam nadzieję, że naprawdę jest małym pieskiem, za jakiego go uznałam, i że wystarczająco dobrze go wyszkolono, by wiedział, że w jego najlepszym interesie jest służyć swojemu panu bez względu na jego wady i uchybienia.

Okno wychodziło na ciemniejący ogród. Założyłam, że jestem sama, lecz na końcu trawnika stała pod drzewami dziewczyna, jej twarz skrywał cień. Dziewczyna obserwowała dom i wydawało się, że również mnie.

Wynurzyła się spod nisko zwisających gałęzi na światło wczesnego wieczoru i szła po trawie; jej niebieska spódnica falowała nad kolanami, odsłaniając gołe łydki i stopy. Zbliżając się, nie przestawała patrzeć na dom, a po dojściu do tarasu zniknęła mi z pola widzenia. Herr Winkell wspomniał w rozmowie o córce. Czy to była ona?

Otworzyły się drzwi balkonowe w przylegającym do gabinetu salonie i w drzwiach po mojej lewej stronie pojawiła się dziewczyna.

– A kim ty jesteś? – zapytała, mierząc mnie wzrokiem.

– Czekam – odparłam przygnębiona, bo tak właśnie się czułam.

– Czekasz? – powtórzyła, być może tak samo jak ja nie wiedziała, po co tu jestem. Zmrużyła oczy. Była trochę młodsza ode mnie, prawdopodobnie nie miała więcej niż czternaście lat, ale już była wyższa i miała mocne przedramiona widoczne spod krótkich rękawów białej bluzki. Wydawała się wysportowana i zdrowa, czego o mnie już nie można było powiedzieć.

Potała knykcie prawej ręki lewą, jakby chciała zacisnąć pięść.

– Jesteś nową pokojówką?

Wzruszyłam ramionami na potwierdzenie, wydawało mi się, że to wystarczy.

– Czy to znaczy, że tak?

Skinęłam głową wystraszona, że ją obraziłam. W szkole nikt mnie nigdy nie zastraszał, a tym bardziej ktoś młodszy ode mnie, ale teraz byłam cieniem samej siebie. Dziewczyna podeszła bliżej, górowała nade mną. Przerażała mnie i upajała się tym.

– Pokażę ci twój pokój – powiedziała w końcu.

Poprowadziła mnie przez drzwi balkonowe wzdłuż tarasu. Wspięła się na niski murek, zeskoczyła na ścieżkę po drugiej stronie i poszła na tyły garażu.

Szłam szybko, by dotrzymać jej kroku.

Na tyłach garażu, za samochodem, były drewniane schody prowadzące na podest, gdzie znajdowały się drzwi do dwóch pokoi i mała łazienka na końcu. Dziewczyna otworzyła drzwi do bliższego pokoju. Stały w nim wąskie łóżko i odrapany drewniany stół, a w rogu niski fotel uszak obity poplamionym perkalem.

Okno bez zasłonek wychodziło na wybrukowane podwórze.

– Podoba ci się? – zapytała. I zanim zdążyłam jej odpowiedzieć, dodała: – Oczywiście na twoim miejscu zabarykadowałabym się na noc, na wszelki wypadek.

Spojrzałam na nią zdezorientowana.

– W razie gdyby Möller pomylił łóżka – wyjaśniła. – To dlatego odeszła ostatnia pokojówka. Nic przyjemnego być napastowaną przez tłu-stego dupka, jeśli dopiero co się zasnęło, tak powiedziała.

– Dziękuję. – Lekko zapało mi dech, nie ze strachu przed Möllerem, tylko dlatego, że tak swobodnie o tym mówiła. W Krakowie miałam ładny pokój, wiosną gałęzie kwitnącej dużej wiśni pukały w moje okno, wiatr przynosił ich zapach. Od aresztowania ojca nie miałam już własnego pokoju. W Marmowie dzieliłam pokój z Julią, w getcie z całą rodziną, a w fabryce spałam za zasłoną w rogu pomieszczenia pełnego chrapiących mężczyzn.

Dziewczyna przyglądała mi się badawczo, jakbym była zagadką, której rozwiązanie może samo się pojawić, jeśli mocno się skupi.

– Zastanawiam się, czy powinnam ci mówić o przyzwoitości, ale w końcu chodzi tylko o jedną noc. Jak się nazywasz?

– Hanna Lis.

– Dziwne imię. Nie powiem, że mi się podoba, ale to chyba nie twoja wina. Mama może chcieć je zmienić na coś łatwiejszego. Ona nie jest zbyt rozgarnięta i lubi, żeby wszystko szło po jej myśli. Ja jestem Elsa.

– Elsa – powtórzyłam, myśląc, że jej imię, jeśli już, jest mniej pospolite niż moje.

– Cóż, Hanno Lis, nie rozgość się tu zbyt, rozpakowując się i tak dalej. – Odwróciła się, by wyjść. – Nie będziesz tu wystarczająco długo, żeby to robić.

Co miałabym rozpakować?, zastanawiałam się, gdy wyszła. Nie mam nic prócz tego, co na sobie. A potem pomyślałam o „nie będziesz tu długo”. Co to znaczy?

SZTOKHOLM

Wtorek, 24 grudnia 1946, popołudnie

– Wrócił z twoją siostrą? – powtarza z niepokojem mój pacjent. Jest tak wstrząśnięty, jak się spodziewałam, ale najmocniejsze ciosy jeszcze przed nim.

Popijam wodę i kiwam głową.

– Tak, miał ze sobą moją siostrę – przerywam, aby wytrzeć łzę z policzka. – Gdy Julia zobaczyła siniaki na mojej twarzy i krew na ustach, krzyknęła i próbowała do mnie podejść, lecz on chwycił ją za nadgarstek, posadził na krzesło i przykuł kajdankami tak jak mnie. Była taka mała i słaba, że jedną ręką ją przytrzymał, a drugą zatrzaskiwał kajdanki.

Atmosfera w pokoju stawała się coraz bardziej napięta. Mój pacjent na swój sposób polubił Julię, a ja mówię mu coś takiego.

– Ten mężczyzna przyciągnął krzesło Julii do mojego. Byłam przerażona, a jedyne, co mogłam zrobić, aby dodać jej otuchy, to musnąć jej stopę moją. Potem przesłuchujący oznajmił, że będzie nadal zadawał pytania, a za każdym razem, gdy uzna, że coś wiem i nie chcę powiedzieć, uderzy, lecz nie mnie, ale moją siostrę.

Mój pacjent blednie. Z pewnością zdawał sobie sprawę, co się stanie, ale wciąż jest wstrząśnięty.

– I właśnie wtedy zdradziłam Olka – mówię rzeczowo. – Żeby Julia nie została skrzywdzona, powiedziałam temu człowiekowi wszystko, co chciał wiedzieć.

Zapada milczenie. Wycieram łzy, on też ma wilgotne oczy.

– Zostawił nas, żeby zrobić użytek z tego, czego się ode mnie dowiedział. Czekaliśmy, twarz mnie coraz bardziej bolała, balansowałam na krawędzi świadomości, oprzytomniałam jednak, gdy wprowadzili do budynku Olka. Do wieczora dowiedzieli się wszystkiego, co im było potrzebne i schwytali całą grupę.

– Co mu zrobili?

- Powiesili go.
- Powiesili go? Bez sądu?
- Bez sądu.

Tylko że samo powieszenie Olka nie wystarczyło, musiało być przestrogą. Wszystkich zapędzono z powrotem do getta i tam zawiśli na hakach na murze.

– Zmusili mnie do patrzenia na to, więc on się dowiedział, kto go zdradził.

Przesłuchujący mnie mężczyzna zadał sobie tyle trudu, znęcał się nade mną, a potem nie dokończył roboty. Nie umiałam tego wyjaśnić. Może on naprawdę był dobrym mężem i ojcem.

Po wszystkim spodziewałam się, że skończę z poderżniętym gardłem, jak stało się z dwoma innymi donosicielami, nie zrobiłam jednak nic, żeby się przed tym zabezpieczyć. Pogodziłam się z losem, z kilkoma sekundami agonii, po których nastąpi nicość. Nie było jednak ulgi. Stałam się kimś w rodzaju „niedotykalnej” z kasty dla najniższych z niskich.

– Nie – mówi cicho mój pacjent. – To już za dużo.

– Jeśli mi pan nie wierzy, proszę spojrzeć na to. – Otworzyłam usta, by pokazać miejsca po utraconych zębach, w sumie trzech, wszystkie w górnej szczęce, jeden po lewej stronie, dwa po prawej. – Obluzowały się, gdy mnie bił. – Henry chciał, żebym poszła do dentysty, ale nigdy nie lubiłam dentystów i sama je wyrwałam.

– Nie o to chodzi – Mój pacjent się wzdryga. – Ja tylko... – Nie może dokończyć tego, co próbuje powiedzieć, wyciąga więc rękę i dotyka mojej szczęki drżącymi palcami. Fale uderzeniowe po bombie, którą rzuciłam, przechodzą przez nas oboje.

– Nie możesz się obwiniać – mruczy, nie cofając ręki. – Zostałaś zmuszona do dokonania wyboru, musiałaś ratować siostrę.

– A jeśli on wcale nie zamierzał jej skrzywdzić? Jeśli to były tylko groźby?

– Mogłaś zakładać wszystko, co najgorsze.

Jego palce pieszczą moją szczękę, a jego czułość budzi we mnie odrazę.

– Zastanów się jednak, jak dużo bardziej winna byś się czuła – mówi – gdybyś zrobiła coś złego, ale nie miała żadnego usprawiedliwienia, gdyby powodem było zwykłe tchórzostwo?

Ta chwila się zbliża, bomba została zdetonowana i teraz nic już nie powstrzyma wybuchu. Opowiadanie mu o Olku było jak samobiczowanie – pogrzebałam prawdę i wyjawiałam ją dopiero przy tej ostatniej próbie skłonięcia go, by się przyznał... albo, choć to mało prawdopodobne, dowiódł swojej niewinności.

– Jeśli chce mi pan o czymś powiedzieć – naprowadzam go – wie pan, że może ze mną rozmawiać swobodnie. – Teraz oni wszyscy są tutaj. Moja rodzina, sąsiedzi, Olek, wszyscy przyszli posłuchać. – Pan też nosi brzemień. Musi pan o tym opowiedzieć, wyrzucić to z siebie.

– Pozwoliłem sobie stać się...

– Tak, pozwolił pan, tak właśnie to działa. – Nie obchodzi mnie, jak bardzo on upiększa swoje wyznanie, sama mu w tym pomogę. – Ja też zostałam wykorzystana – mówię. – Podobnie jak my wszyscy.

Przytakuje głową, roni łzy.

– Był pan żołnierzem.

– Tak – mruczy.

– A po najeździe został pan w Polsce – mówię tak łagodnie, jakbym była jego matką. Nie, odwołuję, nie mogłabym być jego matką.

– Byłem ranny – szepcze tak cicho, że prawie go nie słyszeć.

– Ale gdy pan wyzdrowiał, nie wrócił pan na front?

– Pozwoliłem się wykorzystać. Wojna pokazała swoje prawdziwe oblicze, schowałem się przed nią.

– Wykorzystać? – W Norymberdze zawsze bronili się w ten sposób, uciekali się do tego rodzaju usprawiedliwień, aby się nie zmierzyć z brzydką prawdą.

– Zajmowałem się dostarczaniem siły roboczej. Nieprzyjemne zajęcie. Ludzie byli wrogo nastawieni, niewdzięczni.

– Ale być może niektórzy próbowali polepszyć pana sytuację? – To jest wstęp do rozmowy o Frau Grite.

– Tak, kilka osób. Pewna pani wydawała przyjęcia, na których była muzyka i szansa na odpoczynek w otoczeniu przyjemniejszym niż nasze lodowate kwatery.

Nie wymienił nazwiska tej kobiety, ale nie ma wątpliwości, kogo opisał.

Mój pacjent ma łzy w oczach. Może myśli o kobietach, które tam spotkał; nie o żonach przedsiębiorców, tych nigdy nie zapraszano, ale o innego rodzaju kobietach, i oczywiście były tam kelnerki, które mógł bezkarnie prześladować.

– Miejsce odpoczynku? – Wiem, że to on, ale jeszcze nie skończyliśmy. Mogłabym być Henrym na sali sądowej, osaczającym przeciwnika do chwili, gdy pozostawała mu tylko jedna droga wyjścia – przyznanie się do winy. Mogłabym, ale cała drzę, a Henry zachowałby spokój.

– To było antidotum na wszystko inne, mniej przyjemne.

– Ma pan na myśli Żydów? – Nie pozwolę mu schować się za wygodnymi słówkami.

Larsson się spina. Żydzi... rzeczywiście nieprzyjemne. Nie przestanę go naciskać.

– Był pan w Polsce.

– W Lucinie, na południu.

– A czy w Lucinie było getto?

– Jak we wszystkich takich miastach.

– Co działo się w gettach? Co działo się w Lucinie? – Biorę go za rękę. Palce ma śliskie od potu.

– Trudno o tym mówić.

– Słyszałam, że Żydów gdzieś odsyłano.

Larsson spuszcza wzrok.

– Stefanie, musisz powiedzieć, co wtedy robiłeś. – Po raz pierwszy zwracam się do niego po imieniu. Dla mnie brzmi to fałszywie, ale on jest poruszony, oto wkroczyliśmy w nowy etap intymności, i podnosi wzrok. Wpatruje się w moją twarz... Potem jego myśli wędrują gdzieś daleko od tego pokoju.

– Musisz mi powiedzieć, co robiłeś w Lucinie – mówię, głos mi się załamuje, gdy też wracam pamięcią do tego zimowego poranka 1942 roku, gdy serce mi łomotało wśród krzyków i wrzasków...

Tłoczyliśmy się, wszyscy rozedrgani, na końcu uliczki, między tym, co kiedyś było sklepem z winami, a wejściem do zajazdu, po tym, jak uciekliśmy z przyległego placu, zanim żołnierze zastawili wyjścia. Szyby w oknach sklepu były wybite, z zadaszenia zajazdu pozostały zwisające kawałki desek z gwoździami; resztę zerwano na opał poprzedniej zimy.

Okropnie cuchnie, nasze nosy atakuje smród ekskrementów i zgnilizny. Ziemię pokrywa potłuczone szkło, kawałki cegieł i drewna.

Wokół mnie kuli się ze strachu moja rodzina. Leżąca przed nami sterta cegieł nie stanowi dobrej kryjówki. Kurczowo trzymam siostrę. Jest przerażona, oddycha tak szybko, że jej drobne, wychudzone ciało dygocze w moich ramionach. Trzymam dłoń blisko jej ust na wypadek, gdyby zaczęła krzyczeć. Są z nami stryjenka, stryj, ich córki oraz grupka sąsiadów z Marmowa.

Domy wokół nas są przeszukiwane, żołnierze wyłamują drzwi, głośno tupią na schodach, wrzeszczą i strzelają.

Szeptem spieramy się, co powinniśmy zrobić. Możliwości jest niewiele. Dojście uliczką do końca muru, gdzie zabudowania stoją tyłem do rzeki, dałoby nam kilka godzin. Co jeszcze? Może rozdzielić się i ukryć? Nikt nie chce się na to zgodzić i nie zapada żadna decyzja oprócz podjętej przez Goldbacha, jubilera, który wymyka się chyłkiem, by wrócić na plac. Przyglądamy się, jak kuśtyka ulicą.

– Zobaczcie, jak on idzie – mruczy piekarz. – Jakby miał garść kamieni szlachetnych, które uratują mu tyłek. Ciągłe myśli, że może sobie kupić wyjście stąd. – Chichocze głośno, by ukryć strach.

Szczekanie psów staje się coraz głośniejsze. Jest zimno. Wszyscy zadajemy sobie w duchu pytanie, czy powinniśmy pójść razem z jubilerem.

Mój pacjent dochodzi do tego samego punktu w czasie i miejscu.

– Polecono mi wybrać mężczyzn nadających się do pracy w fabryce. Moment tej selekcji był dla nas zaskoczeniem. Miałem doprowadzić tych ludzi do bramy, ale zrobiło się takie zamieszanie, że musieliśmy się zatrzymać, żeby przywrócić porządek.

Pamiętam tę chwilę z całą jasnością, ten szereg idących gęsiego mężczyzn, potykających się, z opuszczonymi głowami, znikających w przejściu między budynkami. Pamiętam oficera dowodzącego, stał z boku, palił papierosa i grzał się w porannym słońcu, a gdy zdjął czapkę, dotarło do mnie, że to on.

Odwracam się do ojca, by mu wyjaśnić, że mamy teraz szansę, lecz on tylko patrzy na mnie, jakbym straciła rozum.

– On wybiera robotników do fabryk – mówię. – To jest jeden z żołnierzy, którzy bywali na przyjęciach, obiecał pomóc.

Ojciec nie rozumie, o czym mówię, ale nasi sąsiedzi podsłuchali i wszyscy chwytają się myśli, że mogłabym się za nimi wstawić.

– Niech Hanna z nim porozmawia – mówi mężczyzna, który był naszym listonoszem. – Jeśli mu wytłumaczy, że umiemy pracować, może nas też zechce. – I zaczyna się szeptanie o tym, jaka jestem dzielna, że postanowiłam na ochotnika uratować ich wszystkich, podczas gdy obietnica oficera dotyczyła tylko mojej rodziny.

Zmuszają mnie, bym wstała, i popychają do wyjścia tak stanowczo, że wkrótce jestem u wylotu uliczki.

Zdesperowana odwracam się, by na nich spojrzeć. Tylko siostra wyciąga ręce i choć przerażona, chciałaby do mnie dołączyć, lecz mój brat mocno ją trzyma. Za nimi widzę jeszcze bardziej skuloną matkę.

– Ruszaj do boju, mała! – nalega stryj Mały. – Jesteś naszą jedyną szansą. – To ostatni zakład w ostatnim wyścigu, który powetuje wszystkie straty.

– Nasza jedyna szansa – wtóruje mężczyzna, który był przedsiębiorcą pogrzebowym w czasach, gdy pozwalano nam grzebać naszych zmarłych. Ma szarą skórę i przypomina trupa, jednego z tych, które dawniej składał do ziemi.

– Hanno, dziecko, Bóg cię kocha. Uda ci się – zapewnia łagodnym tonem stryjenka. Nigdy nie była dla mnie taka słodka, zawsze znajdowała powody, by mnie skrytykować i upokorzyć. A teraz jestem dla nich wszystkich „arką”, wypływam, wioząc ich ostatnią nadzieję.

Potykam się na bruku, nogi się pode mną uginają, spodziewam się, że w każdej chwili mogę zostać zastrzelona, aż wreszcie, krok po kroku, docieram do stojącego tyłem mojego oficera.

Zauważa mnie jakiś żołnierz, przykłada mi lufę karabinu do piersi i popycha tak, że aż się zataczam. To i tak delikatne z jego strony – mógłby zdzielić mnie w głowę kolbą albo nacisnąć spust.

– Herr Oberleutnant – mówię cicho, znów podchodząc; mój głos ginie wśród dobiegających z placu krzyków, wrzasków, przekleństw i zawożenia ludzi wznoszących modły.

Odchrząkuję i znów próbuję:

– Herr Oberleutnant.

Oficer się odwraca, szeroko otwiera oczy.

– Herr Oberleutnant – powtarzam błagalnym tonem. – Powiedział pan, że pomoże. – Ledwie się słyszę w tym zgiełku.

– Pomoże? – mamrocze.

– Jest ze mną moja rodzina...

Patrzy badawczo we wskazanym przeze mnie kierunku i machnięciem ręki kieruje dwóch swoich żołnierzy, by sprawdzili. Głupio zakładam, że po to, aby pomóc, lecz doszedłszy do ruin sklepu z winami, żołnierze wyciągają moją rodzinę i sąsiadów z gruzów i poganiając ich kolbami, prowadzą na plac.

– Nie! – krzyknęłam, odwracając się oficera. – Pan nie rozumie. To jest moja rodzina, a z nią inni dobrzy robotnicy. – Mój zasób słów niemieckich, pełen terminów muzycznych, zawodzi mnie, gdy nowa o sprawach tak przyziemnych jak ludzkie profesje. Ale on i tak mnie nie słucha, obserwuje tylko poczynania żołnierzy, a nawet krzyczy, żeby działali szybciej.

I dociera do mnie, że zostałam zdradzona.

Wołam do swoich bliskich, ale nie przekrzyczę tego straszego hałasu, a oni już znikają; mój brat podtrzymuje Julię, by nie upadła.

– Ona wyłoniła się z dymu – mówi mój pacjent – tak samo brudna i obszarpana jak reszta. W pierwszej chwili jej nie poznałem, ale potem już wiedziałem, że była kelnerką na wieczorkach, o których wspominałem. Ona też mnie rozpoznała i wśród całego tego chaosu przyszła do mnie po pomoc. Widząc ją znów w tak okropnej sytuacji, zrobiłem jedyną rzecz, jaką mogłem zrobić, i dołączyłem ją do grupy już wybranych.

A co z obietnicą, że będziesz chronił moją rodzinę? Chciałam krzy-
czeć. Mogłeś uratować także ich, jaki był z tym problem? Z dołączeniem
kilku osób do szeregu? Zawracając tych ludzi na plac, skazałeś ich na
śmierć. Mam płomień w oczach, ale on jest zbyt pochłonięty własną
wizją przeszłości.

– To było ciężkie zadanie – stwierdza na koniec. – Zbyt dużo od nas
wymagano, ale na swój sposób, wybierając sprawnych fizycznie, tego
dnia w Lucinie kilku osobom ocalałem życie.

– A ta dziewczyna? – pytam gorzko. – Jaki był z niej pożytek?

– Prawdopodobnie żaden... Ale zrobiłem, co mogłem.

Mój pacjent przygląda mi się uważnie i przez chwilę mam wrażenie,
że rozpoznał we mnie dziecko, które błagało o litość, a on nie posłuchał,
minęły jednak cztery lata, zmieniłam się, mam włosy innego koloru, a on
jest skupiony tylko na sobie. Jego przyznanie się, które początkowo zda-
wało się wzbudzać w nim żal i skruchę, okazało się szukaniem usprawie-
dliwienia.

Puszczam jego rękę.

Ale przynajmniej się przyznał.

„Jak to zrobisz, Hanno?”, pytają unisono moje kuzynki. Jedna prze-
ciąga palcem po szyi, druga udaje, że jest powieszona.

– Nie wiem – szepczę do siebie. Powinna triumfować, a jest mi
smutno jak nigdy.

Wstaję i na uginających się nogach odchodzę, trzymając się ściany,
chcę znaleźć się tak daleko od niego, jak tylko pozwala przestrzeń
pokoju. W rogu przy drzwiach odwracam się i patrzę na jego pochyloną
głowę. Głowę mojego Niemca.

Wchodzi fru Larsson. Minęło zaledwie kilka minut, a ona wyczuwa
zmianę atmosfery i przygląda się to jemu, to mnie.

– Co tu się dzieje?

– Zupełnie nic – odpowiadam.

To jej nie satysfakcjonuje.

– Stefanie? – Ale on nie patrzy na matkę, tylko kręci głową.

– Muszę wyjść – mówię.

– Dokąd?

– Na spacer.

– Na spacer? Nie pora na to.

– Co to znaczy nie pora? – Mam zamęt w głowie, szarpią mną sprzeczne uczucia.

– Ponieważ zaraz wyjeżdżamy. Zdrowie Stefana się poprawiło, możemy więc spędzić Boże Narodzenie na wsi. Lekarz zalecił świeże powietrze, a mamy idealną okazję wyruszyć dzisiaj, bo pogoda jest dobra.

Fru Larsson patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym nie miała wyboru, i to jest prawda, lecz nie z powodu, który ona ma na myśli. W żaden sposób nie mogłaby mnie zmusić do wyjazdu, ale teraz wiem, kim jest mój pacjent, nic nie może mi przeszkodzić w doprowadzeniu zadania do końca, inaczej nigdy nie odzyskam spokoju.

– Wyjeżdżamy za parę godzin – mówi moja pracodawczyni. – Powinnaś pójść do swojego pokoju i się spakować.

– Tak, fru Larsson – odpowiadam potulnie.

– Tymczasem chciałabym porozmawiać z synem sam na sam.

SZTOKHOLM

Wtorek, 24 grudnia, wieczór

Na wieś trzeba płynąć łodzią motorową. Ten szczegół mi umknął, a teraz stoję, dygocząc na wieczornym wietrze, na skraju nabrzeża po zachodniej stronie Strandvägen, otoczona bagażami; na dole kołysze się motorówka.

Przypływ się skończył, stromy trap nie dosięga pokładu. Ciemny pas wody między podskakującym kadłubem łodzi a nabrzeżem nie ma nawet metra, ale po wyznaniu mojego pacjenta jestem roztrzęsiona i czuję się niepewnie, więc skaczę i niezdarnie ląduję na pokładzie.

Cuma jest osłonięta przez molo, lecz prąd w kanale spycha łódź, szarpiąc naprężoną linę. Z oświetlonej latarniami promenady jezioro wydaje się spokojne, niżej czai się jednak wzburzona woda.

Zegar w mieście wybija szóstą. Zerkam do góry, lecz jest ukryty za budynkiem teatru z jego fałszywymi złoceniami oraz rzędem hoteli i kamienic. Słabo znam Sztokholm, ale wyjazd z niego to naprawdę podróż w nieznanie.

Po mnie schodzi na pokład fru Larsson, która szczerze owinąwszy szyję futrzanym kołnierzem, znajduje elegancki sposób zejścia po trapie – stawia na szczeblu najpierw jedną nogę, potem drugą. Na pokładzie sprawdza stertę bagażu, jakby chciała się upewnić, że niczego nie ukradłam. Po moim wyjściu z pokoju jej syna ulotniła się wszelka wyrozumiałość tej kobiety dla mnie.

Mój pacjent jest już ulokowany w stosunkowo wygodnej kabynie pasażerskiej. Po trapie pomogli mu zejść Mona i Gösten. Gösten zostawił swoją portiernię i towarzyszył nam przez całą drogę do nabrzeża. Nie miałam pojęcia, że jego lojalność wobec Larssonów zaszła aż tak daleko, a teraz zaczynam się zastanawiać, czy gdy popijaliśmy czekoladę, a ja uważałam go za przyjaciela, w jakiejś chwili nieuwagi z czymś się nie zdradziłam.

Podejrzewam, że mój pacjent jest w tej chwili dostatecznie silny, by podróżować bez niczyjej pomocy, ale on jest uzależniony od opieki, a ja mimowolnie się do tego przyczyniłam.

Łódź jest mała, ma zaledwie sześć metrów długości, i jest głęboko zanurzona w wodzie, fale pluskają tuż pod polakierowanym relingiem. Pochodzi z lepszych czasów, została zaprojektowana do letnich rejsów po Archipelagu Sztokholmskim. Stryjenka Sofie opisała ją swoim córkom przyciszonym tonem jako przyjemny stateczek.

Na dziobie znajduje się kabina pasażerska z przesuwanymi oknami, z których podziwiano widoki, a przy pięknej pogodzie można było wyjść na powietrze, na pokład rufowy; markiza nad nim jest obecnie zwinięta, ale bez trudu dawało się ją rozwinąć, aby ochronić delikatną cerę.

Fru Larsson schodzi do kabiny, mocno trzymając się poręczy; ma buty na obcasach i nie chce się pośliznąć. Zamyka za sobą drzwi.

Z nadbudówki za kabiną wyłania się mężczyzna, chyba kapitan łodzi – właściwie nie wiem, jak go nazywać. Ma na sobie niebieską marynarkę z wystrzępionymi szamerowaniami na mankietach, która wygląda jak góra munduru oficera marynarki, ale jego potargane włosy i brak jakichkolwiek oznak wojskowego sznytu skłaniają mnie do podejrzenia, że ubiór pochodzi z drugiej ręki. Kapitan wspina się na trap, odwiązuje linę od słupka na molu i zeskakuje na pokład. Uwolniona łódź się trzęsie, dziób odwraca się od nabrzeża.

Kapitan wkłada czapkę i mijając mnie, idzie na rufę. Podłącza akumulator i szarpnięciem sznura uruchamia silnik. Pojawiają się kłęby dymu, rozchodzi się swąd spalonego oleju silnikowego i dym, śruba napędowa tnie wodę, łódź oddala się od lądu.

Kapitan znów mnie mija, wchodzi do nadbudówki i jedną ręką manewruje kołem sterowym.

Mimo zimna nie mam ochoty dołączyć do tych dwojga na dole – ani do fru Larsson, która wyraźnie jest do mnie wrogo nastawiona, ani, z oczywistych powodów, do mojego pacjenta. Siedzę więc na ławce na rufie, pod moimi stopami dudni silnik. Łódź mija Pałac Królewski, jego surowa bryła jest posepna i złowieszcza jak bryła domu poprawczego.

– Czy to pańska łódź?! – wołam do kapitana, przekrzykując hałas silnika.

A on wychyla się z okna nadbudówki, spluwa do wody, wyciera grzbietem dłoni brodę i usta.

– Jestem pilotem – rzuca, nie patrząc na mnie.

Wspaniale, myślę zniechęcona jego opryskliwością, i czuję się jeszcze bardziej samotna.

W kanale warkot silnika narasta i docieramy do pierwszego z niskich mostów. Powietrze pod nim jest wilgotne, na pokrytych pleśnią ceglach widać lód. Przepływamy pod jeszcze trzema mostami, gdy wyłaniamy się spod ostatniego, przejeżdża nim z łoskotem jasno oświetlony pociąg podmiejski.

Pilot kieruje się na otwarte wody, łódź się kołysze, bo prąd jest silny. Po prawej stronie materializuje się wysoka, ciemna wieża ratusza.

To pośpieszne przemieszczanie się z miasta na pustkowie właśnie wtedy, gdy zyskałam pewność co do mojego pacjenta i mogę działać, wywołało w mojej głowie sprzeczne myśli. Czy mam teraz okazję wykazać się pomysłowością, czy osiągnięcie celu stanie się o wiele trudniejsze? Zawsze zakładałam, że po wykonaniu zadania wymknę się nieopstrzeżenie. Nie byłam pewna dokąd, miało to zależeć od okoliczności, ale pocieszała mnie łatwa dostępność międzynarodowych połączeń kolejowych lub drogą morską. Teraz zmierzaliśmy na odludzie. Po raz pierwszy od przyjazdu do Sztokholmu mam wrażenie, że pozwoliłam odebrać sobie kontrolę nad sytuacją i to w chwili, gdy najbardziej jej potrzebuję.

Pilot zabezpiecza koło sznurkiem i wychodzi z nadbudówki. Osłaniając dłonią zapałkę, zapala papierosa i idzie na rufę.

Podnosi pokrywę silnika, bacznie się przygląda i nakłada pokrywę na miejsce.

– Dlaczego nie jesteś na dole? – pyta, wydmuchując dym.

Wzruszam ramionami i uśmiecham się miło.

– Chciałam zobaczyć miasto od tej strony.

Zaciąga się papierosem, ale nie pyta, dlaczego ktoś chce to robić po ciemku i dlaczego siedzi na zewnątrz, skoro właściwie nic już nie widać.

– Dokąd płyniemy? – Wygląda dziwnie, że jeszcze nie wiem.

– Nie powiedziano ci?

Kręcę głową.

– Niedokładnie – mówię i żeby uratować twarz, dodaję: – Nie było czasu.

– Na wyspę Larssonów.

– Oni mają wyspę? – Od razu ogarnia mnie niepokój; czuję się tak, jakbym wpadła w pułapkę.

Pilot po raz pierwszy patrzy wprost na mnie, potem kręci głową i chyba uznawszy, że zadaję za dużo pytań, odwraca wzrok. Gasi papierosa i idzie z powrotem do nadbudówki. Może mnie nie dosłyszał, myślę. Może mamrotałam. A może tylko mi się wydawało, że mówię. Czasami mam głowę tak czymś zaprzątniętą, że sama nie wiem, czy mówię głośno, czy tylko myślę.

Pół godziny później zostawiamy za sobą przedmieścia Sztokholmu. Panują ciemności, jedynym źródłem światła jest księżyc, a na mijanych przez nas wyspach można rozpoznać tylko sylwetki wyższych drzew. Środek archipelagu składa się z grupy dość dużych wysp stłoczonych w kanale jeziora niczym kawałki wielkiej układanki. Za kanałem jezioro się rozszerza, wyspy są mniejsze i rzadziej rozrzucone.

Płycizny pokrywa lód. Oderwane od brzegu tafle dryfują do kanału, gdzie wirują podczas przyboju.

Po kolejnej godzinie jedynymi zauważalnymi oznakami cywilizacji są ciemne małe domy z oknami zabitymi deskami na zimę oraz wyciągnięte z wody łódki przykryte ośnieżonym brezentem albo umieszczone na kozłach, z dziobami w powietrzu.

Siedzę skulona przy burcie z rękami w kieszeniach, mocno złączonymi nogami i brodą schowaną w kołnierzu. Owinęłam się ciasniej płaszczem w daremnej próbie powstrzymania utraty ciepła i czuję teraz przyciśnięte do biodra rogi mojego paszportu i bardziej miękkie plik pieniędzy. Wszyłam je pod podszewkę prawej kieszeni w czasie godziny, którą miałam na spakowanie się. Nie przypuszczałam wówczas, że zostanę zabrana do miejsca, gdzie ani paszport, ani pieniądze mi się nie przydadzą, lecz podnosi mnie na duchu fakt, że mam je przy sobie, ponieważ są łącznikiem z życiem innym niż to.

Pilot pali następnego papierosa. Temperatura jest niższa niż wtedy, gdy mieliśmy widok na miasto, rozcieram ręce i przytupuję, by nie przemarły mi nogi. W kabinie jest cicho i mimo moich zastrzeżeń zastanawiam się, jak długo jeszcze wytrzymam, zanim zimno zmusi mnie do zejścia na dół, i w tej chwili otwierają się drzwi i na pokład wchodzi fru Larsson.

– Och, Elso, wciąż tu jesteś – mówi, zawiązując chustkę pod brodą. Chyba próbuje być zabawna moim kosztem, ale niewykluczone, że

naprawdę jest zdziwiona, bo przecież nie zachowuję się całkiem normalnie. Patrzę na nią tak zimno, jak się czuję.

– Chcę się nacieszyć rejsem – odpowiadam.

Siada obok mnie, wyjmuję z kieszeni papierosy i ku memu zdumieniu częstuje mnie. Rzuciłam palenie w chwili, gdy pożegnałam się z Henrym. W jego towarzystwie szybko nabrałam zwyczaju palenia, a potem po prostu je zarzuciłam, jakbym przez cały czas udawała kogoś, kim nie byłam, tylko po to, by sprawić mu przyjemność. Teraz znów mam wielką ochotę zapalić.

Biorę papierosa, niemal wrywam go z paczki, potem niecierpliwie czekam, aż ona wygrzebie z torebki zapalniczkę. Gdy już się pali i mam go w ustach, zaciągam się mocno, niemal desperacko i wydecham dym z westchnieniem. Przechodzą mnie ciarki, potem moje ciało się odpręża. Znika sztywność karku i pleców, ramiona opadają. Napięcie się ulatnia, a ja przypominam sobie, jak to było i jak szybko się uzależniłam. Znów się zaciągam, a to, co mnie czeka, gdy już dopłyniemy do celu, nie wydaje się już takie straszne.

Odwracam się do fru Larsson i widzę, że siedzi rozparta na ławce i mnie obserwuje. Wydmuchuje dym kątem ust, rękę trzyma na burcie, jej palce zwisają nad wodą.

– A więc, Elso, co się dzieje między tobą a moim synem?

Zaciągam się. Co znaczy to pytanie? Czy ona podejrzewa, że go wplątałam w jakiś romantyczny układ? Pomysł jest tak dziwaczny, że przez chwilę się zastanawiam, czy mogłabym go wykorzystać, może to odwróciłoby jej uwagę od mojego prawdziwego celu.

– Próbowałam to rozgryźć, ale mi się nie udało. Jeżeli chodzi o niego, sprawa jest oczywista. W jego samotne życie wkracza młoda, pewna siebie kobieta, nieco tajemnicza. Pierwsza z jego pielęgniarek, która mu nie pozwala na niestosowne zachowanie. On jest zaintrygowany, każdy mężczyzna byłby, nie mówiąc już o takim, który był pozbawiony kobiecego towarzystwa... A ona zaczyna go wciągać w swoje gierki.

– Nie wiem, co pani ma na myśli. – Trudno mi się skupić, a jeśli zrobię teraz fałszywy krok, będzie po sprawie, stracę możliwość wymierzenia sprawiedliwości. Odwracam wzrok.

– Aha, nie miałam jeszcze okazji ci powiedzieć, ale odezwał się do mnie szpital, w którym miałaś praktyki... – zawiesza głos, a ja się rumie-

nię. – Odpowiedź mnie zdziwiła, mówili coś o niemożności znalezienia ciebie w dokumentach i prosili, żebym przeliterowała twoje nazwisko.

– Pewnie mają po prostu bałagan – mruczę. – Może dokumenty zagięły podczas wojny, a oni nie chcą się do tego przyznać.

– Nie, powiedzieli, że mają całą dokumentację. Wydają się bardzo z tego dumni.

– No to nie wiem, co się stało.

– Może to sprawka pastora Luthmana – mówi z uśmiechem, wydumuchując dym na bok. – Powiedz mi, że nie lubi także papierkowej roboty.

Podnoszę wzrok i widzę, że fru Larsson wciąż mi się przygląda. Przechyliła głowę i wpatruje się we mnie z zagadkowym uśmieszkiem. Czy ona się ze mnie naśmiewa? Gdy sobie wyobrażałam, że mnie zdemaskuje, nie przewidywałam, że będzie w tym coś zabawnego.

– Tylko że – ciągnie – on w końcu odpowiedział. Oświadczył stanowczo, że nigdy o tobie nie słyszał.

Gapię się na jezioro. Trzydzieści metrów od rufy unosi się na wodzie drzewo wyrwane z korzeniami. Musieliśmy przepływać koło niego, a ja nie zauważyłam.

– Ja... Ja... – Usiłuję powiedzieć, że on może zapomniał.

– Znowu bałagan w dokumentach?

Drżą mi ramiona. Napięcie złagodzone przez nikotynę staje się teraz podwójnie silne. Skoro ona dobrze wiedziała, że nie jestem osobą, za którą się podaję, dlaczego czekała do tej pory, żeby to ujawnić? Mogła mnie zwolnić w Sztokholmie. Pielęgniarka nie jest już właściwie potrzebna, a tym bardziej oszustka bez kwalifikacji.

– Nic nie mówisz, moja droga. – Po raz ostatni zaciąga się papierosem i zgasiwszy go na polakierowanym drewnie, wrzuca niedopałek do wody. Z mojego papierosa też już mało zostało, więc wyrzucam go do wody kłębiącej się za śrubą.

– Czego pani ode mnie chce? – pytam cicho.

– Chcę odpowiedzi. Najpierw chcę się dowiedzieć, dlaczego uznałaś, że możesz za pomocą kłamstwa wejść do mojego domu i uniknąć konsekwencji.

– Potrzebowałam pracy.

Krzywi się i wyciąga do mnie ręce. Zanim zdążę zareagować, trzyma mnie obiema rękami za głowę. Przygląda się przedziałkowi.

– Jest też zagadką, dlaczego przed przyjściem do nas zmieniłaś wygląd. – Próbuję się uwolnić, ale ona trzyma mnie mocno, a ja nie potrafię odnaleźć w sobie zwykłej siły.

– To nie jest tak, jak się wydaje – mamroczę z brodą mocno przyciśniętą do piersi. Taki obrót wydarzeń jest zupełnie niespodziewany, na to się nie przygotowałam. – Chciałam tylko zmienić kolor.

Puszczą mnie i brutalnie odsuwa od siebie, po czym rozpięta się na ławce.

– Elsa to twoje prawdziwe imię?

Bezradnie kiwam głową.

– Niech mnie pani odeśle – proszę. Czuję się bezsilna, chcę tylko uciec od tego, co sama zaczęłam. Fru Larsson mnie pokonała. Straciłam wolę ciągnięcia tego wszystkiego. Ona wyeliminowała mnie z gry, a ja nie mogę się pozbierać. Moje demony burzą się rozzłoszczone, lecz będę musiała znaleźć inny sposób, by je zadowolić, albo nauczę się żyć z ich gniewem.

– A jak mielibyśmy to zrobić?

– Mogę wrócić tą łodzią.

– Wrócić tą łodzią? – Mój pomysł ją zaskoczył, zaśmiała się cicho. – Och, Elso, nie sądzę, że to będzie możliwe. Skąd ci to przyszło do głowy?

Wpłynąwszy do zatoki, łódź zwalnia, sunie teraz w żółtym tempie. Moje dłonie są mimo rękawiczek obolałe i zeszywniałe z zimna. Obejmuję się ramionami, by zachować tyle ciepła, ile zdołam.

Otoczone lądem jezioro jest spokojne, dopływamy do majaczącego we mgle mola. Kadłub łodzi ociera się o szare podpory, pilot wyskakuje i przywiązuje dziób.

Idę w jego ślady. Molo jest pokryte śniegiem, który skrzypi pod butami.

Trzeba pomóc mojemu pacjentowi wyjść z kabiny na pokład i robi się zamieszanie. Jego fotel na kółkach jest rozłożony i przeniesiony na molo, a on posadzony w nim z kocem na nogach. Poniewczasie propo-

nuję pomoc, ale sytuacja jest opanowana, a ja zostaję zignorowana, cofam się więc i obserwuję. Nie wiadomo, czego się ode mnie oczekuje na tej wyspie. Na pewno nie jestem już pielęgniarką.

Idę za nimi na brzeg, tymczasem pilot wyjmuje bagaże. Prowadzi stąd ścieżka, która omija kamienistą plażę i znika między drzewami. Teren początkowo wznosi się łagodnie, ciemne gałęzie obciążone śniegiem zwisają wokół naszych twarzy. Po stu metrach docieramy do wyciętych w kamienistej ziemi schodków wijących się ostrymi zakosami. Mój pacjent podnosi się z fotela i zostaje na poboczu ścieżki. Potem wspina się po schodkach przy pomocy Mony i matki. Idę wolno za nimi.

Nad czubkami jodeł wyłania się płaski grunt i otwiera się widok na jezioro oświetlone światłem księżyca. Po prawej stronie stoi drewniany dom, z jego rynien i parapetów zwisają sople, na dachu leży czapa śniegu.

Mimo całej tej sytuacji czuję się podniesiona na duchu, jest przynajmniej szansa na schowanie się przed tym zimnem. Gdy już znajdę się w tym domu, ukryję się w obojętnie jakim pokoju, który mi przydzielą, odpocznę i będę w stanie wszystko przemyśleć. Teraz ta kobieta zdaje sobie sprawę, że nie jestem wykwalifikowaną pielęgniarką – w chwili słabości przyznałam się do tego zbyt szybko – ale poza tym wie tylko to, że kłamałam, by dostać pracę. Nie przypuszcza, że może jej coś grozić z mojej strony.

Na ganek prowadzą drewniane schody. Mona wspina się po nich i otwiera drzwi frontowe. Przekraczam próg za fru Larsson i jej synem i patrzę, jak wchodzą do ciemnej bawialni. Mona zdejmuje pokrowce z krzesel.

W zimnym kominku leży na grzbiecie, nóżkami do góry, martwy ptak o czarnych, zatłuszczonych piórach. Mona przepycha się obok mnie, żeby pójść po śmietniczkę. Stałam się nikim. Prawdopodobnie fru Larsson opowiedziała jej o mnie; mogę sobie wyobrazić, jak one dwie porównują swoje spostrzeżenia.

Przechodzę obok otwartej szafy w holu, gdzie stoi bezładny zbiór drewnianych nart i kijków i idę po schodach, by poszukać jakiejś kryjówki i zasnąć.

Okno na podeście wychodzi na trawnik od frontu, widać na nim ślady zwierząt i naszych stóp. Za trawnikiem rozciąga się złowrogie jezioro.

Odwracam się i niemal zderzam z pilotem. Jestem zmieszana, widząc go w domu, nie przypuszczałam, że jego obowiązki wykraczają poza prowadzenie łodzi.

Pilot niesie pod pachami walizki, jedna z nich jest moja. Zważywszy na wrogość fru Larsson, jestem wdzięczna, że nie wrzucono jej do jeziora.

Żarówki elektryczne w kinkietach na ścianie wydają trzaski i powoli wracają do życia, rzucając żółtawe światło na nasze twarze, tak że mamy szansę przyjrzeć się sobie. On jest młodszy, niż sądziłam, i ma mroczną urodę typu włoskiego, lecz wyraz jego oczu o opadających powiekach – w moje oczy dotąd nie spojrział – jest bezczelny i sugeruje, że ten człowiek jest zdolny do oszustwa, a przynajmniej krętactwa.

– Do twojego pokoju tędy – mówi, muskając moje ramię, i rusza korytarzem na tyły domu.

Idę za nim, bo co mogę zrobić. To on wie, co ustalono, nie ja. Ja jestem obca.

Otwiera drzwi do małego, cuchnącego stęchlizną pokoiku z jednym łóżkiem i wąskim oknem. Rzuca moją walizkę na materac.

– Zostajesz tutaj, w tym domu? – pytam.

Kiwa głową i odwraca się, by wyjść.

– Jak masz na imię? – pytam cienkim głosem małej dziewczynki, ale nawet jako mała dziewczynka byłam odważna i wojownicza, a nie przerażona tak jak teraz.

Zerka przez ramię i głaszcze się po brodzie, jakby chciał ocenić, co na tym zyska.

Jestem zmęczona, włosy mam potargane przez wiatr na jeziorze, a twarz straciła kolor z zimna. Nie mogłabym być mniej atrakcyjna, uśmiecham się jednak, próbując wydać się odrobinę ładniejsza. Ten mężczyzna nie jest przyjacielem. Nie mam pojęcia, co o mnie wie ani jakie są relacje między nim a Larssonami, ale silniejsza wersja mnie, nie ta oszołomiona i niepewna, kalkuluje, jak postąpić. Potrzebuję sojusznika i jeśli mam od czegoś zacząć, ten mężczyzna może się nadać.

– Peter – mruczy, wychodzi z pokoju i zamyka drzwi.

– Peter – szepczę pod nosem. Peter, powtarzam, upewniając się, że zapamiętałam. Nie ufam sobie nawet w tak prostej sprawie jak ta.

ARCHIPELAG SZTOKHOLMSKI

Środa, 25 grudnia 1946, rano

Budzę się późno, mimo że słońce pada mi z okna na twarz. Początkowo nie wiem, gdzie jestem, ale szybko przypominam sobie, w jakiej sytuacji się znalazłam. Walczę jednak z chęcią pozostania w łóżku. Zrzucam kołdrę i odkrywam, że wciąż jestem w ubraniu, w którym przyjechałam, teraz wygniecionym i przylepionym do skóry.

Przebieram się w to, co przywiozłam, a gdy zdejmuję bluzkę, wiszący na nitce guzik spada na podłogę, odbija się, toczy i znika między deskami.

Wydaje się, że na dole jest pusto.

Idę korytarzem do jadalni, gdzie stoją na stole resztki śniadania. Jest mi słabo z głodu, częstuję się więc mięsem z puszki i solonym śledziem i popijam to zimną kawą. Jadalnię łączą drzwi wahadłowe z kuchnią i spiżarnią na tyłach domu, tylne drzwi wychodzą na płaskie, zaśnieżone podwórze. Wychodzę. Słyszę odgłosy przypominające kopanie, wchodzę między drzewa i po kilku minutach widzę wyżej na zboczu odwróconego do mnie plecami Petera ścinającego siekierą jodłę.

Jeśli wie, że tu jestem, nie okazuje tego, a ja obserwuję przez gałęzie, jak drzewo się pochyła, a on staje na częściowo odciętych pniami, by odłamać resztę.

Gdy ciągnie jodłę w dół wzgórza, idę za nim w pewnej odległości. Zostawia drzewo na podwórzu za domem i oparłszy siekiere o pień do rąbania, znika w domu.

Spaceruję dookoła i wchodzę na werandę, skąd jest widok na jezioro; obserwuję dwie mewy lecące nisko nad powierzchnią, ich cienie fruną przed nimi po szarej wodzie.

– Elso – słyszę. Odwracam się i widzę mojego pacjenta siedzącego pod kocami w rogu. Powinnam być przygotowana na tę chwilę, jednak wciąż jeszcze nie mam planu.

– Co myślisz? – pyta.

– O czym? – odpowiadam nerwowo pytaniem na pytanie.

– O widoku.

– Nie mam zdania. – Jestem poruszona jego pogodą ducha, choć oczywiście on mógł po prostu poczuć się lepiej. Skłaniając go do wyznania, co zrobił, nawet jeśli pod koniec jego słowa świadczyły o nieuczciwości, uczyniłam lżejszym jego brzemię. Jednocześnie powiększając ciężar mojego.

– Podejź tu – mówi. – Będziemy mogli porozmawiać.

Robię, co każe, i zatrzymuję się metr od niego. Mój pacjent jest rozluźniony, jego twarz wydaje się młodsza, jest też ogolony.

– Wydajesz się wzburzona – mówi.

Kręcę głową. Nie mogę znaleźć słów.

– Wiesz, że zdenerwowałam moją matkę, i zupełnie mnie to nie dziwi.

Kiwam głową i patrzę na jezioro.

– Nie jesteś kimś, za kogo się podawałaś – ciągnie z uśmiechem. – Ale powiedziałem jej, że dla mnie to nie była niespodzianka i że próbowałaś mnie zamordować co najmniej dwa razy swoimi nieudolnymi zastrzykami.

Nadzwyczajne, on bierze moją stronę. W innych okolicznościach byłabym mu niezmiernie wdzięczna, lecz gdy znów na niego patrzę, widzę tylko twarz oficera na zasypanej gruzem ulicy cztery lata temu.

– Ale są rzeczy, których nawet ja nie rozumiem.

– Och, myślę, że jeśli chodzi o mnie, sprawa jest jasna – odpowiadam żałośnie, skonsternowana tym, że nie jestem w stanie nie tylko zakończyć tej rozmowy, ale i wszystkiego, co się teraz dzieje. Czy w głębi duszy zawsze wiedziałam, że gdy dojdę do tego punktu, okażę się słaba?

– Nie, Elso, mimo tego, co mówiłem, jasne jest tylko, kim nie jesteś. Od wczoraj głowię się nad twoją opowieścią. Ten zdradzony chłopak, to bicie, to wieszanie. Gdy teraz to sobie przypominam, jest w tym chaotyczna nierzeczywistość koszmaru. Wierzę, że są tam także okrucy prawdy czy nawet jakieś poczucie winy, ale takie wydarzenia, jakie opisałaś, nie mogłyby nigdy się zdarzyć w cywilizowanym kraju takim jak Niemcy.

– Cóż, zdarzyły się – mówię, kręcąc energicznie głową, aby potwierdzić prawdziwość swoich słów, lecz niezdecydowanie w moim drżącym

głosie nie pomaga.

Patrzę na jezioro. Mewy znów lecą, tym razem z powrotem.

– Jesteś tu dla mnie?

Zapiera mi dech i nagle desperacko pragnąc powietrza, łapię haust niczym tonący i chwytam się balustrady.

– Na tej wyspie... Przyjechałaś tu dla mnie?

Patrzę na ośnieżone krzewy na dole, kręci mi się w głowie. Mimo snu w nocy i śniadania rano nadal jestem przeraźliwie słaba.

Czuję jego rękę dotykającą lekko mojego biodra.

– Elso, wszystko będzie dobrze.

– Muszę wejść do środka. – Odwracam się i rozpaczliwie chcąc znaleźć się daleko od niego, idę szybko wzdłuż bocznej ściany na tyły domu.

Wchodzę między drzewa i ruszam ścieżką biegnącą pod górę, mijając pieńek jodły zostawiony przez Petera. Wydaje się, że przez jakiś czas nikt tędy nie chodził, i choć są miejsca, gdzie ścieżka jest przetarta, w innych tarasują ją gałęzie lub zarastają krzaki jeżyn, więc staram się torować sobie drogę. Niedaleko szczytu muszę okrążyć dziurę w kamiennym gruncie i zaplątuję się w drut kolczasty rozciągnięty między rzędem przewróconych słupków niewidocznych pod śniegiem. Uwalniając się z zardzewiałych kolców, drę sobie wełniane pończochy i rozcinam bok dłoni.

Dysząc ochryple, docieram na szczyt zwieńczony płaską granitową płytą i ciężko siadam. Czuję, jak wilgotny kamień przylepia się do mnie przez sukienkę. Oglądam otarcia na skórze, są powierzchowne, natomiast skaleczona ręka rwie jak diabli.

Z tego miejsca roztacza się widok na wszystkie strony, na całe wzgórze, jezioro i zbocza; daje on poczucie bezpieczeństwa i spokoju. W mieszkaniu Larssonów w Sztokholmie, gdy okna są pozamykane, panuje duchota, a tutaj powietrze jest świeże, da się oddychać. Śnieg pod moimi stopami topnieje, pokazuje się przygnieciona żółta trawa głodna słońca. Zaczyna ze mnie schodzić napięcie. Poniżej, między drzewami, dostrzegam kryty gontem omszały dach domu; niewiele pozostało na nim śniegu. Z ceglanego komina unosi się słup szarego dymu i rozwiewa na wietrze.

W moim życiu nie panuje taki spokój. Wskutek ciągłego zwlekania, niekończącego się poszukiwania pewności moja misja wydaje się teraz prawie niemożliwa do wypełnienia. Gdybym coś zrobiła, jak udałoby mi się uciec? Może to zadanie zawsze było nie do wykonania, może nigdy nie miałam do niego serca. A kto miałby serce do czegoś takiego? Morderstwo to dla każdego człowieka przy zdrowych zmysłach paskudna perspektywa.

A tym właśnie bym była – morderczynią. To jest kolejny powód, dla którego nigdy nie mogłabym wrócić do Henry’ego. Gdybym to zrobiła, musiałabym żyć ze swoją tajemnicą. Niezależnie od tego, jak bardzo Henry by mi współczuł, może nawet mnie rozumiał, jako prawnik nigdy by mi tego nie darował. Moje kłamstwa zawsze byłyby między nami i zawsze by mnie dręczyły.

Tak czy inaczej, może i jestem szalona, słyszę głosy, mam wizje; z drwiącym uśmiechem przyznaję, że nie jest to wykluczone. Jestem współczesnym naprawdę istniejącym Raskolnikowem wściekłym na niesprawiedliwość świata i niechącym zaufać tym, którzy pragną pomóc.

Schodzę drugą stroną wzgórze, uważając na stromym zboczu. Dochodzę do brzegu jeziora i idę po kamykach, manewrując między szczątkami przesiąkniętych wodą, butwiejących gałęzi i pleśniejących desek z – jak się wydaje – szkieletu łodzi wiosłowej.

Stamtąd wyruszam dookoła wyspy, dwadzieścia minut później wdrapuję się na skalisty cypel, by spojrzeć w dół, na zatokę, nad którą stoi dom.

Schodząc po śliskich kamieniach, docieram do plaży i omijając wypełnione wodą zagłębienie w skałach, dochodzę do drewnianego mola. Wygląda na to, że cały mój wysiłek z ostatniej godziny nigdzie mnie nie doprowadził. Wyspa jest maleńka i obejrzałam już wszystko.

Peter jest na pokładzie łodzi, przykuca nad silnikiem z kanistrem oleju napędowego. Słyszy moje kroki na deskach mola i się prostuje. Zdjął koszulę, na piersi ma plamy smaru. Jego dłonie, zaskakująco małe, o wąskich kobiecych paznokciach, są ubrudzone czymś ciemnym.

– O! – mówię, przytupując, by nogi mi nie zmarzły.

– Znowu ty. – Obrzuca spojrzeniem moją twarz, wilgotny płaszcz, podarte pończochy i przemoczone buty, a potem wraca do silnika.

– Czy mogę wejść na pokład? – Peter nie odpowiada, a ja i tak wchodzę. – Dokąd teraz płyniesz? – Bezmyślnie głaszczę mankiet jego koszuli zawieszony na bomie.

– Właśnie wróciłem. – Przy nadbudówce stoi drewniana skrzynka przykryta tkaniną w kratę.

– Kiedy znów odpływasz? – Sposobność ucieczki minęła. Ucieczka wydaje mi się teraz najlepszym wyjściem.

– Kiedy mi każą. – Sięga do obudowy silnika i wyciera cylinder, potem odkłada ścierkę na ławkę i mocno szarpie sznurek. Silnik warczy, śruba napędowa tnie wodę. W nadbudówce Peter mocno wciska przepustnicę, obroty wzrastają. Kadłub łodzi, przywiązany na obu końcach, odbija się od miejsca cumowania, a ja, starając się nie stracić równowagi, trzymam się dachu kabiny pasażerskiej i daję odpór manifestowanej przez Petera chęci pozbycia się mnie.

– Mógłbyś...? – zaczynam, ale zbyt cicho, by mój głos przebił się przez warkot. Czekaając na koniec tej zabawy, szczypię policzki, aby nabrały koloru; nauczyłam się tej sztuczki od kuzynek.

Peter zmniejsza gaz, silnik zwalnia, warkot zamienia się w pomruk. Sądziłam, że sterowanie łodzią jest skomplikowane, ale okazało się, że nie jest trudniejsze niż jazda motocyklem Henry'ego.

– Gdy będziesz teraz wypływał, zabierzesz mnie ze sobą? Podoba mi się taka przejażdżka. – Nie odpowiada, więc dodaję: – Mogę zadbać, żeby ci się opłaci...

– Nie potrzebuję od ciebie niczego. – Gasi silnik, z hukiem zamyka pokrywę. Kładzie ubrudzoną smarem dłoń na moim ramieniu, aby usunąć mnie z drogi. Zostawia mnie na rozkołysanej łodzi, więc chwytam się relingu, by nie upaść.

Peter przenosi drewnianą skrzynkę na molo, zeskakuje na brzeg, zabiera ją i rusza przed siebie.

Jestem sama na pokładzie, w głowie mi się kręci od zastanawiania się, co oni mu o mnie powiedzieli. Nie czuję się pewnie na nogach, siadam więc ciężko na ławce na rufie i wycieram łzy. Brudne palce Petera zostały sporo śladów na moim płaszczu.

Idę stromym zboczem do domu. Dałam Peterowi czas, by się oddalił, ale w połowie drogi dostrzegam go między drzewami; pali papierosa. Ja też

się zatrzymuję, chcę uniknąć ponownego spotkania. Dopiero gdy rzuca niedopałek papierosa w śnieg i podejmuje marsz, też ruszam w drogę.

Peter dociera do trawnika, jest już w koszuli, którą włożył przed wyjściem z drzew. Przechodzi przez trawnik i znika za domem.

Gdy wychodzę na otwartą przestrzeń, miga mi przed oczami fru Larson przyglądająca mi się z okna na górze. Co ona sądzi o moich wędrówkach? Równie dobrze mogłaby obserwować ruchy myszy wsadzonej do klatki, wiedząc, jak to się skończy.

Na trawie stoi leżak, a na nim spoczywa mój pacjent w płaszczu i szalik, przykryty kocem. Twarz wystawia do słońca, powieki ma przymknięte dla ochrony przed słabym światłem.

Mijam go cicho i dochodzę do schodów do drzwi frontowych, gdy on mnie woła, a ja niechętnie się odwracam.

– Elso, podejdz i porozmawiaj ze mną!

Jego obecność ciągle mi przypomina o niepowodzeniu mojego przedsięwzięcia, robię jednak to, co mi każe, i zawracam.

– Co ci się stało? – pyta na widok moich nóg.

– Przewróciłam się, to nic takiego.

– Cieszę się, że cię widzę – mówi. – Chciałem ci coś powiedzieć. Przed chwilą spałem i we śnie nawiedziła mnie przeszłość. Zadziwiająco, jak sugestywna może być gra wspomnień, jeśli każdy element jest zapamiętany z całkowitą jasnością, a każdy szczegół precyzyjnie nakreślony.

– O czym był ten sen? – Przewiduję nostalgiczne wynurzenia, może o biednej, udręczonej Miriam.

– Śniłem o dziewczynie o złotych włosach.

Zamieram. Czy to jest o mnie?

– Trzymała srebrną tacę w pokoju, w którym paliły się świece, łagodne światło migotało na jej włosach. Spod rękawa jej bluzki podwiniętego do łokcia było widać szczupłe przedramię, skórę tak jasną, tak delikatną, że ta dziewczyna mogłaby być zrobiona z porcelany.

Napięcia na mojej twarzy nie da się ukryć, lecz nic w jego głosie nie świadczy o tym, że zdaje sobie sprawę z mojego przerażenia.

– Opowiedziałem wczoraj wieczorem o sytuacji, w której mogłem pomóc dziewczynie z getta, nie przedstawiłem ci jednak całego kontekstu. Jest najdziwniejszy i od tej pory nie przestaję o tym myśleć.

Wspominałem, że jednym z przyjemniejszych momentów naszego życia w Polsce w czasie wojny były eleganckie przyjęcia, na które ja i moi koledzy oficerowie byliśmy zapraszani. Szczerze mówiąc, moi koledzy z pewnym trudem doceniali bardziej wyrafinowane aspekty tego, co nam oferowano, jak choćby muzykę i tak dalej, ale nie brakowało napitków, a jedzenie było przyzwoite, zważywszy na ogólną sytuację.

Dla mnie jedną z atrakcji było to, że na większości przyjęć obsługiwała nas szczególna kelnerka. Czasem się nie pojawiała, ale gdy przyszła, wieczór stawał się nieporównanie przyjemniejszy. Zaskakujące, że ta kelnerka była w rzeczywistości Żydówką. Nasza gospodyni oczywiście temu zaprzeczała, ale gdy się zorientowała, że intryguje mnie nietypowa karnacja tej dziewczyny, kolor jej oczu i włosów i że nie mam wobec niej złych zamiarów, bez oporów przyznała, że mam rację.

Faktem jest, że nie potrafiłem przestać podziwiać jej aryjskich cech, jej jasnych włosów i niebieskich oczu, a moja wygłodniała wyobraźnia podsuwała mi romantyczne koncepcje jej pochodzenia; na przykład takie, że jest potomkinią wikinga, który zawędrował za daleko na południe. Gdyby urodziła się w rodzinie mieszkającej sto kilometrów na zachód, dorastałaby jako piękna niemiecka dziewczyna i czekałby ją inny los. Bez wątpienia przypominała mi też trochę Klarę. Tego rodzaju myśli nie należą do łatwych i w takich chwilach nasza praca, choć w najwyższym stopniu trudna i nieprzyjemna, przynosiła ulgę.

Larsson znów się usprawiedliwia, przedstawia się jako honorowy człowiek zmuszony przezwyciężyć skrupuły i jest to równie niesmaczne jak poprzednio. Moje serce łomocze. Trudno mi oddychać i zebrać myśli. Ale nogi mam sprawne, gotowe do ucieczki. On mówi mi to wszystko, ponieważ wie, że ta dziewczyna to ja. Straciłam ostatnią przewagę, jaką miałam – anonimowość.

– Ale wiesz, co jest najdziwniejsze? Oczywiście, że wiesz, powiedziałem ci wczoraj. – Patrzy na mnie, przysłaniając ręką oczy przed słońcem. Ostry kontrast światła i cienia uniemożliwia mi wyczytanie czegoś z jego twarzy. Czuję się tak słabo, że się zastanawiam, czy zemdleję.

– To ta kelnerka była dziewczyną, której mogłem pomóc podczas likwidacji getta. Jak mówiłem, jej odwaga była jedną z najbardziej poruszających rzeczy, jakich byłem świadkiem, a mimo to do wczoraj prawie jej nie pamiętałem.

– Co się z nią stało? – pytam drżącym głosem. Nie wspomniał obietnic, które mi dał, prawdopodobnie nic dla niego nie znaczyły.

– Jak ci mówiłem, byłem w stanie ją uratować.

Sprawdza mnie, jestem pewna. Nie poruszałby tego tematu, gdyby mocno nie podejrzewał, że ta dziewczyna to ja.

Opuszcza głowę i patrzy na swoje kolana.

Stoję za nim. Ma odsłoniętą szyję. Gdybym miała nóż czy choćby ostre nożyczki, mogłabym zakończyć to teraz, a on by nie zauważył, co się szykuje.

Odchodzę w stronę domu i już jestem blisko, gdy on znów mnie woła.

– Coś jeszcze? – pytam i przechodzą mnie ciarki.

– Ty wiesz, że ja wiem, prawda?

ARCHIPELAG SZTOKHOLMSKI

Środa, 25 grudnia 1946, popołudnie

Idę krokiem tak pewnym, na jaki mogę się zdobyć, lecz gdy dochodzę do bocznej ściany domu, biegnę, potykam się, upadam, przytrzymuję się ściany po prostu po to, żeby się nie przewrócić. Co, jego zdaniem, on wie?

Zatrzymuję się, pochylam do przodu i mam zawartość żołądka między zębami.

Potem klęczę na śniegu, nie zważając na zimno i wilgoć, by dojść do siebie. Znalazłam się w tym miejscu jako pielęgniarka, strażniczka zdrowia, a teraz sama jestem chora.

Wchodzę do domu przez kuchnię i idę na piętro. W swoim pokoju ściągam buty, rzucam się na łóżko i nakrywam kołdrą. W głowie mi dudni. Kładę poduszkę na oczach, żeby nie widzieć światła.

Zapadam w sen powoli, ale w końcu zasypiam. Śni mi się, że jestem dzieckiem i idę po zamarzniętych moczarach, a lód na powierzchni trzeszczy i trzeszczy. Spoglądam w dół i widzę, że mam gołe stopy, a gdy jedną podnoszę, skóra zostaje w lodzie.

Budzę się, dygocząc. Widzę przez okno, że niebo się zachmurzyło. Temperatura w pokoju spadła. Kołdra zsunęła się na podłogę, wystawiając mnie na zimno, ale mimo to, mimo trudnych przeżyć czuję się trochę silniejsza. Żołądek się uspokoił, a w głowie mi się rozjaśniło. Oni mnie nie pokonają.

Znajduję łazienkę, wąski pokoik z małą niską wanną i umywalką, na której stoi talerzyk z kawałeczkiem twardego mydła. Woda jest letnia, ale to wystarczy, by się umyć. Na widok własnego odbicia w lustrze ogarnia mnie niepokój. Mam policzki tak blade, że niemal przezroczyście, a oczy błyszczą jak przy gorączce. We włosach wyraźnie prześwitują jasne pasemka, dlatego całość, przetłuszczona i splątana, wygląda jeszcze bardziej niechlujnie.

Drewniana skrzynka przywieziona łodzią znajduje się w kuchni. Na stole leży świeży chleb i stoi kubek mleka. Odgryzam koniec bochenka i odrywam zębami miękki środek od skórki, czując, że nabieram sił.

Idę przez dom. W holu pod półką, na której leżą męskie łyżwy, wisi na haczyku wełniany płaszcz w kolorze przypominającym rdzę na łyżwach z półki. Wkładam go i wychodzę na werandę. Jest najwyżej trzecia, ale popołudnie już się kończy i nawet opatulona grubym płaszczem z podniesionym kołnierzem czuję na twarzy i szyi tak bezlitosne zimno, jakby zamknięto mnie w zamrażalniku. Gapię się bezradnie na jezioro, na daleką linię brzegu. Hasan opowiadał o zamrożonym zimą jeziorze. Nie uwierzyłam mu, ale teraz wyobrażam sobie ucieczkę z wyspy po lodzie, mozolną przeprawę na nartach z szafy w holu, przy świetle księżyca, z głową pochyloną z powodu wiatru i z modlitwą o to, by lód wytrzymał.

Wędruję spojrzeniem na molo, gdzie siedzi Peter, paląc papierosa i machając nogami nad wodą.

– Ciocia?

Rozglądam się.

– Elsa – poprawia się mój pacjent. Jest zmieszany, może zmylił go płaszcz, ale ja jestem jeszcze bardziej zmieszana, widząc go na nogach. – Myślałem, że to ktoś inny. Przejdziesz się ze mną?

Idę za nim przez trawnik, robiąc krótkie kroki, by go nie wyprzedzić, do niskiego muru, za którym teren opada stromo do rozpościerającego się na dole lasu.

Patrzemy na jezioro, mój pacjent odzyskuje równy oddech. Nad wodą wiszą chmury ciężkie od śniegu.

– Chcę, żebyś wiedziała, jak zakończyła się moja służba w wojsku – mówi. – Żebyś nie sądziła mnie tylko na podstawie tego, co do tej pory słyszałaś.

– Nie jestem tu po to, żeby kogoś sądzić – mówię, choć to kłamstwo.

– Chcę, żebyś wiedziała, że poglądy, które miałem wtedy, to już przeszłość. Od wydarzenia z małą Żydówką zacząłem myśleć i zdałem sobie sprawę, że muszę od tego uciec i zażądać przeniesienia na front.

Mała Żydówka. Dlaczego on ciągle się mną zabawia?

Zaczyna znów iść, ja za nim. Murek za jego plecami sięga mu do kolan, łatwo byłoby zepchnąć go w dół. Spadłby na drzewa i pewnie skręcił kark, a jeżeli nie, mogłabym dobiec do niego ze ścieżki i dokończyć dzieła własnymi rękami albo ostrym kamieniem. To miejsce nie jest

jednak idealne, jesteście widoczni z domu. Niecałe pięćdziesiąt metrów dalej znikniemy z widoku.

– Jak było na froncie? – Pytanie jest banalne, ale nie mogę myśleć o niczym innym niż o mijających sekundach i o tym, co się niedługo stanie.

– Dużo okrucieństwa i oczywiście śmierci. Zgłoszenie się na ochotnika w moim stanie zdrowia było albo szaleństwem, albo świadectwem wierności zasadom.

Dochodzimy do schodów. Larsson wydaje się niepewny, czy powinien zejść. To, co zostało z roztopionego za dnia śniegu, zebrało się w zagłębieniach i już zaczyna zamarzać. Pod drzewami robi się ciemno. Droga w dół byłaby ryzykowna, choć naprawdę trudny był tylko pierwszy odcinek, dalej zbocze wzgórza stawało się już mniej strome, upadek nie musiałby skończyć się fatalnie.

– Chodźmy ścieżką na szczycie – mówię.

– Walczyłem pod Leningradem podczas oblężenia. Wilgoć i zimno spowodowały, że wróciła moja choroba z dzieciństwa, tak jak się spodziewałem. W zamęcie, jaki powstał przy odwróceniu, przyłączyłem się do oddziału fińskiej piechoty i przekroczyłem granice Finlandii. Stamtąd przedostałem się po pewnym czasie do Szwecji.

– Niezła historia o przetrwaniu. – Nie słucham dalej tego monologu, tych samousprawiedliwień, ale ponieważ domu już nie widać, zastanawiam się, który moment wybrać. Zerkam za skraj zbocza. Śnieg na dole jest nienaruszony. Przy odrobinie szczęścia ciało zrzucone z tej wysokości trudno będzie znaleźć, co da mi trochę czasu.

– Śnieg jest zarówno piękny, jak i śmiertelnie niebezpieczny – zauważa mój pacjent. – Na froncie sprawa była dla nas prosta. Albo można było się w nim ukryć przed wrogiem, albo nas zabijał.

– Jak pan przeżył? – pytam, by odwrócić jego uwagę.

– Pół roku zajęło mi przejście przez Finlandię, a gdy dotarłem do szwedzkiej granicy, młody mężczyzna, którego znała moja matka, był tym wyniszczonym człowiekiem, jakiego widzisz.

Pociera butem o nogę.

Dwadzieścia metrów przed nami leży powalone drzewo, ścieżka jest tu węższa.

Biorę go pod rękę. Sztywnieje, ale pozwala mi się prowadzić.

Serce mi łomocze. Czuję się tak, jakbym opuściła swoje ciało i ukryła się w głowie, skąd wydaję rozkazy i gdzie czekam, aż moje ręce i nogi je wykonają. Kto zrobił coś takiego? Wielu, oczywiście, ale z pewnością nie ja, a ja kieruję się też swoim własnym prawem. To jest moja zemsta, tylko moja, i będzie to również moja zbrodnia i moja kara.

Zatrzymujemy się tam, gdzie chcę, i obracam go tak, że stoi plecami do skraju zbrocza. Nieświadomy moich zamiarów pozwala sobą kierować.

Udaje mu się spojrzeć mi prosto w oczy.

– Hanno – mówi cicho. – Wiem, że to byłaś ty.

Użył mojego prawdziwego imienia. Nie wiem, co robić.

– Co? – pytam zdławionym głosem, ponieważ ledwie mogę poruszać ustami.

– To byłaś ty, tam, na ulicy w Lucinie. Ta dziewczyna, którą uratowałem. To ty byłaś małą, złotowłosą kelnerką. – Wyciąga rękę i dotyka czubka mojej głowy, gdzie prześwituje prawdziwy kolor włosów. – Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej nabierało to sensu. To jedyne wyjaśnienie, które ma sens. A widząc cię znów tego popołudnia, twoje niebieskie oczy w bladym świetle...

Otwieram usta, by zaprzeczyć, ale z drzew spada śnieg, ześlizguje się po naszych twarzach, wpada do ust i na język, na chwilę odbiera mi mowę.

– Nie musisz nic mówić – zapewnia, gdy się krztuszę. – Rozumiem. – Obejmuje mnie ramieniem w talii i przyciąga do siebie.

Nie mogę wypowiedzieć słowa. Czy on naprawdę myśli, że go odszukałam, by mu podziękować albo...? Mniejsza z tym. Napieram na niego, aby go przesunąć bliżej skraju zbrocza, ale on to wykorzystuje i jeszcze mocniej trzyma mnie przy piersi. Przykłada policzek do czubka mojej głowy, a potem całuje mnie w środek przedziałka, tak jak lubił to robić Henry.

Wzburzona podejmuję ostatnią próbę pozbawienia go równowagi, nie zważając na to, że jestem w jego objęciach i jeśli on spadnie, ja spadnę razem z nim.

Ale on przyciska mnie mocniej. Gdzie się podziała moja siła? Tydzień temu ledwie mógł ustać na nogach, a teraz potrafi przytrzymać mnie z taką łatwością, a moje złe zamiary zamieniają się w jego urojeniach w rozpacz słabej kobiety.

Nogi się pode mną uginają, jestem wyczerpana i pozwalam, by mnie podtrzymał, a potem...

Rozluźnia uścisk.

– Chodź, Hanno, jest zimno, wracajmy. Pora, żeby oni też się dowiedzieli.

...wrywam się i upadam na plecy. Jego też odrzuca do tyłu; przez chwilę chwieje się na krawędzi, a potem chwyta gałąź sosny i szybko się odwraca.

Patrzę na niego z miejsca, gdzie leżę, i pluję na śnieg na jego butach. Wściekłość odbiera mi mowę, ale słowa nie są mu potrzebne, mam wypisane na twarzy, co myślę. Moja twarz ziele nienawiścią. Szczerzę na niego niezbyt pięknie, ale ostre zęby.

On może nawet się domyślać, jeśli weźmie pod uwagę, dokąd go przyprowadziłam, jakie miałam zamiary. Czołgam się do niego na łokciach, aby złapać go za nogi i dokończyć dzieła.

Wyraźnie wstrząśnięty cofa się, rzucając mi ostatnie spojrzenie – tak się patrzy na psa szalejącego na łańcuchu – i niepewnym krokiem rusza ścieżką do domu.

Zaczyna padać śnieg, płatki wirują w świetle księżyca, a ja przewracam się na bok na zlodowaciałym piasku i wpatruję się gniewnie w jego znikające nogi.

ARCHIPELAG SZTOKHOLMSKI

Środa, 25 grudnia 1946, wieczór

Wracam do domu na chwiejnych nogach. Jest już ciemno, ubranie mam przemoczone, ale znów mogę jasno myśleć. Moja tożsamość została ujawniona, podobnie jak moje zamiary, i teraz muszę poradzić sobie z konsekwencjami.

W pokojach od frontu palą się światła, idę więc na tyły, wchodzę do kuchni i przemykam na palcach korytarzem. Drzwi do bawialni są zamknięte, ale wypaczone przez wilgoć odstają od futryny, tak że w holu słychać prowadzoną tam rozmowę.

Fru Larsson przypomina synowi wszystko, co dla niego zrobiła; zaczyna od opieki nad nim, dzięki czemu wrócił do zdrowia, potem mówi o ukrywaniu go najpierw przed władzami niemieckimi jako dezertera, a później przed aliantami jako potencjalnego zbrodniarza wojennego. Gdy syn próbuje zbagatelizować to zagrożenie, ona mu przerywa i pyta rzeczowo:

– Chcesz wisieć? Trzy lub cztery razy byłbyś już martwy, gdybym ci pozostawiła podejmowanie decyzji.

Teraz przychodzi kolej na mnie. Fru Larsson wymienia wszystkie moje oszustwa, a ja wyobrażam sobie, że wylicza je na palcach jednej i drugiej ręki.

– Ona nie może się stąd wydostać – mówi kobieta, której cienkiego i nierównego głosu nie rozpoznaję.

– Jeśli ona opuści wyspę, cały nasz trud pójdzie na marne – mówi fru Larsson. – Z pewnością musiałeś zauważyć, Stefanie, nawet mimo twojego zauroczenia, że ona ma złe zamiary.

– To jasno wynikało z tego, co nam wcześniej powiedział! – dodaje druga kobieta.

Ktoś podchodzi do drzwi i cicho je otwiera. Kobieta po pięćdziesiątce wystawia głowę i się rozgląda.

– Christino? – pyta fru Larsson.

Christina, jej siostra. Przypominam sobie jej przygnębiające, pełne narzekań listy, które znalazłam w biurku fru Larsson. Mam teraz jeszcze jednego wroga, którego muszę brać pod uwagę.

– Chyba coś słyszałam. – Głos tej zrzędlivej i nadąsanej kobiety jest taki, jak sobie wyobrażałam. Głowa z mocno skręconymi siwymi loczkami znika, drzwi się zamykają. – Czego ona chce? Pieniędzy?

– Nie powiedziała – mruczy mój pacjent. – Ale wydaje się, że to coś bardziej osobistego.

– A gdzie jest ta Elsa, a raczej Hanna, jak teraz powinniśmy ją nazywać? – pyta jego matka.

– Zostawiłem ją na ścieżce.

– Zostawiłeś ją na ścieżce – powtarza ciotka. – A więc właśnie teraz ona może być...

– Z dużą pewnością można powiedzieć, że wciąż jest na wyspie – mamrocze Larsson.

– I na wyspie musi pozostać – stwierdza ciotka.

– A jak to zrobimy? – pyta Larsson.

– Christina ma rację – przytakuje jego matka. – Nie można dopuścić, żeby wyjechała. Musimy się zastanowić, jak ją uciszyć. Peter zabezpieczy dom, a jeśli jej nie znajdzie, noc na dworze złamie resztki jej oporu.

Wstaję, przemykam przez korytarz i cicho otwieram drzwi do komórki przy kuchni. Stoi tu para damskich butów podbitych futrem, z resztkami śniegu, być może należą do Christiny. Wkładam je, zostawiam swoje mokre buty.

Jestem już na zewnątrz, gdy przychodzi mi do głowy, że powinnam była ukryć moje stare buty. Oni się dowiedzą, że byłam w domu, ale jest za późno, by zawrócić, zbyt duże ryzyko, że zostanę schwytana, jeśli Peter już robi obchód.

Przechodzę przez podwórko, okrążam dom i przystaję przy oknie bawialni. Są tam wszyscy: fru Larsson, jej siostra i syn. Nawet Mona siedzi w kącie. W rogu stoi ścięta przez Petera jodła, ale nikt nie zadał sobie trudu, by ją udekorować. Mój pacjent siedzi, popijając coś z filiżanki, jego matka i ciotka stoją przy kominku.

– Gdyby to zależało ode mnie, nie miałabym takich skrupułów – oznajmia ciotka. – Spójrz na to z innego punktu widzenia. Ta żalosna kreatura nie ma nikogo, to byłby akt miłosierdzia, a my tylko dokończylibyśmy to, co ty sam robiłeś przez te wszystkie lata. Twój sentymentalizm wrócił i cię dręczy.

Nisko pochylona przebiegam pod oknami.

– Jak często mówiłam – dodaje matka – mężczyźni coś zaczynają, a my zawsze musimy to kończyć.

Ale to męskie ramiona chwyciły mnie od tyłu, podniosły i zataszczyły, wierzgającą bezradnie, po schodkach do domu.

*

Budzę się na poddaszu. Skośny sufit i małe kwadratowe okno przypominają mi mój pokój pod okapem dachu w domu Winkllów. W rogu przy drzwiach odpadł tynk, odsłaniając krokwie. Nie ma zasłonek, a z miejsca, gdzie leżę, widzę bluszcz i trójkąt nocnego nieba rzadko upstrzony gwiazdami.

Płaszcz, który sobie pożyczyłam, zniknął, a mój, ten, w którym przybyłam na wyspę, leży na jedynym krześle w pokoju. Mam na sobie sukienkę i sweter, obie rzeczy są mokre, jest mi zimno. Rana na rękę po skaleczeniu drutem kolczastym na wzgórzu zaogniła się i tępo pulsuje.

Szukam zegarka, tego, który dał mi Henry, a ponieważ nie mogę go znaleźć pod poduszką, gdzie zwykle go zostawiam, zaczynam myśleć, że mi go ukradziono; chwilę później czuję się jak idiotka, bo odkrywam go na swoim przegubie. Przestał chodzić tuż przed piątą. Co się ze mną stało? Powinnam nakręcić go dziś rano. Coś we mnie pękło – nieszkodliwe nawyki, automatycznie powtarzane czynności porządkowały mi życie, a teraz ten mechanizm przestał działać.

Podnoszę się i opierając się o ścianę, podchodzę do okna. Jest zabite gwoździami wystającymi z ramy. Patrzą w dół, na podwórze. Z tej wysokości pieniek do rąbania drewna i siekiera wyglądają jak zabawki. Jeśli chcą szybko mnie wykończyć, mogliby wyrzucić mnie przez okno i zdać się na grawitację. Albo, co łatwiejsze, zostawić okno otwarte i pozwolić, bym spróbowała wyskoczyć.

Odwracam się, żeby wrócić do łóżka.

I zamieram.

Na krześle przy pustym kominku siedzi fru Larsson. Po jej prawej stronie stoi Mona; blokuje wyjście, opierając się rozpostartymi łokciami o framugę drzwi. Jak mogłam ich nie usłyszeć ani nie zobaczyć?

Czuję na sobie spojrzenie matki mojego pacjenta. Chcę nadal stać, zachować przewagę, jaką mi daje górowanie nad nią, moje nogi są jednak zbyt słabe, więc siadam na łóżku. Po kilku sekundach okazuje się, że nie mogę nawet usiedzieć prosto i opadam bokiem na materac. Czy oni podali mi jakieś narkotyki? To by może wyjaśniało mój stan.

– Zanim to się skończy, opowiesz nam dokładnie, co cię tu przywiodło – mówi fru Larsson. – Chcę nazwisk wszystkich, którzy za tym stali. – Fakt, że jej zdaniem biorę udział w jakimś szerzej zakrojonym śledztwie, jest tak śmieszny, że gdybym nie była taka słaba, chyba bym się roześmiała.

Zamiast tego szepczę z zamkniętymi oczami:

– Chcę się z nim zobaczyć.

Leżę bez ruchu, oddychając chrapliwie, ukryta za zaciśniętymi powiekami. Dawna Hanna wciąż ma w sobie wolę walki i zastanawia się, co zrobić, a gdy żadna z kobiet nie odpowiada, powtarza swoje żądanie.

– Pozwólcie mi zobaczyć się z nim. – Nie wiem, czy coś przez to zyskam, ale jeśli ktoś tu ma jakieś resztki współczucia dla mnie, to tylko on.

Budzą mnie skurcze żołądka tak przejmujące, jakby Mona uderzyła mnie pięścią podczas snu. Zwijam się z bólu, przyciskam pięści do wgłębienia pod żebrami, a kolana do piersi.

Gdy ból ustaje i jestem już w stanie wyprostować się i otworzyć oczy, widzę, że jestem sama. Ostatnie promienie popołudniowego słońca padają mi na twarz, dzień się powoli kończy. Czuję spokój, bardzo przyjemny po takich katuszach, czuję się lekka, jakbym latała, leżę tam i wyobrażam sobie, że umarłam we śnie.

Zsuwam się na skraj materaca i spuszczam nogi, lecz gdy próbuję zrobić krok, upadam na kolana i czołgam się po podłodze. Moja nienawiść pozostała taka sama, ale to, co zaszło między nami daje mi siłę. Skoro on wierzy, że kiedyś mnie uratował, muszę go przekonać, żeby to zrobił jeszcze raz.

Naciskam klamkę u drzwi i już mam je otworzyć, lecz zdumiona odkrywam, że jestem zamknięta.

Wracam do łóżka. Czy jeśli umrę tak daleko od przyjaciół, moja dusza odnajdzie drogę do domu? Czy coś takiego jest możliwe, taki lot duszy? A gdzie jest dom? W Polsce czy w Niemczech, z Henrym. Henry, szepczę. To nieoczekiwane wspomnienie Henry'ego i związane z nim poczucie bezpieczeństwa i komfortu psychicznego jest niemal nie do zniesienia. Henry, szepczę znów suchymi, popękkanymi wargami.

Budzę się i widzę, że na podłodze stoi taca z miską zupy, kromką chleba i emaliowanym kubkiem z wodą. A więc nie zamierzają mnie zagłodzić, myślę, ale przecież zwykle utrzymuje się więźniów przy życiu, dopóki nie wydobędzie się z nich tego, czego się chce, czy to podczas procesu pokazowego, czy przesłuchania. Za oknem niebo jest ciemne, lecz niewiele mi to mówi o porze dnia; wiem tylko, że już minęły krótkie godziny zimowego światła dziennego między późnym ranem a wczesnym popołudniem.

Spuszczam nogi z łóżka i pozwalam im zwisać, by dopłynęła do nich krew, lecz gdy wstaję, od razu się uginają, a ja upadam na kolana zupełnie tak jak wcześniej. Próbuję oprzeć się o ścianę, ale nie dosięgam i ląduję ciężko na boku, z policzkiem na podłodze. To wszystko dzieje się bardzo szybko. Mam uraz ramion i bolą mnie mięśnie karku, boję się więc wyprostować i muszę poczekać, aż ból minie, dopiero wtedy mogę się pozbierać.

Pochylona nad tacą drżącą ręką chwytam łyżkę, nabieram zupę, podnoszę łyżkę do ust i uderzając zębami o metal, niezdarnie wlewam płyn do gardła. Zupa już nie jest gorąca, jeśli w ogóle była, lecz łagodny smak pora i pasternaku oraz mój rozpaczliwy głód wystarczą, by ją zjeść i by zaczął się proces trawienia.

Popijam wodę z kubka i żuję suchy chleb, odgryzając kawałki. Powoli wracają mi siły i gdy skończę jeść, udaje mi się wejść na łóżko. Leżę na boku, wpatrując się w zamknięte drzwi, w ciemny otwór w zamku, gdzie wcześniej tkwił żelazny klucz, i jednocześnie masuję sobie stopy i ramiona.

ARCHIPELAG SZTOKHOLMSKI

Czwartek, 26 grudnia 1946, popołudnie

Godzinę później klucz w zamku się obraca i skrzypią drzwi. To Mona. Podchodzi ostrożnie, zachowując dystans, gdy nachyla się po tacę. Zastanawiam się, co ona sądzi o tym wszystkim, co jej powiedziano o mnie, o moich oszustwach i zbrodniczych zamiarach. Jeśli Larssonowie poinformowali Monę i Petera, że jestem Żydówką, jest niemal pewne, że to wystarczyło, by nastawić ich przeciwko mnie. Nawet Kanada, ojczyzna Henry'ego, leżąca tysiące kilometrów od Hitlera i jego koleś, niechętnie przyjmuje Żydów. Tuż przed wojną wypłynął z Hamburga statek z dziewięciuset Żydami – kobietami, mężczyznami i dziećmi – uciekinierami z Europy, którzy próbowali zejść na ląd w Kanadzie, lecz mimo niewykorzystywanego bogactwa kraju i rozległych przestrzeni do życia nie znalazło się dla nich miejsce. Nikt nie wysiadł, nawet jedno dziecko. Statek zawrócił i popłynął do Europy.

– Muszę iść do łazienki – mówię, gdy Mona podnosi tacę.

Leżę na plecach z jedną nogą podwiniętą, a drugą wyciągniętą pod kątem jak u połamanej marionetki. Mona przygląda mi się, potem ostrożnie kiwa głową. Żydom nigdy nie wolno ufać, nawet tak znękanym. Jesteśmy jak szczury, które złapane w pułapkę odgryzą sobie tylne łapy, żeby uciec.

Czeka przy drzwiach, a ja siadam i staram się wygładzić zagniecenia i fałdy, jakbym doprowadzała do porządku szmacianą lalkę. Czuję się silniejsza niż wcześniej, lecz poruszam się wolno, aby nie stwarzać wrażenia, że mogę być groźna.

Trzymając się mosiężnego słupka łóżka i boku drewnianej szafy, idę; stawiam stopę na podłodze, upewniam się, że jest stabilna, a potem podnoszę drugą nogę.

Gdy dochodzę do drzwi, Mona cofa się na podest, aby zrobić mi miejsce; po kilku chwilach trzymam się kurczowo framugi i pochylona do przodu chrapliwie łapię oddech.

Mona idzie przede mną. Do łazienki są tylko trzy metry, lecz gdy docieram do jej otwartych drzwi, próbuję wyminąć moją strażniczkę,

aby znaleźć się u szczytu schodów.

– Stefanie! – wołam, mój głos rozchodzi się drżącym echem pod niskim sufitem, w zimnym powietrzu. Dopiero drugi raz zwróciłam się niego po imieniu; zawsze się przed tym wzdragałam, a teraz brzmi to równie sztucznie jak poprzednio. – Stefanie! – powtarzam z takim samym, a może jeszcze gorszym rezultatem. Na ścieżce moje zamiary były dla niego aż nadto oczywiste, a od tego czasu oddane mu kobiety były gotowe na wszystko.

Słyszę hałas na dole. Czy to może być on? Ale Mona już mnie trzyma i uniemożliwia dalsze ruchy. Usiłuję wyrwać się z jej rąk, uderzam ją łokciem w bok i chwytam pod brodą. Chcę ją kopnąć w goleń, ale udaje mi się tylko uderzyć w ścianę gołymi palcami u nóg. Sekundę później moje ramię jest na plecach i zostaje odwrócona i przyciśnięta twarzą do ściany. Kolano Mony jest wbite w moje udo, dalszy opór nie ma sensu. Mona podnosi moją wykręconą rękę do ramienia, aż wyłamuje mi ją ze stawu. Twarz ma blisko mojej, czuję na szyi jej wilgotne wargi. Dyszy chrapliwie, a mnie dławi brzydki zapach z jej ust.

Wzięłam ją z zaskoczenia, kobietę, która zawsze patrzyła na mnie z góry i uważała za niegroźną. Zaskoczenie dawało mi przewagę, ale jest kartą, którą można zagrać tylko raz.

Fakt, że pogorszyłam swoją sytuację, uświadomił mi, jak głupio to wszystko rozegrałam. Najpierw powinnam była przynajmniej skorzystać z łazienki, a teraz ponieważ mój brzuch był przyciśnięty do ściany, muszę znieść kolejne upokorzenie – siusiam w majtki.

Rozchodzi się charakterystyczny zapaszek, Mona chrząka i trzyma mnie na odległość ramienia. Odwraca mnie i popycha przed sobą. Krzywię się przy każdym kroku, ponieważ mój staw barkowy jest naruszony. W końcu docieramy do pokoju, Mona mnie puszcza, popycha do środka i z hukiem zamyka drzwi.

Leżę na podłodze zdezorientowana majakami o tym, jak na podwórzu bronie się przed Peterem, odpieram jego ciosy. Mam straszne pragnienie.

W pustym kominku stoi nocnik; oni nie zamierzają popełnić drugi raz tego samego błędu.

Podciągam się do łóżka, ale nie mam siły się na nie wspiąć, ściągam więc na podłogę koc, nie bacząc na kurz i pierze wpełzam pod łóżko i zwijam się w kłębek pod ścianą.

Leżące tu moje buty wpijają mi się w bok. Manewrując powoli, aby nie urazić bolącego ramienia, wyciągam je spod siebie, kładę przy stopach i ostrożnie wsuwam na nogi.

Nie mam zamiaru się ukrywać; chowanie się pod łóżkiem może być wystarczająco dobre w dziecięcej zabawie, lecz dla dorosłej osoby to niezbyt dobre schronienie, a do tego jestem zniechęcona i nie planuję na razie kolejnych podstępów. Jest ciemno, aby nie tracić ciepła, zwinęłam się najbardziej, jak się da, więc gdy wchodzi Mona, tak ją zaskakuje widok pustego materaca, że wybiega w panice, zostawiając uchylone drzwi.

Ściągam z siebie koc, wydostaję się spod łóżka, kuśtykam do krzesła, wkładam drżące ręce w rękawy płaszcza.

Schodzę z poddasza wąskimi schodami. Słyszę je, fru Larsson, jej siostrę i Monę; są skonsternowane, głośno krzyczą i już wchodzi na górę, by mnie znaleźć.

– Stefanie! – wołam, tym razem głośniej. – Stefanie! – Kurczowo trzymam się poręczy balustrady podestu na pierwszym piętrze. – STEFANIE!

Larsson pojawia się w drzwiach za moimi plecami.

Niezdolna do nagłych ruchów odwracam się powoli. Muszę znów stać się dla niego tą dziewczyną, która błagała o ratunek.

– Pomóż mi. – Z oczu płyną mi łzy żalu nad samą sobą.

Wpatruje się we mnie i mimo tego, co wie, wyraz jego oczu łagodnieje, a on podchodzi do mnie.

Kątem oka widzę jego ciotkę, jej wyciągnięte ręce sięgają do mojej piersi, a sekundę później balustrada nie wytrzymuje naszego wspólnego ciężaru i wszyscy troje spadamy z niedużej wysokości na półpiętro.

Leżę kilka sekund na Larssonie i jego ciotce, a później, ponieważ zaczynają się poruszać, podnoszę się i chwiejnym krokiem schodzę na parter.

Na wciąż niepewnych nogach wędruję korytarzem do kuchni i wychodzę z domu.

Na podwórku znajduję leżącą pod śniegiem siekiere.

Wracam do domu przez kuchnię. Siekiera jest ciężka, trzymam ją obiema rękami i ciągnąc za sobą, zostawiam rysy na deskach podłogi.

Stefan siedzi z pochyloną głową w holu na najniższym stopniu schodów. Na jego skroni widać krew, ale poza tym wydaje się cały i zdrowy. Jego ciotka jest już na nogach, ale kurczowo uczeplona poręczy patrzy w dół szklanymi oczami.

Stefan podnosi wzrok.

– Hanno, co ty robisz? – Ale być może się domyśla i choćby nie wiem jak niewiarygodne wydawały mu się moje zamiary, szurając stopami, przesuwa się do rogu, próbuje ustać na nogach, cofa się i podnosi drżące ręce, by chronić twarz.

Podnoszę siekierę do pasa. Z obucha spada topniejący śnieg, tworząc ciemne plamy na podłodze. Brakuje mi siły w rękach, ale jeśli mam coś zrobić, muszę wyżej podnieść siekierę. Wyobrażałam sobie rozmaite zakończenia tej sprawy, ale nigdy czegoś tak przerażającego. Ile razy będę musiała uderzyć?

– Dlaczego to robisz, Hanno? – pyta słabym głosem.

Krzywię się. Mogę tylko przypuszczać, jak okropnie wyglądam – włosy rozczochrane jak u czarownicy, plecy zgarbione, mięśnie napięte, gdy staram się podnieść to narzędzie do piersi. Knykcie białe jak kość, ścięgna na szyi wyraźnie widoczne. On powinien po prostu uciec. Jestem pewna, że wystarczy mu siły. Stoi teraz na schodach, jest wyżej ode mnie, więc ma przewagę i z łatwością mógłby odepchnąć mnie na bok. Przewrócenie mnie nie wymagałoby dużej siły, a potem mogliby zrobić ze mną, co by chcieli.

Ale on, jakby mniejszy, stoi przy ścianie.

– Dlaczego? – powtarza błagalnym tonem, w oczach ma łzy.

– Mogłeś ich uratować, ale tego nie zrobiłeś. – Jestem bardzo zła, z ust cieknie mi ślina.

Wydaje się jeszcze bardziej oszołomiony i spuszcza wzrok. Jest chyba bardziej zdumiony tym oskarżeniem niż faktem, że stoję przy nim niczym żądny zemsty Golem.

– Uratować ich? – powtarza bezradnie, wpatrując się we wnętrze swoich dłoni, jakby szukał tam rozwiązania. Chyba nawet nie wie, o kim mówię.

– Moją rodzinę. – Jestem wściekła, że muszę mu wyjaśniać, jaką zbrodnię popełnił. – Obiecałeś. – Podnoszę siekiere do brody. Ona musi się znaleźć nad moją głową. Jeśli uderzę z tej wysokości, obetnę mu najwyższe palce u nóg.

– Ale uratowałem cię. – Nawet teraz on wciąż uważa, że zrobił rzecz godną podziwu. Że jeden dobry uczynek może wynagrodzić wszystkie złe.

– Obiecałeś uratować ich wszystkich.

– Jeśli tak było, to tylko dlatego, że chciałem sprawić ci przyjemność. Nigdy nie mógłbym ich zabrać. – Patrzy mi w oczy. – Musisz to zrozumieć. Co miałbym z nimi zrobić? To by się skończyło w ten sam sposób... Hanno...

Ale ja już nie chcę słyszeć, jak on wymawia moje imię.

Ciotka obserwuje tę scenę, stojąc wyżej na schodach. Mona schodzi i staje za nią, mocno trzyma się poręczy. One są bardzo blisko, tylko widok uniesionej siekiery trzyma je na dystans.

Mój Niemiec patrzy na swoje stopy, tak że widać bladą skórę jego czaszki i kark. Jego postawa wyraża uległość, a on sam wygląda jak skruszony grzesznik gotowy na spotkanie ze Stwórcą.

Siekiera drży. Ciężko dysząc, unoszę ją wyżej, zaciskając dłonie na stylisku. Ostrze kołysze się w powietrzu.

W ostatniej chwili rozglądam się dookoła za moimi demonami, ale jestem sama. Nie ma ich, gdy są mi najbardziej potrzebne, i właśnie teraz dociera do mnie to, co prawdopodobnie zawsze wiedziałam – że nie jestem w stanie tego zrobić. Stworzyłam sposobność, ale nie potrafię z niej skorzystać. Że do tego miejsca sprowadziło mnie szaleństwo i to ono kazało mi odrzucić całe dobro, jakie od wojny spotkało mnie w życiu.

Upuszczam siekiere, stylisko uderza o podłogę, obuch upada płasko na deski.

I nie czekając, aż któreś z nich pójdzie za mną, uciekam.

Wybiegam z domu przez drzwi frontowe i pozostawiam ślady na świeżym śniegu leżącym na trawniku.

Schodzę ścieżką, pokonując dwa stopnie naraz, biegnę plażą i docieram do mola, kuśtykam po deskach. Łódź jest ośnieżona po ostatnich

opadach, przy oknie kabiny leży wysoka zaspą.

Schodzę na rufę i podnoszę pokrywę silnika. Płatki znów padającego śniegu roztapiają się na głowicy cylindra. Podłączam akumulator i uruchamiam silnik, śruba zaczyna się obracać.

Na wzgórzu pojawiają się błyski latarki, widać je na linii horyzontu, a potem między drzewami.

Przechodzę po pokładzie obok okien kabiny. Przechylona przez reling odczepiam sznur na dziobie i wrzucam go do wody. Silnik pracuje tylko na jałowym biegu, lecz dziób łodzi jest skierowany w stronę ciemnego jeziora. Ty i ja, my obie, myślę.

Przechodzę szybko koło okien, aby wejść do nadbudówki, lecz pośliznąwszy się na lodzie pod śniegiem, ląduję na szybie. Moja noga jest za burtą, a ja zaciskam zgiętą w łokciu rękę wokół relingu; zanim znajduję siłę, by się podciągnąć do góry, but wpada do lodowatej wody.

Latarki schodzą ze wzgórza, ich światło widać między pniami drzew.

W nadbudówce wspinam się na fotel pilota i zwiększam obroty. Rozlega się warkot, łódź przyśpiesza, lecz ponieważ rufa jest przywiązana liną, uderza dziobem w molo, łamiąc podpory.

Redukuję prędkość i rozglądam się znad dachu kabiny pasażerskiej. Mona i ciotka Stefana są już na plaży.

Wracam na molo, którego koniec już zapadł się w wodę. Odczepiam linę i biegnę na pokład. W nadbudówce gwałtownie przekręcam koło i ruszam.

Kobiety docierają do mola. Mona chwyta linę, zanim ześlizgnie się do wody, i ciągnie kadłub łodzi do siebie. Ta chuda kobieta jest niezwykle silna, ale przy zwiększonych obrotach łódź bardzo przyśpiesza, lina wleczę ją po deskach i wciąga do wody.

Stojąca na plaży ciotka świeci mi latarką w twarz, ta nagła jasność mnie oślepia. Mimo to nie puszczam steru, szukam wyjścia z zatoki, ale widzę przed sobą skały. Kręcę kołem, dziób odbija się od pływającego drewnianego bala i wpycha rufę w rozpadające się molo. Lina cumownicza wplątuje się w śrubę.

Naciskam gaz, silnik usiłuje pracować na pełnych obrotach, śruba walczy, nad pokładem rozchodzi się smród spalonego oleju napędowego i zawisa niczym płachta.

Mona wynurza się na powierzchnię, wypływa wodę i płynie w stronę skał. Dociera do łodzi, chwyta się dziobu, wystawia głowę nad burzę.

Pokład jest zalany wodą. Rozgrzany silnik rzezi. Resztką sił śruba wreszcie się uwalnia i łódź gwałtownie rusza przed siebie na czyste wody zatoki, zrzucając jednocześnie Monę.

Otacza mnie ponura, bezwzględna ciemność.

NORYMBERGA

Kwiecień 1947

Nakrywam stół w jadalni – ten, przy którym zwykł pracować Henry – na wieczorne przyjęcie. Henry sprzątnął papiery i wyniósł większość pudeł z teczkami do sypialni. Przystawiliśmy stół na środek pokoju, a ja go wypolerowałam.

Nachylałam się i czuję skurcz w brzuchu; upuszczam sztućce i chwytam się oparcia krzesła. Skurcz mija, więc się prostuję. Miga mi moje odbicie w dużym lustrze, odsłoniętym po raz pierwszy od miesięcy; do tej pory zasłaniała je sterta teczek. Z przyjemnością zauważam, że jest mnie trochę więcej i nawet mam lekkie rumieńce. Ale tak czy inaczej, nigdy już nie będę dawną Hanną. Po siedmiu miesiącach już po mnie widać i to wystarczająco, by zasłużyć na aprobatę Henry’ego, jakbym do teraz nie była wystarczająco w ciąży.

Drugiego stycznia przybyłam do Hamburga porannym rejssem i wsiadłam do pociągu na południe, do Norymbergi. Gdy weszłam do mieszkania, Henry, zdezorientowany, rozgniewał się. Przypuszczał, całkiem rozsądnie, że nie wrócę, a ja pojawiając się po trzech miesiącach zupełnego milczenia.

Usiedliśmy na przeciwnych końcach kanapy. Opowiadanie o tym, co się wydarzyło, w naszej przytulnej bawialni, przed małym kominkiem na gaz, sprawiło, że całe to moje przedsięwzięcie wydało się daremne i głupie. Gdy miałam szansę zrobić to, po co tam pojechałam, po prostu opuściłam siekiere i uciekłam. Nie wymierzyłam sprawiedliwości, ale w pewnym sensie zamknęłam tę sprawę. Miałam wybór i wybrałam łaskę czy co tam sobie wmówiłam, choć było więcej decyzji do podjęcia niż tylko ta.

Po raz pierwszy widzę coś absurdalnego w skupieniu się na jednym osobniku, „moim Niemcu”, skoro tak wiele osób miało wpływ na los mojej rodziny. Nie jest wykluczone, że mój brat dostałby jakąś pracę w fabryce, nie mogę sobie jednak wyobrazić, że Herr Winkell uznałby, iż przyda mu się Julia, nie mówiąc już o mojej matce i stryjence. A w szalupie ratunkowej dla służby domowej było tylko jedno miejsce. Gdyby tego dnia 1942 roku nie zostali wysłani na śmierć, stałoby się to innego

dnia... albo jeszcze innego. W jakiś sposób Larsson jest nadal winny, ale w końcu tę machinę zła wprawili w ruch mężczyźni skazani w Norymbardze i przez inne trybunały. Chyba zrobiłam z „mojego Niemca” kozła ofiarnego, obarczyłam go winą nie tylko za jego grzech, ale i za grzechy pozostałych. Henry próbował mi to powiedzieć przed moim wyjazdem, lecz ja nie chciałam słuchać, a duma nie pozwalała mi jeszcze przyznać, że prawdopodobnie ma rację.

W wersji, którą opowiedziałam Henry’emu, zrobiłam to wszystko, aby skonfrontować „mojego Niemca” z prawdą, pominęłam natomiast scenę, w której stałam przed nim z siekierą; nie chciałam, żeby Henry zachował w pamięci taki mój obraz. W mojej wersji wydarzeń nigdy też nie wyjeżdżałam ze Sztokholmu, nie musiałam więc opisywać swojej próby nawigacji nocą po Archipelagu Sztokholmskim bez żadnego pojęcia o sterowaniu łodzią ani tego, jak osiadłam na mieliźnie i prawie się utopiłam, a potem błąkałam się po lasach w mokrym ubraniu, aż w końcu znalazłam drogę i ubłagałam kierowcę jedyne przejeżdżającego samochodu, by mnie zabrał.

W Sztokholmie zameldowałam się na noc w hostelu, gdzie się zatrzymałam po przyjeździe do Szwecji. Jakimś cudem mój paszport wyszedł cało z kąpieli, choć musiałam delikatnie rozdzielić kartki, żeby wyschły. Następnego rana kupiłam bilet na wczesny rejs. Obserwując z rufy statku szary kontur miasta znikający we mgle, pomyślałam, że tak właśnie powinno się to skończyć – jakby nigdy mnie tu nie było.

– Cóż, osiągnęłaś swój cel – stwierdził Henry, gdy doszłam do końca.
– Ale mogło ci się przydarzyć wszystko, głuptasie, i nigdy bym się o tym nie dowiedział.

Wpatrywał się we mnie ze łzami w oczach i ja też zaczęłam płakać, więc on po prostu musiał się przysunąć i mnie objąć.

Dopiero w drodze powrotnej, na statku przemierzającym Bałtyk, zaczęłam rozważać możliwość, że jestem w ciąży. Od roku spędzonego w getcie miesięczkę miałam bardzo nieregularnie, więc gdy w jakimś miesiącu się nie pojawiła, nie przejmowałam się. Trzy miesiące przerwy to już coś całkiem innego, byłam jednak zbyt pochłonięta innymi sprawami, by mnie to obeszło. Nie powiedziałam o tym Henry’emu, ponieważ wolałam, żeby chciał mnie dla mnie samej, a nie dlatego, że być może noszę jego dziecko.

Henry wchodzi za mną do sypialni. Mam na sobie sukienkę, którą on lubi, szarą w żółte róże. Nie będzie długo na mnie pasowała, materiału nie da się już bardziej rozciągnąć, bo się podrze. Henry przebiega dłońmi po wypukłości, mocno się do mnie przytula, a ja czuję w dolnej części pleców, że twardnieje. Pachnie płynem po goleniu, który kupiłam od ulicznego sprzedawcy przed restauracją, gdzie bywamy. Przyciskam policzek do jego szyi.

– To będzie dziewczynka – mruczy.

– Nie możesz tego wiedzieć – protestuję.

– Poczekaj, a zobaczysz.

– A ty powinieneś zobaczyć jego panikę – mówi Sidney z akcentem brytyjskich wyższych sfer. – Ten obrzydliwy mały człowieczek zaplątał się we własne kłamstwa, gdy Thomas Dodd przedstawił i dołączył do dowodów dokument, z którego wynikało, że on dobrze wiedział, że Reichsbank przyjmował biżuterię i inne kosztowności. Włącznie ze złotymi zębami. – Sidney rozsiada się wygodnie na krześle i zaciąga się papierosem. Dym unosi się pod niski sufit i kłębi się wokół żarówek.

Henry zerka na mnie niespokojnie. Wolałby, aby Sidney nie poruszał tego rodzaju tematów w mojej obecności, choć zdaje sobie sprawę, że wiem o wszystkim, i sam zabrał mnie do Auschwitz. Kiedyś ta jego chęć chronienia mnie przed przykrościami czy krzywdą trochę mnie irytowała, lecz teraz, może z powodu ciąży, bardzo mi się podoba.

– Miał prawdziwego pietra, można by rzec – dodaje William.

Rozmawiają o Waltherze Funku, byłym prezesie Reichsbanku. Funk był sądzony przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy, który zakończył pracę w październiku poprzedniego roku. Uniknął powieszenia, ale został skazany na dożywotnie więzienie.

William jest Kanadyjczykiem, tak jak Henry, choć z „drugiej strony”. Oficjalnie jest attaché morskim, mimo że, jak sam przyznaje, nigdy nie był w pobliżu okrętu wojennego. Nawet gdy musiał przekroczyć Atlantyk, skorzystał z liniowca pasażerskiego.

– Słyszeliście, że Stalin zażądał pięciu milionów Niemców do naprawy szkód wyrządzonych Związkowi Radzieckiemu? – pyta Robert, paląc cygaro. – Jako dodatek do pięćdziesięciu tysięcy oficerów sztabowych, których polecił nam rozstrzelać.

Wstałam od stołu, sprzątnęłam talerzyki deserowe i odstawiłam je na bok. Napełniwszy swój kieliszek, wzięłam papierosa i podeszłam do okna.

Robert był tej wiosny w Londynie, ale musiał szybko wyjechać, ponieważ dopadły go konsekwencje nagłej i dość chaotycznej relacji z zamężną Angielką. „Gdyby to było sto lat temu, Robert zostałby wyzwany na pojedynek” – żartował Henry. „A co zrobił ten mąż? – spytałam. – Skonfrontował się z nim?”. Sytuacja była zupełnie niewiarygodna. Robert był najprzystojniejszy ze wszystkich przyjaciół Henry’ego i uganiał się za spódniczkami. Jego żona wróciła do Nowego Jorku, bo musiała już znosić stanowczo za dużo. „Nie, Brytyjczycy tak nie robią – wyjaśnił Henry. – Robert otrzymał pismo od prawnika tego męża z żądaniem, by wyjechał z miasta. Prawnik uciekający przed prawnikiem. Czyste wariactwo!”.

– Słyszałem o tym. – Henry nawiązuje do słów o rozstrzelaniu oficerów sztabowych. – On to powiedział w Teheranie. Churchill wpadł podobno w furję, ale słyszałem też od kogoś, kto zna Charlesa Bohlena, jedyne go mówiącego po rosyjsku Amerykanina, który tam był, że tak naprawdę Stalin próbował być zabawny. Wszyscy mówią, że to był wieczór wielkiego pijaństwa. Trudno uwierzyć, że wujaszek Stalin ma poczucie humoru, ale jeśli ma, to właśnie takie pokręcone.

– Cóż, mamy własnych fanatyków, prawda? – mówię przekornie. – Czy ten Morgenthau nie rekomendował zamiany Niemiec w państwo rolnicze, aby zapobiec powtórzeniu się „problemów”?

Robert odwraca się, by na mnie spojrzeć. Stoję plecami do okna, doglądam swojego brzucha i wykorzystuję parapet do zmniejszenia bólu w dolnej części pleców. Robert obdarza mnie specjalnym uśmiechem, który stosuje wobec wszystkich kobiet i który prawdopodobnie zadziałał o wiele za dobrze w Londynie.

– Hanna ma rację – mówi. – Henry, twój ukochany narzeczony, dobrze o tym wie. Jesteśmy otoczeni przez idealistów, teoretyków, fanatyków i nigdy nie wiadomo, czy któryś z nich mówi nam prawdę. Ja osobiście nie mogę się doczekać, żeby zdjąć mundur i wrócić do jakiejś staroświeckiej roboty prawniczej w Nowym Jorku, gdzie mogę patrzeć swojemu wrogowi w oczy. – Puszczą do mnie oko, mówi bezgłośnie: „Nie tylko ładna buzia”, po czym odwraca się do reszty towarzystwa.

Nasi goście, pracujący razem z Henrym nad sprawą IG Farben i oskarżeniem, które ma zostać sformułowane w następnym miesiącu, rozmawiają o trudnościach z udowodnieniem niedającej się określić koncepcji „prowadzenia wojny agresywnej”.

– W wojnie trzydziestoletniej – Sidney sięga po przykłady z historii – armie były formowane z prostego ludu, a sposoby prowadzenia działań nie były określone. W rezultacie zginęła ponad połowa niemieckojęzycznej ludności Europy...

Sidney zamierza wrócić po wojnie na uczelnię, gdzie być może będzie miał szansę opublikować książkę o działaniach wojennych w Europie, którą, jak twierdzi, ma już w głowie, choć nie jestem przekonana, czy pisanie o wojnach toczonych setki lat temu ma jakiś sens. Oxford wydaje się jednak wspaniały i obiecałam, że namówię Henry’ego, byśmy wybrali się do Anglii.

Gaszę papierosa i przez ramię Henry’ego sięgam po następnego, lecz on kładzie dłoń na mojej, wyciąga spod niej paczkę papierosów i chowa ją do kieszeni. Paradoks polega na tym, że właśnie on nauczył mnie palić; posunął się nawet tak daleko, że dowodził – przekonany, że moim problemem są nerwy – iż palenie wyjdzie mi na zdrowie. A teraz próbuje mi ograniczać liczbę wypalanych papierosów ze względu na dziecko, ponieważ przeczytał coś na ten temat w jakimś czasopiśmie.

– Nie zagłębiajmy się w przeszłość – mówi William. – Jak przyszli historycy spojrzą na naszą pracę?

– Sądzę, że kompletnie zignorują obecne trybunały – mruczy Robert. – Włącznie z naszym. Będą pamiętali, co się przydarzyło grubym rybom, a reszta, urzędnicy i kierownicy instytucji, zostaną zupełnie zapomniani.

– Ale zasady prawa pozostaną – oznajmia Henry, wyjmując papierosy. Wyciąga jednego i chowa paczkę do kieszeni, zanim zdążę ją przechwytać. – I będą służyły poskromieniu podżegaczy do przyszłych wojen i ich pomocników.

– Przyszłych wojen! – powtarzam. Boże dopomóż, jeśli przyjdzie kolejna wojna, nawet jeśli wybuchnie gdzieś daleko. Wiem oczywiście, że może tak się stać, że grozi nam wojna ze Związkiem Radzieckim albo jakaś inna, już się o niej mówi i dowodzi się, że powinniśmy zrobić to teraz, dopóki mamy „tę bombę”, a oni jej nie mają.

– Tak czy inaczej, wszyscy zapomnieliśmy o prawdziwym powodzie, dla którego tu jesteśmy – mówi Robert, patrząc na mnie i podnosząc swój kieliszek. – Jesteśmy tu, aby świętować zaręczyny naszych wspa-
niałych przyjaciół, Hanny i Henry’ego. Oby ich wspólne życie było
zawsze bardzo, bardzo szczęśliwe.

Henry bierze mnie za rękę i mocno ją ściska. Zerkam do góry. Ma łzy
w oczach.

– Za Hannę i Henry’ego! – wołają unisono wszyscy nasi goście,
a mój biedny narzeczony rumieni się jak panienka.

Epilog

TORONTO

Czerwiec 1952

Budzę się przerażona, wszędzie słyszę krzyk mojej pięcioletniej córki. Nocny koszmar był tak niesamowicie realistyczny, że serce bije mi jak szalone, a w piersi czuję rozdzierający ból. We śnie siedziałam w fotelu na kółkach, który pchała fru Larsson po jakiejś ulicy, być może w Sztokholmie, podczas alarmu przeciwlotniczego. Jak długo spałam? Jestem w dziewiątym miesiącu ciąży z drugim dzieckiem i być może uwięzienie w ciasnym fotelu ogrodowym i upał odebrały mi rozum. Dni są takie gorące. Śmieszne, że przed poznaniem Henry'ego błędnie sądziłam, iż Kanada jest nieustannie pokryta śniegiem.

Henry wchodzi do ogrodu przez boczną furtkę. To dlatego Julia jest tak podekscytowana.

– Wcześniej wróciłeś – mówię, osłaniając oczy.

Podchodzi z naszą córką pod pachą i nachyla się, by mnie pocałować.

– Choć raz zebranie skończyło się przed czasem, odebrałem więc nowy samochód. Chodź i go zobacz.

– No nie wiem – mówię. – Czuję się okropnie, po prostu muszę się położyć.

Przykłada mi dłoń do czoła.

– Jesteś rozpalona. Chodź i tylko go zobacz, a potem odprowadzę cię do domu.

– Tak, chodź i go zobacz – rozkazuje Julia, niepewna, o co tu chodzi, lecz jak zwykle biorąca stronę taty.

– Pomogę ci. – Henry zbiera z moich kolan papiery i wkłada je do teczki.

Pracuję nad biografią mojego ojca. Dotarłam do momentu, gdy udał się do domu rodziców mojej matki i ku jej całkowitemu zaskoczeniu oświadczył się w salonie. Matka uciekła zapłakana, zostawiając ojca gapiącego się w lustro nad kominkiem, oklapłego, jakby uszło z niego powietrze. Opuściła go cała odwaga, jaką zgromadził, przygotowując się

do tej chwili. Był jednak mężczyzną, nie poddał się łatwo, po chwili pobiegł za nią do oranżerii, gdzie osaczywszy ją między palmą a zaparowanym oknem, wymógł na niej to, po co przyszedł.

Wyobrażanie sobie tej sceny, przywołanie ich obojga do życia w czasie, gdy choć nie młodszy, byli znacznie bardziej niewinni niż ja teraz, dało mi wiele radości; odżyło też moje zamiłowanie do opowiadania. W dzieciństwie bez końca przerabiałam stare bajki, uwspółcześniając je i dodając barwne szczegóły, by zabawić siostrę.

Pisanie to teraz tylko hobby, Julia zajmuje mi zbyt wiele czasu, a drugie dziecko zabierze resztę, ale nie ma pośpiechu, a jeśli dobrze mi pójdzie, mogę spróbować podjąć jakiś bardziej ogólny temat. Powinnaś opowiedzieć o swoich przeżyciach, oświadczył Henry. Może tak zrobię, ale czy ktoś w to uwierzy?

Henry stawia Julię na ziemi i pomaga mi przejść ścieżką. Ledwie idę.

– Jeżeli zaraz się nie położę – uprzedzam – rozpadnę się na kawałki.

– Rozpadnę się na kawałki – powtarza Julia zza moich kolan.

Samochód stoi na podjeździe. Jest jaskrawoczerwony, ma biały dach, teraz złożony po to, by było widać fotele kryte kremową skórą.

Julia robi głęboki wdech, pędzi do auta i przebiega palcami po lakierze. Nie dosięga głową nawet do szyby w drzwiach.

– Jak ci się podoba? – pyta Henry.

– Jest cudny – chwali Julia. – A gdzie ma dach?

– Czy nas na to stać? – pytam.

– Uważam, że tak. Jest niemal pewne, że w przyszłym roku zostanę współnikiem w kancelarii, a ty musisz czasami trochę pożyć.

– Trochę pożyć – powtarza Julia, głaszcząc ciepły metal nad kołem.

– Co myślisz? Podoba ci się? – pyta Henry.

– Jest bardzo ładny – mówię.

– Pomyśl tylko o piknikach, na które będziemy jeździć. Cała nasza czwórka.

– Wspaniale. A teraz zaprowadź tę damę do domu, zanim się przewróci.

Henry układa mnie na łóżku i siada po turecku na podłodze, tuż przy mojej głowie. Ma teraz trzydzieści pięć lat i jest szanowanym prawnikiem, co w połączeniu z reputacją, z jaką wrócił z Europy, predestynuje go do rzeczy wielkich. Mówi się nawet o jego wejściu do polityki, a teraz siedzi przy moim łóżku, bo jak mały chłopiec musi opowiedzieć, jak mu minął dzień. Nie po raz pierwszy przypominam sobie nasze spotkanie wśród gruzów Kolonii, gdzie jego zapału do zwiedzania nie stłumiły ani zgroza, ani zniszczenia.

Pobraliśmy się w kwietniu 1947 roku, krótko przed narodzinami Julii, i mieszkaliśmy w Norymberdze do zakończenia procesu w sprawie IG Farben w następnym roku. W stan oskarżenia postawiono dwudziestu czterech członków kierownictwa tego koncernu chemicznego, lecz tylko trzynastu zostało uznanych za winnych; najdłuższy wyrok wynosił osiem lat, a skazani musieli odsiedzieć jeszcze mniej. Po całej tej ciężkiej pracy opadły nam skrzydła. Ci ludzie wywinęli się od zarzutu morderstwa. Ale czasy się zmieniały. Z powodów politycznych tropienie i karanie Niemców nie było już rozsądne, skoro Zachód miał z nimi współpracować. Sprawą o największym znaczeniu stała się rywalizacja ze Związkiem Radzieckim, a większość pozostałych zbrodniarzy wojennych nie stanęła przed sądem, podobnie jak „mój Niemiec”.

Rozmawialiśmy właściwie tylko o powrocie do domu. Domem jest teraz dla mnie Kanada, nasza trójka przybyła tu jesienią 1947 roku, by zacząć nowe życie.

Zamykam oczy i zapadam w sen. Henry się zgodził, że jeśli urodzi się chłopiec, nazwiemy go Józef, po moim bracie, a jeśli dziewczynka, dostanie imię Margaret, jak matka Henry'ego. Jego matka jest dla mnie bardzo miła, wzięła mnie pod swoje skrzydła i przedstawiła sąsiadom. Powiedziała mi kiedyś, że zaczęła już myśleć, iż jej syn jest być może typem wiecznego kawalera, a ja sądzę, że ona nadal do końca nie wierzy, że on ma drugą żonę.

Zasypiam ukołyszana przez wpadający przez okno wiatr. Henry wciąż opowiada o sprawie, którą się zajmuje, czyli skandalu wokół zakładu produkującego nawozy organiczne, który zatrzał wodę w całym mieście. Ale ja odbiegam myślami bardzo daleko, do mojego prawdziwego domu, i rozmyślam o Julii. Nie o córce, która drzemie za ścianą, lecz o mojej małej siostrze, która miałaby teraz dwadzieścia lat. Jesteśmy na zamrzniętych moczarach niedaleko naszego domu, a ja uczę ją jeździć na łyżwach. Julia właśnie upadła i patrzy oskarżycielsko na swoje łyżwy, ma

nos zaróżowiony z zimna. Była taka piękna. Oddałabym wszystko, byle tylko była tu ze mną.

Podziękowania

Chciałbym podziękować przede wszystkim przyjaciołom, którzy nie szczczędząc czasu, czytali i komentowali pierwsze szkice *Hanny*. Tymi wyjątkowymi osobami są: Stef Downham, Helen Plummer, Elizabeth Hickin, Dan Brotzel i Jon Malone. Każdy z was wniósł do tekstu coś innego, a bez waszych sugestii opowieść o Hannie nie byłaby tym, czym jest.

Dziękuję wszystkim pracownikom Hardman & Swainson, mojej agencji literackiej, a zwłaszcza Joannie Swainson, mojej agentce, która we mnie wierzyła, Thérèse Coen za kompetentne zajęcie się kwestią praw do tego wydania, oraz Nicole Etherington za doskonałe zredagowanie tekstu.

Dziękuję całemu zespołowi Świata Książki za pomyślnie zakończone starania o wydanie *Hanny* w języku polskim.

Dziękuję przyjaciołom i rodzinie za wielkie wsparcie, a szczególnie wszystkim czytelnikom mojej debiutanckiej powieści *The Actuality*. Wasza reakcja zrobiła na mnie ogromne wrażenie i właśnie dzięki waszej wspaniałomyślności i entuzjazmowi nabrałem dość pewności siebie, by powołać do życia Hannę.

I oczywiście dziękuję Mary i Thomasowi, mojej żonie i synowi, którzy byli tak zadowoleni i dumni z mojego sukcesu. Jesteście dla mnie całym światem.

Przypisy

1. Fru (szw.) – żona, pani (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [[wróć](#)]
2. Fröken (szw.) – panna. [[wróć](#)]
3. BDM – Bund Deutscher Mädel, Związek Dziewcząt Niemieckich. [[wróć](#)]